

**HENRY LION OLDI**

**MAGIA  
PRZECIW  
PRAWU**

**W SERII UKAZAŁY SIĘ M.I.N.:**

Frederik Pohl „Gateway” tomy 1-5  
Antologia polskiej SF „Wizje alternatywne 5”  
Kir Bułyczow „Pieriestrojka w Wielkim Guslarze”  
Harlan Ellison „Niebezpieczne wizje”  
Harlan Ellison „Ptak śmierci”  
Ben Bova „Mars”  
Ben Bova „Powrót na Marsa”  
Robert Silverberg „Pożegłować do Bizancjum”  
Marina & Siergiej Diaczenko „Armaged-dom”  
Pat Cadigan „Wgrzesznicy”  
Andreas Eschbach „Gobeliniarze”  
Thomas R.P. Mielke „Sakriversum”

**W PRZYGOTOWANIU:**

Fritz Leiber „Obleżenie Lankmaru”  
Kir Bułyczow „Nowi Guslarczycy”  
Marina & Siergiej Diaczenko „Każń”  
Marcin Wolski „Bogowie jak ludzie”  
Ben Bova „Skalne szczury”  
Ben Bova „Saturn”  
Henry Lion Oldi „Mag z łaski prawa”  
Thomas R.P. Mielke „Karol Wielki”  
Andreas Eschbach „Wideo z Jezusem”  
Robert Silverberg „Długa droga do domu”  
Izabela Szolc „Opętanie”  
Steph Swainston „Rok naszej wojny”  
John Crowley „Aegipt”

**HENRY LION  
OLDI**

**MAGIA  
PRZECIW  
PRAWU  
TOM 1: MAGIO/O**

Przełożył  
Andrzej Sawicki

**SOLARIS**  
Olsztyn 2004

„Magia przeciw Prawu”  
*tytuł oryg. „Mag w zakonie”*

Copyright © 2000 by Dmitrij Jewgieniewich Gromów  
8s Oleg Semenowich Ladyzenskij as Henry Lion Oldi  
All Rights Reserved  
It © 2004 for Polish translation by  
Andrzej Sawicki

Projekt i opracowanie graficzne okładki  
*Dominik Milecki*  
Korekta *Bożena Moldoch*  
Skład *Tadeusz Meszko*

Wydanie I

Agencja „Solaris”  
Małgorzata Piasecka  
ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn  
tel/fax. (0-89) 541-31-17  
e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl)  
[www.solaris.net.pl](http://www.solaris.net.pl)

# MAG Z ŁAJKI PRAWA

*W posępnym tłumie osądzonych  
Szedł dziarsko i wesoło,  
W odzieniu lichym i zniszczonym,  
I kaszkiet wdział na czoło.  
A jeszcze nigdy nie widział nikogo,  
Kto by tak tęsknie spoglądał wokoło.*

*Ja w innych szedłem nieszczęśników kregu  
Wśród bólem dusz spętanych.  
I chciałem dociec, co ów człek uczynił,  
I jakie skrywał rany.  
A wtem głos jakiś z tyłu szepnął cicho:  
„Na stryczek jest skazany”.*

*Oskar Wilde  
„Ballada o więzieniu w Reading”*

KSIĘGA PIERWSZA

**NIECH DROGA  
ICH BĘDZIE MROCZNA  
I ŚLISKA**

Krąg Pierwszy

## /NIEGI KĘ/-PRECLA

- *Magia?! Nienawidzę!!!*

*Opera „ Cymeryjczyk zachwycony ”  
Aria Conana Akwilońskiego*

### DOBÓR KART

Pan podpułkownik raczyli rozmyślać.

Durna mucha, która ostatecznie ogłupiała pod wpływem wczesnej jesieni, zachowywała się jak podchmielony włóczęga, co opił się darmowej siwuchy - podlatywała to tu, to tam, przysiadła na papierach, zacierała łapki, dokuczliwie brzęczała, i łąziła tam i siam, usiłując nasycić się ostatnimi przyjemnościami muszego życia, którego zresztą już niewiele jej zostało. Pan podpułkownik zmarszczyli brew, nie patrząc nawet, machnęli łapą w powietrzu i podnieśli do ucha mocno zaciśniętą pięść. Wewnątrz pięści brzęczała i zanosila się rozpaczliwym szlochem natrętna musza mizerota - której zresztą i tak pora już była zdychać, co za różnica, minutę wcześniej czy później? Grube, porośnięte ostrymi, rudymi kłaczkami paluchy rozwarły się, darując musze wolność, a potem znów - machnięcie, więzienny kułak, przytłumione brzęczenie i błaganie o litość.

Ręka wykonała ostry zamach. Ciało muchy rąbnęło o parkiet kancelarii i zaraz potem opuściła się na nie podeszwa buta.

Wszystko.

Koniec.

Pan podpułkownik leniwie szarpnęła swoje bokobrody i ponownie zajęli się działalnością umysłową.

- W-wasza czujność! - zza drzwi wysunęła się paskudna, śmierdząca kapustą i nikotyną morda, nakryta zsuniętą na tył furazerką.

- W-wasza czujność! Pozwólcie zameldować; osobisty kurier jego naczelnikowskiej mości, pana oberpolicmajstra, z przesyłką do was! Każecie wpuścić?

- Niech poczeka.

- W-wasza... przecież to...

- Paszoł won! - pan podpułkownik nawet nie podnieśli głosu, ale morda natychmiast się cofnęła, wydawszy ciche piśnięcie. I znikła, jakby się w ogóle nie pokazywała. Porzuciwszy stolicę dla dobra służby, pan podpułkownik nie cierpiał prowincjonalnych kancelaryjnych „zupaków”, którym często rzucali w twarz to obraźliwe miano - obrzydliwie oblesnych, ustawicznie podchmielonych, z ich brudnymi mankietami i gramatycznymi błędami w anonimowych donosach. „Aśmielam się donieść do waszy wiadomości...” - i z czerwonego nochala spada kropla na pokryty gryzmołami list. Wszystko, co w świecie dobre i wielkie zbudowano na podłości, na fundamencie popolitości i tępoty, ale tylko dureń będzie się cieszył schodząc z postumentu na zrytą przez robactwo ziemię.

Taaak, tylko dureń.

Pan podpułkownik rozpięli dwa górne guziczki podbitego szkarłatnym suknem kołnierzyka, pokręcili głową jak kitajski posążek (mówią, że u tych Azjatów-chytrusów napisano: kto schwyta muchę w locie, człowiekiem jest doskonałym! Bzdury oczywiście, głupstwa i tyle!) - i ponownie pograżyli się w rozmyślaniach.

Na stole leżały dwie grube kartonowe teczki. Jedna była otwarta na drugiej stronie i gdyby ktoś cichutko, nie oddychając, stanął za plecami pana podpułkownika, gdyby poprawił koniuszkiem palca pince-nez na nosie albo po prostu przyjrzałby się uważniej, mógłby przeczytać:

„...onże Dufunia Druc-Wiśniewski, onże Franciszek Śliwiańczyk, wędrowny cyrulik, onże Jefrem Perłowy, kowal z Wilna, onże Golony. Urodzony w pięćdziesiątym szóstym, wyznania nie określi-



no - Rom z silwańskich taborów. Mag-recydywista, kryminalna specjalizacja i barwa - koniokrad, Walet Winny. Ma na koncie trzy wyroki, ostatni odsiaduje w katorżniczym obozie Anamael-Bugriaki; jego udziału w zabójstwie kupca drugiej gildii" Trifuszkina Nikodema Anisimowa" dowieść się nie udało; pozostawiono go pod nadzorem... zachowanie spokojne, pracuje jako roznosiciel jadła w kuchni, nie stwierdzono, żeby kradł żywność... po odbyciu kary proponuje się..."

Przed śmiercią, przed odlotem w niebyt, mucha akurat łąziła między wierszami: „...Rom z silwańskich...” i „...ostatni odsiaduje w katorżniczym...”

Pan podpułkownik przygryźli dolną wargę, od czego wąsy ich czujności najeżyły się niczym akuratnie przystrzyżona szczoteczka, a potem odchyłili się ku oparciu krzesła i skierowali wzrok w sufit.

Oczy pana podpułkownika miały osobliwą, brudnozieloną błotnistą barwę i świadomi rzeczy ludzie utrzymywali, że w ich nieruchomym spojrzeniu tonie się równie paskudnie i nieprzyjemnie, co w gęstym grzęzawisku. Świadomi rzeczy mówili, ale cicho, nieświadomi milczeli, a kobiety, którym los pozwolił się zetknąć z panem podpułkownikiem na miłosnej niwie, w ogóle niczego nie mówiły o błotnistym wzroku, wspominając coś całkowicie innego. Tym bardziej, że oczy owe dość dziwnie wyglądały na oliwkowo smagłym obliczu pułkownika o orlim nosie - znacznie lepiej pasowałoby do tej twarzy mroczne, ciemne i wilgotne spojrzenie piękniejsia z krajów, w których rosną cytryny i pomarańcze, a pięknotki długo zdejmują z siebie liczne spódnice, zanim oddadzą się ukochanemu.

Tak, dorodnym osobnikiem byli pan podpułkownik, nieprzyzwoicie urodziwym i można było się wściec na kurwią fortunę, która jednym daje wszystko, a drugim figę z makiem. Szerokie bary i dumna postawa oficera jakby pytały zaczepnie: „A w mordę, kanalio, nie chcesz?” Wzrost generalski, ale bez przesadnej długości członków - ach, padały damskie serduszka i buciki, i niczym jesienne liście pieszczone przez wiatr wirowały w szalonym mazurze... „Wspaniały kandydat na męża!” - szeptali półgębkiem przy wściecie szanowni oj-

*W carskiej Rosji kupiectwo zorganizowane było w tzw. Gildiach - w zależności od majątku i rozmachu prowadzonych interesów.*

*" Patronimik osób pochodzenia nieszlacheckiego w urzędowych dokumentach pisano bez „icza”.*

cowie rodzin, w których siały rutkę panny na wydaniu. - „Że ma swoje lata? Ależ co pan mówi, szanowny panie?! Co to za wiek?! Sam sok, mężczyzna długo kwitnie... ja tam w jego wieku... ech!”

Co ech, to ech.

Bywało... no, chyba że ludziska kłamią.

Porośnięte gęsto rudawymi klaczkami palce odłożyły teczkę na bok i otworzyły drugą.

„... Rachel Altschuller, onaż Zapolska mieszcza Smakowa z Brynnych Raisa Siergiejewna, onaż baronowa von Raichben, onaż Raszka Kniahini. Urodzona w pięćdziesiątym dziewiątym, wyznanie - reformowana abrahamitka, ale w razie potrzeby bezceremonialnie wykorzystuje religijne trucizny innych wyznań i wierzeń. Pochodzi z miasteczka Gołowlino w powiecie anabarskim. Wiedźma recydywistka, kryminalna specjalizacja i barwa - złodziejka aferzystka, Dama Dzwonkowa; władze Prus i księstwa Mannheim rozesały za nią międzynarodowe listy gończe. Teraz odsiaduje... zachowanie spokojne, wybrana na starostę baraku, nie zanotowano żadnych naruszeń obozowego regulaminu z jej strony... po odbyciu kary zaleca się...”

Pan podpułkownik wstali. Poprawili srebrzysty pas z ciężkimi kutasami, który opinał błękitny, bezbłędnie skrojony przez doświadczonego mistrza krawieckiego mundurjego czujności; guziki, wszyte w dwa rzędy po sześć w jednym (także srebrne); błysnęły dziarskim ogniem, rzucając odbłaski na jaskrawe wypustki na mankietach i po brzegach kurtki. Na każdym z guzików wytłoczono rękę, muskularne łapsko dzierżące miecz i dwie splecione ze sobą runy pod rękojeścią... Nie, to nie gra światła, na epoletach te same runy, miecz i ramię.

„Barbarzyńca”. Wydzielony korpus J.I.W.\* przy Trzecim Wydziale.

Piękno i chluba.

A także wrodzona niewrażliwość na wpływ eteru, o czym niezmiennie wspominało w jego osobistych cyrkularzach jeszcze przy przyjęciu na uczelnię.

\* *Jego Imperatorskiej Wysokości. Dalej, włącznie ze zwykłą mową, będzie wykorzystywany skrót „J. I. W. ”, ponieważ w tym akurat okresie skróty zaczęły wchodzić w modę, zarówno w dokumentach, jak i w rozmowach prywatnych.*

„  
i .....  
Odczekawszy jeszcze chwilę pan podpułkownik wzięli pióro, nie patrząc wetknęli je w kałamarz - i grubymi literami, pochyłym pismem, które wedle grafologów znamionowało silny, nieposkromiony charakter, napisali na wniosku, leżącym tuż obok na brzegu stołu:

„Komendant karnego obozu Anamael-Bugriaki. Po odbyciu kary przenieść wymienioną osobę na zesłanie, pod jawny nadzór. Miejsce zesłania: powiat mordwiński, wieś Kęs-Precel”

Powtórzył tę procedurę jeszcze raz.

I podpisał:

„Kniaź Szałwa Gandieri, podpułkownik wydzielonego korpusu „Barbarzyńca” przy Trzecim Wydziale J. I. W.”

## I. DWOJE ALBO TROMFY CZY BLOTKI

*Odstąpcie ode mnie wszyscy czyniący nieprawość;  
gdyż Pan usłyszał głos płaczu mojego.*

*Księga Psalmów, Psalm 6'*

Zesłańcy szli od Psiego Trzęsawiska.

Dwoje.

Wygrażały im sosny, chwiejnie kołysząc rudawymi sęczynami, ze świerkowego zagajnika z natarczywością wiejskich plotkarek skrzeczały za nimi sójki, tęgie, przyciemnione, z różowymi plamkami rzadkich piór po bokach; szreń dźwięcznie pękała pod nogami idących, a dmący tuż nad ziemią wiatr zajadle zamiatał koleiny, ścieląc się jakby ogonem niewidzialnej siwej lisicy.

A zesłańcy szli, nie oglądając się za siebie.

Dwoje.

Mężczyzna i kobieta.

*Ten i wszystkie dalsze cytaty z Biblii wzięto z przekładu dokonanego przez zespół tłumaczy powołanych przez Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne w Warszawie w 1975 roku. (Biblia Polska 064, Warszawa 1985)*

Dłonie głęboko wciśnięte w kieszenie przydziałowych, śmierdzących pleśnią siermiężnych kapot. Karki utoneły w runie podniesionych kołnierzy baranic, poprzegryzane przez mole czapki ponasuwane na same brwi; ramiona podniesione i skulone - tak właśnie, nastroszywszy się jak wrona, łatwiej zachować nikłe iskierki ciepła. Twarzy w ogóle nie widać spod kosmyków baraniego runa osłaniającego je z góry i z dołu - nie twarze to, a przerażające mordy z owczym kołtunem zamiast czupryny i brody. Natkniesz się gdzieś na takąębę, uciekaj albo zdejmuj strzelbę z ramienia - i miej nadzieję, że cię nogi wyniosą z biedy!

Co prawda, miejscowy ludek do strachliwych nie należał. Nikt zresztą nawet by nie zadawał pytań: dlaczego zesłańcy leżą bez eskorty żandarmów i bez nadzoru? Bez kajdan, zrozumiałe, to nie więźniowie, a po tutejszych górkach, stokach i rozpadlinach z wolnymi nawet nogami nie pochodzisz, jeżeli nie przywykłeś do tego od dziecka! Łączcie sobie, gdzie chcecie, kochani! Oto i sosny się wam odgrają, i sójki nie wiedzieć czemu obgadują i wietrzyk dogryza - po co jeszcze konwój? Do uciekinierów wszyscy już tu od dawna przywykli: i mieszkańcy okolicznych wsi<sup>^</sup> i hiiltaje flisacy i żołnierze w mundurach zużytych tak, że ich samych nierzadko brano za zbiegów z katorgi.

Daleko.to ujdziesz po śniegu i w mrozie? Co, poskaczysz sobie po bagnach i trzęsawiskach, od kępy do kępy? Ukryjesz się chwacko w niedźwiedzim barłogu z kosmatym gospodarzem?

Bieeegnij... uciekaj, głuptasie... uszarpiesz się tylko i wróócisz...

Zesłańcy szli, nie żywiąc urazy do wiatru za drwiące pogwizdy, od Psiego Trzęsawiska do wsi o zabawnej nazwie Kęs-Precel.

Dwoje.

Prarodzice ludzkiego rodu, wygnani z raju katorżników przez anioła z ognistym mieczem, za którymi w ślad trzykroć rzucono przekleństwo z powodu Dobra i Zła; a przecież ugryźć udało się tylko odrobinę, maleńki kąsek... cóż, innym i tyle się nie dostało, dlatego się wściekają!

- Akulka! - doleciało jęklive wołanie ze skraju wsi, skąd umorusane dzieciaki kęsprecelczan, podobne w swoich tołubach nie do dzieci, a do leszych\* niedorostków, zdążyły już dostrzec idących ludzi. - Akulka, słuchaj głupia! U Fiedoniuchy zesłaną osadzili! Chodźmy popatrzeć!

\* *Leszy - dziki, kosmaty stwór leśny z rosyjskiego folkloru*

- Babę do Sochaczewów! Babę do Sochaczewów, a warnaka do Akulczynej matki! Jazda! - zaterkotało w odpowiedzi i jeszcze ktoś, widać całkiem mały, rozdarł się zupełnie niepotrzebnie, ale głośno.

Cała wieś już trzy dni temu, po przyjeździe urzędnika, dowiedziała się, że wdowie Sochaczysze z chrześniakiem i rodzinie Filata Łukawki, gdzie jeden mniejszy od drugiego, a żrąjak opętani, dodano szczęście na wolne miejsce. Co prawda, w rzeczy samej to szczęście. Codziennie dodatkowo trzy funty pieczonego chleba, czterdzieści złotych\* mięsnej rąbanki, piętnaście złotych krup i różnych dodatkowych produktów na jedną kopiejkę; a w postne dni zamiast mięsa cały funt ryby będzie wydany. Raz na rok po armiaku z półszubką oraz obuwia cztery pary łapci i dwie pary walonek. I dodatkowe wyposażenie, za wsparcie opiekuńczego państwa.

Prawdziwe szczęście.

A zesłaniec - nie pożar, nie sparzysz się od dotknięcia.

Niech sobie żyje, dopóki może.

Wyszedłszy na drogę wiodącą od wsi do młyna i dlatego rozjeżdżoną w zimie saniami, a latem przez telegi, zesłańcy ruszyli szybszym krokiem - żeby odetchnąć i trochę ogrzać zziębnięte ciała. Mężczyzna szarpnął ramieniem, zsunął węzełek niżej i przycisnął go łokciem. Zerknął z ukosa na towarzyszkę, i wolną dłonią, nie wiedzieć po co, niezgrabnie przyglądził wąsy, które obrosły w lepkie sopelki.

Popękane od mrozu i gorączki wargi wyszeptały:

- Daj torbę... poniosę...

Kobieta nie odpowiedziała.

- No dobra, Kniahini... *Bari rany*"\ Dawaj, nie wygłupiaj się.

- Przestań, Druc.

Słowa były suche i twarde. Niekiedy zachrząści coś tak nocą w lesie i wynajęty drwal, który zasnął w prymitywnie zbitym baracku, poderwie się obok ciepłej kamionki, westchnie obudzony, a potem długo się wsłuchuje w zły mrok: coś tam się czai, bracia? Długo przyjdzie czekać? Z której strony nadejdzie?! W głosie kobiety kryła się zachrypnięta władczość, niczym gadzina pod warstwą zetkniętych liści.

\* Złotnik - dawna miara wagi, równa 4,26 grama.

" *Bari rany* - wielka pani (rom.)

Mężczyzna nazwany Drucem czuł to, dlatego od tej chwili szedł ku skrajnym chatom, nie narzucając się już z nieproszoną pomocą. I podśpiewywał bezdźwięcznie, w sopolki wąsów: Po prostu szedł.

-Oj, talia nowa,  
A maść dzwonkowa,  
Dola kijowa,  
I kiepski fart!

A wiatr pogwizdywał mu w ślad i szeleścił wtórem starej, niezawodnej zaklinanki:

Od zachodu po wschód słodki,  
Tromfy i blotki,  
Tromfy i blotki,  
Wytartych kart!

\*\*\*

Od urzędowej izby zesłańcy rozeszli się każde w swoją stronę, odprowadzane wrzaskiem dzieciarni, która także podzieliła się na dwa stadka.

- Hej, Akulko-bidulko! Chodź z nami na warnaka popatrzeć!  
- ryczał na całe gardło znany krzykacz, i nie doczekawszy się odpowiedzi od swarliwej Akulki, pobiegł za mężczyzną, którego zwano Druc. Za kobietą pobiegło tylko kilku maluchów.

Trzech, może czterech chłopaków i głupia Akulka, ruchliwa dziewczynina z drobnymi, przedwcześnie dojrzałymi rysami piegowatej twarzyczki.

A wiatr hulał dookoła, rozrabiał i kręcił wrzecionka zamieci.  
Sz-sz-sz...

## II. KAJZKA KNIAHINI ALBO

### KURZA JTOPA WDOWY JOCHACZYCHY

*Zaprawdę! Stawiasz ich na śliskim gruncie,  
Strącasz ich w zagładę.*

*Psalterz, Psalm 73*

Na podwórku chłop mozolił się przy starym wozie - zmieniał koło.

Z jego szerokiego grzbietu aż para biła.

Nie, to nie był chłop, jak się mogło wydać w pierwszej chwili - ale chłopak. Całkiem jeszcze młody. Po prostu rosły ponad wiek, o długich rękach, ale jakiś taki niezdarny, jakby o północy legł spać jako smarkacz z gołą dupiną, a o świcie ocknął się roslym chłopem i nie wie teraz, co zrobić z nadmiarem siły.

W bitkach na lodzie ustawiają go jako prowodyra i podżegacza; nie musi ukrywać w rękawie kastetu, i bez tego byka pięścią powali.

Pamiętasz, Raszka? Zatrzymałaś się wtedy we wrotach. Dokładnie zmierzyłaś wzrokiem jednego z tych nasłanych ci przez przypadek ludzi, z którymi teraz przyjdzie żyć dłużej, niżby się chciało.

Wiedziałaś o tym doskonale. Aż do drętwy w odmrożonych palcach.

- A-a - mruknął ze zrozumieniem chłopak przez ramię na widok gościa, i nie dodał ani słowa więcej.

Mocniej tylko przygryzł machorkowy papieros, wyszczerzywszy zęby. I rozsunał szerzej rozpiętą koszulę, ukazując pierś; szeroką, bezwłosą i całą pokrytą szaroburą wysypką - najadł się czegoś paskudnego? A może chory?

Co prawda było to mało prawdopodobne; takiego dragała żadna cholera nie ruszy.

Za plecami na ulicy jeden przez drugiego rozdarły się dzieciaki, ale chłopak odwrócił tylko ku nim czerwoną z wysiłku twarz i całe zbiegowisko jakby wiatr zdmuchnął.

- Leszy! - dmuchnęło jak śniegiem wzdłuż uliczki. - Feduńka-leszak, siła nieczysta! Widzisz go, paskudę! W nogi!

Minęłaś chłopaka, który wrócił do swojej roboty i weszłaś na ganek. Na okamgnienie coś cię chwyciło za krtani; gardło, niczym lufę dziadkowej strzelby, zabiło na glucho kosmatą przybitką i nawet się przestraszyła - czy to aby nie atak? Ach, teraz zupełnie nie w porę. Ale z lufy gruchnęło salwami ochryplego kaszlu, grudki wilgoci plasnęły w zaspę obok ganku i ożywcze powietrze znów wpłynęło do płuc.

- A-a - raz jeszcze stwierdził chłopak, jakby zrozumiał coś, czego nikt oprócz niego pojąć nie był w stanie, po czym pchnął kolaniem ku przodowi nasmołowane koło.

A ty nabrałaś powietrza w płuca i weszłaś do sieni, a potem w półmrok izdebki.

Na ławie, za stołem obleczonym w stary, wielokrotnie pocerowany obrus, siedziała pulchna babina w wyświechtanej pólsubce. Narzuconej -jak wydało ci się w pierwszej chwili - na gołe ciało. Nie, na nocną koszulę, tyle że ta koszula była jeszcze starsza od obrusa i widać było przez nią bezwstydnie woskową skórę i sine wzory żył.

Babina mlaskając ze smakiem, jadła zapiekankę z dorsza.

- Witajcie w zdrowiu - powiedziałaś, zsuwając torbę do nóg.

Ciepło powoli i niechętnie przesączało się ku zmartwialemu ciału, boleśnie wierciło pod armiakiem, wpełzało w rozdeptane łapcie, i leniwie pogryzało koniuszki palców. Zamróz cofał się z rzęs i oczy wypełniły się nie swoimi łzami - płacz, Kniahini, płacz Damo Dzwonkowa, płacz choć tak, bo płakać inaczej dawno już cię oduczono.

- A-a - wymamrotała babina pełnymi ustami, wywołując tym dźwiękiem wspomnienie chłopaka na dworze. Wypluła w garść drobne ości, rzuciła je na obrus i dodała soczystym, zupełnie niepasującym do jej tuszy basem:

- Wejdz, kurza stopa, po co mróz wpuszczać do izby.

Palce z początku nieposłuszne, ślizgały się w fałdach ubrania jak jazgarze, które z głupoty dostały drgawek. Na początek udało się tylko czapkę ściągnąć i rzucić ją na ławę, obok babiny. Ogarnął cię gniew. Wściekłaś się nie na żarty i ręce nagle nabrały zwinności, a chłód migiem wycofał się w jakieś oddalone zakątki - nawet nie ciała, a pamięci o dłużej drodze od po trzykroć przeklętych Anamael-Bugriaków do osady w pobliżu Psiego Trzęsawiska, a stamtąd - tu, do tępego drągala i tej baby z jej kretyńską zapiekanką i obojętną niegościnnością. Armiak niczym dziwaczne ptaszysko sfrunął

na bieloną podłogę, torba już tam stała, skrywszy się teraz pod stęchłą

---



baranicą; babina zapomniała o żuciu i wybałuszyła na ciebie zdumione oczy - wściekłaś się, pamiętasz, Kniahini?! - och tak, pamiętasz, bo nie zdołałaś się w porę powstrzymać.

Nie zdążyłaś się powstrzymać.

Powstrzymał cię atak. Tkwiąca w piersi żaba kwaknęła na całe gardło, rozepchała się w pokryty brodawkami pęcherz, pocięła śluzem, załaskotała w krtani długim, lepkim językiem, nadęła się - a gdy udało się odzyskać dech, wszystko wróciło.

Miniony ziąb, ciężki oddech i ponura złość na samą siebie.

Coś ty sobie umyśliła, katorżniczko? Po co walić durną babę życiem po mordzie, z rozmachem i jeszcze raz, żeby nie myślała, że jest wolną gołąbką, skoro i wrona z niej nie za bardzo!

- A przed ikoną się przeżegnasz, czy ci ręka opadnie?

W babinym głosie pojawiło się coś podobnego do uśmiechu mniej więcej tak, jak ogieniek łuczywa podobny jest do zorzy wschodu słońca.

Przeżegnałaś się.

Przez obrazami - wieczna lampka płonęła przed starym, okopconym obliczem Trójcy i zwykłą, starego obrządku ikonką Zbawiciela Chroniciela, obok którego nieśmiało kulił się jarmarczny błogosławiony pański Nikola Pielgrzym. Płomyczek giał się, miotał blade iskierki na srebrny, pociemniały od wieku ornat i złote listki ikonostasu.

- Łziesz - z satysfakcją wymamrotała babina, drapiąc policzek płaskim, łamiącym się paznokciem. - Nie inaczej, łziesz babo! Znak krzyża kładziesz, jak ja pod mężem nieboszczykiem posapywałam. Pod tym, pod innym... jedna cholera, kurza stopa... Abrahamitką jesteś? A może w ogóle poganką? Dobra, nic nie mów, nie pytam, żebyś odpowiadała, tylko tak... żeby wiedzieć, coś ty za jedna.

Kiedy babina skończyła, jej twarz ostatecznie upodobniła się do rzeźby w drewnie, z surowymi, ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi.

Głos nie pasował do ciała, ciało do twarzy.

Zamiast odpowiedzieć, usiadła na ławie, naprzeciwko gospodyni. Chyba jej się to spodobało; najpewniej babina uznała zuchwałość za oznakę stanowczości i okazała szacunek sile charakteru obcej kobiety.

- Chustę zrzucić, kurza stopa, zrzucić... Ugotujesz się w izbie. Wszy masz wiele?

- Wiele - zgodziła się tępo, rozwiązując węzeł pod brodą.

- Wszy naftą! No, dobra, kurza stopa, więcej już nie będę cię dręczyć pytaniami. Jeszcze zdążymy, nagadamy się, pokłócimy i pogodzimy. Tylko uważaj, żebyś mojego chłopaka nie krępowała - co prawda stara już jesteś, przez mole nadgryziona, ale w ślepiach jeszcze widać, że w starym piecu diabeł pali! Uch... *maże* plemię, katorga wam mać rodzona...

Babina umilkła. W jednej chwili, jakby jązatką. I zapatrzyła się na twoją głowę. Dziwna rzecz; na katordze przywykłaś, że nikt się o twoją głowę nie troska, a spojrzenie tej ciotuni jakby targnęło zagoną już raną. Lewą część głowy pokrywały kasztanowe, mocno już pozaciągane siwizną włosy, a prawą ogolono do gołej skóry ledwie przedwczoraj, przed apelem wieczornym i teraz skórę zdołała srebrzysta szczecina.

- No tak, kurza stopa - zabalgotala z przymusem babina i znów umilkła.-No tak.

Obrażać się nie było o co. Oduczyłaś się obrażania. Kniahini, tyś się zupełnie oduczyła obrażania! I nawet to obojętnie rzucone: „stara już jesteś...” nie za bardzo kolnęło pod serce. W sumie prawda. Kończysz czwarty dziesiątek lat, a jeżeli los ocenić rzutem kości, to ostatnie lata - za rok, dwa, trzy, pięć... jak tam komu wypadnie.

Nie do chłopaków jej już.

- A-a - znajomo zahuczało od drzwi, i prawie natychmiast potem ciężkim, głuchym rykiem:

- Bożatuniu! Wóz gotowy, każ do kupca Jermołaja iść po kobyłę i zaprzęgać! A może sam mam na kupieckie podwórze go zaciągnąć?

Spocony drażał wycierał czoło łapą niby bochen, i posapując, lypał na twoją zadziwiającą głowę, podzieloną przez cyrulika nadzorcę na dwie nierówne części.

Chłopak nie wiedział, co powiedzieć.

- Bożatuniu! To jak?

Bożatunia? Nie znała tego słowa. Wewnątrz zawirował znajomy węgielek, sygnął kłującymi iskierkami; w mózgu wszystko zasnuło się dymem i ciężkim kopciem, a gdy wiatr, który nie wiedzieć skąd nadleciał, rozwiął mgłę, sens obcego, nieznanego słowa natychmiast pojawił się w jej świadomości tak wyraźnie, że była pewna, iż nie mogło być pomyłki.

Bożata, Bożatunia - matka chrzestna. Żyła sobie kiedyś sierotka Sandrilon, która miała złą macochę, a oprócz tego dobrą chrzestną

matkę - wróżkę. Tak byłoby, gdyby sierotkę zesłać do Kęs-Precla ale najpierw nauczyć po miejscowemu - albo lepiej nie zsyłać, tylko od razu się tu urodzić.

Uśmiechnęłaś się krzywo, bo czułaś ból w splekanych wargach.

Ej, sierotko-Sandrilon, złodziejko wykorzystująca ludzkie zaufanie, lepiej by ci było się tu nie rodzić. Żaba drwiąco kokosiła się w piersi, podskakiwała, dawała o sobie znać nierównym stukaniem serca, przenikliwą igłą w skroniach, młoteczkami tłukącymi w potylicę. Obcego słowa tak po prostu sobie nie przyswoisz, ale tu, w samotności, tyle ci tylko zostało, że możesz się wstrzymać: - Prrrr... nazaaaaad! Spłoniesz, idiotko! Nie leć prosto w przepaść, poczekaj!

Ale gdy wszystko ci spowszednieje i to tak, że kłębek w krtani i klucie w brzuchu - uznawać będziesz za szczęście, wtedy rozpuszczaj konie! Wszystkie słowa - twoje, wszyscy chłopcy - twoi, wszystkie wieloznaczne spojrzenia - twoje... i wszystkie miejscowe cmentarze-także twoje!

Tak, Raszko?

Pora pomodlić się do świętej Marty, orędowniczki całego złodziejskiego plemienia, o śmierć cichą i bezgłośną- ale czy usłyszy?

- Torbę z łachami zaciągnij do komory z sianem. Tam będziesz żyć, kurza stopa.

Kiwnęłaś, pilnie bacząc, by się znów nie rozkaszać.

Nie udało się.

### *Notatki na marginesie*

*Jeżeli uważnie spojrzeć w oczy wdowy Sochaczycy, to można w nich zobaczyć:*

*...luty*

*Suchy gaj sosnowy, gdzie na wszystkie strony sterczą sęczki. Macha kosmatymi łapami; straszy. Na ścieżce, którą ledwo widać w gęstym półmroku, zmierzwiły się w grube grudy igliwie i piasek; pokryte szronem osikowe liście trzeszczą z tęsknoty, skarżąc się na chłód. Śniegu mało, tylko gdzieś tam kręci siwym ognem.*

*Gdzieś tam, daleko, łos uderza rogiem w suchy konar.*

*I tak - zawsze.*

MM

- Czemuż wy zimą, zamiast na saniach, wozem się rozbijacie?  
-jakby sobie coś przypomniawszy, nagle zapytała kobieta siedząca na ławie, zanim jeszcze zdążyła odetchnąć i pochylić się ku swojej torbie.

- Przecież wóz jest kupiecki - zamiast babiny odpowiedział chłopak, starannie unikając wzroku pytającej. - Trzeba rozkręcić naprawione koło. A ja, tego... i sam powlokę, bez kobyły.

I wyszedł z izby.

### III.

## DRUC-KONIARZ ALBO OCHLAPUJ KUDŁATY, ALE ŻEBRA PODWÓJNE

*Czatuje za węglem zagród, skrycie zabija niewinnego;  
Oczy jego wypatrują nieszczęśnika*

*Księga Psalmów, Psalm JO*

Niska, jakby wciśnięta w ziemię gigantycznym butem izba niechętnie wyłaniała się z wrzecion zawieruchy. Śniegu nawiało sporo, gromadził się w zasy pod najbardziej mętными oknami i tylko pod gankiem (a co to zresztą za ganek, para mizernych stopni!) oczyszczono nierówne podejście. Wiatr zrywał z poczeriałego, od stu lat chyba nieczyszczonego komina poszarpane kłęby dymu i pospiesznie unosił precz, by rozwiać je w gęstwinie śnieżnej mgły i odebrać ludziom kolejną odrobinę ciepła.

Izbę postawiono niezbyt umiejętnie; o ile u innych do ulicy przylegał płot z wrotami, a samą chatę stawiano wewnątrz dziedzińca, to u Łukawków ich rozwalina wypinała się wprost na ulicę, niczym wielki palec ściśniętej w figę pięści, a dziedziniec leżał z tyłu. Jak to się mówi, wszystko inaczej niż u ludzi!

Z tyłu biegło, przekrzykując się, już tylko paru chłopaków - pozostali zrezygnowali wcześniej. Niech idzie sobie warnak-katorżnik - nie ma się na co gapić. Wszyscy wiedzą, dokąd idzie... jeszcze się napatrzymy...

Okazało się, że drzwi nie są zamknięte, choć solidnie przysypał je śnieg. Kiedy pchnąłeś je tak samo jak one zdrewniała od mrozu pięścią, poddały się niechętnie. Żeby wejść, trzeba było się pochylić; w zeszywniałych plecach coś podejrzanie chrupnęło.

- Bądźcie zdrowi, gospodarze! Oto jestem... przydzielili mnie do was.

Spojrzenia. Ze wszystkich stron, z kątów, z pawlaczy, z pieca. Dzieci. Jedno mniejsze od drugiego. Ile ich tutaj jest? Trudno policzyć. No, dobra, jeszcze zdąży.

Za długim, ciągnącym się niemal przez całą izbę stołem z ciemnych desek, siedzą dwie osoby. Niezbyt stara, ale już silnie sterana życiem baba otulona w wyświechtaną wełnianą suknię patrzy wy-czekująco. Jakby chciała zapytać: I cóż powiesz, włóczęgo? Ciekawość. Niezbyt wielka, nawet dla niej samej zdumiewająca.

Obok chłop. Gospodarz. Piegowaty, w wytartej płóciennej koszuli z oderwanym kołnierzem i kusej kacabajce. Drapie się po nikłej bródce i szczyrzy zęby w szczyrbatym uśmiechu:

- I ty witaj, brachu! Zesłaniec?

- Zesłaniec - kiwasz głową, zdejmując z głowy czapę.

- Ajakieżwą?

- Zwąmnie Dufunia. DufuniaDruc.

- Jaaaak?

Biedaczyna, niemal się śliną zatchnęła. A baba-nic, przełknęła.

Baby są twardsze.

- Zwą mnie Dufunia. A z nazwiska - Druc.

- Dufunia... to co po waszemu? Znaczy po warnacku?

- Po prostu takie imię. Od urodzenia - wzruszasz ramionami.

W plecach znów coś trzasnęło. Krótki ból. Puściło.

- Ale cię ochrzčili! - gospodarz kiwa głową ze współczuciem.

- Dufunia! Nie, lepiej będę ci mówił Druc.

- Mów. - Rzeczywiście jest ci wszystko jedno.

- Ja jestem Filat. Siadaj za stół, stukniemy się na początek znajomości...

- Ja ci się tu zaraz „stuknę”, wałachu siwy, lejcami po karku!

- znacząco oznajmiła milcząca do tej pory żona Filata. - Ty tylko o tym, żeby pałę od rana zalać, głąbie jeden!

Po sprawiedliwości, to rano dawno się już skończył i mglisty dzień dotarł już do półmetka. Na głos tegoś nie powiedział - nie ma co od progu klócić się z gospodynią!

- Ty co, Pałażka, zgłupiałaś? Idzie chłop z mrozu, trzeba go rozgrzać!

- Niech się herbatą rozgrzewa! - odcięła się Pałażka. - Herbatę ma? Bo inaczej się nie napijem... - zapytała, zwracając się bezpośrednio do zesłańca.

- Ma - twoja niezbyt posłuszna, zeszywniała twarz ułożyła się nie bez trudu w szelmowski uśmiezek. - Herbatę ma, słoninę ma i suchary... a nawet cukru funt - żarcie wydali na dwa tygodnie z góry.

Zsunąłś torbę z ramienia i zacząłś rozwiązywać rzemienie. Ręce nie bardzo chciały cię słuchać, Doskonale wiedziałś, że to nie tylko od mrozu. A dalej będzie jeszcze gorzej... Dalej zawsze będzie gorzej i nigdy lepiej.

Nigdy.

- No masz, durna babo, a ty wódki mu załujesz! - zgnił żonę Fiłat, patrząc łakomie na zesłańca, który wykladał na stół zawartość torby. - No, Pelagio, opamiętaj się, co ty...

- No, dobra. Jemu należy, ale sobie - tylko trochę, na dnie! Nie tyś z mrozu przy laź!

- Aleś się rozgadała... Dawaj kaszę, obiad zjemy. Och, życie, życie nasze przekłete...

„W sedno chłop trafił” - pomyślałś, rozpinając guziki kapoty.

MM

Siwucha sparzyła gardło i gorącą falą chlusnęła w żołądek. W oczach aż załzawiło. Oj, odwykłeś ty od trunków, Drucu-Koniarzu, Walecie Winny, w ciągu pięciu lat katongi odwykłeś niemal całkowicie. A dawniej, bywało...

Zapomnij, *more*^

Zapomnij, co było dawniej; zapomnij nawet to przekłete słowo „dawniej”! Przeszłość to odcięty, odrzucony strzępek, od tej chwili będziesz gnął tutaj, na zesłaniu, dopóki kopyt nie wyciągniesz - a czekać na to nie przyjdzie chyba zbyt długo.

\* *More* - krewniak, współplemieniec; w pewnym sensie - ziomek (rom.)

Nabrzmiałe palce dopiero za trzecim razem zdołały chwycić kęs słoniny - i wrzucić w usta. Zagryzłeś.

-Nic, brachu, zaraz odpuści! Dawaj, pojedzcie jednym!

-Co ja mówiłam, ochlapusie kudłaty? Co mówiłam, bałwanie?!

- Dobra, dobra... popatrz, co za wiedźma! Nagrodził mnie Bożyczek.

Tuż obok zaciekle stuknęła drewnianymi łyżkami cała rodzina Łukawków. Siorbali, dławili się i co chwila łypali na zesłańca pełnymi ciekawości oczkami.

- A gdzie się Akulka zapodziała?

- Zgłodnieje, to sama się znajdzie!

Skrzypnęły drzwi. Pelagia odwróciła się ku marnotrawnej córce, a Filat, skorzystawszy z chwili nieuwagi małżonki, błyskawicznie chlupnął do obu szklanek mętnego trunku z ćwiartki, zatkanej zwitkiem pakuł. Niczym stary spiskowiec mrugnął porozumiewawczo i wyszczerzył zęby w znaczącym uśmiechu. W odpowiedzi i ty mrugnąłeś - i ledwo zdążyłeś wstrzymać znajomą falę, która już zaczęła się podnosić z głębi - z brzucha ku sercu.

Kiepsko stoją twoje sprawy, Drucu-Koniarzu. A przecież podczas minionych pięciu lat, kochasiu, silwański Romie, nie nauczyłeś się żyć otwarcie, bez sztuczek i numerów. I wiesz, że większy numer to w twojej sytuacji pewna śmierć. Po kawałeczku; raz, drugi, trzeci - i spłoniesz. Straszna śmiercią umrzesz, aż strach pomyśleć. Ot i teraz niewiele brakło, a samo by wypłynęło - oszukać wredną babę...

Druga szklanka trunku uderzyła do głowy. Po całym cieple rozplynęło się przyjemne ciepło, sztywnym palcom wróciła odrobina dawnej gibkości. Przynajmniej udało się lekko ująć łyżkę i zaczerpnąć sinawej, ostygłej owsianki z pływającymi w niej włóknami ryby.

Akulka - ta sama piegowata dziewczyna, która polazła za Kniahiną-wysłuchawszy matczynych wymówek, usiadła za stołem. Natychmiast potem trzasnęła łyżką w łeb jednego z braciszków, który próbując szczęścia, chciał jej podwędzić suchar - i zaczęła pochłaniać kaszę, dławiąc się z pośpiechu i popatrując jednocześnie na Druca wilgotnymi, ptasimi oczami.

Gospodyni tymczasem podejrzliwie łypnęła spod oka na męża i zesłańca. Ale resztki siwuchy dawno już ze szklanek wyparowały. Pelagia westchnęła, machnęła bezsilnie ręką i ponownie przysiadła na ławie.

- Ty, brachu - Fiłat jakoś wesoło targnął kątem ust - drewnarabac pomożesz? Po tym, jak się nazremy?

- Pomogę.

- No to i dobrze.

Znalazłszy się w szopie na drewno, Fiłat wetknął w stos bierwion topór, szczerbaty jak jego uśmiech, i drwiąco zachichotał. A potem spod poły narzuconego na koszulę garbowanego kozuszka wyciągnął znajomą butelczynę.

Kiedy to ją schował, siostrunię kochaną? Przecież w chłopinie ducha na półtora altyna\*, nie więcej!

- My co prawda w aresztanckich rotach nieszkoleni, ale też co nieco umiem! - wyszczerzył zęby gospodarz. - Sucharków również podłapałem i słoninki kęsek... No co, brachu, za koniec twojej katorgi, za życie nowe i wolne!

„Akurat, wolne! Wolności masz aż nadto. Chodź sobie, gdzie chcesz, w kółko, jak daleko sięgnie łańcuch!”

Z naczyń w szopie Fiłata, który potrafił być niezwykle zapobiegliwy we wszystkim, co się tyczyło wypitki, znalazła się para kubków z zeschniętej już brzozonej kory. Wypili i wgryźli się w chrupiące suchary. W szopie było zimno - znacznie bardziej niż w izbie; w szczeliny pomiędzy deskami dał kłujący wiatr, który świszcząc po kątach, nanosił smużki śnieżnego pyłu.

- Pomacham toporem. Rozgrzeję się. No i niech twoja usłyszysz, że pracujemy!

- Pomachaj, pomachaj! - zgodził się ochoczo gospodarz.

Z początku topór omal ci nie wyfrunął z rąk - nadgarstki odezwały się kiepskim, szklanym chrupnięciem - aż Fiłat odskoczył mocno przestraszony:

- Co się wygłupiasz, brachu?! Zatluczesz mnie jeszcze, warnakujeden!

Nie odpowiedział, tylko mocniej ujął stylisko topora. Wkrótce wszystko się uładziło. Gdy wreszcie na czole wystąpiły ci krople potu, w kącie szopy leżał już porządny stosik świeżo narąbanych drewn. Fiłat tymczasem zdążył zaordynować sobie kolejny kubek si-

\* *Altyn* - dawna rosyjska moneta trzykopiczkowa.



wuchy - poczerwieniał na gębie nie mniej niż ty sam, choć nawet palcem nie tknął topora.

„Pod celą za taki sztos zaraz by ci limo podzelowali” - pomyślałeś obojętnie. I sam się skrzywiłeś. Mówić kminą nie sztuka, jeżeli jesteś z błatnej braci, w obozach bez tego ani rusz. Ale myśleć... myśleć trzeba inaczej. Zupełnie inaczej. W przeciwnym wypadku natychmiast cię gdzieś przyłapią. Pora od tego odwyknąć. Ty, *more*, jesteś teraz uczciwym zesłańcem, a nie zgniłym katorżnikiem, jeszcze rok, dwa, a przeniosą cię w szeregi chłopstwa; wokół ludzie wolni, mówią inaczej niż pod celą. Co prawda, odwykniesz czy nie, i tak wszystko jedno: rok, dwa - i zamiast zostać porządnym kmiotkiem, znowu podpadniesz.

-Zgrzałeś się, co? No to chlust, jeszcze po jednym! Ech, życie nasze zmarnowane...

Po jednym, to po jednym. Za życie zmarnowane.

- A za co cię zesłali, brachu?

Nie za bardzo chciało ci się mówić - opowiadać o czymś takim, to jak ogień ręką łapać! - ale Filat nie zamierzał zrezygnować. Okazało się, że i głowę ma odporną; innego dawno by już z nóg zważyło, a ten - tylko się lekko zarumienił i język mu się zaczął plątać.

- Konia uprowadziłem - odpowiedziałeś niechętnie.

- A, toś ty koński złodziej! - nie wiadomo z czego ucieszył się gospodarz.

- Koniarz - poprawiłeś, odwracając głowę, ale Filat nie zwrócił na to uwagi.

- A u mnie pusto, konia nie masz! - powód radości gospodarza szybko się wyjaśnił. - Gdybyś się na przykład draniem duszogubcem okazał albo wykrcił jakiś numer...

- Gdzie żyjesz, nie kradniesz - wycedziłeś przez zaciśnięte zęby.

Filat zamknął na jakiś czas gębę - starał się przetrwać to, co usłyszał. We łbie już porządnie szumiało, ale nareszcie przestał boleć grzbiet i ręce niemal odzyskały dawną sprawność. Oczywiście, długo to nie potrwa, me matem, me matem, romałe, le li, da dewłale... oj, podchmieliłem sobie, podchmieliłem - aj, Boże mój!

W milczeniu rozlałeś do kubków resztki siwuchy.

- Ale brachu, jakże to? Przecież jak złapią złodzieja koni, to władzom go nie wydają... Sami zatłuką, na miejscu.

-I mnie chcieli zatłuc - ale nie zatłukli. Ale mojego kompana... wypij, Filat, za pokój jego duszy.

- Czemużby nie wypić, brachu! Za zdrowie albo za pokój duszy! Zawsze gotów. Ech, matunia, dobra! A prawdę gadają, jakoby końskie złodzieje mieli podwójne żebra, których od razu nie połamiesz?

- Prawda.

-Ale kręcisz, brachu! Nie ma człowiek podwójnych zeber. Cięgiem kręcisz, piaskiem w oczy sypiesz; nigdy złodziejów koni na katorgę nie gnali, chyba, że się taki magiem urodził... a, no tak, to właśnie ty... Jeszcze po kielonku? Na konto Sochaczycy, co?

### *Notatki na marginesie*

*Jeżeli uważnie, do bólu pod powiekami zjrzeć w oczy Filata Łukawki, to można w nich zobaczyć:*

*...czerwiec.*

*W plamistym cieniu leszczynowego zagajnika szaleje dwulatek Łajka. Straszy ptaki, podnosi wesole kłęby pyłu; wali łapą żuka jelonka i natychmiast odskakuje z udanym strachem. Po pniach drzew, nie zwracając uwagi na psa, ciągną szeregami mrówki; drobne i ponure. Słońce tnie z góry ukośnymi pękami światła; pachnie pomietą trawą.*

*Potem pies przysiada i długo wyje, jakby nad nieboszczykiem.*

*Więcej — nic.*

Pośrodku nocy budzi cię uporczywe postukiwanie w drzwi i pijackie głosy, dolatujące z zewnątrz. Gospodarzowi najwyraźniej nie chce się wstawać, ty zaś, sam nie wiedząc po co, połazłeś do sieni, ku drzwiom i odsunąłeś rygiel. I ledwo zdążyłeś odskoczyć w bok; tuż przed twoim nosem o ścianę głucho rąbnęło sękatę polano.

Stojący na dworze radośnie zarżeli.

- No co, Łukawka, nie powitasz gości?

- Mifka, przetrzyj ślepie! Toć to warnak zesłaniec! Na Piłata mógłbyś stukać, aż łapa by ci odpadła!

- Ych - ponuro i z rozczarowaniem w głosie. - I wał z nim! Nikogo nie ciekawiło, czy polano trafiło w łeb „warnaka zesłańca” czy nie.

- Głupiś, brachu! - rozległ się zaspany głos z pieca. - Nie pchaj się na drugi raz! Może i zebra masz podwójne, ale łeb przecie nie z żelaza! Rozwałą ci go. U nas już tacy ludzie, lubią pożartować.

„A przecież nie spał, dziadyga! - pomyślałeś, układając się ponownie na ławie. - Mógłby uprzedzić, żeby nie otwierać. No, chyba że sam to lubi. Pożartować. Być może nawet w obozie życie wyżej cenianiz ci tu... leśni”.

#### IV. RAZKA-KNIAHINI

##### ALBO ECH, LEJNE MOJE CUDO

*Znoju śmiertelników nie znają  
I nie spadają na nich ciosy*

*Księga Psalmów, Psalm 73*

A w nocy - pamiętasz, Kniahini - nawiedził cię koszmar.  
Stary i dobrze znany.

Dziesiątki, setki świeczników, kandelabrow i żyrandoli z kutego, starego srebra - wszędzie rozkosznie topi się delikatny воск, spływający z przedśmiertnym skwierczeniem knotów, oddający się płomieniom zapamiętałe i bez nadziei.

Z otwartej górnej galeryjki zanoszą się płaczem oboje, obleśnie pojękuje fagot, opierając się o mroczne ramię kontrabasu kwilą skrzypce, jakby chciały odkupić wszystkie grzechy tego świata - walc monsieur Auguste'a Bernouilli'ego, ostatniego władcy dusz, wirują głowy i ciała... raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy... i nieważne, że walc dopiero niedawno stracił tytuł tańca rozpustników, zupełnie nieważne, bo skrzypki i obój, i szelest jedwabiu - sz-sz-sz-sz...

Obok - książ Chotinski, świetny huzar. Mentyk zarzucony na jedno ramię, niebieskie epolety, dolman lśni złotymi nićmi; a nad tym wszystkim, jasny lok, zawinięty szczypcami z ręcznego fryzjera, zguba prowincjonalnych panien. Coś mówi, ten chwacki piękniś i pojedynkowiec, znany w całym henningskim księstewku i dalej, poza jego granicami, mówi, ale teraz już nie słyszysz jego słów.

-Miła Elzo...

I nic więcej.

Tylko skrzypce, oboje i zawierucha szalonego walca.

Nie płacz, Raszka, nie płacz moja Kniahini, nie trzeba płakać nawet we śnie.

Czujesz przecież: otóż i ona, twoja współpracownica, Helena Zapolska, Lenka Fert, twoja Dzwonkowa Dziewiątka - obok tego młodego obiboka w nieskazitelnie skrojonym fraku. Jest tu i nadal jeszcze więź was zatwierdzona krwią umowa, będzie zresztą was wiązała... nie, nie po wiek wieków, nie zdarza się tak pomiędzy ludźmi, ale do końca terminu - nie jest daleki, ale jeszcze trwa, i Moc śmieje się w tobie cichym odgłosem padających wiosennych kropli.

Ej, huzarzy i dragoni, prześwieczeni panowie, wasze wysokości, wszyscy tu obecni - patrzcie na mnie i na nią, na dzwonkowe pięknotki! Co widzicie?! Co wy o nas wiecie?! Zobaczycie to, co zechcę! Dowiedzie się tego, co mi strzeli do główki, uznacie szarego mola za jaskrawo upierzonego pawia, zakochacie się bez pamięci, zapomnicie bez żalu - a gdy jutro ktoś was zapyta: „Z kim tańczyłeś, kawalerze?” -nie zdołacie sobie przypomnieć.

I ze zdziwieniem wrzuszycie ramionami:

- Ja? Z nią? Raczycie żartować, szlachetny panie!

A chcecie - to zmuszę świece, by zapłonęły purpurą zmierzchu nad rzeką?

Chcecie, to rozumu was pozbawię? Zmuszę, byście wszyscy zawyli falsetami?!

Chcecie?!

„Chcę...” - ledwo słyszalnie chichocze koszmar, stając się koszmarem.

Mróz. Okrutny, lutowy mróz obozowego baraku. Przez całą salę, cały w migotliwych lśnieniach, prowadzony szeptami idzie on: podpułkownik Gandieri, łowca, który dopadł zdobywcy. Idzie niespiesznie i cała twoja siła, zdziesięciokrotniona obecnością odzianej w suknię barwy słoniowej kości Lenki Fert, odbija się od widmowej zbroi „Barbarzyńcy”, żandarma ze śledczego korpusu J. I. W. przy Wydziale Trzecim.

Pusto.

Zimno.

Nikt nie będzie wyl falsetem.

Gasną świece w twoich oczach, głupia Raszko, a „Orłów”, przeświatny brylant gospodyni domu, która wydała ten bal, zostanie przy dawnych właścicielach.

Nie udało się.

- Tańczy pani, miła baronowo? - pyta żandarm z ukłonem.

Cisza. Gdzie skrzypki? Fagot? Gdzie obój?

- Tańczy pani? A może po prostu zachwyca się pani mistrzostwem maestro Bernouilli'ego? Albo kradnie pani męskie serca?

- Obyś skapiał, faraonie - odpowiadasz, czując już plecami szorstką pieczętowaną desek więziennej pryczy.

Pan podpułkownik wybucha śmiechem i nagle puszcza się w tany, wykrzykując dziwnym, łamiącym się z przepicia barytonem:

- Ech, babo-dziwo!

Leśne moje cudo,

Kosookie, krzywookie.

O kosmatych udach!

Pusto.

Zimno.

Oj, mamo, matuniu, jak zimno... Nie płacz, Kniahini, nie trzeba.

Gdzie ludzie? Gdzie walc?

- Ech, po lodzie się przejadę

I sam sobie biedę znajdę!

Krzyk zamyka ci gardło niczym knebel i ratuje cię atak duszności.

Usiadłaś na tapczanie; i odetchnęłaś z trudem.

Serce tańczyło - nie walca, a wściekłego jiga, który odbijał się w skroniach łomotem pulsu.

- Sochaczycho, wiedźmo stara! Daj choć pół miarki wódki!  
- rozległ się na zewnątrz (na podwórku? za płotem?) znajomy baryton.

Zwodniczo podobny do głosu podpułkownika; poczułaś wstyd z powodu niewczesnej radości - to był tylko sen, senna mara, w promieniu setek wiorst nie ma niezmożonego żandarma Gandieri.

Stłumiony tupot butów, klekocze rygiel okiennej zasuw.

- Noc na dworze, kurza stopa! Obyście poprzepadali, szkarady.  
To bas ciotki Sochaczychy. Widać, pędzi spirytus zbożowy, to  
i przychodzą do niej.

- Daj wódki, starucho! Dusza płonie! Jutro się porachujemy  
- baranicę za szklanicę, kukielkę za butelkę!

I chichot tuzina zdrowych krtani.

- Fiedoniuszka! Weź kolek, przegoń natrętów! Fied'ka, słyszysz?  
Chichot się nasila, ale już dźwięczą w nim nutki zwątpienia.

Śmiać się czy bić? Odejść? Jakże to, bez wódki?

- Fiedoniuuuuszką! - ponurym głosem przedrzeźnia babinę  
niewidoczny prowodyr. - Sochaczycho jedna, czemu ty swojego byka  
na uczciwych ludzi napuszczasz?! Lepiej byś tę zesłaną do ludzi za  
kłaki wywlókła. Mówią, chuda, wygolona, dawno nie chędożona!  
Dawaj, myją wychędożym!

Narzucałaś na plecy postrzępioną sukienczynę.

Zagryzałaś wargi, krzywiąc się z bólu.

Ból pomógł.

Ponieważ niewiele brakło - oszalałaś, Raszka?! - a byłabyś pod-  
sumowała swe głupie życie. A przecież jakie to byłoby piękne: wyjść  
bez słowa na ganek i wywalić w nich to, co jej zostało. Tak, żeby  
popelzli ku niej na czworakach, ryjąc kolanami w zamrażniętej ziemi,  
żeby zawyli niczym ogłupiałe psy, z trwogą gapiąc się na błądy księ-  
życ; żeby ze wszystkich stron obstały ich cienie, ukazując się im  
tym wszystkim, czego kęsprecelczanie bali sięjeszcze, gdy po okoli-  
cy biegali z gołymi dupinami, kiedy strachy mieszkwały pod każdą  
ławą... żeby całowali nogi - co tam nogi, żeby lizali ślady jej bosych  
stóp na śniegu! - błagając o litość i nie mogąc wykrztusić słowa  
z wykrzywionych trwogą warg.

Ach, jakie byłoby piękne!

Ale potem-śmierć.

Dlatego, że sama.

Dlatego, że dawno.

Dlatego, że mag wedle Prawa, a Prawo jest bezlitosne.

Dlatego że... gruchnęło tuż obok, w sieni; i skrzypnęły drzwi:

-Bracia! Narodzie chrześcijański! Leszak wyskoczył!

- Bij stracha!

-Kółkami go!

I znajome, ciche, ale nie wiedzieć czemu lepiej słyszalne, od  
tamtych wrzasków:

-A-a...

Chrupnęło.

Sążniste przekleństwa.

Tępe odgłosy uderzeń.

-Kreń! Kreniuszka! Braciszkanie, dziki Krenia bykiem załatwił!

- Ach ty!

- W nogi!

I wtedy, przy tupocie licznych nóg, przy poświstywaniu śnieżycy, pod oddalające się wrzaski i szczekanie psów zasnęłaś - bardziej słodko niż przy matczynej kołysance.

Żeby się ocknąć po kilku sekundach - tak przynajmniej ci się zdawało.

Cisza.

Bezgłówna cisza; gdzieś tylko na samym skraju wsi poszczekuje jakiś głupi pies, i słychać chrzęst, z jakim bezręki rysownik, dziadek Mróz, kreśli na szybach nowe wzory.

Okropnie chciało ci się wyjść na dwór za potrzebą.

Niechętnie porzucając nagrzaną barłóg, w który przekształciła się prycza, obficie przykryta wszelkiego rodzaju szmatami, wyszłaś do przedsiionka. Poprawiłaś armiak na grzbiecie i mocniej się weń wtuliłaś. Z pieca niesło się chrapanie - to Sochaczycza. Wyciąga z głębi gardzieli, pogwizduje przez nos, chrząka rytmicznie o ton niżej - walc monsieur Auguste'a Bernouilli'ego, raz-dwa-trzy, skrzypki, obój i szelest, szmer jedwabiu - sz-sz-sz...

Chłopak spał cicho, o ile w ogóle nie polazł w mrok i ciemność.

Drzwi, ganek; lodowata poręcz parzy w dłoń mimowolną pieszczotą- chrzęszczą pod łapciami grudy zamrożonego śniegu, chłód wciska się pod baranicę, z nieba, rozgoniwszy stado tłustych chmur, ciekawie gapią się w dół wielkie, niemal takie jak na południu gwiazdy.

A oto i wychodek.

Niczym drewniana trumna, ustawiona pionowo przez jakiegoś żartownisia.

I wycięcie w drzwiach w kształcie dzwonkowego asa.

Dalej, Damo Dzwonkowa, nie krępuj się -jak to mówią, wszystko zostanie w rodzinie.

Podebrawszy poły armiaka i skuliwszy się nad otworem, znów ponownie zapragnęłaś umrzeć. Znałaś już to uczucie - przyzwyczałaś się do niego podczas minionych kilku lat, tak samo jak nauczyłaś

się przeganiać podobne myśli, choćby tam, w dół, przez ten otwór, gdzie powinny siedzieć i nie wylazić na świat boży. Odgiąć się - oto słowo, którym najlepiej można nazwać proces uwalniania się od samobójczych myśli, zresztą do wszystkiego innego pasuje też niezgorzej.

Wyjść. Wyjść stąd jak najszybciej.

Pod niebo.

Nie chciałaś od razu wracać do izdebki, w której królował zapach pleśni i dymu, więc ryzykując odmrożenie, stanęłaś pod gwiazdnym sądem przysięgłych. Stałaś, oddychałaś pełną piersią, po raz pierwszy od... no, od dawna, od bardzo dawna, a ponowna okazja nieprędko się zdarzy.

Czemu stękasz. Raszka? Czemu, Kniahini? A może to nie ty stękasz?

Płot - ośnieżony, z odpadającymi płatami farby.

Wrota.

Zamknięte na rygiel. Stękają tam, zawrotami.

Ośmieliłaś się wyjść nie od razu. Skrzypnęła zasuwą rygla, zgrzytneły zawiasy. Na wprost wrót, w odległości dwu kroków od nosków twoich walonek, leżał trup. W wilczej półszubce i eleganckich, wysmarowanych dziegciem butach. Czapka leżała nieco z boku, na poły ukryta w śniegu.

Zamiast lewej połowy twarzy trup miał krwawą miazgę. Z siną opuchlizną w miejscu byłego oka.

- F-fe - odezwał się trup, okropnie wykrzywając nabrzmiałe wargi.

Natychmiast ci się przypomniało; Lenka Fert lubiła tak samo - wyduć wargę i nie patrząc w stronę kawalera, który dopuścił się nietaktu, powiedzieć kapryśne: „F-fe...”

Kawalerzy zwykle natychmiast zaczynali się zwijać w przeprosinach..

- F-Fed'ka... s—siła nieczysta...

Milczałaś.

- Za co? - niespodziewanie głośno i wyraźnie zapytał cię trup.

- Za co?

Wzruszyłaś ramionami.

Odwróciłaś się i wróciłaś do domu, nie zapomniawszy starannie zamknąć za sobą bramy.



### Notatki na marginesie

*Jeżeli uważnie zajrzeć pobitemu człowiekowi w ocalale oko,  
to można zobaczyć:*

*...Staw.*

*Niebezpiecznie popękana na brzegach, cienka lodowa pokrywa. Czarna, gęsta woda przypominająca bardziej smołę; nad nią kłębią się opary, które siwymi pasmami snują się po bokach. Od brzegu dolatują krzyki; słabe, ledwo słyszalne. W stawie niespodziewanie nagle coś bulgocze i na powierzchnię wypływa spory bąbel powietrza - po to tylko, żeby natychmiast pęknąć.*

*Na wszystkie strony rozpełzają się kręgi, jakby od ciśniętego w wodę kamienia.*

*Krzyki cichną.*

Kiedy Rachel rankiem znów wyszła na ulicę, nikogo przed bramą nie było.

## V. DRUC-KONIAZ

### ALBO DROGA NA WIELKIE BOR/UKI

*Ale ja jestem robakiem, nie człowiekiem,  
Hańbą ludzi i wzgardą pospólstwa,  
Wszyscy, którzy mnie widzą, szydzą ze mnie...*

*Księga Psalmów, Psalm 22*

Transport ostatkiem sił brnął po zakurzonej drodze. Transport? Ależ nie, jaki tam transport, teraz katorżników pędzili na porębę -jedna rzecz była dziwna: skąd takie zmęczenie? Przecież jeszcze się do roboty nie zabrali. Trzymałeś się ostatkiem sił, tłumiliś w zarodku unoszące się z samego dna fale wściekłego gniewu: ach, jak dobrze

byłoby jednym ruchem zrzucić obmierzłe, znenawidzone kajdany! Rozmazać o najbliższą sosnę smarkatego konwojenta, który przed chwilą kopnął cię po raz dwudziesty, ot tak, z nudów! - i skoczyć w las. Siły by wystarczyło i na okowy, i na rozmazanie. I nawet na skok. Może potem jeszcze żeby przeżyć cały dzień. Powiedzmy, dwa. Choć dwa, to już wątpliwe. Wiedziałeś, pamiętałeś, zgrzytałeś zębami, które ci jeszcze zostały - ale mimo wszystko nie wytrzymałeś. Poczuleś się tym drugim. Dawnym? A może takim, jakim sam siebie widziałeś? Zwyczajnie młodym i głupim -jak przed dwudziestu laty?

Przestałeś tłumić wzbierającą w tobie falę.

Pozwoliłeś jej wytrysnąć na zewnątrz, wylać się całkowicie, na oka mgnienie napęlić głowę upajającym wirum poczucia swobody i wszechmocy.

Głucho stękają kajdany, spadające z nóg przerdzewiałymi kęsami resztek metalu, rozpaczliwie wrzeszczy konwojent, dławiąc się w uścisku zwiniętej wokół szyi lufy własnego karabinu. A ty już biegniesz, a inni konwojenci nie nadążają, ponieważ katorżnicy, udający teraz tępe stado baranów, stłoczyli się na ich drodze - a zbawczy las, gotów dać ci schronienie jest tuż, o krok...

Ziemia boleśnie uderza cię w twarz.

Wstać! Natychmiast, prędej! Po prostu potknąłeś się przypadkowo!

Nie oszukuj się. Tacy jak ty „przypadkowo” się nie potykają.

- Wstać!

- Wstawaj, brachu!

-Ej ty,jakciętam...Druc! Ześlaniec! Wstawaj, maże nasienie, z interesem ktoś do ciebie!

Niski, okopcony sufit. Zasłania go piegowata morda Filata, który nachylony nad nim dyszy mu w twarz kwaśnym smrodem niestrawionego do końca alkoholu.

- Co, jeszcze się nie ocknąłeś po wczorajszym? - marszczy się gęba. - Wstawaj, wstawaj! Nasz kupiec, Jermołaj Prokoficz, morda jego... pyta o ciebie. Świnia z niego straszna, i krwio pijca!

Ostatnie zdanie Filat wygłasza świszczącym szeptem, nie zapomniawszy przedtem bojaźliwie się obejrzeć -jakby się z nim dzielił wielką i straszną tajemnicą.

Sen. To tylko sen.

Ale jakże podobny do jawy.

\*\*\*

Jak zwykle rankami, ciało nie bardzo miało ochotę na okazywanie posłuszeństwa. Trzeszczało i rwało w zbolałych plecach, ręce bolały, jakby znający swój fach oprawca ciągnął z nich żyły po jednej i każdy ruch odzywał się w stawach ostrym bólem. A głowę niemal rozrywał ci ból z przepicia. Odwykłeś od mocnych trunków, Walecie Winny, odwykłeś, *more*...

I chyba już nie zdążysz ponownie przywyknąć.

Ścisnąwszy zęby i starając się nie pojękiwać, doczłapałeś do sieni. Wetknąwszy nogi w łapcie, wywalileś się za próg, przymykając za sobą drzwi, żeby zimna do izby nie wpuszczać. Przede wszystkim wetknąłeś ogoloną w połowie głowę w najbliższą zaspę, prawie po samą szyję - na szczęście śnieg był lekki i sypki, widać napadało w nocy.

Odczekawszy chwilę, aż rozjaśniło ci się we łbie, a uszy zaczął szczypać palący mróz, wyprostowałeś się i przetarłeś twarz dłonią.

I dopiero wtedy spojrzaleś na gościa, który obserwował cię ciekawie od dłuższej chwili.

Gość siedział na brzeжку szerokich, rozłożystych sań, zaprzężonych w parę gniadych, niewysokich mierzynków (romscy koniarze nazywali takie z drwiną „tagdyńcami”). Odziany był dostatnio; miał na sobie długie, sięgające niemal do pięt futro, takąż futrzaną dochę, czapkę z futra rosomaka i nowe, jeszcze niewydeptane walonki.

Walonki - to słusznie. Po co kupcowi łaźić po mrozie w eleganckich trzewikach, nawet jeżeli bogactwo pozwala na buty z chromowej skóry. A unty - wygodniejsze dla myśliwych.

Żeby tobie ktoś parę takich walenek podarował...

Sam kupiec był dość szczupły, niestary i wcale nie przypominał tradycyjnego wizerunku „kupca-krwiopijcy”. Na dodatek okazało się, że Jermołaj Prokoficz oczy mruży bystro, uważnie - ale, choć mogłoby się to wydać dziwne, dość przyjaźnie.

Oko myśliwego, nie kupca.

Albo i złodzieja, co tu udawać.

-To ty, figo leśna, jesteś tym zesłańcem?

-Ja.

Wyszło raczej nie, ja" a „k-chaaaa”, ale Jermołaj Prokoficz zrozumiał.

- Wczoraj byłem w Wielkich Borsukach, widziałem się z urzędnikiem - kupiec natychmiast przeszedł do sprawy. - Ichnia srogość obiecał, że zatrzyma się tam jeszcze z dzionek lub dwa. Rozkazał, żebyście się u niego oboje stawili; zameldowali przybycie i odebrali należność w gotówce. Jak się pospieszycie, to was podwozę.

Nie bardzo chciało się wierzyć w kupiecką dobrą wolę i bezinteresowność.

- A tobie, co za korzyść - zesłańców podwozić na posterunek?

- Szybko myślisz! - kupiec uśmiechnął się w elegancko przystrzyżoną i starannie ułożoną w kędziory bródkę. - Filat gołodupiec jest mi winien trzy i pół rubla. A wam się należy żołąd od państwa na utrzymanie. Filatowi zaś należy się od ciebie za kwaterę? Należy się! A i tobie co przyjdzie w naszej głuszy z państwowych rubelków? Więc Filat odda mi z twoich pieniędzy. Inaczej doczekam się od niego zwrotu długu, jak rak świni! U niego w izbie, oprócz dzieciaków i myszy, niczego nie znajdziesz. To jak, jedziesz?

- Jadę.

- No to się zbieraj, tylko żywo. Ja tymczasem do Sochaczycy po twoją babę zajadę.

MM

Koniki szły rażno i mimo drwin z „tagdyńców” o kosmatych nogach, należycie ocenili ich wytrzymałość i odporność na trudy. Takie niewymagające przesadnej troski koniki doskonale się nadawały do tego zapomnianego, surowego dla ludzi i zwierząt kraju.

Powozili osobiście Jermolaj Prokoficz. A wy z Kniahiną, niczym jaśniepaństwo, rozłożyliście się z tyłu, zepchnąwszy na boki kupieckie toboły (widać, że prosto z manufaktury). Narzuciliście też na nogi wydobytą skądś przez kupca derką z wilczej skóry.

Chciałoby się tak jechać choćby i sto lat: sanie lekko suną po leśnej drodze, wokół niczym niezmacona, pierwotna wprost cisza - słychać tylko miarowe pojękiwanie dzwoneczków i stłumiony stuk końskich kopyt po ubitym śniegu; a po bokach niezbyt spiesznie odpływają w tył przykryte śnieżnymi czapami ciemne świerki. Czar smutnej, wszędzie wokół takiej samej, zamarzniętej przyrody i niespiesznej jazdy...

Ale niestety - sto lat nie wyszło.

Nie dojechali nawet do wsi, nazwanej zresztą nie po ludzku -Wielkie Borsuki.

- Na miejsce was nie dowiozę - uprzedził kupiec jeszcze w Kęs-Preclu. - Muszę dziś zdążyć do Zimoracza. Dojedziemy do rozwidlenia dróg, a to już połowa drogi. Tam pokażę wam ścieżkę - wyjdziecie nią na myśliwską chatkę, jeżeli zechcecie, możecie w niej odpocząć i napić się herbatki, a dalej do Wielkich Borsuków już nie ścieżka, ale droga! Nie zabłądzicie. Jak będziecie wracać, zanocujcie w tej samej chatce, a rano znów do rozwidlenia dróg -jak będę wracać, to was podbiore. Mniej więcej trzy godziny po świcie będę przejeżdżał. Tylko nie mam czasu bawić się w czekanie; nie zdążycie, to do Kęs-Precla na swoich nogach będziecie leżli.

- Dzięki i za to, panie kupcze - uśmiechnęła się krzywo Kniahini.

Jakby mu rubla dała.

Fałszywego.

Zdążyłeś jej szepnąć, czemu przypisać kupiecką łaskawość. O długu na trzy i pół rubla. Z drugiej strony, mógłby i nie podwozić. Sami musieliby dojść. Ich pieniądze nigdzie nie przepadną - a jak przepadną, też bieda niewielka. Widać, zesłańcy byli Jermołajowi Prokoficzowi do czegoś potrzebni, nie chodziło tylko o nędzny trojak Filata. No cóż, przyjdzie pora, to sam powie...

- A wy, kupcze, czemu tak sami po lasach jeździecie? - zacieka-  
wiła się Kniahini, naruszając monotonię podróży i budząc cię z pół-  
drzemki.

- Jeżeli towaru niewiele, jak teraz, to jeżdżę sam - odparł dobro-  
dusznie Jermołaj Prokoficz, odwróciwszy się nieco ku pytającej. - Po  
co ludzi męczyć, kiedy sam dam sobie radę? Jak się trafi solidny  
ładunek - wtedy inna rozmowa.

- Ale moglibyście posłać nadzorcę. Czemu sami jeździecie?  
-zacieka-  
wiło i ciebie.

- Jak wszystko już zostało omówione, to można i nadzorcę  
- wyjaśnił kupiec. - Ale jeżeli sam nie wiesz, ile i jak zarobisz, to lepiej  
samemu wszystkiego dopilnować.

Wydało ci się, że w odpowiedzi tkwi ukryta aluzja.

Jaka? Do czego?

„Ale jeżeli sam nie wiesz, ile i jak zarobisz...”

- A nie straszno samemu jechać? Pora niewczesna i ludzie do-  
okoła żli...

Jermołaj Prokoficz śmiech miał, co się zowie: głośny i szczery.

Kiedy się już wyśmiał, odwrócił się do zesłańców:

- To u was tam, morda leśna, w miastach stołecznych pora niewczesna. A dla mnie, łaskawco, w każdej wiosce jakiś kum albo krewniak łapę ssie! Jermołaja Prokoficza, morda leśna, wszyscy na sto wiorst wkoło znają! Posterunkowy i wójt w gości do mnie za-jeżdżają, jarzębinówki popić. - Mrugnął znacząco okiem. - Jakby mi się coś przydarzyło, to gdzie się ci „źli ludzie” podzieją? W bagno wleżą, pod lód, na sosnę? Coś takiego to nie u nas. To już raczej po pijaku przytłuką, niż na drodze w lesie. Mam zresztą dubeltówkę, saksońskiej roboty, nie da się z niej chybić! - I kupiec pokazał zesłańcom robiącą wrażenie łamaną dwururkę z oksydowanymi lufami i łożem inkrustowanym srebrem. - Nie straszno mi, panowie zesłańcy, nie straszno. Zbiegłych waszych kompanów się nie boję; tylko dureń zacznie tu rozrabiać, sami powinni to rozumieć, nie są przecież idiotami. A otóż i rozstaje. Prrrr! - Jermołaj Prokoficz targnął lejcami i „tagdyńce” posłusznie się zatrzymały. - Patrzcie, to ścieżka, o której mówiłem. Za godzinę dojdziecie do myśliwskiej izbuszki\*. A stamtąd do Wielkich Borsuków drogą będzie trzy godziny. Droga prosta, więc nie zbłądźcie. Rzeczkę przejdźcie po lodzie. We wsi poszukajcie domu popa, stoi przy cerkwi, z daleka zobaczycie. Posterunkowy gości u ojczulka. No, bywajcie! Jutro zabiorę was z powrotem.

\* Izbuszka - chatka w tajdze, niezamieszкана, postawiona przez myśliwych i przez nich zaopatrywana w drewno i zapasy pożywienia. Przenocować w niej może każdy - ale przed odejściem należy uzupełnić zapasy (przyp. tłum.).

Kupiec zamaszycie chlasnął mierzynki lejcami. Brzęknęły dzwoneczki, i proszę - nie masz już zaprzęgu, a w powietrzu skrzy się tylko obłoczek śnieżnego pyłu, powoli osiadając na śladach płóz.

- No co, idziemy, Kniahini?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko pierwsza ruszyła po ledwo widocznej ścieżce, i od razu wpadła po kolana w śnieg.

Dognałeś ją w dwóch krokach, bez słowa odsunąłeś na bok i poszedłeś przodem.

Dojście do osady zajęło wam więcej czasu, niż obiecana przez kupca godzina, ale i tak dotarliście do niej przed południem. Kobieta dwa razy się zatrzymywała, siniała na twarzy i z charkotem wyrzucała

z krtani dławiące ją kawały flegmy; zanosila się ciężkim, chrapliwym kaszlem, a potem jeszcze gromadząc siły z pięć minut stała nieruchomo, opierając się o pień najbliższego drzewa. Stanowczo jednak odrzucała wszelkie próby pomocy z twojej strony, tak że ostatecznie z nich zrezygnowałeś i tylko od czasu do czasu się zatrzymywałeś, żeby poczekać na wlokącą się z tyłu kobietę.

W zbielałej już od starości chatce znaleźliście solidny zapas sucharów, płócienny woreczek z herbatą, zapalki, sól i krąg blaszanych kubków ustawionych jak Zaporozcy wokół atamana kociołka; oprócz tego dawno już nieostrzony topór. Ten zaś bardzo się przydał; nie trzeba było długo czekać i w uprzątniętym piecyku wesoło zatańczyły ryże języki ognia.

Wyziębione i zdrętwiałe dłonie same się wyciągnęły do ognia, śnieg w kociołku szybko stał się wodą i lada moment miał się przelistoczyć we wrzątek.

Herbatę - mocną, gorzkawą i przesyconą miejscowymi ziołami - piliście długo i ze smakiem. Kniahini zaróżowiła się na twarzy, nawet chyba lekko poweselała; widać rozpierająca się w jej piersi żaba zlitowała się i przestała jęmczyć.

No, przynajmniej na razie.

Niewielu rzeczy w życiu tak ci się nie chciało, jak opuszczać ciepłe miejsce przy piecu po to, by znów puszczać się gdzieś na mrozie. Cóż poradzisz - trzeba. Taka już dola zesłańca; niby na wolności, niby odsiedziałeś wyrok - ale wal na rozkaz siedem wiorst przez las, diabli wiedzą, po co! A właściwie dlatego, że jak w porę nie zameldujesz się u urzędnika, to ponownie powędrujesz na katorgę za nieposłuszeństwo i naruszenie „Przepisów dotyczących zachowania się zesłańców”, o ile nie zechcą ci przypisać próby ucieczki.

Kupiec nie zełgał: tuż za myśliwską izbuszkączyniała się szeroka przesieka. Iść po niej było znacznie lżej niż po ścieżce; rozgrzani herbatą i odpoczynkiem przy piecu, przyspieszyliście kroku. Kiedy wreszcie las zaczął się przerzedzać, rozstąpił się, a wy wyszliście na brzeg zamarznętej rzeki, do zmierzchu było jeszcze daleko.

- Jak myślisz, Kniahini, zdążylibyśmy jeszcze za dnia wrócić do tamtej chatki?

- Nie mam pojęcia, Dnie. Alejak będziemy tu stać i medytować - zanocujemy w zaspie. Idziemy dalej.

Podczas kilku minionych dni trzymały tęgie mrozy - można było wejść na lód bez obawy, że się załamie. Łapcie nawet się nie ślizgały

w grubej warstwie śniegu, więc na drugi brzeg przedostaliście się szybko i bez trudu.

Wielkie Borsuki okazały się osadą znacznie większą od Kęs-Precla, ludziom żyło się tu bardziej dostatnio. Tak czy owak, popie domostwo można było zobaczyć już z daleka, nie tylko z powodu bliskości cerkwi: takim wyniosłym pałacem nikt - oprócz ojczulka - pochwalić by się nie mógł. Ten i ów mógłby się tak pobudować, jest przecież na świecie Jermołaj Prokoficz i inni kupcy, ale tutejsi ludkowie woleli domki rozbudowywać wszereż, a nie wzwyż. Jeden pop widać zapragnął znaleźć się bliżej Pana i ze strychu wejść do Królestwa Niebieskiego!

No cóż, on ze stanu duchowego, jemu wolno...

- Nie lubię popów - nie przerywając marszu, wycodziła przez zęby Kniahini.

- A kto z naszej braci ich lubi? - twoje zamrznęte wargi rozciągnął krzywy uśmiezek. - Ale przecież i urzędnikowi na szyję się nie rzucisz.

Zatrzymała się. Odwróciła.

- A wiesz, że ty masz rację, Golony - rzuciła półgłosem, zwracając się do niego ksywą, co nieczęsto robiła. - Nagromadziło się we mnie gniewu i złości. Dawniej też było ze mnie niezłe ziółko, ale po katordze... Tylko patrzeć, ajadem płuć zacznę! - umilkła i przez chwilę się nie odzywała. - I sama, żmija głupia, od tego jadu zdechnę - dodała ledwo słyszalnym głosem.

Nic jej nie odpowiedział.

Drzwi otworzył może czternastoletni chłopak w czystej, białej koszuli i portkach z czarnego sukna.

Proste włosy rozdzielał mu na boki równy przedziałek pośrodku głowy.

- Dzień dobry. Gości u was pan urzędnik? - uprzedzając pytanie, odezwała się Kniahini.

- W rzeczy samej, gości. Z moim ojczulkiem raczy spożywać obiad. A wy, coście za jedni?

- Powiedz panu urzędnikowi, że zameldowali się zesańcy, którym przed sobą stawić się przykazał.

Jeszcze przez jakiś czas mogli pooglądać sobie zatrzęsnięte im bezceremonialnie przed nosem drzwi, przestępować z nogi na nogę i uderzać dłońią o dłoń. Mróz nie ustępował - zima niby miała się ku końcowi, ale jeszcze się trzymała.



- Wejdźcie. Pan urzędnik raczy was przyjąć. Tylko otrzępcie miotelką śnieg z łapci...

No proszę; pan urzędnik raczy ich przyjąć! Jak ministerialna znakomitość albo szef kancelarii J. I. W. Wiadoma sprawa, im niższy urząd, tym więcej ceregieli. A niech się tam nadyma -jego prawo, nie nasze.

- Zdrowia życzymy waszej dobrotności! Zdrowia życzymy waszej surowości!

Wedle zwyczaju, najpierw należało pozdrowić osobę duchowną. Nawet gdyby u popa zjawił się sam oberpolicmajster albo i generał - przywitać się należy przed nimi z ojczulkiem, okazując mu należyty szacunek. Tak to sobie urządzili, wyzyskiwacze jedni. Co prawda, praworządny obywatel może sobie na to gwizdać, zesłańcy jednak muszą przestrzegać protokołu co do joty, żeby sobie biedy nie napytać.

I przed ołtarzykiem domowym trzeba się przeżegnać.

- A-a, zjawiliście się! - od stołu odwrócił się ku wchodzącym urzędnik, zawadiacko podkreślając obwisłego wąsa. Widać było, że jego surowość zdążył już sobie nielecho popić - ale na razie kumał jeszcze, co i jak.

Zasiadający na głównym miejscu za stołem dorodny ojczonek wyglądał na znacznie bardziej trzeźwego - widać było, że z samotnych utarczek przeciwko „zielonemu wężowi” duchowny zwykł wychodzić zwycięsko. Miał rozpiętą przy szyi koszulę, a spod rozłożystej brody, jaką pielęgnował każdy szanujący się pop, połyskiwały łańcuch i krzyż. A kędziory ojczonek zbierał na tyle głowy w elegancki i modny od niedawna „sznur”.

„Co prawda - przyszło ci na myśl - modne to było wtedy, gdy wsadzali cię do obozu, a teraz proszę, dotarło i do takiej zabitej dechami głuszy”.

- Wchodźcie, raby Boże, wchodźcie, prosimy do stołu - zahuczał ojczonek, niegardzący niespodzianymi gośćmi. - Jesteście teraz niczym dziateczki małe, bezgrzeszne, można by rzec, na świat przyszliście na nowo. Wasza surowość, posłuchaj głosu mojej prośby: za coś takiego i wypić nie grzech, za życie nowe!

- Znam ja ich, baranków bezgrzesznych - warknął urzędnik. Nie zabrzmiało to wrogo, sprzeciw był czysto formalny i bezosobowy.

- Jegoruszka! - zwrócił się do znieruchomiałego w drzwiach popiego syna. - Przynies mi teczkę z papierami, trzeba odnotować ich stawienie się.

- Ot i odnotujemy na zdrowie! - zachichotał pop, nalewając wódkę do jeszcze dwu szklanek, które natychmiast wyjął... z powietrza, czy co?

A to ci pop!

Wódka była czystsza od niemowlęcej łzy. Wyszła pewnie z państwowej gorzelni, zalakowana czerwono, matula rodzona, nie to, co Filatowa siwucha!

Zesłańcy rzucili armiaki w kąt i usiedli za stołem.

- To dzieci moje, za odkupienie win i nowe, zgodne z prawem życie! Amen! - zaintonował pop i zręcznie podrzucił szklankę z wódką, trafiając prosto w gardło.

Wódka była wyśmienita. Od razu zrobiło ci się cieplej.

- Zagryzajcie, pokutnicy - podsunął urzędnik. - Darmowy poczęstunek brzucha wam nie wydmie.

Zakąsek istotnie było w bród: solone grzybki, pęta wędzonej kielbasy, marynowane jagody, wędzona rybka i, jeszcze ciepły, pieczony na dnie pieca chleb.

- Piękne dzięki! - nawet Kniahini chyba zmiękła i zapomniała na chwilę o swej niechęci do „wyzyskiwaczy”.

- Pytam was surowo: nie będziecie już sprawami czarodziejstwa Bogu przeciwnego się zajmować? - zainteresował się gospodarz, smacznie pogryzając garść kwaszonej kapusty.

Na brodę kapały mu krople soku i jagodzianej krwi.

- Ojczulku, przecież już odpokutowaliśmy - podniosłeś na popa szczerze spojrzenie niewinnych oczu. - Przepelnia nas pragnienie poprawy.

- No, no... - chrząknął urzędnik, kartkując papiery wyjęte z przyniesionej przez Jegoruszki aktówki. - Ta-aaak, znaczy, Druc-Wiśniewski Dufunia i Altszmu... Alsztu...

- Altschuller. Rachel Altschuller, panie urzędniku.

- A niech cię! To wy, znaczy?

- Nie inaczej, wasza surowość, to właśnie my.

Urzędnik pogrzebał w teczce, wyjął z niej kopiowy ołówek, starannie go poślinił i posapując, coś tam zaznaczył w swoich dokumentach.

-Tego...Macie tu przydzielony żołąd. Jak należy. Po... no tak, po siedem rubli i dwanaście kopiejek na chłopa.

- A na babę? - zachichotał pop.

No tak, był bardziej podпиты, niż się to wydawało na początku.

- Pokwitujcie pieniądze. O tu, w rogu.

Na rachunku była wymieniona suma prawie dwakroć większa od tej, którą wymienił urzędnik. Ani ty, ani Kniahini nie próbowaliście się jednak spierać i podpisaliście bez słowa. Sprawiedliwości i tak się nie doczekasz, a tylko wroga sobie zrobisz. Warto się stawiać dla siedmiu mizernych rubelków?

Urzędnik zresztą wie to lepiej od was. Ma rodzinę na karku, a wy, golce nieszczęśne, i tak nie zdechniecie.

- A teraz pieniądze, proszę bardzo. Cała sumka. I baccie, co powiem: zaczniecie po staremu, zgnoję bez litości!

- No, daj spokój, Kondratycz! - zabuczał pop, który ponownie napełnił szklanki. - Nie widzisz, że wyrzekli się czarta i wrócili na drogę poprawy? Obyź i inni grzesznicy poszli w ich ślady, ku większej chwale bożej! Za to też i wypijemy. Amen!

We łbie znów ci zaszumiało, choć może nie tak, jak wczoraj i zrozumiałeś, że jeżeli się tu zatrzymacie, to do „izbuszki” za dnia nie dojdziecie. A nocować u siebie pop raczej nie pozwoli. Rzuciłeś z ukosa spojrzenie na Kniahinię - towarzyszką, doskonale wszystko pojmując, kiwnęła głową. Zagryźć czymś jeszcze i...

- Dziękujemy za poczęstunek, ojczulku; a i wam, wasza surowość, za staranie - ale na nas pora... swoje miejsce znamy.

- Niech będzie, dzieci moje... Z Bogiem! - machnął ręką pop i natychmiast wczepił się zębami w kielbasę, zapomniawszy o zesłańcach.

- Regulamin osiedleńców znacie? - rzucił za wami urzędnik, kiedy staliście już w drzwiach.

- Na pamięć znamy, wasza surowość!

- No, to uważajcie sobie...

### *Notatki na marginesie*

*Jeżeli uważnie zajrzeć ojczulкови w jego chytre, lekko zmetniale od wódki oczka, to można w nich zobaczyć:*

*...oblaki.*

*Biegną po niebie spieszenie jasne baranki. Wiatr podszczypuje je po bokach, płynie, by poigrać z pianistymi obrywkami, dopóki nie zamrze ze zmęczenia. Nad drogą kołysze się rudawy czub sosny straszącej igielkami: strzeż się! Rozgonię! Precz! Ale któż jej, starej, uwierzy?*

*Biegną po niebie obłoki, wesołe, bezgrzeszne.  
A patrzą na nie - z ziemi.*

Z początku iść było lekko. Rozgrzani wódką, podkarmieni i ogrzani nie zwracaliście uwagi na tężejący coraz bardziej mróz. Żwawo przekroczyliście rzeczkę, rozmawiając po drodze o jakichś głupstwach - popi poczęstunek zmiękczył nawet serce Kniahini. Wyszliście na znajomą przecinkę. I tu wszystko zaczęło się komplikować. Kniahinię znów zgiał we dwoje atak dusznicy i trzeba było poczekać, aż jej przejdzie. A gdy wreszcie ruszyliście dalej, niespodziewanie zaczęliście odczuwać zmęczenie; morzył was sen, rozboleły plecy, a nogi zaczęły wywijać krzywe obwarzanki... Kniahini nie czuła się chyba lepiej od ciebie

**I** i trzymała się ostatkiem sił. Niebo szybko zaciągało się zmierzchem. A przecinka ciągnęła się i ciągnęła - bez końca. Las płynął po bokach, jak czarno biały płot z licznymi wyrwami. Jak długo już idziecie? Godzinę? Dwie? Trzy, może pięć? A jeżeli w tym mroku przeszliście mimo chatki i teraz zmierzacie w nicość? I gdzieś tak, za tydzień albo za miesiąc, jakiś przypadkowy myśliwy będzie odpędzał psy od waszych zeszytywniałych i powleczonech lodem ciał?

*...Aj, dadywes dzień sobota, a petajsie, aj da li dewa kurkowo'... I razem: aj dadywes dzień sobota!*

- Ocknij się, Druc! Oczy otwórz, dumna tyko! A mówiłam: nie lubię popów! Wszystko od jego wódki przekłetej! No, popatrz przed siebie, bałwanie! Druc!!!

Z wysiłkiem rozklejasz ciężkie, ołowiane powieki.

Patrzysz przed siebie.

Ciepły, rudawy ogieniek... o tam, miga.

Zaleciało dymem, machorką, zapachem pieczonego mięsiwa.

- Doszliśmy, Druc! To myśliwska chatka!

Nie zrozumiałeś.

- Chatka? A czemu w niej ogień płonie?

Okropnie kręciło ci się w głowie.

*\* Ej, ten dzień, ej ta sobota, a jutro będzie niedziela, Boże mój!  
(rom.)*

- Bo są tam jacyś ludzie - cierpliwie, jak dziecku, wyjaśniła Kniahini.

## VI. RAJZKA-KNIAHINI ALBO DZWONKOWY MARIAŻ

*Odpląć im według czynu ich  
I według złości uczynków ich.  
Według dzieła rąk ich odpląć im,  
Oddaj im, jak zasłużyli!*

*Księga Psalmów, Psalm 28*

Nie wiadomo dlaczego, przypomniał jej się barak.

Zimna szachownica, podzielona na klatki pryzami z desek, ogrzana ciepłem licznych ciał i zakopconego piecyka, szachownica, na której kończą się nierozegrane partie. Nieco ponad czterdzieści kobiet; młódki, staruchy, młodziutkie dziewczyny, urodziwe, brzydkie, złośliwe, płaksy, fartowne i takie, które trafiły tu przypadkiem - rozmaite. Takich jak ty, było niewiele - wszystkiego trzy; pozostałe odsiadywały karę za najróżniejsze przestępstwa. Któraś otrula strychniną znieawidzonego męża, inna rzuciła własnoręcznie wykonaną bombę pod koła gubernatorskiej karety; jeszcze inna zastrzeliła z browninga trzech gimnazjalistów, swoich uczniów, uznano ją za niepoczytalną, ale podczas sądu odmówiła wyjawienia przyczyn swojego postętku...

Ciebie, jako starszą baraku, dwukrotnie usiłowano „wziąć na pióro\*” i trzy razy namówić do współzycia.

I jedno, i drugie częściowo się powiodło - ale jaką była ta część, wolisz nie wspominać.

Przeżyłaś.

Przeżyłaś, choć do końca katorgi pozostałaś zamknięta w sobie. Odcięta od świata; od Lenki chrześniaczki herbową pieczęcią wyro-

*Wrosyjskiej kminie: „pióro” oznacza nóż (przyp. dum.).*

ku, pieczęcią obok której wił się zakrętas podpisu hierarchialnego starucha i nadzorcy przedstawiciela przy sądzie okręgowym: „o. Aleksij; zatwierdzam, teraz i zawsze, i do końca wyznaczonego wyroku, amen”.

Zapomnij, Kniahini.

Zapomnij, proszę.

To nie więzienny barak, to myśliwska chatka „izbuszka” w połowie drogi pomiędzy Kęs-Preclom i Wielkimi Borsukami, a tam, w środku, nie katorżnicy, tylko polujący na łosie myśliwi z okolicznych wsi, skracają sobie noc.

Myśliwi w pełnej dymu izbie.

Poskrom wredną pamięć.

- A mnie, braciszku, nie opodał Głucharinowego Stoku gajowy omal nie przyłapał. Zwalilem łosia i zabierałem się do skórowania - a tamten jak mi nie przy grzeje kulą ze świerczyny... No, od dawna mam z nim rachunki, tojącego w trzęsawisko zwabię i tam zostawię, to on mnie! A w pozaprzyszłym miesiącu odkrył, gadzina, że ubiłem jednego łosia za wiele, obiecał donieść i karę ze mnie ściągnąć.

- Timoszka, niepotrzebnie ty się z naczałstwem szarpiesz! Ani władzy, ani tobie, myśliwemu, żadna z tego korzyść...

- Milczałbyś lepiej, stary grzybie! Już ja przyłapię go gdzieś samego nad rzeką, tak krzyżem świętym się klnę, że puszcze go po porohach z kamieniem! A co? Wszystko mi jedno, leśniczy czy gajowy! Jak sam się o kulę prosi, nie odmówię!

- O wa! Chwalił się mysikrólik, że sowę chędożyć będzie... Eh, Wieralec, podrzuć kilka szczap do pieca, nie żałuj polan!

- Dymu pełno, ojczulku.

- Co dymne, to cudne, a co zimne, paskudne! Pojąłeś?

- Pojąłem, ojczulku.

Dwojga przybyszów jakby w ogóle nikt nie zauważył.

Jakby.

Weszli, powitali obecnych kiwnięciami głów, rzucili armiaki na zabłoconą podłogę i usiedli bliżej ognia. Niech sobie siedzą. Jakoś się pomieścimy, na prycę nie włożą i bardzo dobrze. Obcy ludzie. Nikt nawet nie zadał pytań o ogolone na katorżniczą modłę głowy.

Na razie. Jeszcze się zdąży, noc długa...

Najpierw niech podziękują, że psy odwołałiśmy i pozwoliliśmy przekroczyć próg.

- Ale popatrz, Timocha: ty na gajowego z kamieniem nad rzeką, on na ciebie z kulą w sośniaku... Może byście się pogodzili, co?

- Nawet o tym, brachu, nie mów! Ja?! Mam się pogodzić?! Z tym gadem?!

- Nie wściekaj się, Timocha... zły pokój lepszy od dobrego sporu!

Nawet specjalnie się nie przyglądając i nie przysłuchując można się było w lot zorientować, że chwacki Timosza należy do tych, którzy tylko przy innych tną zucha. Niewysoki, chuderlawy, o twarzy po koguciemu zadziornej, pod lewym okiem niebieska żyłka wściekle mu pulsuje. Myśliwy nadyma się godnie, przez co upodabnia się do dziecinnego czerwonego lizaka na patyczku; usiłując udowodnić swoją rację zgrzyta zębami niczym śnieg pod nartą; on, Timoszajest groźnym łowcą łosi i lepiej mu w drogę nie wchodzić!

Nie bardzo mu to wychodziło.

Towarzystwo spoglądało na siebie porozumiewawczo i chichotało w rękawy.

W końcu Timoszka pojął, że robi z siebie pośmiewisko i umilkł z urazą.

- Hej, zbiegu! - myśliwy, który proponował Timoszce zawarcie pokoju z gajowym, przeniósł mętne spojrzenie na milczącego Druca. - Co ci strzeliło do łba, żeby uciekać w lutowe mrozy? I bez przygotowania, ani żarcia nie masz, ani strzelby, jedną babę tylko ze sobą wleciesz? Żonka czy tak... do zabawy?

W milczeniu słuchałaś, jak Winny Walet przeciąga się przed udzieleniem odpowiedzi, jak chrzęści mu nawet nie grzbiet, tylko całe ciało, jak u zeschniętego świerkowego chojaka.

Współczucia w sobie nie znalazłaś. Sama jesteś taka.

-Nie jestem zbiegiem, wujaszku. Zesłaniec jestem, na osiedle- niu. Oboje nas w Kęs-Preclu postanowili osadzić; a teraz wracamy od urzędnika, u którego się zameldowaliśmy.

O żonce Druc zmilczał. I mądrze zrobił.

- Łże, bracia - odezwał się z górnej pryczy Timoszka, który widać nie umiał długo chować urazy, ani siedzieć cicho. - Patrzę na jego warnackągębę i widzę: łże i ani się, bestia, nie zająknie! Zbieg, ani chybi. Wiążcie ich, bracia, nagrodę dostaniemy...

Propozycję Timoszy skwitowano ogólną obojętnością. On sam zresztą też nie za bardzo miał ochotę na wiązanie „zbiegów”. Powiedział to dla podtrzymania rozmowy.

Myśliwy o mętym spojrzeniu (wszystko wskazywało na to, że jest przywódcą całej bandy) podrapał się po brodzie; wyrwał jeden włos i przygryzł go żółtymi, końskimi zębami.

- Pora spać - orzekł. - Rano trzeba wstawać. A wy...

Ostro spojrzął na ciebie, Kniahini, nie wiadomo dlaczego właśnie na ciebie, a ty od razu pojęłaś: on wie. Wie, z jakiego artykułu cię skazali i wie, co jeszcze mieli w zanadru. Wie też, kto tu jest Damą, a kto - Waletem.

Nieglupi chłop, okazało się... i bystry.

Gdzie do niego durnemu Timoszcze.

- A wy czarów się będziecie imać - zastrzeżę. Krzyżem świętym się klnę - zastrzeżę. I w zaspie zagrzebię, bez pochówku bożego. Zrozumieliście?

W milczeniu kiwnęłaś głową.

Pamiętasz, Kniahini? Nawet cię wtedy zaciekawilo; a może zacząć „się imać”. Jak za dawnych czasów; nie oglądając się na nic. I niech mętnooki sam zobaczy: jak lżej umierać magowi wedle prawa, po odsiadce katorgi - od jego kuli czy od swojej rodzonej doli?!

Ciekawość mignęła i zgasła.

Sny brodziły w dymie, obchodząc cię szerokimi łukami.

Tak właśnie zasnął: bez snów.

Łosiarze odeszli, kiedy było jeszcze ciemno.

Opuścili „izbuszkę” bezgłośnie, sprawnie i szybko.

Minęło pół godziny i podniósł się Druc. Głucho chrząkał i kaszłał, trzeszczało mu w kościach i klął wtedy sążnięcie, wstawiając do przekleństw dziwaczne romskie słowa. Słuchałaś tego skąpana we śnie - starając się bronić przed wchodzeniem w sens nieznaney ci mowy. Drogi byłby to zakup; prościej byłoby samego Waleta zapytać, prościej - ale po co?

Śpij. '

Jeszcze czas.

- Pójdę poszukać drewniek na opał...



Skrzypnęły drzwi. Śnieg skrzypnął z urazą pod ciężkimi krokami; chwila i kroki ucichły w oddali. Wiedziałaś, że coś takiego czasami przydarza się Drucowi. Pod jakimkolwiek pozorem odchodzi, przystaje i gapi się w niebo. Ciemne, zasnuwane chmurami, albo mrugające żółtym słonecznym okiem. Potrzebne mu niebo, Dufuni Druc-Wiśniewskiemu. Choć od czasu do czasu. Choć zarznij, a potrzebne. Tak mu już w życiu wypadło.

Wiedziałaś, bo byłaś taka sama.

No, prawie.

Śpij.

Słyszysz - skrzyp śniegu, kroki, znów pomrukują drzwi.

- Dalej, babo głupia, posuń się! Szybko się uwiniemy.

Pospiesznie obmacały ją obce, szorstkie dłonie. Cofnęły się. Co, Kniahini, odczyłaś się bezsensownej szarpaniny? Odczyłaś. Nawet nie drgnęłaś. Pozwoliłaś tylko, żeby senność uciekła w kąty i lekko rozchyliłaś rzęsy. Na tyle tylko, żeby widzieć. Ot i on, Timoszka-myśliwy, gaduła zgubiony; tołub zrzucił na pryczę, drzwi podparł polanem, oblizał wargi i ponownie zaczął się do ciebie dobieierać.

Usiadł obok. Nie spieszy się, choć mówił, że szybko się uwinie.

- Ja, głupia babo, chłopakom powiedziałem, że kapciuch mój został! Dogonię was, jak go znajdzie, więc dawaj, zrzucaj z siebie, co tam masz - co, sam mam rozpinąć? Chłop ze mnie sprawny, jeszcze mi podziękujesz... No, dawaj, nie bądź głupia, widzę, że nie śpisz!

To było nawet zabawne! Oto zuch, pierwszy chłopak we wsi! Jak się przejdzie z harmoszką, w malinowej koszuli, dziewczki same na plecy padają, a młódki po nocach popłakują! I tu też orzeł z niego, dobroczyńca; nie przeszedł obok, żeby nie pocieszyć staruchy!

- Ty co, udajesz? Czarów chcesz się imać? Lepiej daj spokój; brać zesłańcza, z plemienia magów, powinna siedzieć cicho jak trusie! Bo jak nie, to amen - i końce w wodę! No, dawaj, nie zwlekaj...

Dłoń wpełzła pod ubranie, do ciepła; namacała pierś i ścisnęła.

Cofnęła się.

-No popatrz, cycek jak u panienki! Zuch baba!

A może rzeczywiście dać durniowi? On przecież się spodziewa, że jest sama. Nie zamierza siłą brać, czy co? Czyli nienauczony. Nie musiał stosować siły. Kiedyś ty ostatni raz chłopca miała, Kniahini? Nawet nie pamiętasz? A może po prostu nie chcesz pamiętać? Sama

przecież byłaś chłopem, babą albo jednym i drugim jednocześnie. A tu chłopak jak malowanie, pewnie nawet niee zdejmując nart, klempe łosia wychędoży...

To, co początkowo było śmieszne, stało się nagle obrzydliwe. Aż w gardle gorzką śl iną zapiekło, a w pachwinie zrobiło się zimno.

- Paszoł won, bydlaku - powiedziałaś i odwróciłaś się do ściany.

Cisza.

Trawi to, co usłyszał; ze zdumienia chyba mowę stracił.

-Co takiego?! To ja ciebie, gadzino jedna... Ja ciebie!

Zwalił się na nią z góry, przewrócił na plecy, przygniótł nieoczekiwanie dużym ciężarem. Przez chwilę się szamotoł, rozrywając pętelki guzików.

- Aaaa! A, tu jesteś!

Przypomniała jej się Marta Posadnica, postrach baraku. W drugą noc; zwała się na nią podobnie, obśliniła, zdławiła krtań. I teraz będzie tak samo... gdy już było po wszystkim, Dzwonkowej Damie towarzyszył pelen szacunku szmer innych więźniarek; „Kniahini!”, przy wydzielaniu rankiem miejsca w kącie, daleko od drzwi, z których nieustannie dęły zimne przeciągi.

- No dalej, durna ba... Aaaaargh!

Kolano trafiło tam, gdzie trzeba. W samo, można by rzec, jądro. Zatkalo cię? Zwinąłeś się jak zmija na wiosnę? Boli dziarskiego Timoszkę? No, pocierp odrobinę, zaraz zaboli jeszcze bardziej.

Niewiele brakło, a wybiłaby sobie rękę ze stawu.

- Au! Chło...chłopa? Po jajach?! I w mordę?! O ty, padlino jedna! Wiedzmaaaa!

Już wstała.

Już chciała odejść na stronę, pozwolić mu na to, by się pozbierał i odprowadzić do drzwi z dobrym słowem. Już... ale nie wyszło. Zadziałało wszystko naraz: poczucie krzywdy, wściekłość, gniew - wszystko się przemieszało.

Ogarnęła ją nieznająca litości, paląca wściekłość.

Runęła z góry, jak on sam przed chwilą; namacała kościste gardło i wczepiła się w nie, zapominając o całym świecie.

-Chłop? Ty jesteś chłop? Ja takich jak ty... ja...

Słowa aż palily ją w usta.

Co krzyczałaś, czym plułaś w posiniały pysk -już nie pamiętasz.

Ocknęłaś się w śniegu.

Jak wyszłaś z „izbuszki”? Kiedy? Czemu wpadłaś w zaspę, zanosząc się płaczem i nie wstydząc się własnej słabości? Któż to wie? Ty wiesz, głupia Raszko? Nie wiesz?

### *Notatki na marginesie*

*Jeżeli wziąć za uszy myśliwego Timoszę Draczewa i jeżeli zajrzeć na samo dno jego nieco podpuchniętych, czuchońskich oczu, to można zobaczyć:*

*...rzeka.*

*Biegną ku płyciznie urwiska, jakby dziewczki na golasa ku wodzie gnały. Widzisz je, bezwstydnice! Słaniają się wstydliwie zarośla bagulnika! Różowieją po bokach w promieniach zachodzącego słońca! W faldach trawa rośnie pękami! Pora za mąż! Oto dziewczki! Prawdziwe, rzeczywiste, kąpią się. Tęczowe bryzgi. Wrzask - do samego nieba.*

*Oto mi szczęście; dostać się tam.*

*Skoczyć z rozbiegu.*

Z tyłu skrzypnął rygiel u drzwi.

Niewiele brakło, a powiedziałaabyś: „Dziękuję”.

## **VII. DRUC-KONIARZ**

### **ALBO RUBELEK Z DROBNICĄ**

*Więcej niż włosów na głowie mojej  
Jest tych, którzy mnie nienawidzą bez przyczyny,  
Silniejsi niż moje kości są ci,  
Którzy zwalczają mnie niesłusznie.  
Czy mam zwrócić to, czego nie zrabowałem?*

*Księga Psalmów, Psalm 68*

- ...nie radzę.

Myśliwy drgnął, jakby go ktoś kolnął sztyłem. Odwrócił się szybko. Wiedziałeś, co widzi, jakbyś patrzył na samego siebie głupimi oczkami Timoszki.

Porośnięta szczeciną morda; głowa ogolona „na połóweczkę”, dopiero niedawno włosy zaczęły ci po ludzku odrastać. Stoi, drałgal przekłety i szcerzy zęby od ucha do ucha. Na plecach ma topór, w rękę trzyma wiązkę drew. Łapy majak łopaty, grzeb i odrzucaj! Wczoraj dobrze mu się nie przyjrzałeś, a teraz - sarno się rzuca w oczy. Jak przyłoży, to i topór mu nie potrzebny! Warnak, czarownik przekłety!

I jak się cicho podkradł!

- A jak spróbuję? - myśliwy próbowałjeszcze się stawiać, stłumić strach. - Co, brachu?

- Lepiej nie. W twojej berdance masz jeden nabój. Jedno z nas położysz, ale drugie ciebie zakopie. Zresztą ta twoja rura... co strzał, to pudło. Chcesz sprawdzić? Chcesz się przekonać?

Odległość dzieląca cię od jurnego myśliwego znikła natychmiast, pokonałeś jajednym skokiem. Niepotrzebny topór padł w śnieg. Zaraz za nim poleciał dureń Timoszka, chwycony jednocześnie za kołnierz i portki - i utknął łbem w najbliższej zaspie.

Razem ze swoją berdanką.

- Kniahini, po cóż nam się smucić? - zwróciłeś się do towarzyszy, udając, że nie dostrzegasz jej śmiertelnej bladeści i nie rozumiesz, że nie próba gwałtu była jej powodem. - Chodźmy, napijemy się herbaty. Jak się pies spieszył, to ślepych narobił.

- Ja też - rozległ się stłumiony głos z zasy. - Mnie też się przyda... gorąca herbatka.

Kociołek zaczął już głośno bulgotać, gdy z zewnątrz ktoś zabębniłwdrzwi.

Skrzypnęło polano, którym ponownie zaparto drzwi, gdyż nie było rygla.

- Ej, warnacy! Nalejcie trochę herbaty! - zapiszczał Timoszka błagalnym falsetem. - Przecież u was mój tołub został. A tu zima, cholera, na dworze zimno!

Zerknąłeś na Kniahinię, ale ta tylko wzruszyła ramionami. Było jej bez różnicy.

Stając w drzwiach, Timoszka trzymał strzelbę lufą w dół i natychmiast demonstracyjnie wyjął nabój, a samą broń postawił przy piecu - niech się wysuszy.

Nacedził sobie ćwierciowy kubek i chciwie przypiął się doń wargami.

Poruszył grdyką. Zacharczał głucho, usiłując poradzić sobie z pierwszym łykiem.

- Aleście zaparzyli! Aż w brzuchu rżnie!

- No to idź, zagryź śniegiem - Kniahini uśmiechnęła się bez żadnej złośliwości.

- Sama zagryzaj! Nie takie rzeczy się piło! - myśliwy już się zorientował, że znów wyszedł na durnia.

Przez jakiś czas popijali w milczeniu. Na policzku Timoszki powoli, w miarę jak cofał się zamróz zasy, coraz wyraźniej występowały ślady paznokci. Kniahini potraktowała go właściwie łagodnie; mogła przecież ciąć po oczach!

Miał też podrapane czoło - widać wpadając głową w zasęp, przebił lodowe szkliwo.

- Mogłabyś mi dać, głupia babo! - odezwał się myśliwy, krzywiąc wargi jak dziecko. - Bo komu ty byś się nadała, gadzino?! A ja...

- Bóg rozstrzygnie - padła odpowiedź.

Krótką, suchą; wycedzona przez zęby.

Widać było jednak, że obraźliwe „Komu ty byś się nadała?!“ dojadło kobiecie do żywego, i ubodło mocno. Inna rzecz - zrozumieć to samej, zapamiętać do końca życia i pogodzić się z tym; ale usłyszeć wyrok rzucony w twarz przez chłopą, nawet takiego przygłupa i ogryzka jak Timoszka...

- A niech cię żółć zadławi - z pewną ulgą zgodził się myśliwy i dodał już całkiem ni w pięć, ni w dziewięć:

-Baba z wozu...

Czy naprawdę ni w pięć, ni w dziewięć, pomyślałeś nagle. Kiedy chłop chce od baby wiadomo czego, a ta z miejsca mu odmawia i jeszcze mordę obje -jaka tu może być ulga?! Złość i uraza. A męska godność od tej złości tylko jeszcze bardziej wzbiera. Czemu ty nagle, przyjacielu Timosza, wdychasz z ulgą: „Baba z wozu“?! Jakby udało ci się wykręcić od niemiłej roboty.

Od roboty?

Trzeba by uważniej przyjrzeć się cherlawemu myśliwemu.

Proszę bardzo: pokasłuje, chrząka, sapie, siorbie herbatę i wygląda na zupełnie zadowolonego, nie przejmuje się swoim podrapanym ryjem, stłuczonym zadkiem i doznąą konfuzją.

Dorodny samiec, ani słowa.

Głupi by zrozumiał: ktoś go napuścił. Na was z Kniahiną. Albo tylko na samą Kniahinę. Ktoś zapragnął sprawdzić waszą tożsamość. Czy to naprawdę Atuty, Tuzy, wedle Konwencji - czy może tylko przypadkowo dobrane blotki?

Albo inaczej. Czy złała ich katorga? Czy nie wypalili się przypadkiem?

Jakby mimochodem zerknął na Kniahinę- i odkrył, że Raszka już dawno obserwuje spod oka niedosłego gwałticiela, a w jasnych oczach Damy Dzwonkowej nie masz już dawnego przygnębienia, niechęci i obojętności.

Patrzy bystro i uważnie.

Jak przystało na maga z Konwencji.

- Hej, ty - Timosza długo w milczeniu siedzieć po prostu nie umiał. - Wyszło na to, żeś mnie czarami załatwiła! Inaczej byś mi nie dała rady!

Kniahini prychnęła pogardliwie. Uśmiechnęła się zagadkowo i na króciutką chwilkę, na mgnienie oka wydało ci się, że w miejscu niemłodej kobiety siedzi oblizująca się kocica. Podstęp?! Nie może być! Do czegoś takiego Kniahini i bez żadnych sztuczek jest zdolna.

- Za małyś ty ptaszek i za wielki honor dla ciebie, kochasiu, żeby cię czarami z baby zdejmować. Oboje zresztą jesteście związani słowem. Uczciwi z nas zesłańcy; i zamierzamy, pojmujesz, w szeregi chłopstwa się dostać. Jak to powiedział ojczulek z Wielkich Borsuków? Wyrzeknij się diabła i wejdź na drogę poprawy! Kapujesz, durniu? Więc sobie poradziłam. Sama z siebie, bez czarów. - I Raszka znów się uśmiechnęła.

Druc, przyjacielu, widzisz? Coś tam się w niej budzi, wyrywa się ku powierzchni i szuka wyjścia. Lada moment stanie się niegdysiejszą Kniahiną-spotykałeś ją przecie dawniej, jeszcze na wolności.

Zadyszka. Kaszel, ochrypły, uporczywy. Kobietę zgina we dwoje.

Nie, nic się z nią nie stanie.

- No co, Druc, pójdziemy? Żeby się nie spóźnić na spotkanie - wydusiła z siebie kniahini, kiedy odzyskała oddech; i zdecydowanym ruchem wstała jako pierwsza.

- To ja z warni! Odprowadzę was - poderwał się Timoszka.

- A co z twoimi kompanami, *morel* - zapytał mimo chodem.

- A-a! - bez troskie machnięcie ręką. - Dogonię ich! Chybkie mam nogi...

- No, jak sobie chcesz.

Nie inaczej, durnia ktoś napuścił.

Kto? Po co?

Można szmacciarza przycisnąć jak należy i zaraz by się z niego wytrzęsło - kto i po co. Teraz, nie ma co zwlekać.

Można.

Ale po co?

Nawet nie przyszło im długo czekać. Wkrótce zza zakrętu doleciał ich zbliżający się tętent kopyt, brzęk dzwoneczków - i zaraz potem pojawiły się znajome sanie zaprzężone w parę mierzynek, które zatrzymały się w odległości kroku od stojących niewzruszenie na miejscu zesłańców.

Aż śnieżnym pyłem ich obsypało.

Dziwne było to, że myśliwy szarpnął się nagle i odskoczył wstecz, natychmiast jednak zawstydzony wrócił na miejsce - i niewiele brakło, a by wpadł pod kopyta „tagdyńców”.

- Bywajcie w zdrowiu, Jermołaju Prokoficzu! - pierwszy pośpiesznie pozdrowił kupca. Podniósł rękę, zerknął zezem na zesłańców i zatrzymał dłoń, która już miała zdjąć z głowy kosmatą czapę.

A w tobie, gdzieś tam, głęboko, gdzie dawniej budziły się gorące fale władzy i świadomości wszechmocy, zakłębiło się ponure podejrzenie. Taaa-a-ak, drobny robaczku-głuptaczku. Ech, Drucu-Koniarzu, w rzeczy samej wszedłeś ty na drogę poprawy - obiema nogami! - robaczek zamiast fal mocy, podejrzenie zamiast pewności.

Stajesz się uczciwym, porządnym człowiekiem.

- Czemuż to i ty masz podrapany, Timoszka? - kupiec uśmiechnął się zamiast odpowiedzieć na powitanie. - Co, z rysicą się żeniłeś?

- Żebyż to z rysicą... - pociągnął nosem Timoszka.

- No a wy, jak? Wszystko załatwiliście? Zameldowaliście się? Pieniążki odebraliście?

Kiwnąłeś głową:

- Dziękujemy. Owszem, zameldowaliśmy się i otrzymaliśmy.

Wszystko załatwiliśmy.

- No to siadajcie, morda leśna. A ty, Timoszka, możesz uznać, żeśmy się rozliczyli. Po naboje przyjdź później.

Już przy podjeździe do Kęs-Precla siedzący z przodu kupiec obrócił się ku pasażerom:

- Trzeba by wam jakąś robótkę znaleźć, co? Bo z nudów w nowe kłopoty się wpakujecie. Na dodatek zdrówko poprawicie - co też nikomu nie zaszkodzi.

- A jaką ty nam robotę znajdziesz, dobroczyńco? - zabulgotała Kniahini, puszczając kłęb pary nad kołnierzem. - Czarami cię z podatków *odmazać*, czy jak?

Kupiec śmiał się długo i ze smakiem.

Spodobało mu się widać niezwykle słowo.

- Zobaczymy, morda leśna! Pomyślimy- i coś tam na pewno się wymyśli!

Kniahini wydostała się z sań pierwsza, a ciebie Jermołaj Prokoficz raczył odwiedzić aż do samej Filatowej chaty (zresztą i tak było mu po drodze).

Przed zejściem z sani wsunąłeś rękę za pazuchę.

Wyjąłeś wydane ci przez „urzędnika” pieniądze.

- Proszę. Filatowe trzy i pół. Trzymaj.

Kupiec wziął pieniądze i przez chwilę trzymał je w dłoni, przyglądając się im, jakby nigdy-przedtem nie widział monet i banknotów - a potem w milczeniu podał ci z powrotem rubel i drobne.

- Zatrzymaj. Podjedź sobie po katordze.

-AFilat?

- Co Filat? Powiedzmy, morda leśna, że już nic mi nie jest winien.

Tak mu i powiedz.

- Bardzo to szlachetne, Jermołaju Prokoficzu - podniosłeś na kupca pytające spojrzenie. - Ale czemu tak?

- Znaczy, tak mi się zechciało. Dziś mnie się zechciało - a jutro

- może tobie się zechce. I popatrz, może się okazać, że z tego chcenia jakąś korzyść wyniesiemy. Bywa tak?

- Bywa - kiwnąłeś głową.

- To zajrzyj kiedyś z dobrej woli, nie kępuj się, tylko zajrzyj do Jermołaja Prokoficza. Tytoniu dobrego dostaniesz, coś na przekąskę



- po katordze podjesz sobie jak należy. Koniecznie zajrzyj. A wtedy, zobaczymy, może i o robocie pogadamy.

- Dziękuję, Jermołaju Prokoficzu. Zajrzę przy okazji.

Robaczek tam wewnątrz, kokosi się i powolutku rozrasta.  
Łaskocze.

### *Notatki na marginesie*

*Jeżeli Jermołaj Prokojicz raczy się nie odwrócić, jeżeli uda się zajrzeć kupcowi pod jego krzaczaste brwi, to w ułamku sekundy można zobaczyć:*

*...noc na przelomie lata.*

*Nad czarnym nurtem zamaryły nagie jigury dziewcząt; puszczają wianki po wodzie i odprowadzają spojrzeniami. Wianki? Drobiazg. Nieco dalej ognisko rudym płomieniem godzi w niebo, wypuszczając roje ognistych pszczół. Wokół ognia cienie się jakieś unoszą; piski, chichoty, urywki przyśpiewek lecą na wszystkie strony. Cienie? Pieśni? I to bzdury. W najgłębszej głuszy, w sercu leśnych komyszy rozgorzał purpurowy płomień. Kwiat paproci. Miga, wabi ku sobie, a zerwać się nie daje.*

*Kwiat paproci? Nie daje się? Ależ ulegnie, nigdzie nie ucieknie!  
I otworzy wszystkie skarby.*

*Pamiętasz, morę: dżia ko pszał, ko barwalo, ne-ne-ne\*  
I na dwa głosy:

*Na górze izbuszka stoi  
A w tej izbuszce mróz  
Czarne jak heban góry -  
Po co mnie czart tu wiózł!  
Aj, dewłale, aj so skerdiape'?!*

Owszem, jeszcze pamiętasz.

*\* Aj, Boże, cóż mi począć?I (rom.)*

## Krąg Drugi

**POCIĄG DO PIEKŁA**

- *Dobry mag - to martwy mag!*

*Opera „ Cymeryjczyk zachwycony ”  
Aria Conana Akwilońskiego*

**DOBÓR KART**

Pan podpułkownik wykorzystywali z pożytkiem dla służby i czas wolny.

W gimnastycznej sali mistrza Tahanagi było dość ciemno. Sam maestro, tęgi Ajnos z wiecznym, jakby przyklejonym do twarzy uśmiechem uważał, że półmrok jest nieodłączną składową zrozumienia harmonii świata. Na ścianach, ujęte w bambusowe ramki, wisiały instrukcje z obrazami: dwa, trzy ideogramy, a obok ludzie w osobliwych ubraniach z nogami obnażonymi niemal po wstydlive miejsca, łamią jeden drugiemu rozmaite członki.

Usiadłszy na piętach, pan podpułkownik pozwolili sobie na przechwycenie pulchnej ręki Tahanagi. Przenieśli ją w lewo i w dół; poczekali na odpowiedź w postaci wypadu i przechwycili prawą. Poczekali. Nieprzerwanie myśleli o sprawie zasadniczej; o przyczynie, która zmuszała kniazia Gandieri do gnicia kolejny miesiąc w tym zgniłym Mordwińsku.

Cała mordwińska ferajna przyczała się w swoich norach i boi się choć odetchnąć. Ostatni doliniarz o dość pospolitym talencie (umie odwracać uwagę i wydłużać bez czucia palce) - nawet ten chałaciarz goli bimber po karczmach i boi się nos wysunąć.

Jak się puknie, panowie, tak też odpukają, czyli nie ma co marszczyć rasowych nosów - nasz nos, orli nos kachetyńskiego rodu Gandieri, dwa razy bardziej jest rasowy.

Mistrz Tahanagi, podobnie jak jego stołeczny kolega, mistrz Sioda, sądzili inaczej. Z ich pełnego uśmiechów punktu widzenia, za którym kryło się wrodzone, zwierzęce okrucieństwo, w sali gimnastycznej w ogóle nie należało myśleć. Jako argumentów używali długich aforyzmów o naturze nie-umysłu, który ponoć miał przewagę nad umysłem zjednoczonym; a także licznych przykładów wizerunków księżycy na wodzie i wierzby pod śniegiem.

Pan podpułkownik też uśmiechnęli się pod wąsem, na ułamek sekundy oślepiając świat błyskiem białych niczym śnieg zębów.

Każdemu - swoje.

Nowomodny styl walki o niełatwej do wymówienia nazwie (wszystkie te małpie „tenti-nage” i „waki-gatame” mocno drażniły podpułkownika, ale zmuszał się do tego, by je znosić) zrobił się popularny mniej więcej przed trzema laty. Poprzedzały go szlachetny boks według reguł markiza Quinsbury i sportowa szermierka odciążonymi mannheimskimi szablami. Stało się tak dzięki tym samym Brytyjczykom w kracjastych kepi, którzy pierwsi zawarli pokój z wojowniczym imperium Ajnów-w rezultacie jedni wyspiarze uwolnili się od przyczyny wiecznych kłopotów na drugim krańcu świata, w niebezpiecznej bliskości swoich kolonii, a drudzy umocnili swe pozycje na dalekowschodnim brzegu azjatyckiego kontynentu. Nawet popularne broszurki dotyczące wojennych sztuk Ajnów najpierw przekładano na angielski, a dopiero potem - na inne języki.

I czasami przychodziło czytać:

„Jeżeli jeden džentelmen stoi szlachetnie przy fortepianie, a drugi džentelmen o tęgiej budowie ciała, należy przypuszczać - marynarz albo tragarz, zamierza czynnie obrazić pierwszego džentelmena poprzez działanie, a konkretnie uderzając go w skroń, to należy, nie tracąc spokoju ducha...”

Przy tym wszystkim pan podpułkownik oddawali cześć należną angielskim mistrzom. Co więcej: jako jeden z pierwszych nalegali na wprowadzenie podobnego kursu dla zandarmów z wydzielonego

korpusu „Barbarzyńca” J. I. W. A także o to, iżby panowie oficerowie odwiedzali sale, w których praktykowali najbardziej doświadczeni Azjaci. Niewrażliwość na eteryczne działania połączona z uczelnianym kursem walki wręcz: sprawa znana i bardzo pożyteczna - ale I dodatkowa wiedza nigdy nie zaszkodzi, a czasami przedłuża życie. Kto wie, z czym przyjdzie się w nim zetknąć jego ludziom. Mistrz Tahanagi znów ruszył ręką ukośnie przed siebie i trzeba było zareagować. Pan podpułkownik dawno już raczyli zauważyć: liczne chwyt i sztuczki maestro, które okazywały się niezwykle skuteczne podczas pokazów z uczniami rodakami, chybiały efektu przeciwko człowiekowi o sile i budowie kniazia Gandieri. Pod naporem wiatru trzcina się wprawdzie ugina, ale siłą też można słomkę złamać. Każdy ma swoją mądrość i swoje poglądy na życie.

Pokonawszy opór i odwiódłszy rękę przeciwnika w bok, pan podpułkownik kontynuowali rozmyślenia. Wiadomy pociąg przybywa do Mordwińska jutro. Miejscowym żandarmom wydano już rozkazy: wiadomej osobie przeszkód żadnych nie czynić. Śledzić z daleka i nie zbliżać się. No, chyba że wydanoby rozkaz - o którym pan podpułkownik doskonale wiedzieli, że wydany nie będzie.

Wielka gra.

Wielkie stawki.

Szkoda, że w stolicy nie rozpatrzono jego raportu. Oczywiście, w opinii zapierdziałych członków Rady Państwowej do wydzielonego korpusu „Barbarzyńca” J. I. W. biorą wcale nie z powodu umiejętności logicznego myślenia i wyciągania prawidłowych wniosków, ale... Od każdej reguły są wyjątki.

Szkoda...

Dłoń i nadgarstek poraził krótki, ostry ból.

Pan podpułkownik się wygięli i raczyli okazać opór, ale ból tylko się nasilił. Niespodziewanie okazało się, że kciuk został ujęty i wykręcony na zewnątrz, a dowolny ruch zwiększał tylko nieprzyjemne wrażenia.

Chwytny jak makak, maleńki Ajnos uśmiechnął się bez poczucia wyższości.

- Wasza szrachetność? - zapytał troskliwie mistrz Tahanagi, jak zawsze zamieniając „l” na nieco gardłowo wymawiane „r”. - Wasza czujność widzieć? Niewiere przeciwko wierze. Wasza szrachetność widzieć jasno-jasno?

Chwył się rozluźnił i uwolnił umęczony palec.

Pan podpułkownik kiwnęła głową, nie okazując najmniejszej urazy. Nauczysz się przegrywać, zrozumiesz, jak zwyciężać. Szkoda, że mądrze z Rady nie zechcieli rozpatrzeć jego raportu. Ten tu, wiecznie się uśmiechający, tęgi i starszy już mistrz z pewnością by go rozpatrzył-i zrozumiał.

Z pewnością by zrozumiał.

Łamać trzeba okrężną drogą i zaczynając od drobiazgów.

Od rzekomych drobiazgów, częstokroć bywających setki razy ważniejszymi od zwodniczo najważniejszego.

- Dziękuję wam, mistrzu - pan podpułkownik lekko wstali i skłonili się, odpowiadając na króliczy uśmiech Ajnosa. - Jestem wam bardzo wdzięczny za naukę. W razie potrzeby, niechże się pan do mnie zwraca bez najmniejszych skrupułów.

Służbowa wizytówka, pomimo oficjalnego wyglądu, miała kawową barwę i złotą obwódkę.

„Wydzielony korpus „Barbarzyńca” J. I. W. - wyraźne drukowane literki. - Książ Szałwa Timurazowicz Gandieri”

A niżej, drobniejszą i niemal nierozróżnialną czcionką: „podpułkownik”.

## VIII. RAJZKA-KNIAHINI

### ALBO /ZEPTU/ZYNE WYWARY

*Rozwesel nas w zamian za dni, gdyś nas utrapii,  
Za lata, w których oglądaliśmy niedołą!*

*Księga Psalmów, Psalm 90*

Zachorowała ciężko.

Gorączka, mąlna. W piersi coś uciska serce, oddychać się chce, ale nie wychodzi. Serce nie może oddychać, to się udławi. Źle. Obco. Należałoby ucałować rodzoną piersiową żabę w oślinioną gębę bez warg, kiedy gołąbka ukazuje swój pysk w rzadkich chwilach odzyskanej przytomności. Dławisz się i krztusisz - a wszystko znajome i zwykle: knebel duszności i natarczywa tarka kaszlu. Lepiej tak. Le-

piej? Nie wiesz, nie pamiętasz, nie rozumiesz. Niczego. Wszystko krąży i wiruje, podskakuje, stuka kołami piekielnego pociągu, trzęsie na stykach szyn - wlażłaś głupia do skrzyni?! Akurat, poczekaj, pomęcz się, powierć jak dżdżownica, kiedy ktoś ją na pół łopatą przetnie!

Słyszysz? Z dalekiej przeszłości pogrzebowym zawodzeniem, gorącym deszczem po obnażonych nerwach, i twoim własnym głosem:

- Zapłacili

Za miłość, za jej brak i za wszystkie wystrzały.

Odstrzelili -

Od celu tylko bryzgi poleciały.

To jesień

Odlatuje nasza pamięć, nasze myśli,

Nasze zmysły.

Zostają tylko liście i śmiecia kawały...

Zachorowałaś.

Nogi gdzieś przepadły. Były, ale się zbyły; rozplynęły się w mroku gęsto usianym kłującymi gwiazdeczkami. Moje nogi! Au! Gdziejesteście? Milczą. Nie odpowiadają. No dobra, nie żal. Zamiast nóg jest fortepian. Koncertowy, czarny, lśni połyskiem. Od fortepianu zalatuje dziegiem, jak od butów tego trupa, co leżał tam, przy wrotach. Trup?! Zabierzcie go!!! Nie, to jednak fortepian. Uchylił wieczko i szczyrzy się prosto w twarz przepastną paszczą. Tchnie martwizną, zdechłymi gamami - do minor, ce bemo!... Forte pian?! Dlaczego? Skąd? Wyziębione klawisze uparcie pchają się pod palce, łaszą się niczym pozbawiony sierści, kościany kot... chcecie mazurek? Walc? Arietkę? Oto już dźwięczy w ogromnej sali, pomiędzy pełnymi świec kandelabrami:

- Fiedoniuszka? - pasaż bulgocze trylami. - Popatrz, Fiedoniuszka... zdycha, czy jak?

- A-a - odzywa się z lewej buczący, brzmiały jakby z głębi akord.

Forte pian zanosi się chichotem i nagle załamuje się w ataku hysterii. Dźwięki nachalnie cisną się do warg, jak przedtem klawisze - podpałce; dźwięki niczym krople wlewają się w usta... precz! Zabierzcie! Trucizna! Śmierć! Z tajemnej głębi wypływa wyrzyta w niej

na zawsze wiedza: teraz przychodzi czas strasznej zapłaty, ale - nie wolno! Jad!

Piećło!

Dźwięki się rozbryzgują i spływają gorącymi kroplami po brodzie.

- Nie chce - pomrukuje z dala ponure glissando. - Na darmo do Szeptuchy chodziłam, jajeczek jej dawałam, kapustki kwaszonej... Nie pije, musi urok ktoś na nią rzucił...

-A-a...

Słyszysz? Z dalekiej przeszłości, której już nigdy nie będzie - niczym szmer zamierającego przy boju, niczym piana o skały, na strzępy:

- ...na stos jeden

Wszystkie troski, znaleźiska i zguby

Skrzypnąć zapalką,

Nawdychać się gorzkiego dymu i odejść.

Wszystko co było

Nie w smak, nie w duszę, nie na temat,

Nie pod wiek,

Nie po sercu i zupełnie nie po drodze...

Zachorowałaś.

Źle.

Jutro będzie gorzej.

A pojutrze-lepiej.

Prawda?

Nie, Kniahini, ty naprawdę tak myślisz?! Naprawdę...

Ocknęłaś się oblana potem.

Zimna, ale żywa.

Po maleńkim okienku całą chmurą skakały słoneczne zajączki. Wesole, jasne i wypłowiałe. Kicały przez uchylone drzwi do sieni, potem dalej, do izdebki, gdzie iskrzyły się na srebrzeniach i złoceniach szafki na święte obrazy. Ciężko było oddychać, ale nogi znalazły się na swoim miejscu. I żadnego fortepianu. Przepadł gdzieś, przekłęty. Stuka tylko gdzieś daleko, podskakuje na spojeniach - słyszysz? - z klawisza na klawisz, od podkładu do podkładu... pociąg.

Nie do piekła, nie.

Bliżej.

Tak, Kniahini, dobrze wiesz, że świadomość, zrozumienie i brak mocy, by cokolwiek zrobić, bywają czasami gorsze od dowolnej choroby. To trąd duszy. Gnijesz za życia, a nie boli. Dlatego, że wyrwałaś się z gorącego bagna piekielnej gorączki nie bez pewnej ceny. Dlatego, że pociąg. Szumi i sapie na przystankach. Dlatego, że uparta Lenka Fert, twoja wypróbowana współpracowniczka, wtedy właśnie się zarzekała: „Wyciągnę, mateńko! Kark skręcę, cholera jasna, a wyciągnę! Zagramy jeszcze na cztery ręce?” Ona mówiła, a ty zabraniałaś. Widać, niezbyt stanowczo. Nie posłuchała twojego zakazu Lenka.

Stuka pociąg; buchają kręgi dymu z kominu.

Wiezie.

I Siła rozbudza w twym brzuchu ciepły ogieniek.

Grzeje.

Skrzypnęły drzwi. Do środka, do komory wsunęła się... nie, nie wdowa Sochaczyczna, darmowa towarzysznica. I nie byczy Fiodor, z jego wiecznym: „A-aaa”. Weszła chyłkiem jakaś staruszka; drobna, pomarszczona, w starej, wytartej salopce pod futrzaną, wyświechtaną kurteczka. Zamiast twarzy, pieczony ziemniak. Tylko oczka pod gęstymi, krzaczastymi brwiami błyszczą ciekawością.

Zahaczyły ją te oczka.

Na kulawym taboreciku stała pełna czarka.

- No popatrz... - zatrzeszczały jej starcze, bezzębne usta.

- Popatrz... nic z tego...

Chwyciła czarkę suchymi, sękatymi palcami i przysiadła na brzętku pryczy, cichutko niczym myszka.

- Wypij, złotko! Ulży ci.

Podniosła usłużnie czarkę do twoich warg.

Pamiętasz, Raszka? -wtedy usiadłaś. Wiedziałaś, że nie dasz rady, że łatwiej by ci było rzekę zawrócić, niż się poruszyć - a jednak usiadłaś. Wzięłaś czarkę z łaskawych rąk. A chciałoby się ująć krusze, sterane życiem nadgarstki niespodzianego gościa; wziąć tak, jak umiałaś dawniej.

Spojrzałaś w jasne, ciekawe i żadną miarą nie starcze oczy

- nieznajoma miała oczy młodej dziewczyny.

- Wywar? Zdrowotny?

- Wywar, złotko! Z siedmiu trawek, ośmiu korzonków! Nieboszczyka na nogi podniesie. Pij, nie bój się. Szeptucha nikomu jeszcze krzywdy nie wyrządziła.



-Nieboszczyka na nogi podniesie? A żywego wtrąci do grobu?

- Żartujesz, złotko? To dobrze, skory żarty się Ciebie trzymają - czyli choroba odpuszcza...

- Babuniu, to pop odpuszcza, grzechy!

Pociąg wciąż stukał, sypał darami i nieustannie się zbliżał.

I oto zdobyłaś się na wysiłek; zakołysałaś czarką, rozbryzgując ciężkie, wonne krople. I zapytałaś wprost, surowym tonem, jakbyś pytała starą znajomą:

- Dlaczego zapragnęłaś mnie otruć, Szeptucho kęs-precelska? Co ci zrobiłam?

Starucha nie uciekła ze spojrzeniem w bok. Poruszyła zapadłymi wargami:

- Pij - poprosiła.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem:

- Sama wypij. Wyleczy cię ze starości.

Mierzyłyście się wzrokiem: nieuchwytna Rachel Altschuller, mag w prawie\*, po odsiadce zesłana na katorgę - i babka Szeptucha, jakich mnóstwo po wsiach i siolach, znachorka w chuście, wiedźma, po której nędzną duszę posterunkowy, a co dopiero żandarm z korpusu „Barbarzyńców”, wstydziliby się pofatygować.

Drwiny kolegów byłyby bezlitosne.

\* Mag w prawie - żart autorów i aluzja do rosyjskiego idiomu „wor w zakonie” (złodziej w prawie), oznaczającego starego, doświadczonego przestępcę, cieszącego się autorytetem kompanów i niekiedy nawet władz (przyp. tłum.)

- Życ jednak ci się chce? - ni to zapytała, ni to samej sobie udzieliła odpowiedzi starucha. - No to nie pij, skoro nie masz życzenia.

Wstała.

- Poczekaj! Poczekaj, mówię!

Przystanąła.

- Kogoś chciała oszukać, starucho? Mnie, fartowną Damę Dzwonkową? Jak się zmęczone, sama do Ciebie przyjdę i poproszę: daj łyka! Przecież ty mnie w ogóle nie znasz! Za co?! Coja ci zrobiłam? Za jakie winy mnie nie lubisz?

Zmarszczył się pieczony w soli ziemniaczek twarzy. Oczy pociemniały. Jakby ktoś nalał w nie ołowiu.

- Złotko, czemu miałabym Cię nie lubić? Lubię, a jakże. Nad Twoją trumną najgłośniejszym bym rozpaczęła. A gdyby już doszło do

tego, że trzeba by na tamten świat odprawić twojego kompana, tego rozhukanego Roma, to już bym się chyba zapłakała z radości na śmierć. Nie na darmo w niebo dymy puszczałam. No dobra, co tam gadać... nic się nie dzieje bez przyczyny. - Stara umilkła na chwilę. - Chcesz, to mnie, Szeptuchę, wykończ. Dla ciebie to drobiazg - trudniej łeb kurczakowi ukreć. Wybacz albo nie - wszystko mi jedno. Nienawidzę was, plemię magów. Przez was moje nędzne życie poszło całkiem nie tak!

- Siadaj - poleciłaś starej.

Szeptucha przysiadła bokiem na brzeżku pryczy. Nie wyglądała przy tym na skruszoną, patrzyła spokojnie i z rezygnacją. A w jej oczach błyskały isierki... nienawiści? Nie, bólu. Nie był to starczy ból - ale jasny i żywy.

- Tobie, złotko, żeby cię skłonić do miłości - wymamrotały bezzębne usta - czego było potrzeba? Tam, na swobodzie?

Chciałaś ukryć uśmiezek, ale ci się nie udało.

- Wody. Szampana. Niczego. Czemu pytasz?

- Boja, złotko, za to twoje „niczego” cały rok musiałam pełzać po ziemi za korzonkami. Na czworakach. Wcześniej się zmarszczek dorobiłam - o, całą gębę mi poryły. Palce mi powykręcało. Grzbiet w garb wygięło. A ty się śmiejesz! „Niczego”, mówisz. „Kielich szampana!” - i chcesz, żeby Szeptucha takich jak ty lubiła! - starucha umilkła i odetchnęła. - Aj złotko, byłam głupią dziewczką, matuli nie słuchałam! Matula była mądra, gdy mówiła „Sowa ma swoje talenty, a sokół swoje! Siedź ty w domu, dzieciно, siedź cicho i nie ściągaj niepotrzebnego wstydu na młodą głowę!”. Nie uwierzyłam jej! Do samego Mordwińska uciekłam. Myślałam: mogę robić takie rzeczy, jakich starsze nie mogą- krowy okiem uroczyć, sił kogoś pozbawić, miłość serdeczną albo wrogość zajadłą komuś wyszeptać... człowieka zniszczyć mogłam wtedy w ciągu pół roku, nie trwało to dłużej!

Teraz się powstrzymałaś. Nie uśmiechnęłaś się.

- A ty śmieję się, złotko, śmieję się, jeśli wytrzymać nie możesz. Śmieję się ze starej. Sama bym się pośmiała, ale zębów nie mam, nie wydolę się śmiać! Śmiech przecież: młoda Szeptucha ze stołecznego Kęs-Precla po mieście Mordwińsku hula, waszych braci po tajnych kryjówkach i gawrach szuka - weźcie matulu-ojczulku na naukę! Odsłużę! Pod iloma musiałam nogi rozłożyć, zanim mi pokazali tego, kogo szukałam - nie musisz tego wiedzieć. Wielu ich było, kleili się jak muchy do cukru. Ale nie oszukali, doprowadzili tam, gdzie chcia-

łam. Drobniutki był -a głos miał jakby z beczki mówił! Wypisz, wymaluj, protodiakon. Trupiarz, mówili, zawołany! Jak trzeba moc przywołać albo kogoś zagadać - nie masz lepszego. Stałam przed nim, jak teraz przed tobą stoją...

Dalej już nie słuchałaś. Nie było potrzeby. Wciąż ta sama historia: wiejska dziewczka z rodziny dziedzicznych wiedźm ucieka do miasta. Bez paszportu, znajomości; na złamanie karku. Włóczy się po gawrach, prosi o naukę. Gotowa przed każdym zadrzeć kieckę - żeby tylko... bo przecież nie ma czym zapłacić za naukę. A Szeptusze kęsprecelskiej na koniec jeszcze się nie powiodło; naprowadzili ją na trupiarza. Nekromanci, plemię przeklęte, w każdej szajce ich unikają. Trupiarzowi nawet katorga nieprzypisana. Namydłona pętla, ot i cały wyrok.

Dziewka ugrzęzła po uszy.

Dobrze choć, że znaku na pamiątkę jej nie zostawił.

A może zostawił? Proszę, czarka pełna, pełniutka...

-1 wróciłam ja, złotko, do domu. Jadę, a przez cały czas myślę: czemu mnie wygonił? Przez to, że mu się nie spodobałam? Że po drodze do niego cześć niewieścią gdzieś zostawiłam? A może coś tam jeszcze wymyślił, ten trupiarz? Matula nawet za bardzo się nie złościła - tylko na warkoczu mnie powłóczyła. Powłóczyła, powłóczyła i dała spokój. Kto zepsuta Szeptuchę weźmie za żonę? No i doczekałam się swego wieku. A ty, złotko, chcesz, żeby Szeptucha cię lubiła... Ja nie ciebie truć chciałam, tylko swoją dolę zgubioną! No, dość tych bzdur! Pójdę pomaleńku...

### *Notatki na marginesie*

*Jeżeli podchwycić w locie mętne, starcze spojrzenie, gdy Szeptucha nie zdąży się jeszcze odwrócić, to ujawni się samo:*

*...kamień.*

*Wielki, oślizgły. Od dołu porośnięty brodą mchu. Z wierzchu szczelina wije się niczym żmijka, ukosem; obok prawdziwa żmija grzeje się na słońcu. Położyła trójkątny leb na szczycie kamienia i drzemie. Dobry kamień, słodko na nim gadzinie spać; słodko stonogom pod kamieniem, w mroku i wilgoci — żyć nie umierać.*

*Niewielki pożytek z kamienia, ale przecież jest.*

*Długo tu leży, ten kamień.*

Twój głos dopadł staruchę w sieni.

Zatrzymał ją.

Dobrze, że izba pusta, nikogo nie ma.

- Zazdroszczę ci, stara. Zazdroszczę ci życia i wiecznie młodej nienawiści. Nie zrozumiałaś niczego, a ja nie mogę ci niczego wyjaśnić. Nie wolno mi nawet, skoro chcę żyć wedle Prawa. Jedno mogę ci rzec bez obaw: nie z powodu twojej zmarnowanej czci niewieściej wygnał cię twój trupiarz. Każdy by cię przegnał: widek, fortacz, a choćby ja sama, gdyby mi się trafiła taka dziewczka, jak ty...

- A czemuż to? - rozległo się ledwie słyszalnie z sieni. - No, czemuż to, złotko?! Mów!

- Wiele umiałaś. Ale za wcześnie to przyszło. Nie można by z ciebie zrobić chrzesniaczki - współpracownicy. Powinnaś podziękować twojemu trupiarzowi - życie ci ocalił. A tyje przeżyłaś.

W sieni zapadła chwila długiej ciszy, a potem trzasnęły drzwi zewnętrzne.

Przez chwilę ci się wydawało, że na ganku stoi młodzietka, jędrna dziewczka, córka swej matuli. Ciasno zapleciony jasny warkocz, iskrzące się oczy, ciemne, jak malowane węglem brwi... do żadnego Mordwińska się nie wybiera.

Nigdy.

Mignęło-i znikło.

## IX. DRUC-KONIARZ

### ALBO CZAJ O/TATIMIEJ PARADY

*Błogosławiony Pan,*

*Który nie wydał nas na łup zębom ich!*

*Dusza nasza jak ptak umknęła z sidła ptaszników;*

*Sidło się podarło, a myśmy wolni.*

*Księga Psalmów, Psalm 124*

Przestałeś już nawet obsypywać przekleństwami drwali nierobów, którym się nie chciało obciosywać sęków na zwalonych pniach.

Nie, drwali za leni uznać się nie dało. Język mógłby odmówić posłuszeństwa temu, kto zarzuciłby lenistwo ludziom, co z własnej woli wynajęli się do roboty, do której za karę pędzą opornych katorżników. Ale nic sobie nie robili ze sterczących na wszystkie strony sęków. A konie, rozumiesz, szarpią się ze wszystkich sił, kiedy taszcą zahaczające o wszystko pnie ku rzece, tam gdzie za miesiąc albo półtora przyjdą flisacy, żeby pozbijać z nich tratwy i rozpocząć spław.

Koni było ci żal. Ludzi - nie. Nikt ich nie zmuszał, sami najęli się do tej roboty. Ale nie pomagały przekleństwa ani nagrody. Na upartego Roma patrzyli jak na przygłupa, który słabuje na umyśle.

- Co? Sęki? Mamy z tobą, warnacza mordo, kijki strugać? Las mamy rąbać, a on o sękach gada!

-Ale przecież konie zamęczycie, bydlaki! I tak już niemal padają z wysiłku! Błoto po brzuchy!

- A tobie co do tego? Wytrzymają...

Mógłbyś im kołki na głowie ciosać, a oni swoje, leśne mordy kosmate!

Trzeba było wciąż topór ze sobą nosić i obciosywać pnie do słownie w locie. Niewiele pomagało, ale zawsze coś. Innym wozakom i tego nawet robić się nie chciało; męczyli swoich czworonożnych pomocników tak, że zwierzęta padały z wysiłku. Ot i durmie, szmaciarze, inaczej ich nie nazwiesz! Nie żal wam koni, to o sobie pomyślcie! Padnie jeden z pociągowych - od razu stracie czas, który zyskaliście na szybkim zwaleniu drzew. A przecież koń też kosztuje.

Nie, nie pojmują.

Już przy samej stercie zwalonych na brzegu pni wrony perszeron nagle się potknął - i zachwiał się na nogach, kolebiąc na boki. Ale jednak dotaszczył ciężki pień do miejsca przeznaczenia.

Wstał.

Rozwiązałeś postronki, trzymające pień na włóce. Perszeron podał się ku przodowi i pień posłusznie stoczył się w błoto, obok swoich braci. Podszedłszy do chrapliwie dyszącego konia, poklepałeś go po mokrym kłębie. Odczekałeś chwilę, nie odejmując dłoni; jak się tak potrzyma rękę na końskim grzbiecie - na pewien czas ustępuje

łamanie w stawach. Dawno już to zauważyłeś. I nic do tego magii czy sztuczkom. „Natura” -jak lubi mówić Kniahini.

Taaa... koń był zacny, choć może nieco starawy. Ech, podebrać by go z Romem pomocnikiem, małym dłućkiem wydlubać jamki w dolnych zębach, a spomiędzy górnych zębów wybrać trochę mięsa, żeby go odmłodzić - na jarmarku, *more*, poszedłby jako ośmiolatek!

*Aj, syr me dziawapo wiosce, doresa balwas!*

Odpocząwszy i dawszy odpocząć koniowi, zająłeś się przegładem kopyt. W ogon, w duszę, w trzydziestu sprawiedliwych! Podkowa na tylnej prawej pękła na pół, jedna połówka gdzieś przepadła, druga trzymała się na jednym hacelu, przeszkadzając koniowi w chodzeniu.

Siły w rękach jeszcze ci trochę zostało, wystarczyło więc tylko wyrwać rozchwiany gwóźdź i wyrzucić go precz. Razem z resztkami podkowy. Ej, nogi by z dupy powyrywać kowalowi za taką robotę! No nic, w osadzie jest zapas podków i haciele się znajdują- podkujemy elegancko i będzie jak nowa!

Pieszczotliwie poklepałeś po karku krępego perszerona - i krzyknąłeś do drąga woźnicy, który akurat smagał swoją sroką kobyłkę:

-Stiepan! Ej, Stiepan, posłuchaj! Mój Węgielek zgubił podkowę! Przejdę się do wsi i wrócę!

Małomówny drąg Stiepan kiwnął milcząco głową, a ty razem z koniem niespiesznie ruszyliście do osady.

Rzadkie marcowe błocko, rozdeptane przez podkowy i włóki, wkrótce zostało z tyłu. Pod stopami czuło się miękko sprężynującą warstwę zeszłorocznego igliwia. Szło się lekko i oddychało się lekko, pełną piersią. Na jakiś czas zapomniałeś nawet o bólu w stawach i postrzałach w grzbiecie; las upajająco pachniał naciągającą wiosną, przejrzystym błękitem nieba, parnymi nocami i burzliwym naporem młodego życia - na razie jeszcze ukrytym, podskórnym, ale niedługo przyjdzie czekać!

Wiosna władczo brała swoje.

Kniahini ostatnio wyraźnie się polepszyło. Jak wstała po gorączce, to jakby odżyła. Pomogło wiosenne powietrze? Uspokoiło przekłętą żabę, która uwiła sobie legowisko w piersi Raszki? Możliwe. Ale mało prawdopodobne. Kto jak kto, ale ty, Drucu-Bezdomny

*\* Przejdę się po wiosce, świniny nabiorę... (rom.)*

najlepiej powinieneś wiedzieć, co to za żaba i czym ją, paskudę, można uspokoić. Możesz uznać, że niczym.

Oprócz takiego drobiazgu, o którym grzech choćby zamaryć.

Czyżby Dzwonkowa-chrześcianka mimo wszystko się zdecydowała?! Dowiedziała się, odszukała... Nie, bzdura, być nie może! Mogło przecież Kniahini po prostu samo z siebie się polepszyć, mogła podłapać nieco fartu, na koniec.

Mogła.

Ale... sam w to nie za bardzo wierzysz, prawda?

Co prawda, w to drugie uwierzyć by ci było jeszcze trudniej.

•

Nad chatką unosił się ciepły, z daleka widoczny, przyjazny, domowy dymek.

„Kniahini coś gotuje” - domyśliłeś się. I rzeczywiście, natychmiast doleciał cię smakowity zapach dochodzącego krupniku na słoninie; Kniahini i bez żadnych sztuczek potrafiła ugotować coś niesamowicie smacznego z - mogłoby się wydawać - całkowicie niejadalnych produktów. W brzuchu zamruczało po kociemu. Wysiłek na wiosnę sprzyja rozbudzeniu apetytu. Ech, podjeść by sobie właśnie teraz. Kniahini nie pożałuje, wydzieli porcję jak się patrzy - ale nie wolno. Paskudna to rzecz: wałkonić się i bandzioch napychać, kiedy inni ciężko pracują. Choć wszyscy to kmioty durne i wsioki, ale we wspólne wprząglęś się z nimi jarzmo.

- Co ty, Druc, świętujesz?! - krzyknęła wesoło Kniahini jeszcze z daleka, ujrawszy idących ku niej Winnego Waleta i jego kulejącego nieco konia.

Odmłodziła, czy co? Włosy jej odrosły, na policzkach jarzył się rumieniec, zmarszczki się wygładziły, a w oczach co chwila połyskiwał znajomy, wesoły błysk. Cud, nie inaczej! Ale tyś przecież lepiej od innych wiedział, że cudów nie ma. Bywają, ale starannie przygotowane przez takich jak ty i Raszka.

Takich, jakimi byliście przed przeklętą katorgą.

- A gdzie tu świętować?! Ot, Węgielka prowadzę do podkucia.

- A wy, jakbyście się zmówili! Przed półgodziną Fiedoniuszka się przywłókł: drwalowi z Zajezierza nogę przygniotło, a on rzucił się do wyciągania. Sam jeden pień podniósł i chłopa wywłókł. Zajezie-

rzec choćby tańczyć może - nic mu! - a Fiedoniuszka prawie brzuch sobie zarwał. Leży w izbie i stęka.

Faktycznie, z pobliskiej komory dolatywały jakieś posepne dźwięki, które w pierwszej chwili wziął za wycie wichru w kominie.

- Nic mu nie będzie. Na jego brzuchu całą wieś byś podniósł...

Akulka! Przyniosłaś soli?

Tuż obok Kniahini stała z ciasno zawiązanym woreczkiem w dłoniach zadyszana Akulka, przedstawicielka licznej rodziny Łukawiaków.

-Przyniosłam!

- No to usiądź sobie i odpocznij. Krupnik zaraz będzie gotów.

- Oj, nie, dziękuję pięknie, ciotuniu Raszelko! W domu się wściekną! Muszę dziś jeszcze przy kądzieli usiąść, a potem mamie pomóc przy praniu. Muszę lecieć.

W twarzy Kniahini drgnęło coś ledwo dostrzegalnie. Jakby struna pękła pod palcem.

- No, to zajdź do spiżarni i weź ze sobą do domu kawałek słoniny i kęs chleba. Chłopom nie ubędzie, a u was - wiem! - w komorze pusto, jakby w niej diabeł tańczył. Tatko chyba wszystko przepija? Druc, nakładłbyś mu po mordzie, czy co?

- Oj, dziękuję, pięknie dziękuję.

Twarz Akulki nagle się zachmurzyła - dziewczynie zrobiło się wstyd za swoją rodzinę. Pociągnęła nosem i szybciotko skoczyła za róg chaty, do spiżarni z zapasami.

Węgielek nagle targnął się wstecz, głośno parsknął i zaczął się cofać.

Uspokajająco poklepał konia po karku i obejrzawszy się za siebie, zobaczył wychodzącego z bocznej izdebki Fiedoniuszkę Sochacza. No tak, obawy konia były po części zrozumiałe: chrześniakiem wdowy Sochaczychy już przedtem można było dzieci straszyć, a co dopiero teraz! Ogromne byczysko, mogące w pojedynkę podnieść ciężki pień, kulało i szło zgięte zupełnie nie po ludzku, kolebiąc nieposłusznym ciałem z boku na bok.

Ale żeby koń się przestraszył?

- Gdzie leziesz? - ostro krzyknęła Kniahini na kulejącego draba.

- Idź się położyć, durniu!

-A-a...

- Co „A-a”?

- Wody bym się... napił - zachrypiał w odpowiedzi Fiedoniuszka.



I pokuszykał obok Kniahini za róg - gdzie stała beczka z wodą do picia.

- A niech go... - mruknął, bo na więcej zdobyć się nie mógł.

Węgielek znów parsknął i zachnął się na stronę, ciągnąc za sobą pustą włókę, ale zdążył go zatrzymać za uzdę.

- Prrr! Poczekaj! Zaraz cię podkujemy, mój ty piękny.

W tejże chwili zza rogu rozległ się rozdzierający uszy krzyk.

Krzyczała Akulka.

A gardło miała-jak trąba jerychońska.

Ściany mogłaby krzykiem walić.

### *Notatki na marginesie*

*Jeżeli mocno złapać za kędziory Akulki Łukawki i jeżeli dziewczyna nie zmruży oczu ze śmiertelnego strachu, to pomiędzy szarymi iskierkami jej oczu można by zobaczyć:*

*...wierzba.*

*Na brzegu, nad samą wodą. Dlaczego płacząca? Wesoła wierzba. Skłoniła się witkami ku pluskom i szczebiotom, cała obwieszona lepкими listeczkami. Po jej pniu drapie się samotna mróweczka. W gęstwinie liści zbłąkała się para szczyglów, jedno drugiemu przyjazne piosenki podśpiewuje. Wiatr trąca żółte warkocze i figlarnie je rozplata. No, dobrze, choć dzień, ale mój. Niech będzie.*

*To nie wierzba, tylko dziewczyna; i nie dziewczyna - wierzba.*

Róg izby sam skacze mu na spotkanie i odlatuje w bok.

Oto wrzeszcząca przeraźliwie Akulka z wytrzeszczonymi ze strachu oczami. Leży na plecach i rozpaczliwie, tyłem, stara się odpęznąć. Chude łopatki bezsilnie miały marcowe błoto.

Obok, przy beczce z wodą niezdarnie odwraca się Fiedoniuszka, usiłując chwycić stylisko leżącego obok topora. Ciało nie za bardzo chce go słuchać - rzecz ci w końcu znajoma, Walecie atutowy. Chłopak wreszcie się przełamuje i jego palce chwytają stylisko.

Prostuje się.

Dlaczego dziewczyna tak się przestraszyła skulonego Fiedoniuszki? Chociaż i Węgielek...

Od wykopanej w ziemi piwnicznej jamy odwraca się bury, kosmaty masyw, któremu towarzyszy groźny pomruk. O, zaraza! A przecież koń wyczuł, uprzedzał!

Niedźwiedzica!

Chyba niedawno wylazła z barłogu. Rozjuszona jest i zawzięta. Poczula zapasy w spiżarni, podeszła, by sobie podjeść - a tu na przeszkodzie chłopak i dziewczyna.

Zwierz był wygłodniały po zimowym śnie, jego zmierzwiona sierść zwisała kosmykami - ale postawę leśna władczyni miała iście książęcą, i parła przed siebie na czworakach, nie wstając na zadnie łapy.

Takie są najbardziej niebezpieczne.

Chybaś się doigrał, Romie. Niedźwiedzica jakby podsłuchawszy twoje myśli, natychmiast zrozumiała, kogo z tych dwojga bardziej się należy obawiać i nie zwracając uwagi na kwiczącą dziewczkę, ruszyła na Fiedoniuszkę.

Chłopak nie stchórzył; zebrał się w sobie i niezbyt zręcznie uniósł topór.

Gdyby chrześniak wdowy Sochaczychy był w pełni sił (a siły w barach za trzech by starczyło) - zwierzak miałby się z pyszna. A tak, topór tylko bokiem musnął czerep i rozciął łapę - słabo, niegroźnie.

Głuchy ryk, zamach strasznej łapy i chłopak pofrunął w bok, a topór poleciał w drugą stronę.

Sprawa była kiepska od samego początku, ale teraz to już wszystko się porąbało. Niedźwiedzica rozjuszyła się nie na żarty; jeżeli się jej teraz nie zatrzyma, to drwale będą zbierali z nich ochłapy po kątach! Ale jak ją zatrzymać? Strzelby nie ma, rohatyny pod ręką brak, noża na niedźwiedzie też, a choćby i był, ten kozik...

Gdzieś w głębi nieśmiało plusnęła znajoma fala. Zamarudziła, i jakby pytająco zastygła w zenicie. Potem rozlała się na wszystkie strony dźwięcznymi akordami gitary, gorącym warem uderzyła do głowy, w rozhlukany łeb Winnego Waleta, Dufuni Druc-Wiśniewskiego, oszołomiła niczym ciężkie wino i zrozumiałeś, ostro i wyraźnie, pograżając duszę w rodzimym, taborowym tańcu: tak, tylko tak!

Nijak inaczej.

I jeszcze zrozumiałeś, że życie to niezła sztuka.

Było.

W następnej chwili fala z rykiem wylała się na zewnątrz.

Mgnienie siły, mgnienie władzy.

Mgnienie upajającej woli i poczucia wszechmocy.

Mgnienie, za którym - śmierć.

Mrugnij tylko - a odejdziesz.

Ale Beznosa czeka na progu, niczym uliczna żebraczka. Czasu jeszcze jest dość, czasu jeszcze wystarczy - dożyć w pełni. Zdaży się.

- Ach, pięknotko, czemu płaczesz? Czemu straszysz dobrych ludzi?! Łapkę ci skaleczyli? Boli łapina? Nic, tatko zaraz pocałuje i wszystko minie... prawda?

Palce toną w kosmatym, gęstym futrze. Gładzą, rozplątują; dłoń przykrywa rany i czujesz, jak przerażony ból ucieka z niedźwiedziej łapy, jak zatrzymuje się powoli wyciekająca z rany krew i oto wyraz zwierzęcych oczu się zmienia, nie miga już w nich zmieszana z bólem wściekłość - ale wdzięczność i... zdziwienie? Zdziwienie - u leśnego zwierza?

Tak.

Tak! *Aj, mama, dewel dala, aj ne, dewel dała!*

- No i masz, sama widzisz, już po wszystkim. Zostaw chłopaka, on się po prostu przestraszył. Więcej nie będzie. Ty go nie rusz - to i on ciebie nie będzie ruszał. Umowa lepsza od pieniędzy...

- Umowaaaa... - mruży niedźwiedzica. - Lepszaaaa.

Mruży po swojemu, po niedźwiedzim, ale plunął ci teraz w usta dwugłowy wąż Lennami i nie ma dla ciebie języków ludzkich czy zwierzęcych - jest jedna mowa.

Palce, które nagle stały się jak dawniej posłuszne i zręczne, drapią niedźwiedzicę za uchem, pod dolną szczęką - władczyni lasu rozkosznie mruży oczka, rozluźnia się i odwraca na brzuch, podstawiając ci zapadnięte brzuszysko.

\* *Aj, mamó, da Bóg, aj da nam Bóg! (rom.)*

Niewidzialne, wiążące was nici trzeszczą, przesywając całe ciało słodkim dreszczem niemożliwego. Ale teraz nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych, teraz jesteś Bogiem maleńkiego światka, Ogrodu Edeńskiego, w którym żyjesz tylko ty i niedźwiedzica, od tej chwili posłuszna ci i gotowa wykonać wszystko, co jej każesz.

Nici napinają się coraz bardziej.

Wibrują od napięcia, a ich drżenie ogniem rozrywa twoje wnętrze.

Wszystko. Kończą ci się siły. Ale zdążysz. Ostatnie posłanie, ostatni rozkaz, ostatni zwód - i wtedy naprawdę będzie po wszystkim. Można będzie się rozluźnić. I chyba nawet się uśmiechnąć.

Ale to - potem.

Potem.

- No, to wszystko, wszystko, moja ty piękna. Dość lizania. Teraz stąd odejdz. Tu mieszkają ludzie, to nie twoje miejsce. Las jest wielki, znajdziesz coś do zjedzenia. A tu przychodzić nie trzeba. Zrozumiałś? Nie trze-ba! Widzę, żeś zrozumiała. Mądrała ty moja! Mądrała i piękność! No, na pożegnanie, chórem: *piro możajsko drom, chaczi li te...* Po wielkiej drodze, po możajskiej, gnałem koniki, ach, matulu, kradzione... No, dobra, idź!

Pożegnalne klepięcie i niedźwiedzica obejrawszy się kilka razy przez bark, truchtem odchodzi w las. Nici się naciągają, naciągają - i zaczynają rwać, niczym struny gitary, aż zęby przejmują bólem. Zostały trzy, dwie, jedna... A-ach! Ostatnie szarpnięcie odzywa się szczególnie mocno. Jęknąłeś i zacisnąłeś zęby. Niedźwiedzica, już bez oglądania się za siebie, znikła pomiędzy drzewami.

Teraz można się rozluźnić.

Teraz można wszystko.

Teraz...

Straszliwy skurcz wrywa się na zewnątrz, łamiąc i kalecząc twoje i tak już umęczone ciało - a przed oczami wybucha czerń tej nocy, która nie będzie mieć końca.

Teraz - rzeczywiście wszystko.

Przyjmij, Panie, duszę raba twojego...

## X. RAJZKA-KNIAHINI

### ALBO AJ MAMO, JMUTNO BYŁO...

*Ty znowu człowieka w proch obracasz*

*I mówisz: Wracajcie, synowie ludzcy!*

*Księga Psalmów, Psalm 90*

- Dru-u-uc! Aj, baw\*...

Leżał niewygodnie, na boku i zwinąwszy się w kłębek jak dziecko. Ostre kolana podciągnął do samej brody, smużka śliny spływała mu z ust na ramię, zostawiając ślad niczym ślimak. Zewnętrznie był jeszcze ciepły, leżał z uśmiechem na ustach, ale wewnątrz był już sam lód i dusza hulaki Dufuni Druc-Wiśniewskiego, silwańskiego Roma, dusza Jefrema Perłowego, wileńskiego kowala, dusza wędrownego kramarza Franciszka Śliwiańczyka, onaż chwacka dusza maga-recydywisty Golonego...

Ileż imion można wspomnieć, prawdziwych i wymyślonych, ileż by ich nie wymienić, wykrzykując je bezgłośnie w zimne niebo - ale wszystko to pusta zabawa.

Niebezpieczna i zakazana.

Chrześciła ta jego dusza niczym warstewka porowatego szronu pod butami losu. Łamała się, szczyrzyła ostrymi odłamkami, podciekała błotem, oddawszy ostatek i ani trochę niczego nie żałując.

A ciało bez duszy, czy dusza bez ciała - wszystko jedno, nikt spierał się nie będzie.

- Coś ty, Druc? - szeptałaś bezmyślnie, nie zwracając uwagi na skamieniałą z trwogi Akulkę, nie słysząc końskiego postękiwania Fiedoniuszka, który siedział wprost przy beczce w kałuży stopionego śniegu; niczego nie widziałaś i nie słyszałaś. - Coś ty? Dlaczego?

Milczenie.

Ponure; nie milczenie, a żałobna cisza.

I tylko gdzieś daleko, w mglistej dali, ostro zapachniało świeżo nadgryzionym ogórkiem.

*Baro („ wielki”) albo baro szero („ wielka głowa ") - tak w romskich taborach nazywano przywódców albo ludzi darzonych szacunkiem. Stąd „baron " — w tym samym znaczeniu.*

I tylko gdzieś po szynach rorpaczliwie pojękujących jak doświadczona dziwka pod pieścizotą przypadkowego gościa...

I tylko od stacyjki do stacyjki, od braku perspektyw ku nadziei, płosząc wrony niskim jękiem gwizdka...

.. .koła, koła, koła...

Pociąg.

Bliżej.

Tuż, tuż.

I nagle ujawniło się oczom - nie tym, które lśnią na pokaz wstydliwymi, nieproszonymi łzami, a drugim, widzącym, ale niedostępnym dla ślepych kmiotków: peron mordwiński. Czekający przepychają się jeden przez drugiego, hałasują krępi tragarze, pyszniący się służbowymi blachami. Baby targują obwarzankami, pierożkami, kurami; a w tłumie myszkują chłopcy. Wszędzie stopy tobołów i walizek. Huczy mosiądz orkiestry: Wszystko, jak wszędzie. I na ten peron zstępuje, niosąc bez wysiłku w ręce podrózną torbę, młoda kobieta - widzisz, Kniahini? Nie, naprawdę widzisz?!

*Wyciągnę, maleńko! Kark skręcę, cholera jasna, a wyciągnę! Zagramy jeszcze na cztery ręce?*

Ach, Lenka Fert, moja ty mądralo! Dziękuję za to, żeś nie posłuchała, Dziewiątko Atutowa, swojej Damy Dzwonkowej. Nie za siebie dziękuję. A Mordwiński - to przecież niedaleko, tuż tuż... dla połączonej umówionym mariażem to jak rzut kamieniem.

Pamiętasz, Lenka, jaka byłam?

A ty sama, Kniahini, pamiętasz?

Pamiętam.

Taką pozostałam.

Oстрым ruchem uniosła głowę.

Powiodła dookoła wzrokiem, sypiąc iskrami w kałuże.

Błoto - w parkiet.

Kałuże - w woskowaną gładź.

I przeszła jak primabalerina, wypróbując mariaż.

Świece! Setki kandelabrow, świeczników i koniecznie wszędzie rozetki ze starego srebra: na omszałych ścianach wiejskich chatynek,

w piwnicznej czarnej gardzieli, w cedrowych zaroślach z lewej, wedle górnej krawędzi beczki z wodą!

Tak jest!

Skrzypki i siedzące w gęstwinie gałązek ptaki same zdumiały się swoim kunsztem - gdzie tam do nich kurskim słowikom, gdzie tam do nich Jaszy Haifetzowi, ubóstwianemu na wiedeńskich salonach! Śpiwajmy, bracia skrzydłaci, wyteżajmy gardziołka, ciągnijmy kantyleny wszystkim ku zawiści!

Mariaż trwał.

Orkiestra! I natychmiast ze świerkowych gałęzi runął na łeb, na szyję deszcz dźwięków fortepianu, ale zamiast złamać sobie kark dał nura w słowicze westchnienia kontrabas, z odległego Psiego Trzęsawiska buchnęły bąble obojów, którym zaraz frunęły na spotkanie słoneczne trąbki, dźwięcznymi fanfarami ślizgając się po wierzchołkach drzew - niedokończony, niedograny do końca walc monsieur Auguste'a Bernouilli'ego, który jeszcze przed katorgą na zawsze utkwiał ci w pamięci, upominał się o swoje prawa.

Czas.

Dopóki mariaż trwa.

- Wstawaj, *baro*!

Nie słyszy. Nie chce słyszeć. Leży; nie - odpływa.

- *Baro*, poczekaj!

Usłyszał.

Zatrzymał się.

- Wstawaj, mówię!

Leży. Nie, nie leży - stoi i czeka. Lada moment ruszy dalej - na ostatnią włóczęgę. Uparty się trafił. Ale od kiedy to Walet idzie przed Damą?

-Chodź do mnie!

No proszę, usłuchał. Idzie. Nie, nie idzie - wstaje. Najpierw tylko wzдрыgnął się ostyglým już ciałem, chrzęszcząc stawami niczym wiązka suchego chrustu; potem dźwignął się na czworaki, wparłszy się w błoto kudłatą głową.

-No?! Długo mam czekać?!

Na kolana. Tak być powinno, Druc: przed Damą - na kolana. Nareszcie zrozumiałeś.

A teraz wstawaj.

-Tańcz!

Stoi. Nie, nie stoi - czeka. Czeką, kiedy go uwolnią. Nigdy, *baw*, nigdy cię nie uwolnią; no, może kiedyś, ale na pewno nie teraz. No, to... raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy i nieważne, że walc dopiero niedawno temu pozbył się piętna tańca rozpusztników, to zupełnie nieważne, dlatego że skrzypki... i oboje... i szelest, szmer jedwabiu.. .sz-sz-sz...

Nie lubisz walca, silwański Romie?

Niech ci będzie.

I zapłakały skrzypki jak dzieci jadącego gdzieś nocą taboru, spieściły płacz kędzierzawym jękiem, szczęką noża o nóż odpowiedziały gitary, wijąc się niczym żmije pod smagłymi palcami, zaklekotały w gęstwinie kastaniety, a setki świec zamieniły się w płomienie ognisk, tych, pomiędzy którymi szli w tan mężczyźni o siwych skroniach, mężczyźni w szkarłatnych koszulach z szerokimi rękawami, spiętymi przy samych nadgarstkach, i błagając o litość rytmicznie potrząsały ramionami nad zawieruchą barwnych spódnic smagłe kobiety.

-Tańcz!

Dlatego, że mariaż. Dlatego że: oj, mamó, smutno było, tęsknota pełnie żmija po sercu - wiatrem w polu, pyłem w wietrze, promieniem o świecie, zostanę z tobą, mamó i cisnę tęsknoty w morze!

- Tańcz, mówię! Słyszysz?

O tak, *baw*, słyszysz.

I tańczysz.

Nigdzie nie uciekniesz, głupi, dzielny Drucu - przecież pociąg stoi już na peronie, a to blisko, zupełnie blisko... Mariaż.

Widzisz - tańczę z tobą.

»» Żyjemy.

Oboje.

Kiedy padłaś bez czucia w błoto, wparłaś się plecami o zimny bok beczki i osunęłaś się w niepamięć, podtrzymała cię czyjaś dłoń. Nie dłoń - łapa.

Chwył miała, jak szczęki imadła.

- A mnie... - wychrypiał ci Fiedoniuszka w same ucho, przypalając oddechem. - A mnie tak tańczyć nauczysz?

Naprzeciwko, płakał wyciągnięty z błota oberwaniec, Druc-Koniarz.

Objąwszy się w pół z targaną rozpaczliwym szlochom Akulką.



Wtorek... tak, to był chyba wtorek.

Albo środa.

Do niedzieli wszystko było w porządku: przynajmniej na zewnątrz, na fasadzie, o ile ktoś nie stanie na palcach i nie przyklei się ciekawymi oczkami do skrytych okienek - ale tu, w Kęs-Preclu, nie było nikogo, kto umiałby stawać na palcach i przyklejać się wzrokiem.

Zwalających się całą hurmą na kolację drwali i wozaków znacznie bardziej interesował smaczny krupnik na słoninie niż wyżęty niczym mokra ścierka zesłaniec warnak Druc. Nadmiernie gadatliwa Akulka na szczęście zdążyła już uciec do domu, nie zapominając o zabranii darowanego jej żarcia, a z kulejącego Fiedoniuszki nawet kilka słów wydusić było trudno. Tak, niedźwiedzica. Tak, obok piwnicy. Tak, toporem, ale nie dałem rady. Tak, odgonił ją zesłaniec. Tak, uciekła, a on padł jak trup. Może się przestraszył? Może się i przestraszył. Tańczyli potem ze starą Raszka.

Tak, z ochotą.

Kamaryńskiego, z hołubcami.

Drwale słuchali, wozacy słuchali i wszyscy razem postanowili, że na przyszłość trzeba berdanek zostawiać na dostępnym miejscu, a nie na gwoździu w izbie wieszać. Żeby potem w razie czego tańczyć nie było trzeba - ale od razu, kulą albo breneką.

A potem o wszystkim zapomnieli.

Tym bardziej, że następnego ranka pozbiierał się Druc, podkuł Węgielka i na porębę pojechał.

Po co się na darmo wylegiwać?

Więc do niedzieli nikt tak naprawdę nie wierzył - prawda, Kniachini? - ani ty z Romem, którego Kostusze wyrwałś, ani Rom z tobą, którą przed dzikim zwierzem sam sobą zastawił. A mówić byłoby o czym. Nie o matuli niedźwiedzicy, która spokojnie odeszła od pełnej smakołyków spizarni; jak miała nie odejść, kiedy w talii legł jej Winny Walet koszulką do dołu! Nie o tańcu życiodajnym: jakże tu umrzeć spokojnie, kiedy nie trupiaryz Krzyżowy - ale sama Dzwonkowa Dama każe ruszać w tany!

O czym innym.

Na przykład: skąd u Raszki Altschuller, suki katorzniczki, tyle sił, że nie tylko na ostatnie westchnienie, ale i na Powrotny Korowód starczyło? Asa odegrać i samej wrócić?

Albo o czymś innym: głupia Akulka na cały Kęs-Precel paple jak sroka. A to przecież nie straszny Sochacz, któremu język łapciem przydusili, to całkiem niegłupia dziewczka, choć piegowata! Do samego Mordwińska dotarło... A magowi recydywiście, który na zesłaniu ponownie swoim procederem się para, wedle Kodeksu Karnego jedno się tylko należy - konwój, barak i ponowna katorga. Jeżeli nie ze złej woli, ty lko przypadkiem się trafiło. Powiedzmy, że są okoliczności łagodzące - to dobrze, bo przez pałki przepuszczać nie będą.

Wdzięczność się za to należy - aż do śmierci.

I przecież nie powiesz dziewczynie: zamknij twarz i zaszyj sobie dratwą gębę! Od takich próśb aż ślina w pysku pali - taka na płoty ochota człowieka zbiera...

Ty wiesz, Kniahini, że najtrudniejsze ze wszystkiego było powstrzymanie się od pogadania z Drucem o tym, co się stało. Przecież pociąg odjechał już z peronu, odgwiszał, odstukał kołami... A siła pozostała.

I wcześniej było nielekkko - a teraz to już w ogóle.

Zagramy na cztery ręce?

\*\*\*

W sobotę pracowali. Ale już w południe wyprawili drągała Stiope, milkliwego wozaka z Dalekich Porohów, do jego wsi. Po wódkę. Wóz mu nawet dali - wszystko, jak trzeba. Stiopka zaś nie marudził i dość szybko się uwinął. Za dnia jeszcze wrócił i drwale z okolicznych wiosieczek, którzy zamierzali pod wieczór do domów się rozjechać, do żonek pod nagrzane pierzyny, gorąco dziękowali dalekoporożcowi za troskę i staranie.

Plączącymi się okropnie językami.

Ej, żonki wy nasze! Idzieeeeemy!

A kęsprelczanie przesiedzieli na miejscu, w szalasach, do świętej niedzieli. O świcie się pozbierali, niewyspani, ale w dobrych nastrojach - przed nimi niedzielne świętowanie, po co Boga niepotrzebnie gniewać?

Proszę bardzo: już są na skraju wsi, obsypując psy przekleństwami i na całe gardło ryczą „Pożegnanie Farciarza”, którego nauczył ich w nocy wesoly Druc:

- A komu marucha,  
Komu śmierć starucha,  
Komu matką cela  
I okrutny sąd...

I ty, Kniahini, podśpiewywałaś, zawodząc w dwugłosie z durnym Druce, żeby posiwiali kmiotkowie choć na chwilę poczuli się bratnią bandą:

- A mnie, niewinnego,  
Z nagana straszego,  
Rąbną, precz poniosą  
I na cmentarz won!

Co, też wam wesoło?

Rwą się psy, szczekają jak oszalałe, u wrót kupieckiego kantoru stoi osobiście Jermołaj Prokoficz, altruista i dobroczyńca otaczających cię buraków.

Tak właśnie, Kniahini, pomyślałaś - niewiele brakło, a parsknęłabyś śmiechem; tak zabawne wydało ci się mądre słowo „altruista” w rodzimym Kęs-Preclu, gdzie utknęłaś po wiek wieków!

„Po wiek wieków?” - zapytałaś samą siebie. „Przecież pociąg... peron...”

„Po wiek wieków” - odpowiedziałaś.

Lenkę Fert za jej niezachwianą miłość pod namydloną pętlę prowadzić - kiepska to sprawa.

- Ej, zesłańcy! Zajdźcie do mnie, ugoszczę was!

Chłopi zmierzli was pełnymi zawiści spojrzeniami - nie żadna tam płotka, a sam Jermołaj Prokoficz na wypitkę zaprasza! A Filata Łukawkę aż w korkociąg skrzyło, taka zawiść pijaczkiem targnęła... Chciał burknąć coś złośliwego, ale utknął wzrokiem w kupieckich oczach i ugryzł się w język.

Polaż dalej, ku swemu rodzinnemu ognisku i srogiej Pelagii.

A wy się nie certowaliście.

Zasłiście.

### *Notatki na marginesie*

*Jeżeli zajrzy ci w oczy ten Druc, jeżeli pozwolisz sobie zatrzymać wzrok - twarzą w twarz - dłużej niż zwykle, to runiesz na wznak, rozrzućiwszy szeroko ramiona, w bezgłośny krzyk:*

*...Aj, mamo!*

*Dopaliły się i zmieniły w siwy popiół węgielki; noc w stepie snuje swe bezgłośnie marzenia, pachnie piołunem i cząbrem. Wiatr zaplata grzywy koni zmęczonych dzienną jazdą, tańczy wśród namiotów, aj, czajawale, tańczy wietrzysko... A tam, gdzieś daleko, wtóruje echo: śpiewaj, gitaro! Placz, śmiej się! Dzwonią cekiny przy tamburynie, rozbryzgując dźwięki na wszystkie strony...*

*Rankiem wstanie słońce.*

*Ja rankiem nie wstanę.*

- Jak każesz, dobrodzieju? - niezbyt przyjaznym tonem zapytał Druc, kroczący obok Jermołaja Prokoficza po rozległym dziedzińcu.  
- Na niższe salony, do zimnych komór iść? Czy na ganku nas czymś poczęstujesz? Popatrz, ganek masz jak się patrzy, poręcze, stopnie, kolumnienki rzeźbione, okna malowane...

Kupiec udał, że nie dostrzega ironii.

Zatrzymał się i powiódłszy wokół rozmarzonym spojrzeniem, niespodziewanie poklepał Druca po ramieniu.

- A co, na górne pokoje nas poprosisz? - nie rezygnował Druc, nie wiedząc czemu skłonny dziś do nadmiernej gadatliwości. - No, no, oto mi honor! Aż mnie coś w dołku ściska!

- Aleś, morda leśna, jęzor rozpuścił - bez szczególnego gniewu odciał się kupiec, który dla siebie tylko znanej przyczyny patrzył uparcie nie na Druca, a na ciebie, Kniahini. - Ani na górę nie poproszę, ani do piwnicy nie wygonię. A na ganku nigdy jeszcze gości nie trzymałem, czy to zesłańców, czyjakichkolwiek innych.

Rozmyślał o czymś przez chwilę, poruszając czerwonymi, nabrzmiałymi i niemal panieńskimi wargami.

- Do oficynki pójdziemy - oznajmił wreszcie. - O, tam. Widzicie.

Faktycznie, zobaczyłaś.

Pomiędzy składem a fasadą izby, w głębi, prawie całkowicie ukryty pomiędzy krzakami (latem, gdy krzewy porosną liśćmi, w ogóle niczego nie będzie widać), stał parterowy pawilonik. Nie z drewna, ale z czerwonej i rzadkiej tu cegły.

Tak, Kniahini, zobaczyłaś! Oprócz tego zrozumiałaś, dlaczego kupiec przechera tak długo się namyślał przed zaproszeniem zesłańców do swojej „oficynki”. Nie mogło mu przecież chodzić o jakieś sekretne rozmowy - do takich rozmów i izba się nada, a jeszcze lepiej byłoby na dziedzińcu, gdzie nie sposób podetknąć zbędne ucho.

Cóż ty sobie umyśliłaś, człowieku boży, Jermołaju kochany Prokoficzu?!

Podczas niedługiej drogi - pozostała część dziedzińca, ścieżka ku kępie zarośli, dwa stopnie ku drzwiom ze spiżowym pierścieniem - starałaś się o tym nie myśleć. Zresztą po co? Samo się wyjaśni; a jak nie, to znaczy, że wyjaśnienia nie były potrzebne. Wspominałaś co innego: salon u madame Gołutwiny, spotkania bohemy i stadt-cenzor „Zwiastuna Niedzielnego”, który wbija do głów młodym pismakom, że chaty nie mają oficyn. Nie mają i tyle. Pismacy się odcinali - wasza wścibskość, mówili, nie wtykajcie nosa, gdzie nie trzeba, to go wam nie przytrzasną! - głupi spór trwał i zataczał coraz to nowe kręgi, wciągając w swoją orbitę wszystkich zebranych, aż wreszcie ktoś przydźwigał z biblioteki słownik pana Achillo, gdzie czarno na białym wyjaśniano niedowiarkom: „Chata - chałupa - kompleks drewnianych zabudowań... etymologia słowa... w ogólnym pojęciu może zawierać do szesnastu pomieszczeń, zawierając w tym i oficynę”.

Stadt-cenzora „Zwiastuna” na chwilę wtedy zatkało, z urazą chlupnął sobie kieliszek kminkówki, zakąsił pasztecikiem - i po minucie „jego wścibskość” udowadniał pismakom, że chata - chata, oficyna - oficyna, a na przykład marynarskim kordelasem nijak się nie da człowiekowi rozrąbać czerepu, jak to napisano w pirackiej powieści wspomnianych pismaków. Spór rozgorzał na nowo, aż wreszcie ktoś (czy nie był to przypadkiem ten sam mądrała, który znalazł słownik?!) wybiegł na ulicę w poszukiwaniu odpowiedniego kordelasa...

- Na początek po maluchu!

Pod naporem mocnej sprężyny drzwi same się za wami zamknęły.

Ciekawe - kupiec nie poprowadził gości od razu do salonu. Zatrzymał się w maleńkim przedsionku, schował łeb w bocznej szafce i zadzwonił naczyniami.

Wynurzył się z niej z karafką w ręce i trzema kiepsko domytymi kieliszkami.

Jak w tej ciasnocie zdołał nalać trzy kieliszki? Bóg jeden wiedział!

- Na dobry początek, państwo zesłańcy!

Koniak.

Matko moja rodzona! Koniak, szustowski!

Od razu uderzyło do głowy. Nie alkohol, tylko wspomnienia. Ach, Kęs-Preclu, bydłęca wiosko, to są tu tacy, co koniak popijają? Kupcze miły, lisie chytryjeden, coś ty jeszcze dla nas przygotował?

- A teraz - proszę uprzejmie w gościnę.

Weszłaś jako pierwsza i na samym progu niewiele brakło, a wreszcie byś się dowiedziała, co znaczy omdlenie.

Pośrodku komnaty stał fortepian. Gabinetowy, lśniący bielą, był tu mniej więcej tak samo na miejscu, jak kongijski hipopotam na dentystycznym fotelu. Fortepian - i stojący przed nim obrotowy, metalowy taboret.

- Jarema... - wymamrotałaś, nie bardzo pojmując co mówisz i dlaczego to mówisz - Jarema, ty sukinsynu... skąd?!

- Z Mordwińska - wstydliwym głosem przyznał się kupiec, dysząc ci w kark gorącym oddechem. - Sprowadziłem go tu dwa lata temu. Wiesz... morda leśna... sam grać nie umiem, alejak zobaczyłem go na aukcji, aż mi coś w duszy jęknęło! Chcę, i tyle! No to postanowiłem: choć z torbami pójdę, a będzie mój! Jak go na lawecie wieziono, jak chłopci wozy z błota gołymi rękami wywlekali, jak bałwanom tragarzom banknoty w gęby pakowałem, żeby dbali o ładunek - nie warto nawet opowiadać. Było, minęło. Alem przywiózł! Dopiąłem swego!

Umilkł i przez chwilę posapywał tryumfalnie. I zamaszyście wysmarkał się w chusteczkę.

- Dowiozłem, morda leśna. Nie zepsułem. Oficynkę dla niego wybudowałem. Ale zagrać na nim, nie ma komu... No, może moja córka - ale ona w Mordwińsku, na pensji siedzi! A tu, uważasz, raz do roku przyjeżdża.

Kiwnęłaś głowa, ni w pięć, ni w dziewięć.

Podeszłaś do fortepianu i pogładziłaś zimny bok.

Ach ty, mój skarbie, mój piękny...

- Zagraj coś, dobrze? - padła cicha prośba z tyłu. - Wiesz, przecież święto...

Koniak palił w żyłach żywym ogniem, nakazując zapomnienie...  
zapomnij o wszystkim, podnieś wieko i...

Podniosłaś. Musnęłaś palcem klawisze.

„Zagramy na cztery ręce?” - dmuchnęło skądś chłodem.

-Zagraj, co chcesz. Może jakiś romans? Sentymentalny...  
Romans?

Palce same sobie przypomniały, głos sam wyfrunął z piersi,  
i niewiele brakło, a potknąłby się jak spłoszony kogut tam, gdzie  
chciał poszybować niczym sokół - ale jednak się nie potknął!

Prawda, Kniahini?

Prawda.

- Nigdy się nawet wam nie śniłam,

Dobrze to wiem, nie trzeba kłamać.

Z pokorą oto przyjmę sama,

Co pańska głowa wymyśliła.

Niemożliwy, niezwykły zwierz pomrukiwał pod pieścizotą twoich  
palców.

Wibrował całym swoim cudownym ciałem, w opuszki palców  
hojnie wlewało się ciepło przeszłości, ciepło minionych dni, kiedy  
życie się iskrzyło, a nie kłuło, zadając ostre rany, kiedy słowa same  
układały się w pieśń, żeby się wyrwać z klatki niebytu.

Ależ wyszukana publika: koniokrad, który niedawno niemal  
oddał życie za piegowatą dziewczynę ze wsiowym siłaczem - i zu-  
chwały kupczyk, który na jakimś targu raz i na zawsze zakochał się  
w białym fortepianie!

A znajdziesz lepszą?!

.. .och, fałszywego wstydu smak!

Czyż mam cię nienawiścią darzyć,

Za to, że nie chcąc mnie urazić,

Zamiast „nie!”, szepnęliście „tak”...

Zwierz się przeciągał, stękał smutno, mruczał w poprzek, łyskał  
giętymi bokami - ale nie pozwoliłaś mu na odpoczynek.

Dlatego że pociąg.

Dlatego że mariaż.

Gdybyś jeszcze wiedziała, czy w porę zdołasz odmówić... Ale przecież nie wiedziałaś, prawda, Kniahini?

- Nigdy się nawet wam nie śniłam.  
Miłość? Minęła, to rzecz mniejsza,  
Jestem smutniejsza i mocniejsza,  
I tylko ja na tym straciłam.

Płomienie z lodu krzesząc z trzaskiem,  
Świat podpaliłam własną ręką.  
Wyście świecili mi jutrzeńką,  
Płoń, gwiazdo moja blaskiem!...

A mimo wszystko chwila należała do ciebie.

Dzięki ci, Jermołaju Prokoficzu! Nie wiem, gdzie twój zysk, bez którego nie wyobrażasz sobie żadnego postępu w życiu, ale...  
Dziękuję.

Gdy kiedyś wspomnę, co przeżyłam,  
Twarz pańska znów mi zamajaczy,  
Lecz dziś niech pan pamiętać raczy:  
„Nigdy się nawet wam nie śniłam!”.

Akord.  
Ostatni.  
Ostatni?

## **XI. DIUIC KONIARZ ALBO KU/ICIELKA**

*Zaliczono mię do tych, co zstępują do grobu,  
Stałem się jak człowiek bez siły..*

*Księga Psalmów, Psalm 6*

Palce Kniahini wichrem polatywały nad odświętnie lśniącymi - niemożliwie białymi i lakowo czarnymi klawiszami. Fruwały, tań-



czyły, a tobie zwidywały się niesamowite rzeczy, jak wtedy, obok tamtej spizarni, w mroku śmierci. Wydawało ci się, że w tej kupieckiej oficynie gra cała orkiestra i krążą taneczne pary, kawalerowie obejmują swoje damy w smukłych taliach, a damy udając znużenie, odchylają się w tył, uśmiechając zagadkowo, a w wypolerowanym do lustrzanego połysku parkiecie odbijają się płomienie setek świec...

Jakaż moc ma ta Raszka!

Na fortepianie i alhambryjskiej gitarze to ona i bez tego grać potrafi! Nie zdołasz odgadnąć, czy duszę pięści muzyka, ukazując to, czego w istocie nie widzisz, czy może...

Wiedziałeś już: stało się! Wyciągnąć cię za kark z tamtego świata w Powrotnym Korowodzie i samej się nie przekreślić z wysiłku - najdurniejszy wieśniak pozna, w czym rzecz! Nie chce się wierzyć, a jednak nie mogło być inaczej - chrześniaczka Raszki... jakże jej tam było?! Lenka Fert! Pamiętasz, Kniahini kiedyś ci o niej opowiadała. Odszukała Lenka swoją chrzestną Damę! Jest tu gdzieś niedaleko, zupełnie blisko, najpewniej w samym Mordwińsku, do którego mniej niż jeden dzień jechać trzeba.

Inie tobie pytać, co dalej? Uznany mag wedle Prawa - magioso - o takie rzeczy nie pyta. Uzna za potrzebne - sama opowie. Zresztą Dama Dzwonkowa na razie sama nie ma do tego głowy - po prostu syci się nieoczekiwanym darem.

Życie!

Czy można sobie wyobrazić lepszy dar?!

Ach, *more*, Walecie Winny! Jednemu żuraw sam z nieba w łapy wpada, a drugi o sikorce zamarzyć nawet nie może. Nie ma dawnego współnika, nie ma kto ci podarków czynić: zabili chrześniaka, nie inaczej, zatłukli. A nawet, gdyby wyżył ten Szkarłatny Danką z wiatrem w podeszwach - nie przyjechałby tu za tobą. Nie, nie przyjechałby i bynajmniej nie jest to zarzut, o umarłych źle się nie mówi. I nie myśli. Zresztą i ty na jego miejscu długo byś się zastanawiał: warto łeb samemu w pętlę wsuwać?

A chrześniaczka Kniahini widać śmiała dziewczka. Nie mogła nie wiedzieć. Nie mogła. Niechby i z Konwencją się na razie nie pokumała, poszczęściło jej się-wszystko jedno. Skoro Dzwonkowa i Zmówiona - wiedziała dokładnie. No, niechby inaczej: czuła, domyślała się. Domyślił się jeszcze gorsze. A jednak przyjechała.

Święto?

Za ucieczkę każdego z naszej ferajny nie katorgę zasądzą- sznur mu się należy, dobrze jeszcze, jak pętlę namydlą...

Uczta żałobna?

Dla obu?

Zwidziało mu się na okamgnienie: nie fortepian przed Kniahinią - ale ogromny biały czerep szczerzy kościsty uśmiech. Lśnią zęby klawiszy - lada moment rozewrze paszczę szerzej, a potem zamknie z przeraźliwym zgrzytem! Przyjmij Panie, duszę nieszczęsnej niewolnicy twojej Rachel Altschuller, onejże Raszki Kniahini, onejże...

Kniahini też coś poczuła. Jej palce na chwilę stwardniały, ostro uderzyły po klawiszach, zerwały melodię i kobieta drgnęła na obrotowym taborecie.

Odwróciła się.

- Co, strument niedobry? - zapytał z trwogą kupiec. Słowo „strument” wymówił Jermołaj Prokoficz starannie, z jakimś osobliwym szacunkiem.

- Ależ nie, dobry. Wprost znakomity, słowami nie opiszesz. Trzeba go tylko nastroić. - Głos Kniahini brzmiał równo i beztrosko, i tylko na samym jego dnie, w głębinie, kiwała się lekka chryпка, jakby żaba, która jeszcze niedawno uciekła ze wstydem, zamierzała jednak wrócić.

A ty utwierdziłeś się jeszcze raz: grać na rozeschniętym, rozstrojonym fortepianie tak, żeby ucho nie złowiło fałszu... to trzeba umieć.

Czyli umie.

Teraz umie.

- Nastroić? Jak to?

- Żeby harmonijnie dźwięczał. Ale to ja sama zrobię, nie przejmujcie się, Jermołaju Prokoficzu - nieco za bardzo szczerze i serdecznie, żeby brzmiało prawdziwie, zaśmiała się Kniahini. - Tyle, że specjalny klucz jest potrzebny.

- W mieście można go kupić? W sklepie? - zapytał rzeczowo kupiec.

- W Mordwińsku? Tak, oczywiście. Ale po co kupować? Druc go nam wykuje. Pokażę, narysuję - a on zrobi. Zrobisz, Druc?

- Pewnie, o czym tu gadać, Rachel? - uśmiechnął się.

Przy ludziach bez ksyw.

Święta zasada.

- Powiedz tylko, co jest potrzebne do zrobienia tego klucza. Rozkażę - ludzie spod ziemi dostaną -kiwnął głową kupiec. - Choć

wedle mnie... wedle mojego zdania i tak doskonale gra. Aż się zasłuchałem. - Twarz Jermołaja Prokoficza rozświetlił zupełnie niespodziewany, marzycielski uśmiech. - Kocham to wszystko, morda leśna, muzykę znaczy. Prawdziwą. Żeby na fortepianie albo na skrzypcach. A te nasze bałwany... - niewiele brakło, a kupiec sążnięcie splunąłby na podłogę. - Potrafią tylko po pijaku na harmoszce rozmaite rzępcły wygrywać. Czyż to muzyka? A tu... - i z nieskrywanym szacunkiem wlepił cielece spojrzenie w Kniahinię.

- I ja dawno do fortepianu nie siadałam - cichutko westchnęła Kniahini. I ty, też bez żadnych magicznych sztuczek, ale tym sześćdziesiątym szóstym zmysłem, który całkowicie zniszczył ci życie, poczułeś: od tej chwili zaczęła się gra. Ponieważ masz ten sam cel i interes co Kniahini, lepiej jej nie przeszkadzać.

W razie konieczności możesz jej zawtórować drugim głosem, ale bez potrzeby nie pchaj się z pomocą.

- W obozie nie było fortepianu, w tym cała bieda! Jeden nadzorca miał gitarę, ale i tego naczałstwo zakazało...

- No, to się da jakoś naprawić! - szeroki uśmiech ponownie rozjaśnił twarz zadowolonego z siebie Jermołaja Prokoficza, który w tej chwili diabelnie się upodobił do zabiedzonego kociaka, któremu udało się dobrać do skrytego w chłodniku dzbanka ze śmietaną. - Strument - jest! A gitarę, jak będzie trzeba, sam z miasta przywiozę.

- To my tu jeszcze całą filharmonię urządzimy! - Kniahini mrugnęła znacząco do jednego i drugiego, a każdy pojął to po swojemu - jak zresztą być powinno. - Druc przecież po mistrzowsku gra na gitarze, gdzie mi tam do niego!

- Nie udawaj skromnej! - wtrąciłeś. - Będzie gitara, to się spróbujemy. .. i klucz zrobimy, jak należy! Najlepszy! A-ej łąki, mirę łąki... łąkizieleniutki!

I dla lepszego efektu trzasnąłeś się dłonią w bok.

Kupcy to lubią.

- A ty, Jermołaju Prokoficzu, myślisz, że my z Drucem nie tęsknimy za tym, żeby pożyć jeszcze jak ludzie? - zapłakały żałośnie klawisz. - Wyjemy jak wilki! Ty choć od czasu do czasu do miasta się wybierzesz, nie stolica to wprawdzie, ale i nie nasza głusza przeklęta! Do ciebie zresztą też w gości przyjeżdżają; ojczulek, albo na przykład urzędnik... Był w zeszłym tygodniu, prawda?

Kupiec machinalnie kiwnął głową. Ach, Kniahini, mądrała z ciebie! Czyli był urzędnik!

Zajeżdżał!

- Ot tak sobie zajechał, bez przyczyny szczególnej? - Kniahini kula żelazo, póki gorące. - Nowinkami się podzielić, prawda? A my tu, jak te niedźwiedzie w barłogu...

Nie dokończyła. Odwróciwszy się, wzięła leżące na otwartym skrzydle fortepianu pudełko papierosów „Salonowe”. W kiciu rzuciła palenie - z tą jej żabą w piersiach, która na katordze się w nich zaległa, jak po pierwszym sztachnięciu kopyt nie wyciągniesz, to drugiego i tak ci się nie zechce! Zwłaszcza, gdy machorkę samosiejkę palisz. „Salonowe” to oczywiście siano, nie papierosy, ale mimo wszystko nie machora.

Kupiec błyskawicznie sięgnął w kieszeń po zapalki, wytrząsnąwszy dla siebie papierosa, przez chwilę o czymś myślał. Potem wspinałomyślnie pchnął paczkę ku tobie. Ty paliłeś rzadko, ale teraz nie pomyślałeś nawet o odmowie.

- Ależ nie, przyjechał za sprawą, urzędnik znaczy - odezwał się na koniec Jermołaj Prokoficz, kiedy całą waszą trójkę otoczyły obłoki tytoniowego dymu. - O was mnie wypytywał.

- O nas? - obojętność, z jaką zadałeś to pytanie, wiele cię kosztowała. - A o co mu mogło chodzić? Marcowy żołd nam wydał, przepisów nie naruszamy...

- Nie naruszacie, powiadasz? - uśmiechnął się chytrze kupiec.

- No, chyba: na sto wiorst wokół rozeszły się gadki o tym, jak wyście z kosołapym wojowali, gromami i błyskawicami ciskając!

-Co takiego?!

- Żeby tak zdrów był! - nie wiedzieć czemu szczęśliwy jak nigdy dotąd kupiec wyraźnie sobie z nich dworował. - Cała okolica aż kipi od plotek, morda leśna! Ja przecież wiem, że ludzie tak sobie gadają po próżnicy. - Machnął ręką. - Ale to wiem ja, a ludziom pysków nie pozatykasz. I przyjechał urzędnik po was: chciał was oskarżyć o naruszenie przepisów i z powrotem do więziennych baraczków!

Przerwał na chwilę. Niezła z ciebie sztuka, Jermołaju Prokoficzu! Potrafisz ty pauzy przeciągać.

- Przyjechał, ale wszyscy co widzieli, jak było naprawdę, akurat w lesie byli, na porębie. Jedna tylko Akulka głupia po wsi lata i opowiada wszystkim, co jej ślina na język przyniesie. No to urzędnik zaszedł do mnie, po starej przyjaźni. A ja mu powiadam: Kondratycz, bacz, żebyś nie popełnił głupstwa. Nic tam się nie stało, żeby tak

zdrów był! Wielkie mi czary-niedźwiedzia kłonicą przegnać! Opamiętaj się, wypij łyk jarzębinówki! Dufunia z Rachelą to uczciwi ludzie, znam oboje. Swoje odsiedzieli, po co im to potrzebne: wracać na katorgę? Dufuńka u mnie na podwórzu cały miesiąc omal sobie gnatów nie ponadrywał przy rozmaitych robótkach; słowa złego nie dam na niego powiedzieć, morda leśna! A Raszcze to już w ogóle klucze całego domostwa chcę powierzyć; a ty wiesz, że ja byle kogo nie biorę!

- Dziękuję, dobroczyńco! - niewiele brakło, a Kniahini zakrzuszyłaby się dymem i zrozumiałeś, że po raz pierwszy usłyszała o zamiarze kupca dopiero teraz.

- No, ale urzędnik to osoba urzędowa - kontynuował nie zbity z tropu Jermołaj Prokoficz, uniósłszy ku sufitowi wskazujący palec. - Sam nie widziałem, jak wszystko tam było - czyli nie mógł mi uwierzyć na słowo! Wezwał Kondratycz Akulkę. Na przesłuchanie. Dziewczyna z początku trochę się boczyła, ale potem się rozkręciła - i jak nie zacznie jęzorem młócić! A język ma, durna, jak wiatraczna śmiga... wszyscy wiedzą, morda leśna!

-1 co tam naplotła? - mruknęła po kociemu Kniahini.

- No, cały wór natkała - kupiec aż sapnął z zadowoleniem. -1 o niedźwiedziach, które wy w strzępy roznieśliście, siłą swoją magiczną, i o smoku-żmiju z czarnymi jak węgiel łuskami; i o tym, jak się biliście z tym smokiem, niby Jerzy Smokobójca, i o tym jak gromy boże z oczu wam się sypały, i drzewa po niebie całymi chmurami leciały na południe, do czarnych półludzików. Kondratycz posłuchał, wysłuchał, splunął i niewiele brakło, a by ją na kopach z izby wyniósł! Ale chciał jechać do was na porębę, a przy okazji wypytać o sprawę Fied'kę Sochacza. A tu akurat zjechał do wsi jeden z drwali, nie pamiętam już po co. Ten się tylko roześmiał: łągarstwa wszystko i wymysły smarkuli, nic więcej! No, polazła niedźwiedzica do schowka. To Fied'ka z zesłańcem ją kłonicą i toporem, a baby - swoimi wrzaskami precz pognali. Potem się krupnikiem objedliście - i palnęliście się pospać.

Przy słowach o „babskich wrzaskach” Kniahini tylko prychnęła, ale uznała, że lepiej zamilczeć.

- No, zmądrzał Kondratycz, opamiętał się, zrozumiał, morda leśna, że wszystko to bajki i głupie gadanie. Napiliśmy się jarzębinówki i pojechał z Bogiem.

- Dziękujemy, Jermołaju Prokoficzu. Wdzięczni będziemy do grobowej deski za to, żeś i sam w bajki nie uwierzył, i urzędnikowi wszystko

objaśniłeś - stwierdziłeś, wstając. - Dziękujemy raz jeszcze i za poradowanie i za poczęstunek, ale na nas już pora... trzeba znać mores.

- No, jakoś tam się rozliczymy, morda leśna - na twarzy kupca rozlał się dobroduszny uśmiezek, a ty drgnałeś; dokładnie tak samo chwilę wcześniej uśmiechnęła się do kupca Kniahini. - Ludzie oczywiście plotą, co im ślina na jęzory przyniesie, o źmiju, o błyskawicach - tyle że wygłodniałej niedźwiedzicy tak po prostu pałką nie przegonisz. No, dobra... idź Dufuńka. Odpocznij. A z tobą, Rachel Siergiejewna, jeszcze porozmawiamy. Ja przecież o tej służbie u mnie nie mówiłem po próżnicy - rzeczywiście chcę ci powierzyć prowadzenie gospodarstwa i domu... A ty idź, Dufuńka, idź.

Widziałeś, jakie spojrzenia rzucał kupiec od czasu do czasu na Dzwonkową Damę. A właściwie, czemu nie? Nie jest jeszcze taka stara. W tej chwili zresztą w ogóle odmłodziła, na twarz wystąpiły rumieńce. Zakręci jeszcze Raszka kupcowi w głowie - nie tak dawne to czasy, kiedy kniazio wie jej się oprzeć nie potrafili.

No, dobra, niech mu zakręci.

Nie twoja to sprawa, Walecie Winny.

Lepiej pomyśl o czym innym: czy tylko z powodu amatorów usprawiedliwił was kupiec przed posterunkowym? I ten drwał, który akurat niby przypadkiem we wsi się zjawił... Mielicie u kupca dług niewielki, a teraz wyrósł... oj, wyrósł!

Jak i czym będziecie się wyplacać?

\*\*\*

Izba była pusta. Nie to, żeby całkiem nikogo nie było: z pawlaczka dolatywało donośne chrapanie nawalonego jak stodoła Filata, który z racji niedzieli narąbał się bardziej niż zwykle - ale pijany gospodarz się nie liczył. Pelagia poszła chyba do sąsiadki - poskarżyć się na życie i pomieć trochę ozorem; dzieciarnia po wsi się rozbiegła, a Akulka... Kto wie, gdzie to rozczochrane nieszczęście poniosło?

Na stole stał osierocony krzywy dzbanek. Powąchałeś. Chwała Bogu, kwas a nie siwucha. W gardle ci zaschło - czy to po kupieckim koniaku, czy opowiedzianych przezeń rewelacjach - więc kwas bardzo się przydał.

Za plecami skrzypnęły drzwi wejściowe. Nawet się nie odwróciłeś. Po co? I bez tego wiadomo, że tak traktować niczemu niewinne drzwi może tylko wiercipięta Akulka.

- Dziękuję ci, Akulino - odezwałeś się. Postawiłeś dzbanek na stole i dopiero potem odwróciłeś się do dziewczyny.

- A skąd ty, wujku Druc, wiesz? Oj, za co dziękujesz?!

- Za twój długi język. Co byśmy z Raszka bez ciebie zrobili? Na cały powiat, uważasz, nas rozślawiłaś!

- Ja przecież... Ja chciałam jak najlepiej! - pogrążona w rozterce Akulka siąknęła noskiem i nieco się zgarbiła. - Wszyscy tylko o was; zesłańcy, czarownicy! Wraże plemię! Duszogubcy! A wy wcale nie jesteście duszogubcami! Ty nas z Fiedoniuszką przed niedźwiedzichą obroniłeś, a ciotka Raszelka... Ona też jest dobra! Sucharów nam dała, słoniwy. Chciałam jak najlepiej, żeby wszyscy o was źle mówić przestali!

- Siadaj - rzuciła krótko i ku twemu niemałemu zdumieniu wietrznica od razu posłuchała.

Usiadła obok na ławie.

- Chciałaś, mówisz, jak najlepiej?

- No pewnie! - dziewczyna podniosła na ciebie szczere spojrzenie przepelnionych samą uczciwością oczu. A oczy miała okrągłe, jak piątki. I nagle przypadło gdzieś wszystko, co jej chciałeś powiedzieć - dokąd wiedzie droga wybrukowana dobrymi chęciami, jaką zgubę głupia niemal ściągnęła tobie i Kniahini na głowy. Mrugnęły dziewczęce oczy. Zatrzepotały długimi rzęsami. Błysnęły łzą. I wszystkie twoje słowa, wyjaśnienia, wymówki - wszystko to natychmiast zmyło się w nicość.

Bez reszty.

Przecież ona rzeczywiście to wszystko bez złych zamiarów... powodowała nią uczciwa, wsiowa, niczego niepojmująca głupota. Objaśnisz jej; wszystko pojmie na odwrót - i znów zacznie jęzorem po wsi mleć! Ilja Roman-czaj, stary woźnica z twojego rodzzonego taboru, mówił o takich: *Miń kalimo - khandeta bahtimo*, co znaczy: Moja choć i czarna, ale szczęściem pachnie!

Przez chwilę po prostu milczałeś. Chciałeś wstać i wyjść z izby, ale Akulka cię uprzedziła.

- Wujku Druc - zaczęła tak, że mimo woli się ku niej odwróciłeś.

- Wujku Druc, najmiłszy wujaszku, naucz mnie, co?

-Czego?

Ale już zrozumiałeś, czego. Zrozumiałeś - i wszystko w tobie zamarło w słodkim oczekiwaniu. Co, moja ty Kniahini, mówią, że fartowne układy chodzą parami? Poszczęściło się tobie - a teraz moja kolej?

Tak, Kniahini?

- No... ze zwierzem rozmawiać, żeby rozumiały! Jak ty z niedźwiedzicą! I... tego... czarować! - wypaliła Akulka.

Zdecydowała się jednak.

Słowo zostało powiedziane.

A wedle Konwencji: było słowo, powinna być i odpowiedź.

I co, Druc, odpowiesz: „tak”? Zaczнеш dziewczynę uczyć fartownego fachu, weźmiesz ją na chrześniaczkę-wspólniczkę? Pokażesz, jak ze zwierzami porozumienie zawierać? Jak zamki byle czym, choćby nożem czy paznokciem otwierać? Jak sprawiać, żeby koniom skrzydła w galopie wyrastały, jak stróżom oczy zasłaniać, ślady burzą zacierać, jak ucieczkę maskować? Pokażesz? Nauczysz? Powiedz „tak”! - i od razu ci ulży, przestanie boleć i chrzęścić kręgosłup, palce natychmiast staną się ci posłuszne i giętkie, jak dawniej... Ale co tam palce! *Dzia, more!* Kładą przed tobą dar, rozkoszny, królewski dar, taki, jaki niedawno dostała Kniahini! Zgódź się, głupi Romie! Przecież ta dziewczka chce tylko w zamian...

Nie, tego czego chce, ty jej dać nie możesz! Przecież ona chce cudu nad cudami! A wszystkie twoje cuda skończyły się w aresztanckiej celi albo pod tymi pałkami, które Szkarłatnego Dańkę w błocie na miążgę starły. No i co z tego? Czy to twoje zmartwienie? Sama do ciebie przylazła, czy nie tak? Nikt jej za język nie ciągnął!

Nikt. Tak, co się tam martwić, nie taki aż anioł z ciebie, żeby do raję po cudzym grobie się nie wspiąć, zwłaszcza, jeżeli grób sam się przedstawia. Ale wszystko jedno - i w raję pętla się znajdzie z mydłem, zawsze szarym i do takich samych celów nim nasmarowana.

Dla obojga.

Kodeks Karny w takich przypadkach jednakowo traktuje zbiega i współnika.

Żeby nie było spieszo do ucieczki.

- Nie chciałbym ja z tobą o magicznym farcie rozmawiać, ale widać, bez tego się nie obędzie - westchnęłaś i zaczęłaś się wygodniej mościć na ławie. - Chcesz się tajnego rzemiosła uczyć?

- Aha! - błysnęły radością oczy Akulki.

Piątaki zamieniły się w całe ruble.

- A czy ty choć wiesz, kim są magowie?

- Wiem! To ci, którzy swój ród od Magoga Pohańca wywodzą! Zwykle ludzie pochodzą od Goga Sprawiedliwego, a magowie od Magoga! -jednym tchem wypaliła dumna ze swej wiedzy Akulka.



- Mówił jeszcze o nich ojczulek w cerkwi, tylko że nikt niczego nie zrozumiał. Więc ciotka Sochaczyczna wszystko potem objaśniła, wedle Psalterza.

- Jest daleko stąd, na południu, kraj zwany Persją - zacząłeś, kiedy już skończyłeś się śmiać. - Więc tak: magami od dawna nazywano tam kapłanów Ognia. Tych, co się Słońcu do ziemi kłaniali. A ludzie, jak zawsze głupi, zaczęli nazywać magami wszystkich, którzy dziwne obrzędy wyprawiają. A potem doszli do wniosku: wyprawiają, przyprawiają, aż się wreszcie dochrapiają! Więc co? Więc wszystkich do jednego kotła, na ogień, i soli nie żalować! Co prawda, nie w tym rzecz - przerwałeś sam sobie.

Bzdury pleciesz, Walecie Winny! A może od dziewczyny się zaraziłeś i sam bajki zaczniesz niedługo opowiadać? Może jeszcze jakąś romantyczną opowieść jej wciśniesz? „Przypadki szlachetnego czarodzieja Bowy, który bogaczom zabierał i rozdawał ubogim, za co cierpień licznych doznał od władzy surowej...”

Guwernantki, jak to się mówi, łzami się zalewać będą!

- Magia, Akulino, gorsza jest od buntu. Zakazują jej surowo i cerkiew, i nauka, i prawa wydane przez cywilne władze. Nie ma magii, powiadają! A skoro jej nie ma, czyli to wszystko oszukaństwo, herezja, jarmarczne sztuczki i mącenie w głowach maluczkim. Zrozumiałaś?

-A jakże! - dziewczyna machnęła pogardliwie ręką, jakby chciała powiedzieć: cóż ty ze mną jak z małym dzieckiem rozmawiasz? - Mówią przecież, wujku Druc, żeś ty czarami konia uprowadził, a gospodarza w szczura zamieniłeś i butem go, butem! I za to cię do obozu zesłali! Ale ja takiego czegoś nie potrzebuję. Ja chcę - żeby ze zwierzem, żeby wrzody leczyć i żeby chłopaków do siebie ciągnąć... - przy tych słowach Akulina się zająknęła i na chwilę umilkła. - A to można? Jak babka Szeptucha, tylko lepiej? Prawdziwie?

- Ach, Akulino, święta naiwności - westchnąłeś absolutnie szczerze. - Prawdziwie, znaczy bezprawnie. To WBREW PRAWU!

Ostatnie słowa wymówiłeś z przesadną wyrazistością. Prawie je wyśpiewałeś.

- Zrozumiałaś? A twoja Szeptucha... takich wszy jak ona władze dusić nie będą, bo tylko wstydu by się najadły! Ale obok nas nie przejdą, o nie!

- Mącisz wszystko, wujku Druc! Przecież ty mnie z Fiedoniuszką od śmierci uratowałeś! I co, to też wbrew prawu?

- Wbrew, Akulino, nie inaczej, wbrew! Wam życie uratowałem, a sam za to znów na katorgę trafić mogę! Artykuł dwa prim Kodeksu Karnego, paragraf szesnasty. Widzisz, na pamięć to znam! W godzinę śmierci będę pamiętał! Gdybym ja tę niedźwiedzicę z gwintówki zastrzelił - a, to byłaby inna sprawa. Prawa nie naruszyłbym i ludzi uratował. A tak... Dziękujemy ci, pocziwczę, za to, żeś dwie dusze uratował - a teraz dawaj ręce i nogi, w kajdany cię zakujemy, za stosowanie czarów Bogu i prawu przeciwnych.

- Ale jakże to? Za co?! - niewiele brakło, a Akulka rozplakałaby się ze złości, ale jakoś się powstrzymała. - Ty ludziom dobro czynisz i za to cię w kajdany?! Tak?

„Dobro?! - omal nie rzuciłeś jej w twarz okrzykiem. - Dobro ludziom?! Jestem złodziej, koniokrad i recydywista, Walet Winny! Tego kupca, co chłopom za mojego Dańkę po altyńcu zapłacił, na „mokry przewał” wzięłem. Ja to zrobiłem! Ja!!! Takim się urodził, takim się stałem i takim umrę w tej waszej wsi zapadłej i zapomnianej przez Boga i ludzi! Odejdź, dziewczko, na miłość boską, odejdź!”

Nie, nie krzyknałeś.

Zgrzytnąłeś zębami i powiedziałaś co innego:

- Tak, a nie inaczej. Władzy wszystko jedno: do sztuczek swoich się uciekłeś? Znaczy, odpowiadaj. Zastosujemy prawo z całego surowością.

- Aj! - Akulka z przestachem zakryła dłonią usta. Widać, dopiero teraz dziewczynina rozumiała. - Znaczy, przeze mnie mogli cię na katorgę z powrotem zawlec, wujku Druc?!

- Mogli - kiwnąłeś głową.

W podstawie czaszki coś głucho chrupnęło. Przypomniało o sobie.

- Oj, wybac mi, wujku Druc! Nie wiedziałam! Chciałam jak najlepiej! Myślałam, że jak w dobrej sprawie...

- No dobrze, nie zadrećzaj się. Jakoś się wykręciłem. Ale na przyszłość zanim coś powiesz, namyśl się: można czy lepiej nie.

-Zrozumiałam, wujku Druc! Nikomu już nie powiem, ani słowa! Anipółśłoweczka...

-I tak trzymać, Akulino.

Nie powie, a jakże! Żeby choć z pięć minut pomilczała.

- Wujku Druc, ale ty mnie weźmiesz na naukę? Będę posłuszna! I nikomu ani mru mru!

Masz ci los, znów płac za te ryby! Głupia dziewczka niczego nie skumała! Nie, oczywiście, pokusa wielka. Grzech taką okazję przepu-

ścić. Tylko... jak się zgodzisz, to najwyższa pora brać nogi za pas. Na zesłańca każdy ma oko, nie ukryjesz niczego. Warto ryzykować? Pożyjesz w tej głuszy jeszcze rok czy dwa, w końcu się wypalisz bez reszty, i po cichutku wyciągniesz kopyta. A tak, jeszcze tę głupią dziewczkę za sobą pociągniesz. Szkoda mimo wszystko - i siebie, i jej.

Szkoda... a przecież świerzbi gdzieś tam, w głębi, wytrzymać wprost nie można.

Kusicielka!

Cała w piegach.

- Za nauczanie też kara grozi. Ciebie, jako nieletnią i po raz pierwszy wchodzącą w konflikt z prawem, może obóz minie, ale mnie...

- Ale jakże to tak? Znaczy, jeżeli ktoś jest z plemienia magów, to koniecznie musi być złodziejem? Albo duszogubcem? A dobrych czarodziejów nie ma? Takich prawdziwych?

Śmiałeś się długo i z gniewem w duszy. Zły to był śmiech.

- Może i są. Nawet czasami dochodziły do mnie słuchy: ktoś tam czarami kwiaty hoduje albo karaluchy z domu wyprowadza. Ale na oczy takiego nie widziałem.

Akurat, zobaczysz takiego! Od wiek wieków, od czasów samego Awwakuma Pogromcy, każdego z twojej braci za gardło biorą, niby jakiegoś bluźniercę; pod każdym wyrokiem, czerwonym na białym, pieczęć hierarchy, albo - chroń nas farcie! - synodalną ober-starucha stawiają: „Teraz, i zawsze, i na wieki wieków, amen"!; krzepkich dryblasów niepodatnych na „eteryczne działanie" od małego do korpusu „Barbarzyńca" biorą, i na psy gończe zamieniają... i szukaj tu dobrych magów!

- Nie, Akulino, nie widziałem.

- Dlaczego?

- Złapią nas, czy będziemy kwiatki uprawiać, czy karaluchy hodować. Zorientują się. Chcesz do obozu, miła ty moja?

- Nie chcę. Ale przecież nie wszystkich łapia... Kto się tam połapie, czego mnie uczysz, jeżeli nie zacznę kraść ani uroków rzucać? Jak niby mieliby się dowiedzieć?

Akulka spojrzała na ciebie zwycięskim wzrokiem.

Jakby chciała powiedzieć: a co, trafiłam w sedno?!

Przyczepiła się niby rzep! Ale - okazuje się - nie taka głupia, jak mogłoby się wydawać.

- Przecież ty sama w ciągu jednego dnia wszystkim opowiesz! Masz język, jak wiatraczna śmiga - przypomniałeś sobie, co powiedział Jermolaj Prokoficz.

Akulka przygryzła „śnigę” i umilkła.

- Kiedy o coś takiego prosisz, Akulino, najpierw dobrze i długo się zastanów. Żebyś potem przez resztę życia nie żałowała. Zresztą, może stać się i tak, że tego życia też nie na długo ci wystarczy.

Rzuciwszy tę ostatnią złowieszczą aluzję wstała i ruszyła ku drzwiom. Potem z ukosa obejrzała się przez ramię. Z pryczy zwisała ręka śpiącego Filata, który przestawszy chrapać, teraz tylko cicho pogwizdywał przez nos - a w tobie obudziła się nagła chęć, by skoczyć na Łukawkę i udusić nieszkodliwego pijaczynę. Impuls był równie nagły, co krótkotrwały; mignęło i przeszło. Wiesz co, Druc? Przystałbyś się wygłupiać. Dawniej przywykłeś wierzyć takim impulsom, ale teraz, to nie dawniej, a i Filat - puste miejsce.

Nie masz na kim wściekłości wyładować, czy co?

Akulka ruszyła tuż za nim.

„Jak zaraz nie przestanie, posłę ją do wszystkich diabłów; drugi raz nie będzie się czepiać”, pomyślałaś rozeźlony.

Ale Akulka na razie trzymała się i milczała. Najwyraźniej postanowiła udowodnić, że jej język nie jest taką „śmigą wiatraczną”, jak się wszystkim wydaje.

Na ulicy tymczasem tężał i przybliżał się szybki tupot końskich kopyt.

Komuż to się tak spieszy?

Wiedziony ciekawością rozwarła drzwi i zstąpiła z ganku.

Urzędnik ostro osadził srokatego ogiera pięć kroków od ciebie, przy samych wrotach i szybko zeskoczył w błoto. Wąsatą twarz krzywił grymas, zsunięta na tył głowy czapka trzymała się tylko na zapiętym pod brodą pasku.

„Ot i wszystko - skrzyknęło ci w piersi. - Nie pomogły kupcowe wyjaśnienia. Przyjechał mnie aresztować. Dlaczego sam? Dlatego, że nie spodziewa się, iż będziemy z Kniahiną opór stawiali. Zresztą jego domysł okazał się trafny. Choć Kniahini...”

Za jego plecami pisnęła z przestachem i rzuciła się wstecz przestraszona Akulka. Doszła widać do wniosku, że posterunkowy zdążył jakimś cudem się dowiedzieć, iż wpraszała się „wujkowi Drucowi” na naukę - i przyjechał po jej piegowatą duszyczkę!

Urzędnik popatrzył koso w ślad za dziewczyną i mimo woli pokręcił palcem po skroni. Kompletnie jej odbiło! To o żelaznych smokach trzy po trzy plecie, to nie wiadomo czego w popłoch wpada.

-Gdzie ta... eee...jakiej tam. Raszka?

- Jeszcze pół godziny temu u kupca była. U Jermołaja Prokoficza...

W twarz uderzyły cię odpryski rzadkiego błota.

Czyli znów przeniosło. Nie po ciebie przyjechał. Ach, dumny Romie, i czemuż to się cieszysz? Przeleciało nad Waletem, ale czy nie w Damę trafi?

I gnany determinacją ruszyłeś za gnającym do kupieckiej siedziby policjantem.

Przed dziedzińcem zgromadzili się chłopci. Szumieli, tłumaczyli coś jeden drugiemu i zagłądali przez płot. Wszyscy byli już niezłe podpici z okazji niedzielnego święta.

- Słuchaj, Druc! Ta twoja przyjaciółka chyba już się rozkręciła! O, nawet Szeptuchę przywlekli!

- Pewny to znak!

- A jeszcze i urzędnik!

- Co urzędnik?

- No przecie władza...

Serce w piersi rąbnęło o żebra. Cóż ty tak, Kniahini? Podarek na nic?

Nie odpowiadając chłopom, którzy jeden przez drugiego pośpiesznie zaczęli robić przejście, bez słowa pchnął furkę. Niemy sługa, Michajło - chłopisko nieustępujące ci wzrostem - potrząsnął słomianą czupryną, sterczącą na wszystkie strony spod kudłatej czapy. Zamierzał zagrozić ci drogę. Nic z tego nie wyszło - nadal milcząc ruszyłeś lekko ramieniem i Michajło zrozumiał. Zrezygnował ze stawiania się i robienia komedii z zastępowaniem ci drogi.

Nieglupi ten stróż.

Na dziedzińcu oprowadzali spienionego ogiera urzędnika. „Nie, nie zgrzał konia, odsapnie i mu przejdzie” - stwierdziłeś mimochodem. Żeby tylko nikomu nie przyszło do głowy go poić.

Samego urzędnika nigdzie nie było widać.

Ruszyłeś w stronę ganku, ale w tej samej chwili drzwi się otworzyły i pojawił się sam gospodarz. Jermołajem Prokoficzem miały przeciwstawne uczucia: na jego spoconej, pokrytej czerwonymi plamami twarzy zawstydzenie mieszało się z niedowierzaniem. Kupiec usiłował zapalić papierosa - nie fabryczną cygaretkę, jak jeszcze nie-

dawno, ale zwykłego skręta. Złamał jedną zapałkę, potem drugą. Wreszcie zapalił i zaciągnąwszy się, z ulgą otulił się obłokiem dymu - i dopiero wtedy zauważył ciebie.

- A-a... Dufuńka - wcale go twoja obecność nie zdziwiła.

- Kiepsko z Rachelą. Zaraz po twoim wyjściu kompletnie ją coś oszołomiło.

- Jak to, oszołomiło?

- No, dostała... tego... - Jermołaj Prokoficz usiłował przypomnieć sobie zasłyszane kiedyś uczone słowo. - Kondracji dostała, o! Pobladła cała, mało nie posiniała, rzuca się, dławi ją coś, oczy wytrzeszcza. .. Pomyślałem, agonia, czy co? Ale nie, powoli jej przeszło. Ledwo trochę odetchnęła, a tu nowa kondracja - tfu! na psa urok!

- Kondratycz włazi. Do Mordwińska muszę ją zabrać, powiada, na rozpoznanie.

- Jakie znowu rozpoznanie?

- No, sam nie za bardzo rozumiem, morda leśna! - splunął kupiec z urazą. - Rozkaz i tyle! Tłumaczę Kondratyczowi: poczekaj trochę, widzisz przecie, że baba ledwo żywa, niech choć dojdzie do siebie! A ten się upiera: taki rozkaz, powiada! Nie zdążę na wieczór, naczałstwo łeb mi urwie... No to kazałem do wozu zaprzęgać. Tyle, że słaba ona - Rachel, znaczy! Kogo by z nią wysłać? Żeby powoził i w razie czego pomógł kobiecie.

- Ja pojedę - zadudniło za tobą. - Odwiozę ją.

Odwróciłeś się.

Obok ganku stał nie wiadomo jakim wiatrem przygnany Fiedoniuszka.

A niemy Michajło trzymał się za bok i tylko otwierał usta niczym ryba.

### *Notatki na marginesie*

*A w oczach Fiedoniuszki Sochacza, za taflą błękitu zawsze widać to samo:*

*...wiewiórka skacze.*

*Ruda, puszysta. Na wszystkie strony macha beztrósko ogonkiem. Nad wiewiórką pochyla się świerkowa łapa, która też rudą barwą połyskuje. Stara i dlatego uschnięta. Na wszystkie strony sypie igłami. Słońce upiększa wiewiórkę jasnymi iskrami blasku*

*i wygląda jej futerko: baw mnie! Zabawiaj! Z góry drą się na wietrznicę krzyżodzioby, ale ona ma je za nic.*

Lufa strzelby osunęła się w dół.

Znikła gdzieś chęć upolowania leśnej taneczniczki.

- Jedź, Fiedoniuszka, jedź - kiwnął głową kupiec.

Drzwi za jego plecami otworzyły się ponownie i na skrzydło ganku wyprowadzono Kniahinię. Raszka wyglądała okropnie: błada jak śmierć, martwe oczy w słupek, wargi drgają i usiłują zaczerpnąć odrobinę powietrza.

Czyżby - znowu? Znowu?!

Za nią szedł ponury urzędnik, podkrecając obwisłego węża. Przeszedłszy obok kupca, nie zatrzymując się nawet, pokazał mu wielką, włochatą pięść. Aj, mamó! W ołowianych oczkach policjanta mignęło nawet jakieś wyraziste, zupełnie ludzkie: „Aleś ty świnię mi podłożył, Jermołaju Prokoficzu, morda leśna, przez tę twoją jarzębinówkę! Starego znajomka na sztych wystawiać!”

Kiedy Kniahini przechodziła obok ciebie, odwróciła się na okamgnienie i spojrzała ci w oczy: jakby krzyknąć chciała bezgłośnie, ale nie wyszło.

Postarzała błyskawicznie kobietę sadzali już na wóz - a ty wciąż patrzyłeś w pustkę i widziałeś odmęt twarzy Kniahini, w którym tonęły ból i przecucie kłęski.

Przecucie kłęski i ból.

I żadnej nadziei.

Krąg Trzeci

## DWIE KARTY W CIEMNO

- *Magowie?! Koszmar mojego bosonogiego dzieciństwa!*  
*Opera „ Cymeryjczyk zachwycony ”*  
*Aria Conana Akwilońskiego*

### DOBÓR KART

Pan podpułkownik raczyli zająć czanachi po jeczmidziańsku.

W glinianym kociołku buchała parą ostro przyprawiona barani-  
na, gęsto poprzekładana drobno siekaną cebulką, ziemniaczkami,  
połówkami pomidorków i kosteczkami bakłażanu, szczerze zasypa-  
na zielenią kinzy, pietruszki i strączkami fasolki. Wszystkie te pysz-  
ności w otwartym kociołku robiły wrażenie martwej natury w stylu  
starej szkoły flamandzkiej. Aż strach brał sięgnąć po to arcydzieło  
sztuki kulinarnej - ale pan podpułkownik od dzieciństwa gardzili tchó-  
rzostwem!

Bardzo też pan podpułkownik lubili czanachi pod białe wytraw-  
ne ze znakomitych winnic kniazia Golicyna „Nowy Świat”. Była to  
swoista demonstracja różnorodności poglądów i duchowej jedności  
Kaukazu z Krymem.

Z woli przypadku otworzona w Mordwińsku przez ziomka pana  
podpułkownika, grubasa Datunę Saakadze, restauracja „Kartli”\* znaj-

\* *Kartli -jeden z rejonów Gruzji (przyp. tłum).*



dowała się prawie naprzeciwko miejskiej kostnicy. Trzeba było tylko wyjść przez drzwi, przeciąć gwarną ulicę Kacarską, przy której była przystań smakoszków i od razu skręcić w Zaulek Drewniany.

I już patrzysz na żelazną bramę kostnicy.

Stali goście restauracji, ludzie bywali i posiadający spore poczucie humoru, godzili się z tym sąsiedztwem dobrodusznie i nawet z pewną satysfakcją. Wszyscy jesteśmy śmiertelni i czasami nawet dobrze jest przypomnieć sobie o nieuchronnym końcu ziemskiego żywota, żeby kielich madery czy delikatne czachochbili smakowały podwójnie. W każdym razie grubas Datuna najpierw uskarżał się w miejskiej kancelarii na tak niesympatyczne i niepożądane sąsiedztwo (kostnicę przeniesiono na Drewniany mniej więcej półtora roku po otwarciu „Kartli”, co było rezultatem pożaru starego budynku, kiedy to liczni szacowni i mniej szacowni panowie nieboszczykowie zostali poddani wspólnej kremacji). Najpierw protestował, rozdawał łąpówki, a potem dał sobie spokój.

Poco?

Sąsiedztwo może i wątpliwej proveniencji, ale za to jaka sława! Pracownicy kostnicy też na tym korzystali: za dnia, kiedy nie było innych klientów zjadali obiady ze zniżką, a wieczorami mieli okazję posłuchać wesołej orkiestry i chóru „Czawałe”, i nocna zmiana przebiegała szybko i lżej.

Krewni, którzy zabierali z kostnicy ciała zmarłych, też się po cichu radowali: kiedy w kostnicy przygotowywano ukochanego wujaszka do pogrzebu, mogłeś sobie strzelić na jednej nodze kielich anyżówki albo - powiedzmy - xeresu.

Na stypę przyjdzie jeszcze długo poczekać!

Pan podpułkownik nadziali na widelec kawał ciemnego bakłażanu i uśmiechnęli się do swoich myśli. Okazuje się, że sąsiedztwo restauracji i czasowego schronienia zmarłych jest na rękę i kniaziowi Gandieri. Na przykład teraz; nie trzeba będzie daleko chodzić. Przejdiesz ulicę - i jesteś na miejscu.

Można by rzec, że to symboliczne.

- Wasza jasność zechce wybaczyć, że ośmielam się niepokoić!  
- przy stole wyrósł kelner w czerkiesce z posrebrzonymi gazyrkami\*.  
Smukła niczym u osy talia kelnera zgięła się w niskim ukłonie, a meta-

*Gazyry - ozdobne ładownice na piersiach, naszywane na czerkieskę.*

liczne gałki błysnęły odbiciem blasku gazowych świateł. Wyszkolony przez groźnego właściciela „Kartli” doskonale wiedział, jak się do kogo zwracać. Teraz, zamiast oficjalnego „Wasza czujność”, które przysługiwało starszemu oficerowi żandarmerii, kelner domyślił się, że do stałego gościa należy się zwracać wedle jego tytułu.

Zuch z niego, zwłaszcza, że pan podpułkownik zaszli dziś po cywilnemu.

-Czego?

- Tam na dole zjawił się pan wachmistrz. Zgodnie z rozporządzeniem waszej jasności, kazali zameldować. Polecili przedstawić pierwszą osobę. Co wasza jasność rozkaże?

- Przekaż, że zaraz tam będę. Z drugą osobą poczekać na moje przybycie. Możesz odejść!

To „Możesz odejść!” wypowiedziane przez pana podpułkownika z naciskiem, ale twardo, brzmiało zawsze jednakowo. Usłyszawszy tę frazę każdy, czy to lokaj, urzędnik akcyzy, cywilny radca czy krewniak głowy miasta - dosłownie każdy wzdychał ukradkiem z ulgą, ocierał czoło i natychmiast się ulatniał.

Nieglupi ludzie.

Kelner nie okazał się głupszy od innych - znikł niczym upiór, przeżegnany znakiem krzyża świętego.

Plecami - nerwami, skórą i drogą tkaniną eleganckiego surduta -pan podpułkownik czuli... nie, widzieli drzwi wiodące do kuchni. Oto z uchylonej szczeliny wysuwa się pyzata fizjonomia Datuny Saakadze, pokryta potem od żaru piecyków, oto pyta bezgłośnie: „No jak, zadowolony?”, „Owszem, zadowolony” - tak samo bezgłośnie odpowiada kelner, nie tyle rozciągając w uśmiechu wargi, ile odsuwając od siebie dwie pijawki równiutko przystrzyżonych, lśniących wąsików. Zadowolony, rozluźnił się; ale nowego zamówienia najpewniej nie będzie.

Datuna uwierzył i uszczęśliwiony kiwnął głową.

I w tym miejscu popełnił błąd gościnny grubasek, którego restauracja w pewnym sensie osładzała panu podpułkownikowi pobyt w tej zapadłej mordwińskiej głuszy.

Nie powinien był uwierzyć.

- Datuna!

- Tak, wasza jasność!

Grubas mówił niemal bez akcentu, bez tego gardłowego klekotu, który natychmiast zdradzał górala - ale do stolika podleciał niczym orzeł.

Natychmiast.

- Wiesz, Datuna, zaraz sobie pójdę. Ale wróć... i to szybko. - Pan podpułkownik przez chwilę sycili się wyrazem lekkiego przestraszenia spowodowanego dwuznacznością stwierdzenia, i dokończyli, obracając w dłoni cienkościenny kielich. - Wróć nie sam, ale z damą. Bądź tak uprzejmy i zarezerwuj dla nas stolik w alkwie. I postaraj się nas zadowolić. No, sam rozumiesz...

Mocne, porośnięte rudawymi włoskami palce pana podpułkownika wykonały w powietrzu nieokreślony gest.

Nie słuchając już zapewnień grubasa, pan podpułkownik podnieśli puchar do warg. Przez chwilę obracali szlachetny dar winorośli na języku. Lekkie uniesienie jednej brwi natychmiast zdmuchnęło poruszonego do głębi Datunę, który znikł za drzwiami, by przygotować „zadowolenie” szanownego gościa, z jakąkolwiek damą nie zechciałby się zjawić - niechby to była nawet caryca Tamara.

Pan podpułkownik wstali.

Pora.

Tak, źle zrobili durnie z Rady Państwa, wzgardziwszy jego raportem. A jeszcze gorszy błąd popełnili, uznawszy jego prośbę o przeniesienie do Mordwińska za kaprys urażonego brakiem uznania arystokraty, który ma znacznie większy temperament niż rozsądek.

Czasami warto na jakiś czas wycofać się w cień, żeby potem powrócić przy dźwięku tryumfalnych fanfar.

Pojmował to doskonale każdy członek świetnego rodu Gandieri.

Na schodach pan podpułkownik przyłapali samego siebie na osobliwym, choć niewątpliwie przyjemnym uczuciu. Okazuje się, że Szałwie Timurazowiczowi spodobał się występ nie w charakterze głównej osoby dramatu, a kryjącego się za kulisami mistrza marionetek, lalkarza, który targa sznurki kukielek w najbardziej dla nich niewygodnych i niespodziewanych momentach.

Ale żeby to pojąć, trzeba było spędzić ponad czterdzieści lat wyłącznie na działaniu i niecałe pół roku na zimowaniu, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Dziwnie wieszysz swoje sprawy, o Panie.

## XII. RAJZKA-KNIAHINI ALBO

### I CÓŻ PANI NA TO, PANI ALT/CHULLER?

*Oddaliłeś ode mnie znajomych moich,  
Uczyniłeś mnie dla nich ohydą;  
Jestem zamknięty, bez wyjścia.*

*Księga Psalmów, Psalm 88*

Wrota były z pomalowanego minią żelaza, zardzewiałe i pokryte wgnieceniami o nierównych brzegach. A obok nich, przy lewej kolumnie, stał na trotuarze samotny posązek - maleńka, sięgająca przechodniom do piersi scytyjska baba z kurhanu i bez twarzy.

Skąd? Po co?

Przez całą drogę czułaś się dokładnie jak te wrota. Starość, obojętność - w tę czy w inną stronę... wgniecenia. Czułaś się wrotami, rdzą, głupią babą z porowatego kamienia; ale nie człowiekiem. Przez całą nieskończenie długą drogę od fortepianu kupca do mordwińskich okien, całą bezsenną noc, spędzoną w zimnie (a wtuliwszy łeb w twoje kolana stękał wierny przyboczny Fiedoniuszka - widać śniło mu się coś złego!). Przez cały ranek aż do południa, dopóki czekali na nie wiadomo co, nawet przesłuchać nie raczyli, nękali strachem i nudą nie wiedząc, że nuda dla zmęczonej katorżniczki to ratunek, zakurzony płaszcz, którym można się okryć razem z głową i nie myśleć, nie wiedzieć, nie wspominać...

Wspominać było strasznie.

Już lepsza nuda, baba i te wrota.

- Otwieraj, flaku jeden!

Dziedziniec. Wyłożony sporymi brukowcami. Stukają kopyta konia, którego przydzielił im Jermołaj Prokoficz, człowiek o szerokiej duszy i - można powiedzieć - niebanalnych upodobaniach.

- Proszę za mną!

Zawisłszy całym ciałem na ramieniu młodego Sochacza - co takiego, Kniahini? Żartujesz?! Nie, wydało ci się - przecinasz dzie-

dziniec. Prowadzi cię wachmistrz żandarmerii, pokazując drogę: niewielki przedsiónek, wyłożony niesamowitymi kafelkami o żalobnych barwach, wiodące w dół schody, ponury korytarz i drzwi, obite cegląstym brezentem.

Na drzwiach numer: „13”.

Na szczęście.

- Proszę tu usiąść i czekać! Zaraz wracam.

Wachmistrza gdzieś wessało. Poszedł sobie. Zamiast niego jest wąsaty żandarm, znacznie od ciebie starszy. Pora mu do rezerwy - do cieplej piekareczki pod pierzyną. Wąsacz, podobnie jak wachmistrz, nie z brygady pościgowej, zwykły szeregowy „łaps”: na pętłę z mieczową runą miał za mało przystojną gębę. W zasadzie można by stąd bez wysiłku uciec. Puścić mu siwy pył w oczy i uciec - do wrót.

Do powgniatanych, skacowanych wrót.

Z powrotem przecież przyniosą- to kostnica i nieboszczyków akurat znoszą tutaj.

Siedzisz na ławeczce, wpierając wzrok, niczym kulę, w podłogę.

Milczysz.

Naprzeciwno, usadowiwszy się na brzeżku ogromnego stołu o marmurowym blacie - stary dziadek stróż. Ostrożnie, starając się nie uronić ani kropelki, rozlewa herbatę do blaszanych kubków. O czymś tam rozmawia z żandarmem, pokpiwają, przerywają jeden drugiemu, ale ty niczego nie słyszysz. W uszach masz watę. Sprężyste kłębuszki. Nie wiadomo skąd, przypomina ci się dawna, jeszcze stołeczna historia. Profesor Nejdning prowadził wykład ze studentami w prosektorium, w dzielnicy Rzeźnickiej, nad nieboszczykiem: widzicie, powiada, moi panowie, nie widać tu oznak gwałtownej śmierci. A studenci się rozstąpili i wyszedł zza ich pleców stary dozorca o przezwisku Wilk. - „Ależ, co pan, Iwanie Iwanowiczu! - sepleni staruch. -Jakże nie widać?!” Odwrócił trupa i pokazuje złamany kark. - „Widzi pan, drogi Iwanie Iwanowiczu - podsumował. - Z Chitrowki nie przysyłają takich, co zmarli własną śmiercią. Zechce pan wybaczyć, ale nie przysyłają...”

Przypomniało się i ponownie znikło w niebycie.

Obok stęka Fiedoniuszka.

Okazuje się, że nawet nie zauważyłaś, jak sama z siebie znikła zatykająca ci uszy wata.

- A ty, byku wsiowy, przestań tu chrząkać! -jakby nigdy nic ciężnie żandarm, kryjąc uśmiech w rudych wąsiskach. - Tak zamel-

dowali: ciało starte na miazgę przez pociąg - idźcie chłopcy i zbierajcie! Tośmy poszli: ja, Jegorycz, i skubent z tych... no, co trupy dla sądu patroszą?

- Prosektor sądowy.

To ty, Kniahini? Naprawdę ty?

Naprawdę.

- No właśnie mówię, skubent! Na praktyce. A noc podła, deszcze ze śniegiem, wiatr w gębę... Łazimy po torach, na czworakach (stróż chrząknął ze współczuciem) i zbieramy. Zebraliśmy, w państwowo-worki wrzuciliśmy i wracamy na posterunek. Wysłaliśmy Jegorycza na melinę, gdzie po nocach handlują nieocloną wódeczką, jak ci jakiś ciężarna duszy legnie. Jegorycza tam szanują, nie powiem. Siedzimy, pijemy. Skubent się rozkręcił. A tu przylatuje do nas posłaniec: cóż wy, skurczybyki jedne, sukinsyny, całe ciało zebraliście, a głowy nie ma! Piorunem z powrotem na tory! Wysłaliśmy skubenta - najmłodszy ze wszystkich, najbardziej gorący, niech szuka. Wyciągnął zresztą zapalną - trzy były długie, wyciągnął krótszą. Po godzinie wraca. Trzeźwy jak ogórek i tylko się śmieje.

- Śmieje się? - zapytuje ogarnięty naiwnym zachwytem Fiedoniuszka.

Żandarm tylko uniósł brew.

-Ajakże! I opowiada: znalazł głowę w zaspie, ale gdzie ją wsadzić, nie ma pojęcia. Po pijaku zapomniał o worku. W kieszeń jej przecie nie wetknie. No i się nie zmieści. A latać tam i z powrotem -nóg szkoda! Więc z pijackiej odwagi wziąłjąza kudły i po podkładach ciągnie z powrotem. Patrzy, naprzeciwko idzie jakaś szajka. Może go przyuważyli, a może nie. Ataman zęby szczyrzy: „Ej, frajerze, nie masz co zapalić?”. Zaczepki szukają. Skubent nie wygląda na miejscowego, z policji: paletko na nim mizerne, berecik z ogonkiem. Ale chłopczek zeń chybki, z miejsca odpalił: „Czemu nie? Jednego już poczęstowałem!” - i podsunął atamanowi pod ryj tę oberwaną przez pociąg głowę! Nie zdążył się nawet spostrzec, a tamtych wciąło. Stali wokół i zęby szczyrzyli - i nagle nikogo nie ma, tylko wiatr pogwizduje. W ciemności nawet się nie spostrzegli, że głowa babska...

- A głowę? Głowę przyniósł? - pyta rzeczowo stróż, hałaśliwie siorbiąc drącą w krtani niczym tarka herbatę.

- A gdzieżby się ona zapodziać miała? Przyniósł. Sam ją potem przyszywałem...

### Notatki na marginesie

*A w wyblakłych, wodnisto wilgotnych oczkach stróża z mordwińskiej kostnicy - wpatruj się w nie albo nie! -pływa drobniotka:  
...cerata.*

*Obok, kąt ściany wyłożonej kafelkami. Gdzieś z boku w pole widzenia wpycha się wielki paluch u nogi: sam palec siny, a na nim plakietka też ceratowa, pokreślona fioletowym atramentem. Na ceracie stoi szklanka napelniona po brzegi. Odrobina wódki się przelala; w ostro pachnącej maleńkiej kałuży moknie kromka żytniego chleba: pulchna, gąbczasta, do piętki przyłgnęło pięć ziarenek kminku.*

*Dobrze.*

*Teraz dobrze, a będzie jeszcze lepiej.*

- Wstać!

Wachmistrz otwiera drzwi kopniakiem. Okrzyk błyskawicznie podrywa na nogi gadatliwego żandarma, i ciebie też - przyzwyczajenie z więziennych baraków. Skąd ci się wzięły siły? Stróż z Fiedońką nieco się spóźnili; mieszała się, biedaczkowie. Wachmistrz zresztą wcale o to nie dbał.

Podszedłszy do ciebie, nie wiadomo dlaczego strzelił kopytami i uklonił się jak oficer:

- Pani Altschuller!

Dawno już odwykłaś od tego, żeby zwracano się do ciebie w ten sposób, i mocno cię to zdziwiło.

Ale nie za bardzo.

Dziwić się, radować, odczuwać skruchę - cóż to takiego? Jak to się robi?!

- Pani Altschuller! Zostanie pani okazane do rozpoznania ciała kobiety, która wczoraj w nocy zginęła pod kołami pociągu. Proszę wziąć pod uwagę, że pani zeznania mają istotne znaczenie dla śledztwa! Nie będę pani uprzedzał o odpowiedzialności: sama pani doskonała o tym wie. Czy jest pani gotowa?

Kiwnęłaś głową.

Tak przynajmniej ci się wydało.

Wachmistrza w pełni to zadowolilo.

-Jazda, Mitrycz!

Stróż śmignął gdzieś niepostrzeżenie niczym mysz. Skrzywienie węzłów, niewyraźne przekleństwa; katafalk osiadł pod niewidocznym do tej pory brzemieniem. Trupy są ciężkie. To prawda. Żywi ważą znacznie mniej, wciąż czegoś pragną, ciągną się w górę, sami siebie za uszy. Durnie!

Zgrzyt kół na kafelkach.

Stróż, który zdążył już wrócić, zrećnie przesuwa przykrytą ceratą nieboszczkę na marmurowy stół. Patrzy na wachmistrza: zdejmować?

-A więc?

Cerata z ciężkim szumem spływa na podłogę.

Patrzysz.

Nie wierzysz własnym oczom.

Przed tobą, w całej swojej bezwstydnej lodowatej nagości leży zupełnie ci nieznaną kobietą. Wyraźnie widać pospiesznie zakładane szwy - tam gdzie krzywą igłą zszywano oderwane części. Twarz kobiety zachowała się w stanie nietkniętym - zwykła, dość sympatyczna twarz... jeszcze do niedawna. Na widok tej twarzy zląkł się przywódca bandyckiej watahy, jeżeli wierzyć gadatliwemu żandar-mowi. Lewe oko lekko zmrużone, jakby mrugało znacząco: a co, Kniahini, nie mnie się spodziewałaś? I koń się potknie, choć ma cztery nogi.

„Ciało kobiety - wypływa z głębin pamięci wypowiedziana przez wachmistrza fraza - która wczoraj w nocy zginęła pod kołami pocią-gu”.

Ale mimo wszystko napływa zdziwienie. Jakże to - wczoraj w nocy? Dlaczego? Nie może to być! Wychodzi na to, że znaleźli ją w nocy, rankiem pozszywali, a za dnia urzędnik Kondratycz już gnał do Kęs-Precla, kalecząc ostrogami boki swojego ogiera? Kiedyz to zdążył? O której go powiadomiono? Kiedy posłano po ciebie, żebyś rozpoznała ciało?

Czyżby wcześniej? *Zanim* kobieta zginęła pod kołami?

Pociąg jeszcze rozgniatł kołami resztki nieszczęsnej ofiary wypadku, a po urzędnika już gnał specjalny kurier?!

Czy to możliwe?

Zdziwienie strzela w górę niczym rzymska świeca fajerwerku - i gaisnie, rozsypując na wszystkie strony jaskrawe isierki.



Co za różnica?

- Zna pani tę kobietę?

-Nie.

Nie znasz jej. I tylko na samej krawędzi dawnego kunsztu brzęczy gdzieś świadomość: masz przed sobą fartowną Piątkę. Jeszcze nie weszła w konflikt z prawem; to czyjaś chrześniaczka. I kolor jest twój, dzwonkowy. To akurat jest pewne, to akurat można określić dokładnie. Ale panu wachmistrzowi nie warto o tym mówić. Mało to Piątek Dzwonkowych, które kończą życie pod kołami pociągu? Z pewnością niemało.

I jeszcze coś tam majączy na krawędzi świadomości; coś okropnego, o czym nawet nie chcesz myśleć.

I nie myślisz.

- A więc utrzymuje pani, że po raz pierwszy widzi okazaną jej osobę?

- Po raz pierwszy.

- No i dobrze, pani Altschuller. Bardzo dobrze! Zechce pani poczekać, ja zaraz...

I ponownie szarpnąwszy karkiem w ukłonie, wachmistrz znika.

-Może i ja bym... herbaty... -prosisz.

- Owszem - zgadza się łaskawie wąsaty żandarm, a stróż wyciąga spod stołu, na którym leży nieboszczka, jeszcze dwa kubki - dla ciebie i Fiedoniuszki.

Chłopak patrzy na wszystko okrągłymi ze strachu oczami.

- Może wyjdiesz? - pytasz go. - Może odetchniesz świeżym powietrzem, co?

Chłopak tylko kręci przecząco głową.

Jakby mówił: zostanę tutaj.

Właściwie to wszystko ci jedno. Niech sobie siedzi. Herbata jest gorąca, słodka; czas też jest gorący, słodki i ciągnie się niczym miodna patoka. Tylko patrzeć, a cały wycieczce bez reszty. Zaczynasz chyba nawet drzemać. W drzemce cicho i dobrze, powoli porusza swoimi klawiszami fortepian - si, re-diez... akord, potem drugi i oto z gładką kantyleną dołączają skrzypce i oboje... krążą pary, spojone na głucho nicią „skubenta” anatoma, krążą, uśmiechają się sinymi ustami... płoną świece...

A chcecie, każe świecom zapłonąć purpurą zmierzchu nad rzeką?

Chcecie - rozumu pozbawię? Zmuszę, żebyście miauczeli jak marcowe kociska?

Chcecie?

:

„Chcę...” - ledwie słyszalny śmiech.

Chłód. Okrutny, lutowy; obozowy. Przez cały sen przedziera się, idzie w blasku i chwale: podpułkownik Gandieri, łowca podchodzący do ofiary.

- Tańczy pani, pani Altschuller?

Cisza.

Gdzie skrzypki? Gdzie fagot? Gdzie obój?

Otwierasz oczy, w nadziei, że wszystko to było snem.

Nadaremnie.

- Nie spodziewała się pani, że los jeszcze nas ze sobą zetknie, pani Altschuller?

Stoi przed tobą. Smagły, barczysty dorodny samiec, nie wie-dzieć dlaczego po cywilnemu. Grube palce obracają breloczek; znaną cijuż łapę z brązu trzymającą miecz. Na twarzy pana podpułkownika maluje się uprzejma obojętność; ktoś postronny gotów by pomy-śleć, że spotkał miłą znajomą. ""■"

I nie w kostnicy, a latem, na nadmorskim bulwarze.

Książ Gandieri bierze kubek z herbatą. Przez chwilę wacha z pogardą i podejrzliwością.

-Mmm... tak... ależ świństwo.

Stróż z żandarem parszają usłużnym śmieszkiem; ależ oczywiście, wasza wielmożność, świństwo straszne! Sami się sobie dziwi-my, jakże można to pić?!

- Stawiam obiad, droga pani Altschuller! Mam nadzieję, że zgo-dzi się pani, abym choć w taki mizerny sposób okupił winę! W końcu zmusiłem panią do dalekiej, niewygodnej podróży i w dodatku na otwartym wozie, zamiast kareta! -widziałem wasz... eee... zaprzęg, tam, przy ganku. Współczuję pani, niechże mi pani wierzy, współczu-ję z całej duszy!

Wstajesz.

I patrzysz jakby z boku: twojądłoń, wymizerowaną i poprzeci-naną siecią zmarszczek, podnoszą do ust.

Jak dawniej.

- Widzę, że się pani zgadza. Tyle, że przedtem musimy jeszcze załatwić małą formalność... doprawdy drobiazg...

Krótkie zerknięcie na żandarma. Ten pręży się niczym świeca i jednocześnie trąca łokciem w żebra stróża. Przykryte ceratą ciało natychmiast znika ze stołu i wózek odjeżdża ze zgrzytem kół.

Żeby wrócić zaraz, jak wraca roztargniony kelner; z nową porcją.

Ciężkie przecucie zwala się na ciebie i lodowatą dłonią gwałciela chwyta za pierś, grzebiąc pod suknią. Stara sztuczka: czekającego najpierw rozluźnić, osłabić jego czujność, odwrócić uwagę uprzejmą rozmową, zwodniczą pomyłką, obojętnością - żeby potem nawet policzek wydał się ciężki, jak zadany ręką oprawcy. Sztuczka stara, ale wcale przez to nie mniej skuteczna. Zagnali cię do kąta - tkwisz w bezruchu niczym sznur w obliczu sfory bezlitosnych foksterierów, drobna mizerota, mogąca się poszczycić jedynie długim ogonkiem i daremnie wyszczerzonymi ząbkami.

„Nawet szczura nie należy zaganiać do kąta” - miga ci bezsensowna myśl, gdy stróż zsuwa ceratę.

Leżące przed tobą ciało jest strasznie pokaleczone. Nie trzeba żadnych szczególnych talentów, żeby poznać - natychmiast, w jednym błysku przerażającej trwogi - że tę kobietą poddano długim i wymyślnym mękom. Wypalone oczy; na czole starannie wyrźnięty dzwonkowy as - kiedyś krwawy, teraz już siniejący, wypuczający się niczym zwykle znamię. W półotwartych ustach nie ma ani jednego zęba, na prawej ręce zostały tylko dwa palce - pozostałe odrąbano; lewa w ogóle jest ich pozbawiona, sterczą tylko paskudne kikuty, przez co dłoń przypomina psią łapę.

Nie, nie odwróciłaś się.

Patrzyłaś.

I nawet nie drgnęłaś, kiedy za twoimi plecami skoczył ku drzwiom trzymający dłoń przy ustach Fiedoniuszka, który nie potrafił opanować ogarniających go torsji.

Jemu, głupkowatemu wsiokowi, można to wybaczyć, Dzwonkowej Damie - nie.

Mag z Konwentu takie widoki musi znosić bez sprzeciwu.

- Miła pani Altschuller, zna pani tę osobę?

Pytanie będzie jeszcze trzeba powtórzyć. Dlatego że myślisz teraz o tym niespodziewanym ataku, który dopadł cię przy fortepiannie: pamiętasz? - czy nagle zapiekły ognistymi łzami, a oddech zamarł i znikł na długo, kiedy to dłonie nagle przekształciły się w pozbawione palców kulaki. Biłaś jeszcze, waliłaś na osłep w klawiaturę,

zmuszając instrument do wycia przypominającego zew głodnej wilczej zgrai - i nie mogłaś się zatrzymać.

Tak jest, pamiętasz.

Zawsze wiedziałaś, że jesteś silna. Zawsze; w procesie, na katordze, w kęs-precelskiej głuszy. Świadomość ta była czymś oczywistym i w pewnym sensie drażniącym. Pamiętasz; dawno, za młodych lat w zasypanym zwiędłymi liśćmi imieniu przypadkowego kochanka samo się ułożyło z tęsknoty, nudy:

- Ten, kogo uznano za silnego.  
Wie: silnym nikt nie współczuje.  
Powiadają: litość poniża,  
Powiadają: współczucie na nic.  
Silnemu nagrodą- siła,  
I jesienne alejki,  
I jeszcze...  
Zresztą dość.  
Za wiele dla jednego.

A przecież wtedy nie wiedziałaś, jakich granic sięga twoja siła. Okazuje się, że to okropne; stać tak i patrzeć, słuchając cichego głosu podpułkownika Gandieri, milczeć i nawet nie zgodzić się na to, żeby wychlusnąć siebie bez reszty, w jednym zamachu, by na zawsze odejść.

..Przecież teraz już nie możesz po prostu odejść?  
..Przecież nie możesz, prawda?!  
..Przecież jesteś silna, Kniahini, oby cię przekłęto!

Ci, którym nagrodą- siła  
Po dawnemu zęby zwarli,  
Po dawnemu patrzą prosto  
Na każdy bezstronny sąd.  
Słabym podwójnie ciężko -  
Muszą nieść cudze współczucie  
I jeszcze...  
A zresztą dość.  
Słabi nie doniosą.

..Ale czemu „oby”? Ty już jesteś przekłęta.  
- A więc pytam raz jeszcze: czy zna pani tę osobę?

-Tak.

Wolność zaczyna się od słowa „nie”, ale czasami, choć zdarza się to bardzo rzadko, mimo wszystko zaczyna się od „tak”.

-I ktoś to taki?

- Helena Zapolska, znana w waszym wydziale jako Lenka Fert. Ot, spotkaliśmy się, Lenka.

Witaj, zuchwała Dziewiątko.

- Wasza współpracownica w sprawie, za którą zesłano was na katorgę?

- Owszem, była moją współpracownicą. Sąd jednak raczył ją uniewinnić i uwolnić z zarzutów z braku dostatecznie mocnych dowodów. Choć, o ile sienie myślę, pozostawiono ją pod nadzorem.

Pan podpułkownik ironicznie unosi brew. Wesoło mu. Ma doskonały humor. Od pana podpułkownika ciągnie zapach dobrego wina i smacznych, wyszukanych potraw. Te zapachy można wyczuć nawet tu, w kostnicy.

- Wie pani, miła pani Altschuller, zawsze mnie dziwiła jedna rzecz. Mam tak już od dzieciństwa. Nie zapyta pani, co mnie dziwiło? Nie, widzę, że pani nie zamierza pytać. Więc powiem, absolutnie się nie krępując obecnością osób postronnych.

Kiwnięcie głową ku żandarmowi i stróżowi, na co odpowiedzią są ołowiane spojrzenia: „Wasza czujność, jesteśmy ślepi, głusi i niemi!” Niczym ten trup na stole.

Wyciągnę, mateńko! Kark skręcę, cholera jasna, a wyciągnę! Zagramyjeszcie na cztery ręce?

- Mierzi mnie fakt, że przeciwko takim jak wy trzeba wydawać wyroki zgodne z wszelkimi prawami. Mierzi mnie upór Rady Państwowej, której wrażliwość jest podobna wrażliwości świętego Awwakuma, niech pamięć jego błogosławioną będzie! Mierzi mnie konieczność uświęcania pieczęciami tych upartych cerkiewnych hierarchów każdego wyroku z artykułu za „działania eteryczne”. I wreszcie; wszystko to mierzi mnie po trzykroć i czterokroć, ponieważ przy naruszeniu pewnych sił i innych reguł wyrok nie nabiera koniecznej mocy.

Pauza.

Stróż uparcie patrzy na martwą Lenkę Fert; żandarm w podłogę, a ty na pana podpułkownika.

Fiedoniuszka wciąż nie wraca.

- Pani przecież doskonale zdaje sobie sprawę, pani Altschuller: gdybyśmy osądzili pani współpracowniczkę, wzgardziwszy brakiem dowodów czy niewyczerpaniem wszelkich znamion przestępstwa - obie wychodzicie z sali rozpraw w ciągu najbliższej godziny. O ile, oczywiście, nie znikniecie wprost z ławy oskarżonych. Gdyby zaś oberstarzec w imieniu hierarchii albo Najświętszego Synodu odmówił postawienia swojej pieczęci pod wyrokiem - a zawsze odmawia, o ile tylko zwątpi w bezstronność przeprowadzonego śledztwa, tego akurata może pani być pewna! - rezultat byłby taki sam.

Słuchasz, nie przerywając, i coś w twojej twarzy nie podoba się panu podpułkownikowi.

Zaczyna być wymowny.

Zaczyna tracić opanowanie.

Zupełnie to nie przystoi kniaziowi Gandieri i kniaź doskonale to pojmuje. Uspokaja się i wodzi palcem po wąsach. Mogłoby się здаwać, że pokaleczone ciało Lenki Fert na zimnym marmurowym stole też jest godne pełnej uniesienia mowy oficera śledczego.

Nie smuć się, przyjaciółko; ja sama na dwie ręce zagram nie gorzej niż z tobą na cztery.

Dzięki ci, i raz jeszcze -nie smuć się.

Pociąg jedzie do piekła, tam się spotkamy.

- Zechce pani wziąć pod uwagę, miła pani Altschuller, że my - stróże społecznego ładu - musimy leczyć skutki, podczas gdy powinniśmy zajmować się usuwaniem przyczyn. I wcale nie mam na myśli wprowadzenia kary śmierci za dowolną próbę „działań eterycznych”, jak bębnią o tym zwariowani fanatycy. Doprowadziłyby to tylko do anarchii i ośmieszyły władze. Zgodzi się pani ze mną; wie-szać cyrkowego kuglarza za to, że stosuje bezprawne metody łkania szpad... Farsa! Komedia! Nie, ja myślę o czymś innym.

Pan podpułkownik milknie.

I mruga błotnymi oczami.

- Pani Altschuller, zamówiłem dla pani pokój w hotelu. Przyzwoity pokój, na rachunek skarbu państwa. Załatwiłem też z portierem; wasz... eee... przesadnie wrażliwy Sancho Pansa przenocuje w komórce hotelowego ślusarza. Mam nadzieję, że nie zachce mu się łoża z baldachimem. Nie? I bardzo dobrze! A my teraz zajdziemy do „Kartli” - to jedyna godna uwagi restauracja w tej głuszy! - po czym będzie pani mogła rozporządzać sobą do woli - aż do wieczora. Wieczorem, jak już miałem honor pani oznajmić - hotel.

- A rankiem? - pytasz, świadomie przelykając odruchowe „wazsza czujność”. - A rankiem, kniaziu?

I uśmiechasz się; szeroko, oślepiająco... i z wyrachowaniem.

Uśmiech nie powinien zatrzeć ostatniego wrażenia.

Kniaź Gandieri uśmiecha się także:

- A rankiem, zesłana Altschuller, siądzie pani na wasz wóz i wróci na miejsce zsyłki. A potem na zawsze zapomni pani o moim istnieniu, tak samo jak ja zapomnę o pani.

Łże.

Oboje o tym wiecie.

### XIII. DRUC-KONIARZ

#### ALBO LEJNA GAWRA

*Ja jestem za pokojem*

*Ale gdy przemówię, oni są za walką*

*Księga Psalmów, Psalm 120*

- Wstawaj, warnaczysko jedno! -bez złości, ale z czuciem ktoś tknął cię pod żebro. - Pora na porębę.

Filat był zdumiewająco trzeźwy, rzeński i nawet nie widać było po nim przesadnych śladów kaca. A przecież narąbał się wczoraj jak stodoła! Czyżby do wieczora zdążył wytrzeźwieć?

Tego akurat mogłeś się tylko domyślać: gdy telega z Kniahinią i Fied'ką, a także eskortujący ich urzędnik zniknęli z oczu, ty jeszcze kilka chwil zostałeś pośrodku kupieckiego podwórka. Gwar czyniony przez kmiotków puszczałeś mimo uszu. A potem skierowałeś się prostu do chwackiego sklepikarza i na rachunek zarobku (albo zesłańczego żołdu) kupiłeś butelkę monopolówki „z czerwoną główką”.

Zagrychę? A tak, też wezmę... daj tę cebulę.

Wystarczy.

W sumie pod wieczór utrafiłeś się nie gorzej niż wcześniej Fiłat, który do tego czasu mógł całkowicie wytrzeźwieć. Ale zaskakujące było to, że wytrzeźwiająwszy, nie nabąbał się natychmiast ponownie.

Siwuchy mu zabrakło? A może groźna Pelagia chłopca w obroty wzięła?

Jakiś uparty kozioł tłukł rogami od środka w ściany czerepu, grzbiet trzeszczał i zgrzytał bardziej niż zwykle, palce zesztyniały niczym świerkowe sęki - a co cię teraz Fiłat obchodzić może? Bez entuzjazmu przełknąłeś kilka łyżek wyziębionej już kaszy, popiłeś resztkami kwasu, wzięłeś buty i powlokłeś się za żwawym gospodarzem, który pozbierał się wcześniej i sprawniej.

Każdy krok odzywał się głuchym echem w skroniach. Świat kołysał się podejrzenie, chwilami grożąc całkowitym upadkiem na bok. Pod czaszką zamiast myśli obracały się ze zgrzytem ciężkie głązy: „Co z Raszka? Jakie nieszczęście się na nią zważyło? Wygrzebie się jakoś? Po kiego czorta powlekli ją do miasta? Doniósł ktoś o tej niedźwiedzicy? Ale skoro tak, to czemu nie wzięli nas razem?”

Od tego przesłuchania, podczas którego sam zadawałeś sobie pytania i sam sobie odpowiadałeś zawziętym milczeniem, kręciło się we łbie jeszcze gorzej. Aż idący przodem Fiłat zatrzymał się wreszcie i rzucił za siebie z fałszywym współczuciem:

- Co, kiepsko z tobą, chłopie? Obok rzeczka płynie. Przemij pysk, czy co... Ulży ci.

Rozejrzałeś się dookoła. Miejsce jakby nieznane. Ale rzeczka faktycznie tuż obok, słychać jak szemrze. Wyszliście chyba na porębę z drugiej strony, ot i wszystko. A przemycić ryło - w tym Fiłat ma rację. Powinno pomóc.

Nuże, Druc!

Przedarłeś się ku rzeczce przez rzadkie zarośla, poślizgnąłeś się na gładkim kamieniu - ale ustałeś. Powoli, ze zgrzytem opadłeś na czworaki i wetknąłeś twarz w zimną, przejrzystą wodę.

Ulżyło. Podniosłeś głowę, głośno nabrałeś tchu w płuca

- i dopiero wtedy poczułeś, że coś jest nie tak.

Za późno.

Nawet nie zabolalo: po prostu przed oczami wybuchła chińska raca, podobny do huku burzy tętent kopyt z dali (tabun? skąd?!)

- i zwarły się wokół ciebie szczęki mroku.



- .. a może w ogóle się wykopyrtnął?!

- Co ty gaaa-dasz? U tych drani łeb mocny. Można taki kaczan rozbić?

- Koniokrad, mówią? Koniokradzy mają podwójne żebra, a znaczy i łeb taki samy...

- Co ty pleciesz? Przetrzyj gały, Karpucha! Gdzieś ty widział podwójny łeb?! Aten tutaj ma jedną pałę...

- Jedna, ale dwa razy mocniejsza od innych!

-A-a...

Mało prawdopodobne, by takie rozmowy wiedli ze sobą diabli w piekle. A anioły w niebie z pewnością nie tak rozmawiają. Czyli wciąż jesteś na tej pełnej grzechu ziemi. Jakże łeb boli, gdybyż tylko ten kozioł bodliwy zechciał wrócić! Lepiej już chyba byłoby w piekle, gdyby cię tam za karę na katorgę zesłali! Albo choćby w czyściec obozowy - do rajku tak czy owak nie wpuszczą. Choć twój ojciec chrzestny, stary Jefrem Perłowy, którego imię często wykorzystywałeś po śmierci nauczyciela, uważał, że jest inaczej: to nasza ziemia matula jest czyśćcem. Oj, jak wszystko piecze i płonie! Czyżby to Filat tak ci przygrzał? Ależ z niego ścierwo! Poczekaj tylko! Jak Walet Winny wstanie na nogi, jak tylko święta Marta-Zbawicielka doda mu sił- dostaniesz za swoje, kmio-ciejeden!

Z tej złości trochę ci ulżyło i zdołałeś otworzyć oko.

Lewe.

- A mówiłem, że się wylize! No co, warnaku, ocknąłeś się?

Zamiast odpowiedzi zamruczałeś niezrozumiale.

Potem rozkleiłeś drugie oko.

Mętne cienie. Niewyraźne plamy światła i ciemności. Niczego nie można rozróżnić. Czyżby uderzenie cię osłepiło?! Gdzieś w głębi chlupnęła lepka fala zwierzęcego strachu, wewnątrz, skąd zwykle nadpływała Moc.

Osmaliła, oparzyła. Ze strachu szarpnąłeś się i usiadłeś.

Ciało natychmiast chybnęło się w bok - musiał, wbijając sobie drzazgę w dłoń, chwycić za nieociosaną belkę ściany. I nieznaczny ból ukłucia nagle cię otrzeźwił. Łeb nadal ci pękał, jak przedtem, ale rozmyte cienie się wyostrzyły.

Chwała Bogu, choć wzrok ci został!

Odruchowo spróbowałeś wyjąć drzazgę. Za czwartym razem się udało. Dopiero wtedy podniosłeś wzrok; powoli, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, poruszyłeś głową i rozejrzałeś się.

Izba. Wykonana topornie, ale solidnie. Postoi i sto lat. Piec. Niedawno bielony, nieco niedbale. Ławki wzdłuż ścian. Stół. Za stołem siedzi dwu ludzi. Jeden: zarośnięty dryblas w siermiędze; złamany nos, wydętejak u dzika nozdrza, pod krzaczastymi brwiami nawet nie widać oczu. Siedzi, popała skręta i patrzy na ciebie przez dym.

Milczy.

Drugi zamiast brody ma jakieś rzadkie pióra, sam zresztą też jest jakiś chuderlawy. Nie wiadomo dlaczego ma na sobie żołnierski płaszcz bez pagonów. Wytrząsa fajkę o blat stołu, od czasu do czasu zerka w twoją stronę i mruga znacząco.

Diabli wiedzą, o co mu chodzi.

Jest i trzeci: drzemie na ławie w kącie, przy samym piecu, okrywszy się płaszczem. Płaszcz jest zaskakująco nowy, wełniany i chyba ciepły.

Na stole leży dubeltówka. I to nie jakaś tam berdanka, ale tulska dwururka, z jakiej trudno chybić. A oto i jej przyjaciółka - wisi na ścianie. *Ej, baro*, spójrz bardziej uważnie - to nie broń myśliwska, ale wojskowy karabin. Skąd? Myśliwym nie wolno się nim posługiwać...

- Widzę, żeś się ocknął - chuderlawy kiwa głową z zadowoleniem. - Jak tam głowa? Boli, co?

- Aż piosenki śpiewa. - Tym razem odpowiedź wyszła ci zupełnie wyraźnie.

Niedobra to była odpowiedź, gniewna.

-No... łyknij sobie, powinno puścić...

Chuderlawy wyciągnął spod stołu okopcony kociołek i wyciągnął go ku tobie.

Trzeba było wstać, żeby podejść i wziąć od niego ten przeklęty kociołek, ale nie miałeś sił. Chuderlawy widział, jak cię łamie, ale nie spieszył się z pomocą.

Sprawdza cię - rozumiałeś. No dobra, udław się, skurwysynu...

Wstałeś, pokonawszy słabość ogromnym wysiłkiem woli. Na moment pociemniało ci w oczach. Żeby nie upaść, trzeba było ponownie oprzeć się o ścianę. Dobrze choć, że druga drzazga się nie trafiła.

Wziąłeś kociołek.

Usiadłeś ciężko na ławie za stołem, naprzeciwko chudzielca. Od kociołka ciągnęło zapachem jakichś ziół. A co tam, gorzej i tak już nie będzie! Wywar okazał się cierpki, aż darło w krtani. Niewiele brakło, a by cię zemdliło, ale zmusiłeś się do przełknięcia kilku łyków.

Nie podziękowałeś, tylko w milczeniu zwróciłeś kociołek.

Z zewnątrz doleciał odległy stuk końskich kopyt.

- Siłantij, zobacz no, kogo tam diabli niosą- rzucił półgłosem chudzielec.

Znaczy, wiemy już, kto jest kto. Zarośnięty to Siłantij, „blotka”, a chudy to Karpucha, który wie wszystko o złodziejach koni.

### *Notatki na marginesie*

*Popatrzcie, koniecznie popatrzcie w oczy Karpuchy! Zróbcie to niezauważalnie, z ukosa, a wtedy zobaczycie:*

*...zając.*

*Martwy zając na kłocu postawionym zamiast stołu. Żyłasta ręka o krótkich palcach przytrzymuje tuszę; z góry opada nóż, ciężki, o szerokim ostrzu. Chrząst - i długoucha głowa spada do podstawionego wcześniej cebrzyka. Zająca unoszą za skoki. Chlusta krew - ale niewiele jej i nie trwa to długo. Potem nóż sprawnie rozpruwa brzuch, robi nacięcie wzdłuż grzbietu - i palce zaczynają zdzierać szarą skórę, odsłaniając warstwę żółtawego tłuszczu i jasnoczerwone mięso.*

*Skóra kiepska, wyliniała z latem, nie ma jej co oszczędzać - drzyj bracie, jak popadnie!*

*Jeść się chce.*

Dryblas wstał bez słowa, zdjął ze ściany karabin i wyszedł.

Wrócił prawie natychmiast.

- Jermołaj Prokoficz! - w piskliwym, osobliwie brzmiącym głosie Siłantija brzmiało zdumienie.

A ty się uśmiechnąłeś.

Kupiec wszedł do izby spokojnym, władczym krokiem, niczym gospodarz. Krótkim skinieniem głowy pozdrowił Karpuchę i Siłantija, i koso spojrzął na śpiącego w kącie trzeciego chłopca.

A potem nieco sztucznie się wzdrygnął:

- Coś tu zimno u was. Poszlibyście i drewek narąbali, co? Piefkę też obudźcie i weźcie ze sobą - we trójkę, jak to mówią, weselej, morda leśna!

Podczas gdy budzono Piefkę, Jermołaj Prokoficz usiadł za stołem naprzeciwko ciebie i mimochodem przesunął dubeltówkę, żeby znalazła się akurat pod prawą ręką kupieckiej mości.

Wyglądało na to, że rozmowa będzie poważna i rzeczowa.

Trudno o bardziej poważną- dali po łbie i przywlekli do jakiejś leśnej gawry (że nie jesteście we wsi, pojąłby to nawet dziedziczny idiota!).

Drzwi izby po raz ostatni skrzypnęły nieprzyjemnie i zostaliście z kupcem sami. Przez dość długą chwilę obaj milczeliście. Ty już nie masz dokąd się spieszyć. Skoro kupiec nawarzył tej kaszy - niech pierwszy rozmowę zaczyna.

- No co, Dufuńka, czerep cały? Kombinować możesz? - zainteresował się przyjaźnie Jermołaj Prokoficz.

W odpowiedzi zmierzyłeś tylko kupca ponurym spojrzeniem i dalej zawzięcie milczałeś.

- Ty mi tu ślepiami nie świeć! - nie wiadomo dlaczego rozeźlił się kupiec.-Odpowiadaj, jak pytają!

A niech się wścieka.

Być może ze złości się wygada z tym, z czym nie zamierzał się zdradzać.

Głowę powoli puszczało; wywar pomagał! W miejscu cofającego się bólu wewnątrz czaszki tworzyła się bezdena przepaść - rzuć jakąś myśl-kamyczek, a utonie w niej na wiek wieków. Ale w myśleniu ta przepaść w ogóle nie przeszkadzała.

- Nie podobasz mi się, Dufuńka - zaczął z namysłem Jermołaj Prokoficz, jakby nie do ciebie się zwracał. - Od samego początku mi się nie spodobałeś...

- To czemuś mi bębenka podbijał? Czemu garbatego stroiłeś?

- Kogo stroilem? Po jakiemu to, morda leśna?

- A sam się domyśl, skoroś taki mądry.

- Dufuńka, ty mnie lepiej nie drażnij! Co, nie kumas, że teraz całkowity i niepodzielny pan twego nędznego żywota? Zechcę, pozwolę ci jeszcze pochodzić po świecie, a nie - udusić każę i tyle!

-Łiesz. Gdybyś chciał mnie załatwić, to już bym w piekle patelnię zadkiem wycierał. Czyli jestem ci potrzebny.

-No, widzę, żeś się całkiem ocknął i pozbierał. Potrafisz dodać dwa do dwóch - zadowolony z obrotu rozmowy kupiec klepnął się dłonią po udzie. - A co do tego, że jesteś mi potrzebny - twoja prawda. Po to cię zresztą tu przywlekli.

- Po dobroci nie mogłeś, czy co? - ostrożnie obmacał głowę.

Na ciemieniu włosy pokryte były zlepioną, zastygłą już krwią.

- Nie mogłem, Dufuńka, nijak nie mogłem - Jermołaj Prokoficz na znak zaufania przechylił się ku tobie nad stołem, ale zrobił to z głową, nie mógłbyś go w razie czego dosięgnąć. - Kto z dobrej woli łeb swój pod pętlę podstawił będzie? A teraz już nie masz wyjścia, morda leśna! Droga powrotna już nie dla ciebie. Zbiegiem już jesteś, kochaneczku. Zbieg jesteś i złodziej - konia mi podprowadziłeś. A to wszyscy wiedzą - koniokrad z ciebie zawołany.

- Jakiego znowu konia? - skrzywiłeś się ze złością. - Przecież na te twoje „tagdyńce” żaden koniarz, zwykły złodziejaszek, czy wyga, się nie połakomi! Do śmierci wszyscy by się z niego nabijali!

- No, tę bajeczkę to możesz urzędnikowi opowiedzieć. O ile zechce cię wysłuchać. Kondratycz przecież może cię na miejscu z rewolweru ustrzelić! Zbiegły katorżnik jesteś, a zbiegłego każdy ustrzelić winien, nie ma potrzeby, żeby cię brać żywego. A niechby i nie strzelał - komu urzędnik uwierzy, katorżnikowi czy mnie?

Nie odpowiedział.

Zapytał wzrokiem: po co to wszystko?

- A po to, żebyś jęzorem po próznicy nie trzepał! Bo jeszcze z donosem byś poleciał, żeby zasługę sobie zaskarbić, morda leśna...

- Dureń z ciebie, Jermołaju Prokoficzu! - palnąłeś kierowany gniewem i bez namysłu. - Niby pchasz się pomiędzy atamanów, a głupiś, że głowa mała! Gdzież to widziano, żeby mag wyga, z wyrokiem na karku, doniósł na kogokolwiek! Za coś takiego i swoi wyrok by wydali.

- Gładką masz gadkę, Dufuńka! - syknął kupiec; nieźle go wydać trafiłeś, nazwawszy durniem; a niech sobie syka, gorzej nie będzie, bo i tak przyparto cię do ściany. - A ja przecież wiem, że u magów inne prawa, dla swoich pisane! Jeden drugiego może i nie wyda, aleja nie jestem wróbel z waszego stadka! Czyli wasze prawa mnie nie dotyczą! Ot, przycisną cię menty w ciemnicy, od razu wszystko sobie przypomnisz; jak to Jermołaj Prokoficz was, zesłańców witał, jak na saniach podwoził i wódeczką ugaszczwał, a potem odesławszy ciebie, z Raszka tajne rozmowy prowadził! Raszkę urzędnik do miasta powiózł - a spieszo mu było! Ciebie nie ruszyli, bo niby czysty

jesteś. Ale skoro ona coś zawiniła - to i ciebie na rozmowę zaproszą. Już ty się postarasz, by własną skórę ratować! Przypomnisz sobie wszystko - co było i czego nie było...

Kupiec odetchnął nie bez trudu.

A ty uparcie milczałeś. Czekając: co jeszcze powie? Jak się tego spodziewałeś, kupczyk ze złości zaczął karty wykladać jedną po drugiej i wszystkie je mogłeś zobaczyć jak na dłoni.

Mów, mów dalej, Jermołaju Prokoficzu.

A my posłuchamy.

- Ale teraz nic z tego nie będzie, morda leśna! Bo zbiegiem jesteś! Co prawda, to ja winien jestem i za moją dobroć cierpię niewinnie: zesłańca przywitałem, zaufałem mu, myślałem, że człowiekiem się stał. A on mi konia uprowadził i uciekł, gdzie pieprz rośnie!

- Nieźle obmyślane - kiwnąłeś głową, zapomniawszy się na chwilę i kark natychmiast przypomniał o sobie bolesnym chrupnięciem. - Jak się nie obrócisz, dupa błada! A ty, Jermołaju Prokoficzu, durniem nie jesteś, a przeciwnie - myślisz szybko i sprawnie. Aj, *baro raj*, mój słodziutki! No dobra, mnie tym koniem uprowadzonym załatwiłeś i w tej gawrze ukrywasz. A co z Raszka?

- A co ma być? - szczerze zdziwił się kupiec. - Przecież ja ją naprawdę chciałem swoją klucznicą zrobić! A choćbym i nie chciał, to co ona, głupia, żeby się dodatkowo obciążać?! To, Dufuńku braciszku. ... jak to mówią... przecież to byłaby zмова!

Wszystko racja. Jeżeli Kniahini ma coś jeszcze sekretnego na karku - nie będzie w to kupca wciągała. Ale do pełnego rozkładu należało odkryć jeszcze jedną, ostatnią kartę.

Tę znaczoną.

- Ale w takim razie, dlaczego twoi ludzie od razu mnie w błoto nie wrzucili z kamieniem u szyi?

- Z tym się zawsze zdąży. W Kęs-Preclu twoja warnacka morda i długi jęzor mocno mi przeszkadzały. A tu są w sam raz. Chcę cię zwerbować i do spółki przyjąć.

- Do spółki? Z Kapuchą-Ojcem, Siłantijem-Synem i Piotrem-Duchem Świętym?!

- Co, nie spodobali się? A to chwackie chłopaki, do ciebie podobne, choć nie z waszego *mażego* plemienia.

- A z jakiego? Rozbójniczego?

\* *Baro raj* - wielki pan (rom.).

- A ty sam kto, Dufuńka? Przystoi to nad innych się wynosić?!
- Widzę, nie darmo atamanem cię mianowano. Skoro masz szajkę pod sobą, jesteś atamanem. Iwan\* jesteś i basta. Jerucha, morda leśna, król tajgi. I co, nie z ostatnich jesteś?
- Z ostatnich? - zaperzył się nowo mianowany „Iwan”. - Na sto wiorst dookoła, aż do samego Mordwińska, moje słowo jest rozkazem! Z ostatnich, patrzcie go!
- Ale urzędnika się boisz? - nie mogąc się powstrzymać, wytknął kupczykowi.
- Otóż i po to mag jest mi potrzebny. Żebym i jego bać się nie musiał. - Tym razem Jermołaj Prokoficz zachował spokój.
- A co, twoi chłopcy nie mogą sobie z nim dać rady?
- Ty moich ludzi nie obrażaj - zupełnie spokojnie i prawie po przyjacielsku poradził ci kupiec. - Usłyszą, po mordzie nałożą i zęby stracisz. Choć czarownik jesteś i chłop z ciebie nielichy. A jakby co do czego przyszło, to dadzą sobie z nim radę, czemu nie. Tylko że nie wszystko można osiągnąć nożem albo dubeltówką. Poza tym człowieka zabijać czasami nie jest dobrze. Powiedzmy, że przepadł gdzieś myśliwy z kiepską berdanką albo poszukiwacz złota z lewym woreczkiem - to się zdarza, nie dziwota. Trzeba tylko uważać, żeby takie przypadki nie były zbyt częste, bo inaczej władze zaczną się niepokoić. A tak, z twoimi umiejętnościami magicznymi... Temu oczy kilimkiem zarzucić, żeby nie zobaczył, czego nie powinien; tamtemu we łbie namieszać, żeby sam złoto przyniósł z kryjówki; a jakjakiś akcyznik czy osoba urzędowa zacznie za bardzo węszyć, gdzie nie trzeba - czemu go nie miałby wilk albo niedźwiedź dopaść? Nikt sprawy badał nie będzie; wilki to wilki i basta! Bywa. Donieśli mi przecież, jak sobie z niedźwiedzicą poradziłeś. Chwacko się sprawiłeś, ani słowa, morda leśna! Do tego jesteś mi potrzebny, Dufuńka.

Dobrze to sobie kupczyk wymyślił. Wszystko się zgadza. Jednego tylko nie uwzględnił, bo nie mógł o tym wiedzieć: jakiś większy numer to dla ciebie pewna śmierć. Drugi raz Raszka cię od śmierci nie wytańczy. Ale gdzie kupiec mógłby poznać Prawo i dowiedzieć się o Konwencie? Gdyby je zresztą znał, to leżałbyś teraz z kamieniem u szyi w Psim Trzęsawisku. Co prawda, co się odwlecze, to nie uciesze; z tym akurat kupiec ma rację.

*„Iwanami” nazywano przestępców recydywistów o dużym autorytecie. Patrz: „pachan”, „głaz” i temu podobne.*

Wsiąkłeś, Walecie Winny, wsiąkłeś po same uszy! Zostaje ci tylko jedno: fason trzymać, maga rznąć i mydlić im oczy. Długo na samym fasonie pociągniesz? Do pierwszej poważniejszej sprawy. No, dobra, nie ma się co martwić na zapas; być może karta jeszcze się odwróci. Ty wiesz, jakie kupiec ma karty w ręku, a on twoich nie zna.

Zagramy w ciemno?

- A nie boisz się, Jermołaju Prokoficzu, że ja ci teraz gębę słowem zamówionym zawiążę i kark ci skręcą po cichu? Ta rura ci nie pomoże - nie wystrzeli, choć to „tułka” niezawodna. Nie pomyślałeś o czymś takim?

- Myślałem. Jak mi ze złości dowalisz, moi ludzie, czekający na zewnątrz, po okolicznych drzewach cię rozsmarują. A sam trzem nie poradzisz, nie ma obawy. Gdybyś to potrafił, to takiego wała by cię złapali i na katorgę powlekli! A gdybyś mimo wszystko chciał na mnie skoczyć i załatwić mnie choćby i kosztem życia - dawno bym już ze skręconym karkiem pod tą ławą leżał. Nie boję się ciebie, Dufuńka! Widzisz, każdemu chce się żyć! Wychodzi na to, że mnie nie tkniesz i z donosem do władz nie polecisz. A jakbyś spróbował uciec - przepadniesz w tej głuszy na wieki! Nie znasz tutejszych ostępów, a są śmiertelnie niebezpieczne. Nie wierzysz - zapytaj Siłantija. Została ci, warnaku, jedna tylko droga - do mojej szajki przystać. Przestań się więc boczyć i chodź z nami. Pójdiesz pod mojąkomendę - krzywdy ci zrobić nie dam, i przyhołubię niezgorzej.

- Przyhołubisz? - ponownie dotknąłeś grudy krwi na ciemieniu. - A jaki udział mi proponujesz?

- No proszę! To już zupełnie inna rozmowa! - kupiec z miejsca poweselał. - To po naszymu! Od razu widać, że z poważnym człowiekiem sprawa!

Po półgodzinnych targach na koniec przybiliście umowę.

- Siłantij! Karpucha! Piet'ka! - kupiec otworzył drzwi chaty.

- Przyjmijcie nowego towarzysza, morda leśna!

I zobaczyłeś, jak za plecami kupca, wstaje od koślawego płotku małowówny Siłantij, zarzucając sobie karabin na ramię. Dopiero teraz dotarło do ciebie, że podczas całej twojej rozmowy z kupcem Siłantij miał cię na muszce: siedziałś naprzeciwko okna.



Twardziel z ciebie, Jermołaju Prokoficzu, ani słowa! A ja chcia-  
łem cię na huki wziąć!  
Wyglupiłem się, co tu kryć...

#### XIV. RAZKA-KNIAHINI

#### ALBO ŁYK MADERY NA CZE/Ć WYRODKÓW

*Gładsze niż masło są usta jego,  
Ale wrogość jest w sercu jego;  
Miększe niż oliwa są słowa jego,*

*Księga Psalmów, Psalm 55*

Zdumiewająco był wyszkolony, ten kelner w czerkiesce, tak bar-  
dzo kaukaski, że nie mógł być prawdziwy.

- Co rozkażecie, *didebulP*.

*Didebuli* - wielmożny pan w rodzinnym języku kniazia Gandie-  
ri. No proszę, jeszcze i niegłupi jest ten kelner, ponieważ w obecności  
zabawnej wieśniaczki, chwilowej rozrywki pana podpułkownika, po-  
stanowił zapomnieć o zwrotach, mogących wskazywać na rodzaj za-  
jęcia albo prawdziwy tytuł gościa.

Nawet kartę win, oprawioną w biały welinowy papier z jasnoro-  
żową kratką, podsunął najpierw tobie, jako damie - nie popełniając  
gafy.

Nawet okiem nie mrugnął.

- Kochaneczku! - strzeliłaś palcami, a kelner wyprężył się jak  
struna, nie zdążywszy podjąć decyzji, czy aż do tego stopnia należy  
dogadzać zabawie kniazia. - Powiedzcie mi, gołąbeczku...

Pauza.

Podczas której nawet nie raczyłaś zajrzeć do podsunętej ci karty.

- Wydaje mi się, że gdzieś słyszałam (niewiele brakło, a wyrwa-  
łoby ci się: w baraku, od nowo przybyłej więźniarki), że restaurator  
Saakadze poprzedniego lata zdobył kolekcję kuzniecowską? No, wie-  
cie, tę z prywatnych winnic, jakie Grigorij Aleksandrowicz ma na  
Maderze?

Wzrok kelnera zwilgotniał, jak u zbląkanegcrpsa, którego przypadkowy przechodzień pogłaszcze pańskim gestem po karku i rzuci mu mimochodem: „Do nogi!”

- Taaaest! Dokładnie tak, jak raczyła pani powiedzieć!

- Cudownie, cudownie... A nie zachowała się wam przypadkiem butelczyna wytrawnej madero „Serceal” z tej kolekcji? Lekarze mi zalecili, gołabczku, wyłącznie wytrawne wino, w związku z katarrem żołądka!

- Mamy trzy butelki na bieżącym rachunku kupca pierwszej gildii Juszyzna... ale jeżeli drogi *didebuli* rozkaże... Ośmielę się powiadomić: butelka sto pięćdziesiąt rubli!

- No cóż... - fuknęłaś z rozczarowaniem, ale książę Gandieri klepnął tylko szeroką dłonią w stół:

- Słyszaleś, co pani raczyła zamówić? A resztę zostaw Daturii. Duchem!

Zaraz potem zameldowało się przy stole trzech kelnerów, podobnych do siebie jak bracia trojaczki z powodu teatralnych czerkiesek i wąsików żmijek. Zakręcili się pospiesznie i jak za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki napełniły się kielichy, rozsiewające wokół upajający korkowy zapach madero, gorące chaczapuri ociekały już serowym nadzieniem, obok czekał lawasz, cały w ceglanych pęcherzach, talerz świeżych nowalijek wyglądał zdumiewająco wiosennie, kontrastując ze spodkami ostrej marynaty po mengrelsku - a ty pozwoliłaś sobie na chwilkę rozluźnienia i rozejrzałaś się po sali „Kartli”.

Stąd, z na poły zasłoniętej niszy (ciekawe, czemu książę nie zdecydował się na oddzielny gabinet) doskonale było widać, że restauracja jest praktycznie pusta. Czas był nieodpowiedni - za wcześnie. Tylko w kąciku drzemał nad stopką wódki jakiś potulny starszek z rozczesaną starannie na dwie części brodą i dość głośno bawił się w kompanii dwu szansonistek kapitan piechoty o zmęczonej, niezdrowej barwie twarzy.

- Droga Raiso Siergiejewna, chciałbym wnieść toast...

Z początku nawet się nie zorientowałaś, że książę Gandieri zwraca się do ciebie.

- Ta-aaak, pani Altschuller, oboje wiemy, że żadna z pani Raisa, a tym bardziej Siergiejewna. Ale niechże mi pani pozwoli zwracać się do siebie tym imieniem, podjakim paniąpознаłem! Wie pani, człek się starzeje i robi sentymentalny...

Kielich w mocnej dłoni chybnął się lekko i zamigotał stalowymi odbłaskami gazowych lamp ze ścian. Bóg wie, czemu stalowymi, ale w tej chwili kielich wyglądał bardzo podobnie do złamanego przy rękojeści miecza, zaciśniętego w brązowej pięści.

Dobry znak? Teraz, po tym wszystkim?! Po zanikającym echu: „Zagramy na cztery ręce?”, po wypalonych oczach i dzwonkowym asie na czole?

Wzięłaś swój kielich i spojrziałaś wyczekująco na pana podpułkownika.

- Więc mam toast. Chciałbym wypić za wyrodków. Niechże się pani nie dziwi, droga Raiso Siergiejewna! Właśnie za wyrodków i odmieńców. Takich, jak ja i pani. Różnica w tym jedynie, że ja jestem wyrodkiem państwowym, niezwykle pożytecznym dla społeczeństwa, a pani jest odmieńcem, nazwijmy to... antyspołecznym, takim, którego należy izolować lub usunąć. Zgodzi się pani ze mną, że różnica to niewielka i nieistotna, zależna od aktualnej sytuacji w danym społeczeństwie. Gdyby losy ułożyły się inaczej, pani teraz poruszałaby niebo i ziemię w poszukiwaniu takich jak ja i mnie podobnych, i szykowałaby się pani do wyprawienia biednego Szałwy do karnej kolonii, a ja kryłbym się przed panią po tajnych gawrach i sekretnych przytuliskach. Zgadza się pani z moimi wywodami?

Lekkie skinienie głową.

W zasadzie gotowa jesteś się z tym zgodzić.

- Niechże mi pani powie, Raiso Siergiejewna, czy mogłaby pani oblec tego tam staruszka w siarkę, ogień i zgrzytanie zębami? I to tak, żeby ów pijaniutki kapitan porwał swój rewolwer i, nie bacząc na następstwa, zaczął strzelać w diabła, który objawił mu się przy sąsiednim stoliku? Przecież mogłaby pani, prawda? O ile oczywiście zapomnieć o mojej obecności, która trochę by pani przeszkadzała!

- Obecnie jestem praworządną i pokorną obywatelką, wasza jasność! Sam pan rozumie...

- Szałwo Timurazowiczu! Błagam, niechże mi pani mówi: Szałwo Timurazowiczu!

- Dobrze... Szałwo Timurazowiczu.

- No dobrze, może pani nie odpowiadać. Wiem i bez pani odpowiedzi, że byłaby pani do tego zdolna. Ale przecież lwia część społeczeństwa, w którym mamy honor z panią żyć i pracować, takich umiejętności jest pozbawiona! Z woli Opatrzności? Z Boskiego zamysłu? Przypadkowo - ale jest ich po-zba-wio-na! Czyli jest pani osobli-

wym wyjątkiem, który, jak każdy z takich przypadków, grozi runięciem podstaw ładu społecznego. A teraz zajmijmy się mną...

Kniaź tyknął z kielicha, dając do zrozumienia, że właściwie toast został już wzniesiony, a pozostałe należy traktować jak biesiadną rozmowę.

Poszłaś za jego przykładem.

Madera w istocie była świetna.

- Gdyby pani potraktowała staruszka w tak okrutny sposób, kapitan zacząłby strzelać, pannice z piskiem rzuciłyby się do ucieczki, a restaurator pospołu z kelnerami zamknąłby się w kuchni, barykadując drzwi. I tylko wasz pokorny sługa - zechce pani zauważyć, że tylko ja jeden! - zacząłby od wyrwania rewolweru oszalałemu ze strachu wojakowi, potem zajęłby się uspokajaniem pannań i wyzwalaniem właściciela restauracji. Dlaczego? Dlatego, że tylko Szałwa Timurazowicz nie miałby wątpliwej przyjemności ujrzeć pojawienia się diabła! Dla niego jak przedtem przy tamtym stoliku będzie siedział spokojny staruszek, a wokół, bez żadnych widocznych przyczyn rozpętało się szaleństwo. I dopiero potem, patrząc na poprzebijane pociskami ściany, widząc zmarszczone od siarczego smrodu nosy wszystkich obecnych, słuchając zeznań świadków...

Jeszcze jeden łyk.

- I co, jak przedtem raczy pani wątpić, droga Raiso Siergiejewna, że oboje jesteśmy wyrodkami? Ja nie wątpię. Zastanawia mnie co innego: dlaczego nikt się nie interesuje, gdzie tkwi przyczyna, źródło, z którego się biorą tacy jak my? Badałem archiwa, choć nie jeden się temu dziwił: współpracownicy śledczego korpusu J.I.W. rzadko przejawiają podobną ciekawość, a już osobliwie wyżsi oficerowie. A przecież w archiwum można znaleźć mnóstwo ciekawych rzeczy! Na przykład: wie pani, że dzięki połączonym wysiłkom władz świeckich i duchownych dopiero przed półwiekiem udało się wcisnąć tak zwanych magów w przestępczą, mroczną sferę życia społecznego?

- Wiem.

- Skąd pani wie? Miała pani dostęp do tych archiwów?

Odpowiedzią na żart jest uśmiech.

Kącikami ust.

- Drogi Szałwo Timurazowiczu, przecież to nie przesłuchanie, a rozmowa? A może źle pana zrozumiałam?

- Ach tak, zapomniałem, z kim mam honor zasiadać przy jednym stole. Dama Dzwonkowa, mag nie lada, wyga! Rzeczywiście, macie

swoje, nie mniej wiarygodne źródła informacji. Powinna więc pani wiedzieć jeszcze o czymś: poziom waszych umiejętności nieustannie się obniża! Znalazłem w archiwum protokoły i donosy sprzed półtora wieku - i włosy stanęły mi dęba! Jakaż siła! Jaki rozmach! Zechciejcie przy tym zauważyć, że spisano je bezbarwnym językiem kancelaryjnym, dbając o dokładność i wiarygodność, nie jest to zeszytowa powieść dla gimnazjalistów „Jak mag Gand-Elf cudu poszukiwał”. Gdyby ktoś z waszej braci potrafił dziś wycinać takie jak tamci sztuki, to ja nie miałbym pojęcia, jak się do niego dobierać!

Wiedział wiele. I chyba nie przyprowadził cię tu tylko dlatego, że wymownemu Szałwie Timurazowiczowi brakło uważnych słuchaczy.

A zresztą, czy on w ogóle robi coś bez przyczyny? Chyba nie.

- Niechże pani je, proszę się nie krępować, droga Raiso Siergiejwna! Widzi pani: niosą nam już wspaniałe *fobio*, jakiego nie znajdzie pani w waszym Kęs... Ach tak, w Kęs-Preclu! Gotowym bronić stwierdzenia, że takiego *fobio* nie znalazłaby pani chyba i w stolicy - a przy okazji, nie zamierza pani odwiedzić stolicy? Na dniach? Żartuję, żartuję, wszystko przecież rozumiem.

Syty kocur, który nażarł się *fobio* i igra z myszką.

Wesoło sytemu kocurowi.

A przecież tak naprawdę wcale ci nie do śmiechu, Szałwo Timurazowiczu. Nie jest ci wesoło, co chwila liżesz damę swoim ciężkim, podpułkownikowskim spojrzeniem: zrozumiała, o czym myśli? Gdzie zamierza poszukać zbawczej norki?

I nie możesz tego nie widzieć, kniazium, że dama trzyma się resztkami sił, które lada moment zupełnie się wyczerpią.

A może po prostu jesteś ciekaw, ile ona wytrzyma?

- P-pozwólcie... p-pozwólcie zaprosić waszą damę! Ej, muzykanci - poleczkę!

Przy waszym stoliku stanął kapitan piechoty.

### *Notatki na marginesie*

*Zajrzeć w oczy kapitanowi piechoty jest bardzo trudno, z powodu zasnuwającej je nieustannie szklanej tajli otepienia, trudno, ale można, a wtedy widać przez nią:*

*...zaspą.*

*Obok zasy py kuli się mloda, ufna brzózka. Macha cienkimi galązkami i jęczy w przestrachu. Śnieg wokół porowaty, mokry; skacze po nim szukający ziaren ptaszek z różowym brzuszkiem. Z góry wali się na głowy mokra otchłań nieba, podświetlana na wschodzie przez pierwsze promienie świtu. Gdzieś niedaleko rzy koń.*

*Wystrzał.*

*Niektórzy to mają szczęście: strzelają się...*

W głębi sali, zakrywając dłońmi usta, chichoczą pannice, które spodziewają się zabawy. Cywilny „szpak” przyprowadził do restauracji jakąś żebraczkę z kruchty - czemu dzielny oficer nie miałby się zabawić?

- R-rączkę, madame? A może... m-mademoiselle?

- Dama nie tańczy.

Błotne oczy uniosły się znad stołu i niczym dwie gąsieniczki popęzły wzwyz po kapitańskim mundurze. Zatrzymały się gdzieś w okolicy stojącego sztywno kołnierzyka.

Utknęły w krtani.

- Cz-czy mogę poznać p-przyszynę odmowy? Zamówię c-coś ludowego... „D-dębczanego”? „K-kamaryńską”?

- Paszoł won, durniu!

Najwyraźniej do piechociarza nie od razu dotarł sens usłyszanych słów. Od jego twarzy jeszcze nie odkleił się sprośny uśmiezek, ale sama żółtawa morda już powlekała się krwią, co upodobniło ją do jesiennego jabłka; w mętnych oczkach pojawił się błysk, który natchmiast pozwala rozpoznać kokainistę i rozpustnika.

- Co... coś ty powiedział?!

- Powiedziałem: wynoś się stąd. A żywo!

Dłoń kapitana kurczowo namacała kaburę, a palce zaczęły odpiąć skórzany rzemyk.

- A to d-dobre! Bar-rdzo dob-bre! Byle c-cywil, byle fircy-yk będzie mi tu...

Kniaź Gandieri wstał niespiesznie. Jego prawa ręka legła na kapitańskim pasie, lewą chwycił nadgarstek rozjuszonego oficera i lufa rewolweru skierowała się ku sufitowi. Na ułamek sekundy obaj zamarli w bezruchu, niczym rzeźba „Karcenie rozpustnika”. Potem, przy

akompaniamencie zbiorowego „Ach!” obu panna, książ podniósł kapitana nad sobą i rozejrzał się powoli: gdzie by go rzucić?

- Wasza czujność, na drzwi! - natychmiast podpowiedział gospodarz, który zjawił się nagle, jak wywołany spod ziemi diablik.

- Zechce pan popatrzeć: tam rośnie tylko figus i nic więcej. Żadnych szkód nie będzie, wasza czujność?

- Na drzwi? - zapytał Szałwa Timurazowicz szamoczącego się nad nim kapitana.

I nie czekając na odpowiedź, opuścił ofiarę na poprzednie miejsce.

Roztropny grubas objął pozbawionego raptem mowy kapitana za ramiona i poprowadził go z powrotem do jego stolika, szepcząc mu coś do ucha. Plecy miłośnika ludowych tańców mogłyby posłużyć za bardzo wyrazisty wskaźnik stopnia kapitańskiego przyswojenia usłyszanej informacji: prostowały się coraz bardziej, prostowały się - i oto właściciel wyjątkowo już wyprostowanych pleców (które - przysiągłbyś! - lada moment trzasną z napięcia), nie zatrzymując się nawet przy stoliku z pannicami, ruszył ku drzwiom.

Szybko.

Coraz szybciej.

Ku tym samym drzwiom, przy których tkwił figus.

I już nikogo więcej.

- Na czym to się zatrzymaliśmy, droga Raiso Siergiejewna?  
- zapytał książ Gandieri, poprawiając surdut.

Błocko pochrapywało przeciągle, niechętnie uwalniając na chwilę koła, żeby znów je wchłonać, wessać bulgoczącymi wargami i obdarzyć lepkim pocałunkiem.

-N-nooo! Ciągnij, paskudo!

Niebo miało tę przenikliwą, bładoniebieską barwę, która od razu przychodzi na myśl absolutne ubóstwo; i z jakiegoś jeszcze powodu - rychłą śmierć. Z tyłu dawno już został ostatni mordwiński wartownik w szaro żółtej czamarce i z przedpotopową halabardą w rękę; po obu stronach rozjeżdżonej drogi ciągnęły się ponure kwadraty pól i rzadkie pasemka lasu.

-N-nooo! Dawaaaaj!

Patrzyłaś tępym wzrokiem w szerokie plecy Fiedońki, na postrzyżony „pod garnuszek” kark - czapkę chłopak dawno już cisnął

w głąb wozu. Wprost namacalnie czuło się, że chrześniak wdowy Sochaczychy jest wstrząśnięty. Do najbardziej tajnych głębin swojej naiwnej, z grubsza ciosanej duszy. Widać to było we wszystkim: w postawie, w niepotrzebnym i zbyt częstym pokrzykiwaniu na nieszczęsnego konika i w spojrzeniach, które rzucał na ciebie spod oka.

W czym rzecz, Kniahini? Oczywiście, nie spieszyło ci się do rozmowy z chłopakiem. Pocieszyć, wyjaśnić - nie spieszyłaś się. A któż ciebie pocieszy? A któż tobie wszystko objaśni?

..przesiedzieliście w „Kartli” niemal do wieczora. Salę stopniowo wypełniali goście, na scenie zaczęli instalować się członkowie romskiego zespołu, nie bardzo pasującego do restauracji Datuny Saakadze, ale znacznie poprawiającego humory gościom - i już nikt więcej nie pozwolił sobie na wyskok, podobny do kapitańskiej eskapady.

Pan podpułkownik mówił. Ty słuchałaś. Czasami wtrącałaś jedno, dwa zdania repliki. Zapytałaś, czy twój towarzysz czasami nie głoduje. Okazało się, że nie; nakarmili go w kuchni. A potem ponownie wysłuchałaś opinii kniazia Gandieri dotyczącej dawnego postanowienia, naznaczającego hierarchalny nadzór nad miejscowymi sądami powiatowymi, i zmniejszenia liczby ucieczek od tamtego czasu... wyrazów współczucia z powodu tragicznej śmierci Heleny Zapolskiej ... zapewnień o osobistym nadzorze nad śledztwem i dochodzeniem...

A potem się rozstaliście.

Kniaź odprowadził was do samego hotelu, ale nie wszedł do środka. Powiedział tylko: numer zamówiony. I pożegnał się z ukłonem. Odebrałaś klucz od jednookiej ciotuni (najwyraźniej to ją właśnie kniaź, zapomniawszy się na moment, awansował na „portiera”), a potem obejrzałaś pokój. Zupełnie przyzwoicie. Po baraku i ciasnej komórce w sieni - nawet bardzo.

I dwa łóżka.

Zeszedłszy na dół, do wydzielonej Fiedońce komórki, znalazłaś w niej pijanego w dym ślusarza ze współlokatorem, którzy dawali życiowe nauki „wiejskiemu przygłupowi”. Ślusarza poczęstowałaś wiązańką solidnych, katorżniczych przekleństw, która zatkała i pozbawiła mowy jego towarzysza, a Fied'kę powlokłaś za kołnierz do swego pokoju. Ciotunia-portier usiłowała zaprotestować, brzęcząc



coś o tym, że to „przyzwoity zakład”, ale gdy tylko rzuciłaś jej krótkie spojrzenie spod oka, zamknęła paszczę i już więcej jej nie otwierała.

Wydało ci się wtedy, że masz wypalone oczy.

I że nimi patrzysz.

Co się wydało ciotuni, pozostało jej tajemnicą, ale więcej jej nie zobaczyłaś ani nie usłyszałaś.

A rankiem, zgodnie z obietnicą pana podpułkownika, wyjechałaś. Na zawsze, też zgodnie z obietnicą. Wierzyłaś i w to ostatnie.

Nie, panie podpułkowniku! Nie wierzyłaś!

- N-nooo! Rachela, posłuchaj! Rachela, śpisz?

-Nie. Nie śpię.

- Słuchaj... A wcześniej jak - zawsze tak żyłaś?

Oczy.

Ogromne, lśniące blaskiem.

Aż nie chce się wierzyć, że „straszny Sochacz” potrafi patrzeć takimi oczami.

- Jak? Jak miałam żyć?!

- No... tak. Karczmy, pokoje... jaśnie pani całujączki... i tak w każdy dzień boży?

Boże! Oto, o czym on myślał! Nie o kostnicy, w której omal się nie porzygał na widok umęczonej Lenki Fert; nie o pogardliwej uprzejmości żandarmskiego wąsacza - ale o tych przyjemnościach! Karczmy, numery... jaśnie pani - rączki. Co on widział, czego zaznał w swoim życiu ten nieszczęsny mieszkaniec leśnej głuszy, jeżeli obiadki w kuchni „Kartli” i tani, zapluskwiony pokoik hotelowy wydały mu się ziemskim rajem?

- Lenkę widziałeś? - zapytałaś, otulając się ciaśniej wystrzępioną chustką. - W kostnicy. Też masz ochotę na asa nad brwiami?

- A-aa tam! - machnął chłopak ręką i dźwięcznie przytrzasnął komara na czole, akurat w tym miejscu, gdzie obiecano mu dzwonkowego asa. - Raz się żyje...

Myślał przez chwilę.

- Wiesz, Rachela, niedawno kurę zarzynać mi przyszło. Położyłem ją na pnieczku, siekiereczką ciachnąłem - a ona, uważasz, wyrwała mi się. I zaczęła biegać po podwórku... znaczy, bez głowy. A ja patrzę na nią i myślę: w czym ja jestem lepszy od tej kury? Do grobowej deski tak będą ganiał po wsi, bez głowy. A, i jeszcze... co to takiego „pręt”?

- Pręt? - zdziwiła się. - No, taka gałązka... cienka.

- Nieee-e. To, to ja sam wiem. Ale jak wyszłaś z kostnicy z tym kawalerem, jak wychodziliście z dziedzińca, to ten wąsaty stróżowi rzucił szeptem: „Widzisz ją, królowa... nie do restaurancjiję, ale na „pręt" i to dwunastą na tuzin!"

Czekając na odpowiedź, głupkowato mrugał jasnymi rzęsami.

I doczekał się.

- Pręt, mój ty naiwny Sochaczu, to żelazna żerdź długa na osiem werszków\*. Na jednym końcu główka, na drugim uszko dla zamka. Nizajana ten pręt od ośmiu do dwunastu kajdanek, zaklepujaje i tak prowadzą więźniów na katorgę, etapami. Zrozumiałeś? O zamianę „pręta" na nożne kajdany prosisz jak o największą łaskę.

- Aha... - burknął raz jeszcze chłopak z całkowitą obojętnością w głosie.

I potrząsnął lejcami.

## XV. DRUC-KONIARZ

### ALBO MILI PRZYJACIELE I DRUHOWIE

*Oto urodziłem się w przewinieniu,  
i w grzechu poczęła mnie matka moja.*

*Księga Psalmów, Psalm 51*

- No, skoroś nam nowym towarzyszem, to trzeba by cię obmyć!  
- zachichotał od progu Karpucha.

Jermołaj Prokoficz nie został na „obmywaniu". Wymówił się tym, że spraw ma po same uszy i prawie natychmiast wyjechał. A tymczasem „kompani" pochlebiali mu na potęgę: rzadko się przecież zdarza, żeby trafił tu jakiś bywały człowiek. Sam Bóg przykazał: w takich razach ugościć z całej duszy, na stół co najlepszego i siedzieć do rana, pijąc, jedząc i prowadząc biesiadne rozmowy.

\* *Werszek* - dawna rosyjska miara długości, równa ok. 4,4 cm.

- A jakże cię zwać? - zapytał trzeci „towarzysz”, który do tej pory się nie odzywał.

Wyglądał jak klasyczny „anarch” z dynamitardów: chudy, jakby był kumem składanej metrowej miary, o brudnych, lnianych włosach do ramion. Z końskiej twarzy mrugająjasnobłękitne kałuże; patrzą nie na ciebie, a na anioła za twoim ramieniem. Powinien mieć jeszcze okulary w drucianej oprawie. Ale nie, okularów nie nosił. Poza tym chłopina był żyłasty - kościstą budową ciała przypominał cię samego za młodych lat; a na dnie obu kałuż kryło się przed słońcem swoiste ciche szaleństwo, milczące diabelstwo, od którego ciarki po grzbiecie biegają. Nie wiadomo, czego się po takim spodziewać; w jednej chwili wódkę z tobą popija i rozmawia przyjaźnie - w następnej pióro w bok ci wsadzi. I nawet nie ze złości - tylko po prostu, przysła mu chętką zarznąć człowieka. I zarznął. Wytarł starannie pióro, a potem zaczął nim kroić kaszanekę na kęsy.

Mimolotna wizja była tak prawdopodobną, że na chwilę się zająknałeś i dopiero potem odpowiedziałeś:

- Z łaski ojca jestem Dufunia. Z nazwiska - Druc.

-A ja jestem Piotr. Bez nazwiska. No co, poznajmy się?

- A po warnacku jak? Znaczy, jaką miałeś ksywę? - zwrócił się do ciebie Karpucha, krojąc finką zeschnięty pieróg, nadziewany rybim farszem.

Co prawda to nie talia magów, tylko „towarzystwo”, ale mimo wszystko, ma chłop rację. Prawo jest Prawem.

- Golony. Wpadło wam w uszy?

- Ni cholery... No to, tak cię będziemy nazywać. Ja jestem Karp... albo Karpucha, jak ci nie podchodzi. Ten strach na wróble - to Siłantij. A Pietuńkę czasami nasi nazywają Wyłupiastym.

- Zapamiętałeś, Karpiu, rzęsą wodną karmiony? Za Wyłupiastego uszy ci poobrywam - obojętnym głosem oznajmił Piotr.

- A za Pietuńkę?

- No, z tym się poczeka. Jak jestem trzeźwy, nazywaj sobie na zdrowie. Ale jak popiję... sam wiesz.

- Ależ wiemy, wiemy! - zachichotał Karpucha i zwrócił się do ciebie. - Kapujesz, Golony: podłapał tu Piefka jedną dziewczkę z bogomilców, starej wiary, na pustej ścieżce. Dziewka jak rzepa, nawet za bardzo się nie opierała, tylko trochę się darła dla pozorów, a potem ni z tego, ni z owego „Pietuńką” kochasia zaczęła nazywać. On z początku się na nią gapił, a jak siwuchy sobie łyknął - udusił biedaczkę.

Żaden z nas nawet stęknąć nie zdążył! Nawet skorzystać z okazji się nie dało...

Karpucha westchnął ze skruczą:

- A co, Siłantij, dawno za babami tęsknim?

-A jakże...

Siłantij tylko wzruszył ramionami: skąd brać, jak nigdzie ich nie ma? Tym razem zamiast durnego pisku, który słyszałeś wcześniej, drab wydobył z siebie głos mocny, głęboki. Dziwnym człowiekiem był ten Siłantij i głos miał dziwny: różnie brzmiący. Co zresztą nie przeszkodziło bykowi w wyciągnięciu gdzieś z kąta trzech zapieczęto-owanych lakiem półlitrowek.

Pomyślał chwilkę - i wyciągnął czwartą.

- Niech tam, Karpucha, dogodzimy sobie - zabuczal basem.  
- Dość gadania, w brzuchu pusto.

Stół rozbójniczego „towarzystwa” znacznie ustępował popiemu, ale i tu znalazło się coś na ząb. Cenił kupiec swoich pracowników... rozbójników.

- Za nowego towarzysza!

Kiwnął głową i dwoma łykami opróżnił swoją szklanekę; zaraz potem należycie oceniał smak wędzonego boczku. Życie? A co tam życie. Nie gorsze tu niż w tym zapluskwionym Kęs-Preclu. Szkoda tylko, że pożyjesz do pierwszej poważniejszej sprawy, nie dłużej. Potem przyjdzie kryska na Matyska, Walecie Winny.

Amen.

- No, Golony, opowiadaj. Czym się wcześniej zajmowałaś, za co cię katorgą nagrodzili?

- Czemu nie? Można. Choć najpierw wypijmy na drugą nóżkę, za fart nasz wspólny, za dziewczkę-fortunę, żeby nosem nie kręciła... i opowiem.

- Za fortunę. Polej, Siłantij...

Język rozwiązał ci się sam z siebie. Słowa popłynęły jedne za drugimi - najpierw ostrożnie, potykając się i wchodząc sobie w drogę (Druc! Ty co? Powieść pisać zamierzasz?!) - ale potem się rozkręciłeś. Nieważne, że „towarzystwo” nie kumało *mażej* kminy, którą szczerze przetykałeś opowiadane historie, i że nie o wszystkim można im było opowiadać, od czego rwał się i mieszał nurt opowieści.

Cznić na wszystko.

Jeszcze po jednym?

I znów: niesie cię w noc uprowadzony koń, a zwiedziona zwykłą sztuczką rozwścieczona pogoń przelatuje obok...

I znów krzyczy „Uciekaj!”, konający pod gradem uderzeń chłopskich kłonic frant Szkarłatny Danka. „Uciekaj, Walet!” - krzyczy rozpaczliwie. - „Aj, mamó!” - krzyczy jeszcze... nie, już tylko rzezi, a ty nie nadążasz, nijak nie możesz nadążyć, dlatego że Danka kona, dlatego że surowe jest Prawo i Konwencja.

I znów: a nawet gdybyś zdążył, cóż poczniesz sam przeciw dwóm tuzinom zbydlęconych, rozjuszonych chłopów, sytych, o krzepkich, muskularnych łapach? Co, kości tu swoje zostawisz dla towarzystwa? Prawidłowo... ale głupio...

I wreszcie: niewiele brakło, ajednak zostawiłbyś tam swoje kości - w tydzień później, kiedy ostatnie siły, resztki zapasu straciłeś na tego kupca, który dźwięczącą miedzią zapłacił chłopom za śmierć Dańki. „Mokry przewal” kupczykowi załatwiłeś czyściutki, choć fart na drobne rozmienić przyszło; ślady zatarłeś tak, że menty niczego udowodnić ci nie zdołali, choć ziemię wręcz nosami poprzewracali. Ale żeby uciec i dać nura w toń... Skończyła się twoja siła, Golony; ani oczu komu zamydlić, ani śladów za sobą zatrzeć, ani omamu na kogoś rzucić... Wiedziałeś; zabijają... i byliby zabili, gdyby żandarmi nie dopadli cię wcześniej.

I po raz pierwszy w życiu ucieszyłeś się z przybycia „Barbarzyńców”.

Po raz pierwszy i ostatni.

W kiciu, podczas transportu, a i potem, na wyrębie, nie do radości ci było. Ale wyżyć, wyżyłeś. W obozie już wiedzieli, żeś wyga i w talii jesteś Waletem, że po raz trzeci trafiłeś pod sąd, więc o wpisowym mowy nie było. Tak było, gdy inicjatywa wychodziła od ciebie, kiedy byłeś młody, porywczy, głupota aż szumiała we łbie.

*Aj, baro, marna dzwony! Da utradena, och, mirepszales' Mar-na dzwony, wiatr w polu!*

Odsiedziałeś wyrok w całości, wyszedłeś na osadnictwo - a tu los ci przygrzał polanem w tył głowy!

- Ej, czarny łbie, to nie los! Nie los! - wyszczerzył zęby Karpucha, rozlewając do szklanek zawartość kolejnej butelki. - To Fiłat cię tak dzielił, z kupieckiego przykazania! Tak właśnie was, *maže* plemię, biorą za ogon - cichaczem w łeb z tyłu, kiedy się nie spodziewacie!

\* *Dźwięczą dzwonki, uwożą moich braci! (rom.).*

Bez ceregieli, prosto a szczerze! No dobra, koń ma cztery nogi i też się potknie! Wypijmy! Z nami nie zginiesz!

- On i sam nie zginie, widzę - burknął Piotr.

- Słyszysz, Golony? Może byś nam powróżył, co? - beknął Siłantij z pełną gębą, kiedy wszyscy opróżnili szklanki i zaczęli przegryzać. - Chciałoby się poznać swój los.

No proszę. Zaczęło się.

- Siłantij, duszko, ty z gwinta celnie strzelasz? - zmrużyłeś oczy.

- No... - zamyślił się łamignat. - Wiewiórkę w oko trafiam. A co?

- No to pokaż, co? Tam gwintówka wisi na ścianie.

- Na polowanie pójdziemy, wtedy pokażę! Akurat, chce mi się teraz wszystko rzucić i ganiać za wiewiórkami dla twojej uciechy! A zresztą, czy jest na co patrzeć?

- A przecież ja wieśniakom dla zabawy też oczu nie mydliłem. Solidny frant - tylko w poważnej sprawie swoje umiejętności demonstruje. Dotarło?

- Golony dobrze gada - wtrącił się Karpucha. - Nie zabawiamy się tu głupstwami.

- Ot, jeżeli ty, poczciwy Siłantiju, pójdiesz do mnie na naukę magostwa wszelakiego, wtedy zobaczysz i sam się nauczysz - dolałeś oliwy do ognia.

A właściwie, czemu nie? Skoro i tak wszystko się porąbało...

- Na naukę? -poczciwcowi Siłantijowi oczy na wierzch wylazły.

- Co ty pieprzysz? Jakież ze mnie, mordy leśnej, byłby czarownik?

- Nie gorszy niż z innych. Każdego można nauczyć. No, prawie każdego - poprawiłeś się. - Można ciebie, można Piotra, można i Karpuchę.

Nabiorą się? Żeby choć jeden!

Milczeli, przetrwaliali usłyszaną rewelację, a w tobie budziła się grzmiąca mieszanina nadziei, rozpacz i ledwo wstrzymywanej niecierpliwości. Co oni tak zwlekają, dumnie i tępaki?! Co prawda, akurat z takich tępaków wychodzą...

- Ty nas, Golony, nie wódz na pokuszenie. Duszę czarami zgubić - a potem na Sądzie Ostatecznym się przed Bogiem Ojcem czarami nie wykręcisz.

Odpowiedź padła z ust Piotra, który do tej pory nie brał udziału w rozmowie, tylko systematycznie lał wodę do paszczy. Odezwał się ponurym tonem i obrzucił cię przy tym nieprzyjaznym, kosym spojrzeniem.

- A ty sam, przyjacielu, tylko jedną duszę na zatracenie skazałeś?

- Niejedną- zabuczał z dalszego krańca stołu Siłantij. - Przynajmniej z dziesięć by się nazbierało.

Pietuńkę szczerze zdziwiła niedomyślność kompanów.

- Przecież to cudze dusze! Dziś taką zgubisz, jutro wszystko odmodlisz! Świecę postawisz, popa ugłaszczesz czerwocami, za grzechy pożałujesz. Słyszysz, Golony? Cu-dze! A ty mówisz o mojej! Własnej! Pomyśleć tylko!

- Uważasz, że zabójca jest lepszy od maga?

- A jakże! Magią się zajmować, to najgorsze ze wszystkiego! Każdy ci powie.

- Ty, Golony, na nas się nie złość - podsumował Karpucha.

- Jedno my teraz „towarzystwo”. Razem będziemy pracować. Wszystko prawda. Ale czarować sam będziesz musiał. Nie pójdziemy do ciebie na naukę. My już na to jesteśmy za stare wilki, wolimy jak dawniej...

Doigrałeś się, Golony! Po co gębę otwierałeś? Sam nie wiesz, że nawet wśród zatwardziałych zbójów i duszogubców nie każdy chce się parać *mazym* fachem? Masz, dziewczka Fiłata sama się prosiła - odmówiłeś. A teraz nie narzekaj. Fart dwa razy w ręce sam nie włazi. Pij i wesel się. Do pierwszego dnia.

A potem - sam wiesz, co.

### *Notatki na marginesie*

*Jeżeli przypadkowo zajrzeć Pietuńce w jego serdecznie patrzące, bezmyślnie przejryste guziki bielma z wosku, to można dostrzec: ...kogut.*

*Pyszne, rudo-czarne kogucisko z krwawym grzebieniem. Tańczy: przestępuje z nogi na nogę, podskakuje, rozpościera skrzydła. Groźnie nadstawia ostrogi: gdzie przeciwnik, gdzie rywal? Zadziobię! Głowa na puszystej szyi obraca się wkoło i błyska nalane krwią oko. Z topoli puch się sypie, niczym lepki śnieg. Tak weselej.*

*Tańcz kogucie w jednym bucie!*

*Na rozgrzanej patelni.*

*A gdzieś obok harmonia zanosi się potoczystym śmiechem.*

\*\*\*

Na drugi dzień wszyscy wylegiwali się do południa. Potem, przetarłszy oczy i wypaliwszy kilka skrętów, leniwie doszli do wniosku, że trzeba się zająć obiadem. Wyprawiono do lasu Siłantija, który wkrótce wrócił obarczony zabita sarną. Piotr zajął się rozebraniem tuszy, a ty przyniosłeś wodę i zacząłeś rąbać drwa.

Gotowanie było domeną Karpuchy.

Minęło półtorej godziny i wszyscy, tak samo niespiesznie - żeby nie powiedzieć - systematycznie, łykali gęsty bulion i chrupali upieczone na węglach mięso i suchary; wódki wypili tylko jedną butelkę - zbóje okazali się ludźmi rozsądnymi, dalekimi od bezna dziejnych pijanie takich jak Filat Łukawka. Ten ci by nie popuścił, dopóki nie zniszczyłby całego zapasu trunku!

- A Filata, jak dopadnę, łeb mu wyrwę z korzeniami! - odezwał się nagle i bez wiadomej przyczyny. Samo ci się wyrwało.

- Może i nie trzeba będzie go dopadać - zagadkowo uśmiechnął się Karpucha. - Słyszałem, że ten Filat jęzor ma długi, a Jermołaj Prokoficz okropnie takich nie lubi!

- To czemu zlecił mu tę robotę? Nie miał pod ręką nikogo pewnego?

- Widać nie miał. I powiem ci jeszcze; pewnemu trzeba zapłacić dobrze, a Filat - za pół litra matkę rodzoną udusi! I bokiem mu ta siwucha wyjdzie!

Owszem, to możliwe. Jermołaj Prokoficz ostrożnym jest człowiekiem, a zguba na człowieka przyjść może na różne sposoby: spali się po pijaku albo utonie w błocie. I nikogo nie będą o nic posądzać - za drobny ptaszek, żeby dochodzenie prowadzić. Niech tam Bóg rozsądzi pomiędzy kupcem i Filatem. Ty, Walecie Winny, o sobie lepiej pomyśl. Gdy na przykład wyjaśni się, jakie to grzeszki ciągną się za Kniahiną - czy zechce kupiec ryzykować i zostawiać cię wśród żywych? Golony, warnak recydywista, zuchwały w mowie... Myśl, Walecie Winny, pilnie myśl, co robić? Może rzeczywiście brać nogi : za pas? Choć kupiec mówił o tutejszych niebezpieczeństwach

- w Bogu nadzieja, że nie zginiesz.

- A popatrz, Siłantij, idzie ktoś ku nam chyba? - przerwał twoje milczące rozmyślenia cichy głos Karpuchy.

W razie potrzeby Karpucha błyskawicznie pozbywał się błazeńskich szat i nawyków i przeistaczał się w człowieka skupionego, su-



rowego, o bystrym spojrzeniu myśliwego, który bierze zwierzynę na cel. Byłby z niego doskonały współnik, a potem i może mag wyga. Ale widać, los chciał inaczej.

Daleko pomiędzy drzewami w rzeczy samej zamajaczyła ludzka sylwetka. Siłantij (mający najbystrzejszy wzrok z całej trójki) popatrzył, osłoniwszy oczy daszkiem z dłoni.

- Timoszka, pogromca łosi - machnął ręką. - Zaraz poprosi o żarcie.

- Timoszka? To dobrze! - przeciągnął Karpucha i wzięwszy się chwacko pod boki, natychmiast przeistoczył się w dawnego brata.

- Damy mu pojeść, czemu nie? Ale za to każemy mu skoczyć do wsi i przyprowadzić jakieś baby! Babami chyba żaden nie pogardzi, co?

- Jasna sprawa! - wyszczerzył się radośnie Siłantij. - Tylko ty, Piefka, uważaj! Udusisz jedną, wszystkie trzeba będzie wykończyć, bo i do nas się dobiorą!

Piotr tylko chrząknął, a Karpucha skrył uśmiech w rzadkiej bródce. Najwyraźniej towarzysze lubili sobie pożartować na temat udużonej przez Wyłupiastego bogomiłki\*.

Taki żart między przyjaciółmi.

- Witajcie, „towarzysze”! - z daleka już ryczał Timoszka. - Po-deżreć coś by się u was nie znalazło? Brzuch mi do grzbietu przyrosło! A, widać posiłki dostaliście? Coś ty, zesłaniec i do tutejszych zuchów przystałeś?! No tak, akurat zebrało się tu w sam raz dla ciebie towarzystwo!

- Tylko ciebie nam brakowało. Stęskniliśmy się za tobą, oczy wyplakaliśmy - leniwie rzucił Karpucha.

- To co, dacie coś zeżreć?

- Siadaj, żryj!

Żarł Timoszka, jak to się mówi, za trzech. Poprosiłby jeszcze o dokładkę; ale wiedział, z kim ucztuje; i domyślił się, że lepiej gębę zamknąć.

- Posłuchaj, Timofieju - Karp wystukał fajkę, którą wolał od papierosów. - Skoczyłbyś po jakieś baby, co? Nam - sam wiesz - do wsi zaglądać jakoś nieporęcznie, a ciebie tam każdy pies zna.

- Przedemną, wiadomo, czy to baba, czy to dziewczka, choćby za dziewiątą rzeką się nie uchowa! - myśliwy wytarł zamaszystym gestem pierś, ale spojrzawszy na ciebie, ugryzł się w język. - Dobrym ludziom zawsze gotowym służyć. Marzę z córeczką przyprowadzić?

\* *Bogomilcy - jedna z sekt cerkwi prawosławnej.*

- Dobrze kombinujesz. A nie znajdziesz córuni, samą Marfę przyprowadź. Silna z niej baba, chętna, wszystkim wygodzi. Sam też skorzystasz, jak zechcesz.

- Moja guldynka nigdy nie sypia! - znów nie omieszkał się pochwalić Timoszka. - No, to lecę. Akurat na wieczór wrócę.

- Dobra. Ale bacz, żeby ozorem zbytnio nie mieć! A już osobliwie o nim! - Karp chybnął głową w twoją stronę.

- A co ja, głupi jestem? - obraził się myśliwy z bożej łaski. - Owszem, lubię pogadać, ale wiem, o czym można, a o czym nie! Co to, życie mi niemiłe, czy co?

- Dobrze kombinujesz - świsnął Siłantij, pocziwa dusza.

\*\*\*

- A baby co? Urzędnikowi nas potem nie sprzedadzą? - zaciekawileś się po odejściu myśliwego.

- Co ty! Marfie i jej córuni to nie pierwszozna. A zresztą, chyba głupie by były, gdyby się chciały pozbawić stałego dochodu. Przecież z tego żyją! Ech, Golony, taki już nasz los! Siedzimy w lesie i robactwo krwią karmimy pomiędzy jedną i drugą wyprawą! Czasami zachodzimy do wsi - ale po cichu i pojedynczo. Chłopi nas nie wydadzą, niektórzy nawet znają to miejsce -jak Timoszka na ten przykład - ale trzymają gęby na kłódkę. Jeden kłopot, ani chybi kiedyś nas przydybie urzędnik albo leśniczy. Tobie to dobrze, ty już sobie zdążyłeś pohulać, ale my...

„Istotnie, mnie to dobrze" - zgodził się w duchu.

## XVI. RAJZKA-KNIAHINI

### ALBO PO/ZŁY DZIEWKI NA HULANKĘ

*Strzeż mnie od sidła, które zastawili na mnie,  
I od zasadzek złoczyńców!  
Niech wszyscy bezbożni wpadną w sieci swoje,  
A ja ich unikną!*

*Księga Psalmów, Psalm 141*

- Kur-rrrwy! - warknął nagle Fiedoniuszka, zawracając.  
W pierwszej chwili nie zrozumiałaś.

-Co?

- A tam, ciągną się.. ..mać ich przebrzydła! 1 Timocha, k-koziołek z nimi!

Przed wami, na pagórku, za którym leżała już wieś Kęs-Precel, widać było sylwetki trojga ludzi. Dwie kobiety - tęgie, o krótkich nogach, jakby odlane z jednej formy, a obok nich chłopina niedorostek.

Widziałaś niezbyt wyraźnie - darło cię w krtani, od czego łzawiły oczy, zmuszając do nieustannego mrugania. Dlatego nie od razu poznałaś tych ludzi.

- Kur-rrrwy! - powtórzył z uczuciem Fiedoniuszka, zanim podjechaliście bliżej.

- Witaj, Sochaczku! - charknął twój stary znajomy, Timoszek, amator babskich rozkoszy. - Czym was w mieście uszanowali?

Chrześniak wdowy Sochaczychy szarpnął lejce.

Konik aż przysiadł na zadzie.

- Mówiłem ci, żebyś mi się nie pokazywał na oczy?! - Fiedońka zadał to pytanie z tą nutką podejrzanego uprzejmości, po której zaraz zaczyna się mordobicie. - Ty, głuchoniemy, nie udawaj, żeś nie słyszał; odpowiadaj, mówiłem czy nie?

- No, mówiłeś. - Myśliwy uśmiechnął się tak szeroko, że poczułaś tchnienie obawy, iż odpadnie mu górna część gęby. - Czego to człek w złości nie wymówi? Ja, brachu, urazy nie żywię... różnie bywa.

- No proszę, jacy to poczciwi ludzie w tych Wieralach mieszkają: w gębę takiemu pluniesz - a on pysk otrze i „Deszcz pada!” powie.

Fiedoniuszka coś tam jeszcze mówił, zwracając się ni to do ciebie, ni to do coraz ciemniejszego już nieba, jakby chciał je wziąć na świadka; a kurdupel Timka odgryzał się niezbyt zajadle - widać było, że dzieli ich jakiś spór stary, ale nie za bardzo zaciekły, akurat taki, by leniwie poprzerzucać się docinkami.

Nie słuchałaś.

Patrzyłaś na kobiety.

Znałaś je obie: Marfa żołnierka, nierządnicą babilońska, kęs-precelska, z córką, spłodzoną w grzechu nie wiadomo z kim. Na pierwszy rzut oka niełatwo odróżnić matkę od córki - obie piersiaste, okrą-

głe na twarzy, obie stoją szeroko rozstawiając nogi, jakby w obawie przed upadkiem. Noski jak guziczki krzyczą „Ratunku!”, tonąc pomiędzy policzkami. A oczy mają puste, bezmyślne: ot, szłyśmy sobie, teraz stoimy, i zaraz dalej pójdziemy!

Miejscowa kawalerka, a niekiedy i zbłąkani żonaci, uciekły chyłem i tyłkiem od ślubnych małżonek, co i raz zaglądali do chatki Marfy. Znosili, co kto mógł: jeden butelkę samogonu z pierogiem, drugi płat materiału czy szczupaka wędzonego, złapanego na żywca, trzeci powiedzmy płot naprawił albo ganek odnowił - i dobrze. Baby nie były wybredne i nie gardziły niczym, brały jak leci i tak też dawały. Miejscowa „obyczajówka” z wścibską wdową Sochaczyczą na czele nieraz zbierała się do tego, żeby Marfę „opierzyć” - wytarzać ją w beczcze z dziegiem i piórami, a córkę przegonić gołą po wsi leszczy-nowymi wtkami.

Ale jakoś nie mogły baby przejść od słów do czynu.

Zameżne rozumowały logicznie: jak chłop na miejscu nie będzie mógł pogrzebacza oczyścić, poszuka tarki gdzieś dalej. Lepiej już, żeby daleko go nie nosiło.

Spokojniej będzie.

- Ej, Raszelka! - wdarł się grubiańsko w twoje myśli wrzask Timoszki. - Chodź ty z nami. Co? Pić będziemy, zabawimy się! Co tu za życia kwaśnieć będziesz? Pasuje ci Sochacz, czy co?

Nie odpowiadałaś. Onzresztanie spodziewał się odpowiedzi: ot tak, palnął, dla dodania sobie animuszu. On inaczej nie potrafi. A i ty nie odpowiadałaś; zapomniałaś już o myśliwym z jego babami i o ich sporze z Fiedońką. Siedziałaś, milczałaś i gromadziłaś w sobie tę groźbę, o której chciałaś po przyjeździe porozmawiać z Winnym Waletem. O tym, co kryło się w cieniu za mordwińską tragedią, za łaskawością kniazia Gandieri i jego aluzjami, za przypadkami i zbiegami okoliczności...

Już niedługo.

Zaraz po powrocie.

- Ty jej nie wołaj, Timofieju-Słowoleju- niczym natrętna mu-cha wdarł ci się w ucho i zabrzączał kobiecy tenorek. - Daj spokój, co? Nie ta pora, pomyślą, że też uciekła, jak jej kompan! Niech jedzie i się melduje.

Nie rozumiałaś.

W pierwszej chwili nie rozumiałaś, ale i potem - czemu „też”.

Podniosłaś oczy na Marfę: to przecież jej głos?

-Kto uciekł? Dokąd?!

Spod nabrzmiąłych, pociętych liniowymi żyłkami powiek, patrzyła na ciebie skryta złośliwa uciecha. Zadowolenie nędzarza na widok tego, kto choć nieznacznie, ale jest w gorszym położeniu od niego.

### *Notatki na marginesie*

*Ależ oczy ma ta Marfa-żołnierka! Co za ślepia! Zostały jej z panięskich czasów - wielkie, wilgotne, z rzęsami niczym miotły! A pod tymi rzęsami, już zupełnie nie po panięsku, miga babie:*

*...morda.*

*Męska, pomarszczona, podobna do śmiesznej maski, jakie chłopaki w zapusty robią, rozciągając kąciki ust. Obwisła, pcha się do oczu i kołysze tam i siam, z góry w dół. Sapie porowate nosisko, po szczeciniastym policzku pełźnie w dół kropla potu. Szeroki niczym łopata język wargi oblizuje - jakby gorączką obrzucone. Morda opadła niżej, tknęły wargi w coś tam, nieważne w co. Wyżej, niżej, w górę i dół; o, już stęknął boleśnie.*

*To zresztą wcale nie morda. To worek mąki, butelka samogonu i naprawiony plot.*

*Ot tak.*

- Uciekł twój czarnobrewy - leniwie wyjaśniła Marfa, a córunia tylko podbródkiem ruszyła dla potwierdzenia. - Konia wprowadził Jermołajowi Prokoficzowi, Miskę niemowę trochę po łbie z tyłu zmacał - i w nogi. Kupiec już o wszystkim zameldował, do urzędnika gońca wysłał.

-Łżesz! Łżesz, łajzo jedna!

- A my łąc nie umiemy - obrażona żołnierka zacisnęła wargi (popękane, pokryte drobnymi białymi bliznami); córka ponownie podbródkiem ruszyła. - My się po wertepach nie włóczyły, *mażych* draństw nie wyczyniałyśmy, katorgą nas nie karano! Choć i łajzy, ale uczciwe j esteśmy!

Jeszcze burczała, ciesząc resztki babskiego honoru -jak powód jest, grzech z niego nie skorzystać! - a ty już zeskakiwałaś z wozu. W błoto.

Z cudzego rękawa deszczem sypały się asy, lipne, pospiesznie malowane. Jedno z drugim doskonale się zgadzało: podczas gdy tobie w mordwińskiej kostnicy pokazują do rozpoznania ciało zamęczonej na śmierć Lenki Fert, w Kęs-Preclu znika Druc. Ucieka?! Akurat! Dokąd miałby uciekać? I po co?

Sens tajnej gry był niejasny, ale czy przystoi Damie zwlekać z dokupem, kiedy marne szóstki wychodzą na pozycje królów?

Przeliczyli się, grubo się przeliczyli, zostawiwszy ci wolne ręce. Niech im będzie, na razie nic nie możesz, niech Kostucha cały czas ci starczy za ramieniem - nic to!

Zagramy na cztery ręce?!

- Ktoś coś widział? - zapytałaś rzeczowo. - Czy oprócz kupcowego Miszki ktoś coś widział?

Marfa uniosła dumnie podbródek, jakby chciała zademonstrować wrogość wobec pytań „byle katorznicy”, ale baby uprzedził nieposkromiony Timocha.

- Nie słuchaj ich - odpowiedział z przekonaniem, podchodząc nieco bliżej. - Plecie Marfa byle co, jak Bóg na niebie, plecie! Nigdzie twój Rom nie uciekł.

- A ja ci mówię: uciekł! - Marfa postanowiła walczyć do ostatka.

I wtedy z ust Timoszki padły słowa, za które zapragnęłaś nagle rzucić mu się na szyję i ucałować w oba porośnięte rudawą szczecinę policzki:

- Głupiaś, Marfo! - powiedział. - Przyjdziemy na miejsce, to sama zobaczysz, kto uciekł, a kto na ławie siedzi. No, dobra, co tu gadać po próżnicy. Ściemnia się. Pora iść.

Patrzyłaś w ślad za nimi i czułaś, jak gdzieś wewnątrz, niczym zdumiewające dziecko, dojrzewa decyzja.

I uśmiechałaś się.

A uśmiech miałaś taki, że Fiedońka spojrzał ci w twarz i odskoczył, zakrywając usta dłonią.

- Ej, ty tam! Piękny zuch!

Myśliwy się odwrócił.

- Idziecie się zabawić? A kto przed chwilą kwilił: „Chodź z nami. Pić będziemy, zabawimy się!” Ot tak gadałeś, na wiatr?

- Ja? Na wiatr?

Nie mógł wprost uwierzyć swemu szczęściu. Machał rzadkimi rzesami i zaciskał radośnie szczeki. Dokładnie tak, jak bezdomna psina, której nagle od drzwi pomacha ktoś kęsem kołacza.

Czyżby zrobiło ci się go żal, Kniahini? Poczulaś litość?

Nie.

Nad nikim się już nie litowałaś, nawet nad sobą.

- To co, idziesz z nami?

- Idę. Dziewczęta, weźcie mnie do kompanii.

Doganiając ich, spostrzegłaś, że twarze Marfy i jej córki zmieniły wyraz. Złagodniały, napełniły się zrozumieniem. Pojaśniały nawet. Jakby dawno już spodziewały się po tobie czegoś takiego; czekały, zmęczyły się, a teraz się doczekały!

A Fiedoniuszka nawet nie próbował cię zatrzymać.

- N-no! - rozległo się za tobą. - N-no, bezwstydna!

Obejrzałaś się dopiero na skraju lasu.

Małeńka telega stała na pagórku, a młody Sochacz spierał się z dziewczyną, która się tam pojawiła nie wiadomo skąd - piegowata wiercipięta podskakiwała niecierpliwie, a nad nią stał spokojnie, niczym wieża, potężny jej rozmówca.

Szkoda, że nie potrafisz rysować, Kniahini.

Pomachaj im ręką; Fiodorowi i wietrznicy Akulce, która wybiegła wam na spotkanie - pomachaj i idź w swoją stronę.

Dobrze?

Szliście niedługo.

Na miejsce dotarliście już po zmierzchu, przy świetle bladego i wątego miesiąca, pokrytego piętami choroby - a tobie się wydało, że w ogóle nie szliście.

Lecieliście.

Skąd wzięłaś siły? Skąd wesołość? Skąd ten osobliwy pośpiech? Nawet myśleć ci się nie chciało. Coś tam miało się ku końcowi. Powodzenie? Bieda? Życie? Wszystko głupstwa. Żartowałaś nawet, pokpiwałaś z oszołomionego nieoczekiwanym szczęściem Timoszki, rozkręciłaś obie baby tak, że sypnęły wodospadem sprośnych przyspiewek, wtórując im drugim głosem; sama zaśpiewałaś dwa, trzy romanse, z tych bardziej „ostrych”, przeznaczonych dla „dziewczynek” - i wszyscy wpadli w świetny humor.

Zapytałaś o wilki.

„Nie wilcze to miejsca” - obojętnie stwierdził myśliwy, chwacko poprawiając na ramieniu zardzewiałą berdanę.

No, dobra. Ale dlaczego mrówki ci po grzbiecie hasają? Przecież nie od hotelowych pluskiew - ale dlatego, że czujesz na sobie obcy

wzrok. Skąd pragnienie, by się obejrzeć - i to nie spokojnie, a szybko albo cichcem - a jak inaczej? - ale zobaczyć, popatrzeć! Bzdury? Timoszka głupiec, ale myśliwy doświadczony, poczułby pismo nosem.

W rzeczy samej poczuł.

Już na samym podejściu, kiedy za chruśniakiem na lewo od pasma strzelistych sosen zamajaczyły zarysy przycupniętej nisko chatki, Timocha, który do tej pory obejmował cię władczo za plecy, nagle się sprężył. Urwał jałową gadkę w pół słowa i błyskawicznie, niczym gadzina, szurnął w krzaki. Nie zatrzymałaś się nawet. I dobrze zrobiłaś; oto Marfa z córką idą dalej, jakby nigdy nic... one idą, a ty z nimi.

A trzeba, żeby uwierzono, że jest inaczej - ty idziesz, a one ci towarzyszą.

- Aj, puszczał, wujku! No puść, dziadu jede-e-e-n!

Poznałaś ten wrzask, który mógłby poderwać nieboszczyka z martwych. Poznałaś też dziewczkę, którą przed chwilą wywlókł z krzaków myśliwy.

Akulka Łukawka, piegowata cyga\*.

- A ty tu czego? I po co? - wrzeszczał trochę bez sensu Timoszka, wykręcając delikatne dziewczęce ucho. - Ty gadzino! Śledziłaś nas?!

-Ja chcę z wami.

- Po kiego grzyba, pytam?!

- Po takiego! Dziewczęta i chłopcy gonią mnie wieczorami, jak sobie chcą razem posiedzieć - wy-ga-nia-ją mnie! Sami się całują, obejmują, szepczą sobie coś na ucho! A mnie - kijami pędzą. Za mała jesteś, mówią, piegowata, na gębie ci diabli groch młócili! Chcę z wami!

- A ile masz lat, smarkulo?

- Na szesnasty mi idzie! Już niedługo!

Myśliwy umilkł. Puścił ucho, ale ucapił kościstymi palcami kołnierza wyświechtanego kozuszka.

Spojrzał uważnie.

- No, dobra - burknął. - Sami zdecydują: co z tobą zrobić...

Głupia Akulka nie usłyszała nutki skrytej groźby w głosie Timoszki. Zaczęła aż podskakiwać z radości.

\* Cyga - zabawka dziecięca, rodzaj bąka wprawianego w ruch uderzeniami bata.



- Chodźmy! No, chodźmy!

Wyprowadziłaś obie baby i pierwsza ruszyłaś ku chacie. O Akulce nie pomyślałaś. Nie miałaś czasu. Szykowało się zagranie w ciemno, szulerskie rozdanie, w którym od głosu, wyrazu twarzy i łutu przypadkowego szczęścia miało zależeć zbyt wiele, by myśleć o czymś innym.

No co, Kniahini, zajdziemy do chaty.

Tak.

W mieście też tak jest: pełno tam tajnych mordowni, o których każdy posterunkowy doskonale wie, bywa nawet, że w gości zachodzi pokrząć się szklaneczką samogonu albo wódeczki z przemytu. Zapyta takiego ślepczy inspektor:

- Fiedotycz, gadają ludzie, że znasz wszystkie tutejsze mordownie i wiesz, gdzie który zbieg siedzi, ale żadnego nie zamykasz?

- Znam - odpowiada wiekowy posterunkowy. - I nie zamykam - dlatego dwadzieścia lat już jestem na posterunku, zamiast w grobie leżeć!

I co mu zrobisz - przecież prawdę mówię!

Tak jest i tutaj: nie masz chyba w okolicy nikogo, kto by o tej chatce nie wiedział, a zaczniesz się rozpytywać - wszyscy nagle ślepi i głusi się robią!

Ludzie są wszędzie tacy sami.

- Ach, jakie chwaty! Hej, żołnierzyku! Będziesz moim cypalem? No, poczęstujże mnie choć lafitem z lemoniadą?!

Żargon burdel mamy z dwurublowego, średniej klasy domu rozpusty, zrobił swoje. Nawet ten w żołnierskim płaszczu - choć szczupły, ale spojrzenie miał wodzowskie, gdy tak mrużył powieki - nawet on zdjął dłoń z karabinu. A dryblasowi ze świńskim, wielokrotnie złamanym nosem w ogóle zawróciło w głowie - nie wódka, ale twoja obecność. Najwyraźniej żołnierzyk w randze zagadkowego cypa-lali, a na dodatek lafit z lemoniadą, tak często spotykane w głuchej tajdze, wywarły na dryblasie niezatarte wrażenie.

O, nawet chrząknął z głębi brzucha - zaśmiał się, czy co?

Tylko dwóch ludzi nie odwróciło się w twoją stronę. Nie mieli do tego głowy: grali na szcutki w „czyszczenie piórek”. Na blacie stołu leżały dwie rozpostarte dłonie, obok stały dwie butelki z resztkami samogonu; dwa noże z oszłamiającą prędkością wystukiwały rów-

ny rytm, wbijając się w deski pomiędzy palcami. Szybciej! Jeszcze szybciej! Jeden już krwawił, ale co tam krew? Głupstwo!

Szybciej!

I wstali, jak padli.

Jednocześnie.

- No, Piotrze - odezwał się sukinsyn, zbiegły Druc, wesoło mierzwiąc dłonią czuprynę poprzesywaną srebrnymi niteczkami, która zdążyła mu już odrosnąć w kęs-precelskiej głuszy. - No, gołąbeczku luby... Podstawiaj czółko!

Długi Piotr w skupieniu lizał ranę na palcu.

Nie przerwał tego zajęcia nawet po tym, jak jego łbem wstrząsnęły trzy potężne szczutki, po których na czole zostały mu czerwone ślady.

- Właż, pięknotko! - odezwał się żołnierzyk, zmierzwiwszy cię pierwiej ważnym spojrzeniem. - Jaki wiatr cię tu przywiał?

- A o to spytaj Jermołaja - pierwszą kartę zrzuciłaś koszulką do góry. - On ci wszystko wyjaśni, z wyczuciem i pojęciem.

Podeszłaś do stołu, wzięłaś pierwszą lepszą szklanekę, napełniłaś jądo połowy wódką i chlusnęłaś sobie w gardło. Nie, nie w gardło - w samą duszę.

Okazało się, że zrobiłaś to w samą porę.

- To Kniahini - odezwał się Druc obojętnie, jakby rzecz sama przez się była zrozumiała, i podsunął ci miskę z kwaszoną kapustą.

- Kniah-i-ni... - pokiwał głową żołnierzyk; nie wiadomo, czy chciał tym gestem wyrazić brak sprzeciwu, czy zrozumienie sytuacji.

- Ta, którą Jermołaj zrobił klucznica? - I sam sobie odpowiedział:

- Dobra.

Co miał na myśli, pozostało zagadką. Dla ciebie najważniejsze było co innego: kupili. Na razie kupili, a potem się zobaczy. Przy okazji znajdzie się chwilka, to z Drucelem będzie można zamienić słówko.

Kapustę gęsto poprzątkali klukwą, co nadało potrawie przyjemny, cierpki smak.

Za tobą skrzypnęły drzwi i od razu zrobiło się gwarno:

- Marfunia! Milaszka! Włażcie, włażcie, zaraz wam karniaka nalejemy!

- Siłantij, ja biore córunię! Słyszysz, świński cycku! Dawaj jątu!

- Oj, chłopcy, dajcie coś zjeść! Łapy zabieraj, ordynusie jeden! Jesteśmy porządne kobiety, trzeba nam odpocząć!

- Hej, piegowata, chodź tu do mnie, piegula moja, koścista! Ja jestem Piet'ka, a ty będziesz Nastką!

- Akulka jestem... Akulina.

- Jedna zaraza! Na kolana, siadaj mi na kolana!

- No, Timoszka, niezły z ciebie łapacz! Zobacz, ile dziur przypro-wadził!

- Dajcie mu kielicha! Lej, nie żałuj, po brzegi!

Kątem oka spostrzegłaś: o głupią Akulkę zapomnieli zapytać. Ot, zwykła rzecz: poszedł myśliwy na polowanie, poszczęściło mu się i wrócił z bardziej niż zwykle obfitym łupem! Nie szkodzi, że piegowata, los tak chciał: po pijaku i piegulę się przeleci... Timosz-kę otoczyli, poklepując po ramieniu i nie dali mu powiedzieć ani słowa, tylko wsunęli w dłoń pełną szklanke; oto myśliwy dech led-wo łapie, czerwienieje jak burak i krztusi się, zagryza mięsem - a baby rozchwytno od ręki. Timoszka zdążył tylko popatrzeć na ciebie znacząco: sama się tu prosiłaś, prawda? No więc masz, oto ja, wspaniała mężczyzna!

Uśmiechnęłaś się do samochwała i natychmiast się rozpromie-nił.

I zaczęła się hulanka: śmiechy, piski, zmieniające się na przemian toasty i zakąski, spocona dłoń za pazuchą, wywleczona nie wiadomo skąd harmonia, stara, rozklekotana - i znów wesołość, gorączkowa, napięta, niczym odwiedziony kurek, jaką zawsze jest wesołość ska-zańców.

Szkoda tylko, że ledwo znalazłaś się obok Druca, natychmiast spostrzegłaś utkwione w tobie stalowe oczy żołnierzyka.

Więc gadałaś o tym, co ci ślina na język przyniosła.

Kiedy z zewnątrz ktoś z rozbiegu uderzył w drzwi ramieniem, nawet się za bardzo nie zdziwiłaś.

Coś miało się ku końcowi.

Powodzenie? Niedola? Życie?

Głupstwa wszystko.

---

**XVII. DRUC KONIARZ****ALBO JZLAG BY TO TRAFIŁ!**

*Powstają złośliwi świadkowie,  
Pytają mnie o to, czego nie wiem.*

*Księga Psalmów, Psalm 35*

Wszystko poszło nie tak, pochyło, krzywo; fatalnie się karty ułożyły. Jeszcze za dnia się wydawało, że wszystko łąjno, jakie mogło ci się wylać na łeb, już się wylało. Ale nie, *baro*, za wcześniej się zacząłeś cieszyć! Zostały jeszcze fortunie za pazuchajedna czy dwie wredne sztuki, akurat by cię pogrzyżać ze szczętem!

Spotkam-zabiję.

Gdzieś tam, w górze, gdzie ciągną losy - komu fart i szczęście, komu dom na koszt państwa, a komu krzyż na cmentarzu - gdzieś tam poruszył się i osunął w dół pierwszy kamyczek, pociągając za sobą lawinę kompanów. Lawina nabierała rozmachu. Gdybyś był w pełni sił, Walecie Winny, wcześniej byś wyczuł pismo nosem. Od czego to się wszystko zaczęło? Od Filatowego pijaństwa? Nie, wcześniej. Od urzędnika, który przyjechał po Raszelkę? Może być.

Wtedy by odgadnąć! Zorientować się, ustrzec! Co tu gadać, za późno.

I jakież bies Kniahinię tu przyniósł? Wódki się napić chciała? Na piosenki jej się zebrało? Zgadalibyście się - ale jakoś nie szło. Pół godziny temu wybiegłeś przesadnie chwiejnym krokiem na zewnątrz, pozornie po to, żeby trochę ochłonać, licząc na to, że i Dama Dzwonkowa wyjdzie za tobą, ale zaraz potem przywiało Karpuchę. I nawet się nie krył, tylko palnął prosto z mostu: „Zabłądzisz gdzieś po pijaku i szukaj wiatru w polu, a nam potem Jermołaj Prokoficz łby pourywa!” Gdyby w chacie była druga izba albo choćby alkowa - zawłóklbyś Raszkę, niby jak chłop babę wykorzystać należycie; ale i tego sposobu z Bożej woli zastosować się nie dało. Nie znajdziesz osobnego miejsca; „towarzystwo” to ludzie prości jak stylisko łopaty; jedna izba im do wszystkiego wystarczy -popić jest gdzie, i babami nacieszyć się można.

I jeszcze ta głupia Akulka! No diabeł, nie dziewczka! Wyłupiasty wódkajej w gardło chlusnął - i zaraz ją ścięło, plecie byle co, chwali się, jak to na naukę do ciebie pójdzie. Znaczy, jak będziecie razem smoki żelazne straszyć i gromić. Wyłupiasty wokół niby wąż się wije, rozdział już dziewczkę do połowy, a ona nic! Zepsuje jata gnida Pietunieczka, jak nic zepsuje; rano się ocknie, to wrzasku narobi.

Sama będzie sobie winna.

Jeden sęk tkwi w tym wszystkim; za pohańbioną dziewczkę miejscowe chłopy mogą się wściec. A Fiłat ze swoją bojową babą jeszcze i do urzędnika trafić mogą. Sama zresztą Akulka też do milkliwych nie należy. „Towarzysze” to nie durnie, choć kmioty; szczególnie Karpucha. Wszystko to pewnie już zrozumieli. Czyli wykończą dziewczkę po cichu. Mało to nieszczęść czyha wokół na człeka? Wilki ją porwały albo w bagnie gdzieś ugrzęzła. Przepadła dziewczka - i końce sprawy w wodzie utoną.

Kiepsko. Głupiej dziewczki szkoda, a zresztą chyba nie wszyscy uwierzą, że gdzieś ją diabli wzięli. A jak kto widział, że tu szła? Kryjówka spalona! Kniahini też chyba nie z dobrymi wieściami tu przylazła - dobre mogłyby poczekać. Trzeba się stad wynosić, Walecie Winny! Jako zbieg i recydywista sznur z dobrze namydloną pętlą masz zapewniony, czyli nic do stracenia...

Szlag by to trafił! Doczekali się!

Kopnięte potężnie drzwi rozwarły się na oścież i z trzaskiem rąbnęły o ścianę.

Wracając na miejsce po odbiciu od niej, omal nie wycięły w pysk nieproszonego gościa. Ten jednak w ostatniej chwili przyjął uderzenie na wysunięty łokieć i tylko zaklął przez zęby.

Niewielka chwila zwłoki.

Drobna, nieistotna.

Ale wystarczająca.

Siłantij, na przykład, który oburącz trzymał Marfę pod boki, błyskawicznie zdążył się poderwać. Równie szybko chwycił wiszącą na ścianie dwururkę i podrzucił ją do ramienia. Rąbał na pewniaka, z obu łuf i loftkami, żeby posiekało nie tylko wchodzącego, ale i każdego, kto zjawiłby się za nim. Z lewej rury gościowi w brzuch, z prawej rury

na ukos, prosto w mrok sieni, gdzie coś się ruszało.  
Znał się na rzeczy ten chwyt o dwóch głosach.

### *Notatki na marginesie*

*Pocziwcowi Silantijowi w jego mętnych oczkach rozlala się na zawsze:*

*...kałuża.*

*Z jednej strony już nieco lodem zaciągnięta. Pośrodku też - zebrały się chrzęszczące odłamki i lgną jeden do drugiego. Woda miesza się z błotem - brudna, pianista, połyskuje zabawnie. A z boku, pływają jakieś kępy brudu. Niczym głowonogi.*

*But w kałużę! Trrrach!*

*Rozbryzguj się, wodo, na wszystkie strony!*

Tyle, że ataman Karpucha okazał się znacznie bardziej zwinny i sprawny. Zdażył podbić bezwzględną rękę; oba ładunki z hukiem ugodziły w sufit. Z góry sypane się jakieś paprochy, a w izbie silnie zapachniało kwaśnym prochem.

I jednocześnie, jak na komendę, rozdarły się dorodna Marfa i jej córnia.

- Cicho, głupie! - warknął Karp i baby umilkły, jakby je lodem skuło. - Ty co, Silantij? Zaczadziło cię? Przecież to Filat!

Faktycznie, Filat!

No, trzeba by wstać i rozliczyć się z nim za to polano w ciemnię. .. Tyle tylko, że akurat w tej chwili wcale nie miałeś ochoty spełnić obietnicy i oderwać gadzinie jego podłą makówę.

Zapomnieć trzeba o starych porachunkach - bo nowe rosną!

Za plecami gościa, w głębi sieni, majaczyła rosła sylwetka Fiedki Sochacza. Staremu ochlapusowi starczyło oleju we łbie, żeby nie przychodzić tu samemu.

- Cóż wy tu, potwory, wyprawiacie! - pobladły mocno Filat w lot zrozumiał, co się święci. - Dziewczynę moją pohańbić się wam zachciało?! Ty duszogubie jeden!

W dwóch krokach chłopina znalazł się obok Pietuńki i z rozmachu zgasił kościstym kułakiem uśmiech na twarzy „towarzysza”. Skąd

mu się siły wzięły? Wyłupiasty, który nie spodziewał się takiej zuchowości ze strony wiejskiego pijaczyny, zwałił się z ławy niczym zbity kręgiel - a rozjuszony ojciec Akulki nie tracąc czasu, chwycił mrugając głupio córunięza ucho i odwrócił się, by ją wywlec z izby rozputy.

- Matka już ci w domu... - zdążył jeszcze obiecać Łukawka.

I nagle się zająknął.

Zachrypiął, coś mu zabalgotało w piersi, stęknął ze zdziwieniem i powoli zaczął się osuwać w bok.

Legł pod ścianą cicho, nawet nie poruszywszy ręką.

Wyłupiasty jeszcze raz wetknął zakrwawioną już finkę w prawy bok Filata, prosto w wątrobę i odskoczył wstecz, zaczepiwszy bokiem o krawędź stołu.

Butelki odpowiedziały ponurym brzękiem.

Dopiero teraz nieszczęsny pijanica stęknął boleśnie i wierzgnął nogami. Akulka nie wytrzymała, przypadła doń z góry, mamrocząc: „Tatku, co z tobą? Co ci jest, tatku? Tatku...” i nagle umilkła, podnosząc do oczu dłoń, upačkaną w lepkiej czerwieni. Przez chwilę patrzyła, jakby niczego nie pojmując, potem nagle zakwiliła cieniutko, niczym psina - i na czworakach popęzła pod stół.

W izbie wszyscy nagle znieruchomieli. Czas powlókł się kruchą powłoką lodu, niczym listopadowa kałuża, która tylko patrzeć, jak trzaśnie pod naporem buta. Co dziwne, pierwszym, który przerwał czar, był stojący wciąż w drzwiach Fiedoniuszka.

- Coś ty zrobił, draniu przeklęty! - osiłek wparł wzrok w Wyłupiastego, jakby go zamierzał przewiercić spojrzeniem na wylot. - Ty go... Tyś go zabił, tak?

Dziecięcy głos dźwięczał śmiesznie; śmiesznie i groźnie razem.

- Zabiłem - uśmiechnął się łagodnie Pietunieczka, uwalniając skrepowane do tej pory szaleństwo. - I ciebie zaraz ciachnę. Chcesz? Chodź tutaj, chodź!

Fiodor posłusznie postąpił ku przodowi. „Towarzysz” natychmiast odzyskał dawną zręczność i rzuciwszy się ku przodowi, pchnął nożem nisko, w brzuch osiłka - ale Sochacz jakimś cudem zdołał przechwycić jego rękę w połowie drogi. Ścisnął tak, że usiłującemu się wyrwać posiniałemu Wyłupiastemu oczy wylazły z orbit - a w sekundę później twardy niczym kamień i równie ciężki kułak Fiedoński trafił Pietunieczkę prosto w czoło - aż chrupnęło.

Dokładnie w sam środek.

I natychmiast wszyscy zrozumieli: już po Wyłupiastym Świeć, Panie, nad jego duszą.

Fiodor Sochacz ponuro spojrział w oczy swojej ofiary, jakby spodziewał się tam znaleźć coś cichego i wartego zrozumienia; a potem niespiesznie rozluźnił palce. Ciało Pietuńki niczym wór runęło na podłogę. W tej samej chwili Siłantij opamiętał się i odtrącając stół, z rykiem runął na Fied'kę, łapiąc go z tyłu. Związawszy chłopaka niedźwiedzim uściskiem nie dał mu się ruszyć z miejsca. Zaraz potem Marla i jej córka znów zgodnie rozwarły japy, a spod stołu zawtórowała im szczenięcym pojękiwaniem Akulka. Zrozumiałeś: pora!

Rzuciłeś krótkie spojrzenie Kniahini. Raszka kiwnęła głową i wskazała ci ruchem podbródka skuloną pod stołem, obejmującą głowę rękoma Akulkę. Jakby chciała rzec: łap okazję! Uratujesz dziewczynę - powinni ci uwierzyć. Będziesz miał świadka! Mądrała z niej, z tej Kniahini. W jednej chwili odczytała cały układ! Jakby udało się uciec, to i spod pętli namydłonej mógłbyś się wymknąć.

Wiele trzeba? Przeskoczyć przez przewrócony stół, zarzucić sobie dziewczynę na ramię i zrobione. Teraz do drzwi. »W połowie drogi się oglądasz. Fiedoniuszka powoli, ale nieodparcie rozsuwał niedźwiedzi chwyt Siłantija; zbój tylko stękał z wysiłku, ale nie mógł niczego przeciwstawić żywiołowej sile młodzika. Ależ z niego mocarny chłopak! Kiedy i gdzie takiej krzepy nabrał?

Zderzasz się z Kniahinią- niewiele brakło, a zbiłbyś ją z nóg.

O co chodzi?! Czemu jeszcze jest w chacie, a nie na zewnątrz?!

- Cofnąć się, *maże* nasienie!

Późno, za późno się zorientowałeś głupi, pechowy Romie!

Oto Karpucha stoi w drzwiach z karabinem w rękach. Z tego, jak trzyma broń, wnosisz, że nijak nie zdążysz wybić mu gwintówki z łap!

Drgnij tylko, a połkniesz kulę.

Cofasz się powoli razem z Kniahinią. Kątem oka dostrzegasz, że Fiedka z rozmachu uderza głową wstecz, rozbijając pocziwemu Siłantijowi resztki jego nosa. Dryblas wali się na podłogę, zwija się z bólu i wyje gardłowo - a tymczasem kolba karabinu z chrzęstem wali Fied'kęwkark.

Sochacz pada jak rażony gromem.



Huk wystrzału. Kula godzi w sufit, który tyleuż dziś wycierpiał i natychmiast potem zapada cisza, w której wyraźnie słychać szcęk zamka karabinu Karpuchy. Doświadczony zbój natychmiast wprowadza nowy nabój do komory.

W magazynku pięć nabojów, zostały cztery.

Wystarczy dla każdego.

- Ta-a-a-ak... - ciągnie powoli Karp, oglądając „pole sprzeczki”. -Zaraz się dowiemy, co i jak. Timoszka!

Z kąta wysuwa się śmiertelnie przerażony pogromca łosi.

- Zwiąż tego buhaja. A potem opowiedz dokładnie, kogoś ty tu dziś przyprowadził, ścierwo?!

- Przecież to córka Filata! - usprawiedliwiał się Timoszka, unikając wzroku Karpuchy. - Przyczepiła się do nas. „Na hulankę mnie weźcie!” i tyle! Co miałem z nią zrobić, Karp? Zresztą, byliśmy już prawie na miejscu.

- Przepędzić trzeba było - ponury Karp kręcił głową, jakby go cisnął kołnierz koszuli. - A teraz, co? Co teraz, pytam cię, głąbie jeden? Pietuńka wykończył jej ojca, a ten siłacz zatłukł nam Piotra, na śmierć. Przecież nie będą siedzieli cicho, dziewczka i to leśne straszydło! Zarżniemy oboje-we wsi zwąchajapismo nosem. I na dodatek ci zesłańcy...

Karpucha łypnął koso na ciebie i Kniahinę.

Poruszył wargami, j, j akby coś żuł.

-No dobra, Golonego kupiec przysłał, chciał czy nie chciał, nie o tym mowa! A ty? - spojrział badawczo na Kniahinę.

- Mnie też przysłał - bez namysłu odpowiedziała Kniahini.

- Już mówiłam. Co, zapomniałeś, żołnierzyku?

- A po co?

- Nie twoja to sprawa. Mam przekazać kilka słów Golonemu, wedle naszych, *mażych* spraw. Ty nie musisz tego słuchać. A tyś się wczepił we mnie jak kleszcz - pokładać się i to z tobą?! A tyś tylko dzięcioł na oku, żołnierzyku!

- Ty mnie tu nie zagaduj! - niespodziewanie rozjuszył się Karp.

- Przyjdzie kupiec, to odpowiem za grzechy. Jak okaże się, że coś nie tak, pierwszy was przeproszał będę. A na razie zamkniemy was w stodole, razem z tym leśnym strachem i dziewczką. Żeby nas i was nie

kusiło. Myślicie, że nie widziałem, jak do ucieczki się szykowaliście i jeszcze dziewczkę zabrać ze sobą chcieliście? Posiedzicie do rana, to trochę ochłoniecie. A ty, Timoszka, dymaj do Kęs-Precla, budź Jermołaja Prokoficza i dawaj go tutaj. Choćbyś go miał na plecach przytaszczyć, ale go tu ściągnij. Niech wymyśli, co zrobić.

Na podłodze stęknął boleśnie pocziwiec Siłantij.

Usiadł i dalej stękał.

- Udziekna! - bąknał przez rozbity nos.

- Kto ucieknie?

- Ci, tutaj. Czarownicy.

- A wiesz, niegłupio mówisz. Mogą uciec - zamyślił się poważnie Karpucha. - Ale czemu wcześniej nie uciekli?

- Wcześniej, kurza twarz, wcale im nie było do uciekania!

- podsunał Timoszka.

- Milcz, niezguło! No tak, zastąpiłem im drogę, to nigdzie nie znikli, mać ich *maża*\ Może i nie taki diabeł straszny... - Karp umilkł na chwilę i nagle uśmiechnął się do siebie, jakby mu zaświtało najlepsze wyjście z sytuacji. - Wstawaj, Siłantij, nie ma co się tu wylegiwać! Dawaj obrazy, krzyż, medalik, jak masz... powiesimy z zewnątrz na stodole. I drzewi deskami na krzyż zabijemy. A pod progiem położymy nieboszczyka, niepogrzebanego, bez sakramentów! Choćby tego Filata - Piefka cięższy do noszenia. Wiadoma sprawa - czarownik przez nieboszczyka nijak przestąpić nie może. A ikony i krzyż obronią ściany. Nie uciekną.

- A tego... może jeszcze...

-Rób, co ci mówię!

- A baby? - odezwał się znów Timoszka.

- Co, baby? - Karp rzucił krótkie spojrzenie na bladą Marfę i jej córkę, a te pokiwały głowami jak bliźniacze studzienne żurawie, z góry godząc się na wszystko. - Do rana tu posiedzą, nie im się nie stanie! Jak im życie mile, będą trzymały język za zębami!

Ocknąwszy się, Fiedońka obrzucił „towarzyszów” i Timoszkę ciężkim spojrzeniem; ale do stodoły poszedł sam, nie próbował się opierać. Akulkę, która ze strachu dostała dreszczy - aż jej zęby szczykały - musiałeś nieść na rękach. Kniahini szła przodem, dumnie podniósłszy głowę i nawet nie zaszczyciła ocalałych zbójów jednym spojrzeniem; jakby całą swoją postawą dawała do zrozumienia: „Ja do rana posiedzieć mogę, ale jak przyjedzie kupiec, nogi wam wszystkim z dup powyrywa!”

Karpucha jednak twardo obstawał przy swoim i decyzji zmienić nie zamierzał. Karabin też przez cały czas trzymał pod ręką.

Drzwi stodoły zamknęły się za wami, i zaraz potem z zewnątrz rozległ się równomierny stuk młotka. Słyszać było, jak Karpucha wydaje ostatnie polecenia. W końcu pogromca łosi znikł w nocnym mroku, spiesząc z meldunkiem do kupca, a niespożyty Karp zaczął pokazywać Siłantijowi, gdzie poprzybijać ikony i krucyfiks.

Po ciemku obmacałeś drzwi i ściany. Te ostatnie były z grubych belek, nic nie poradzisz. Ale drzwi... choć mocne, ale Fied'ce mogą się nie oprzeć. A jak naprzeć we dwóch...

Młotek ucichł, potem dało się słyszeć kroki odchodzących. Poszli sobie?! Zostawili więźniów bez nadzoru?! Czyżby aż tak bali się czarów? Nie, zatrzymali się. Mówili cicho, licząc na to, że nie usłyszycie, ale coś niecoś zrozumieć przecież się dało:

- ... w chacie... pilnuj... nie podchodź za blisko... nie wiadomo... maże nasienie! W razie czego strzelaj... Aja ci mówię, strzelaj!

Czyli będą mieli stodołę na oku i muszce z daleka, najpewniej z dwóch stron i jakby co - będą strzelali. Wywalisz drzwi - dostaniesz kulę. Siłantij wiewiórkę w oko trafia. A twoje oko chyba większe od wiewiórczego.

Głosy umilkły.

Przysłuchująca się razem z tobą Kniahini potrzęsnęła głową:

-No, witaj, Druc! Aja ciebie przestrzec chciałam. I proszę, sama... - nie dokończywszy zdania, odwróciła się do Fied'ki Sochacza:

- Dawaj ręce, bohaterze. Rozwiążę.

W kącie cicho pochlipywała trzeźwiejąca z minuty na minutę Akulka.

## XVIII. RA/ZKA-KNIAHINI

### ALBO JAK MA/Z WIAĆ - TO WIEJ

*Na przedzie szli śpiewacy, za nimi grajkwie  
Wśród dziewcząt bijących w bębny.*

*Księga Psalmów, Psalm 68*

- Tak - rzucił na koniec Druc, zanurzając obie dłonie w soli z pieprzem, w swoje bujne kędziory, które na wolności odrosły znacznie szybciej od twoich. Jakby je, *baro*, chciał powyrywać z korzeniami. - Tak, Kniahini. Kiepsko sprawy stoją. Idź koniu w pole, umarł twój pan...

I spojrzął ci prosto w oczy.

Czekałeś jeszcze na jakieś słowa? Nie, Walecie, nie usłyszysz już niczego więcej, powiedziałaś już wszystko, co wiedziałaś. O Mordwińsku, o piekielnym pociągu, o kniaziowych podpułkownikowskich, „Barbarzyńskich” zagraniach. O pokaleczonym ciele na stole w kostnicy. Wszystko zostało powiedziane, zwięzłe, cicho, półgłosem - choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby podsłuchiwać, a zresztą, po cóż miały to ktoś robić: Akulka cały czas popiskuje cichutko, na razie jej nie obchodzimy, a Fiedoniuszka jak się wtulił w mrok, tak siedzi tam bez ruchu do tej pory.

Modli się o odpuszczenie grzechu? Chyba nie.

- Fiodor! A ciebie z Filatem - nieboszczykiem Filatem, przyjmij, Panie, duszę raba twego! - jakie tu wiatry przygnały?

Milczy. Nie odpowiada.

- Co, nie słyszysz?

- Słyszę. - Wargi Sochacza nawet nie drgnęły. Głos wydobył się wprost z potężnej piersi, wyniosło go przypadkowe tchnienie.

- Jak słyszysz, to odpowiadaj!

- Zaprowadziłem wóz na kupcowe podwórze. Zaczęłam kobyłkę wyprzęgać, a tu patrzę, Filka ulicą idzie. Piosenki śpiewa, aż szyby drżą. A za nim ta jego żonka, Pelażka... Też ryczy, ale co ryczy, nie sposób zrozumieć.

Słowa lały się równym strumieniem i dźwięcznie padały w mrok.

Na gadki Fiedoniuszkę zebrało, czy co? No, wychodzi, że tak.

Wygada się za całe życie.

- Przepędził ją Pelażkę znaczy. Sztachetą. A potem woła do mnie: dawaj po małym! Nie, mówię, lepiej do domu pójde. A on wtedy pyta: Akulkę gdzieś widziałeś? Widzisz, klnie ta moja zaraza, dziewczyna gdzieś uciekła! Kiszkę z grochem uciekła, powiadam! Widziałem twoją dziewczkę na pagórku, za wsią. Ciągnęła śladem za Timoszką i babami, w las. Filat zbłądł jak ściana. Zatrząsł się i dawaj płaszcz na mnie szarpać. Biegnijmy, powiada, ratujmy głupią od zguby! Lećmy, Fiedoniuszka, przyjacielu kochany, bo bez ciebie nie poradzę! No i pobiegłem. ..

- Ciociu... ciotuniu - w bas Fiedoniuszki wplótł się cieniutki głosik Akulki. - Wujku Druc, ty przecież wiesz, on jak się narąbie, gada nie wiadomo co! Sam do siebie mówić zaczyna! Byłam w izbie, a on nagle meldunek składać zaczął: o pałce, o tobie... o jakichś tam bandziorach! Tak, powiada, panie wachmistrzu! Tak jest, panie wachmistrzu!

Druc drgnął, jakby go gadzina żgnęła.

Tobie też od razu się przypomniało: kostnica i ten wachmistrz żandarm, który strzela przy tobie kopytami.

Tak, panie wachmistrzu?

Wy też pamiętacie?

- Wujku Druc, ja chciałam cię ratować... Ja...

- No dość tego, Akulka - rzucił Fiedoniuszka, odwracając się ku dziewczynie. - Przestań ryczeć. Wcześniej im to trzeba było powiedzieć. Wiedz, Raszelo: Bożatuni mojej i Filce śledzić was przykazano. Przyjeżdżali urzędnik i ten żandannerski wachmistrz. Kazali raz w tygodniu o wszystkim meldować.

- A dokładnie co? - zapytałaś, czując, że język nie bardzo cię słucha.

- Wszystko, jak leci. A najwięcej o głupstwa wypytywali. Choroowaliście? Kiedy i od czego? Jak się z ludźmi dogadujecie? Pijecie? Dużo czy mało? No i w ogóle...

Wstałaś.

Wszystko się pięknie składało: przyjazd urzędnika po ciebie, w tej samej chwili, w której nieznanemu ci oprawca podniósł rozpalone żelazo do czoła Lenki Fert, i wiele, wiele innych spraw...

- Śledzili? Meldowali?

Ani chłopak, ani dziewczyna nie odpowiedzieli.

Razem tylko westchnęli.

- Wujku Druc? - chlipnęła nagle Akulka i ze świstem nabrała powietrza w płuca. - A gdybyś ty mnie wtedy wziął? No, do nauki? W tej chwili byśmy stąd odeszli. Prawda?

W jej głosie dźwięczała taka wiara, że przeszył cię dreszcz. Była to nadzieja nadziei, taka, która umrzeć powinna ostatnia, żeby Kostucha wszystkie buty zdeptała w pogoni. Czyli dziewczyna Drucowi i atuty w ręce wtykała? A on odmówił?

No, Walecie!

- We dwójkę? - plecami, karkiem, podwójną skórą poczułaś, jak jasno uśmiecha się za twoimi plecami Rom taborysta, fartowny Dufu-

nia Druc. - Owszem, razem byśmy uciekli. Odlecielibyśmy jak ptaki. A co, jeszcze się nie rozmyśliłaś?

- Wujku Druc! Najmilszy! Nie rozmyślałam się! Nogi... nogi całować. ...

- Moje nogi zostaw w spokoju. Chodź no tutaj...

Ktoś tknął cię w biodro. Ciężka łapa dotknęła i opadła, jakby chciała powiedzieć: mam tylko pytanie... niech ci się nie zdaje.

- Raszelo - odezwał się Fiedoniuszka. - Ja z tobą, Raszelo. Ja z wami. Nie chcę... jak ta kura, bez głowy. Nie chcę. Wolę zdechnąć.

- Nie trzeba - odpowiedziałaś, widząc przed sobą bezgłowe zwłoki na marmurze. - Nie trzeba, Sochacz. Lepiej zdychaj.

- Trzeba.

I wszystkie słowa, które mu chciałaś powiedzieć, sflaczały nagle, zapłonęły i spopielone rozwiały się na wietrze.

Wybrał.

Prawo jest Prawem.

- No co, Kniadini? - Druc stał obok ciebie, ramię w ramię.

- Rozdamy jeszcze raz? Dwie karty w ciemno, co?

- Rozdamy, Golony - przytaknęłaś cicho.

Przenikliwa, ostra zieleń.

Światło.

Zimne, aż zęby ścina mrozem. Jakbyś z rozpędu przypadła wargami do zimnego źródła w górskim wąwozie, który niepowstrzymanie rwie wszelkie zapory i gra, niczym klucz wiolinowy otwierający pięciolinie, na której śpi czekająca na wybawcę królewna muzyka.

Zamiast stęchłego zapachu stodoły, gdzie śmierdzi wilgocią i jeszcze zeschniętymi ptasimi odchodami. Dlaczego? Nieważne!

Teraz pachnie jak parmeńskie perfumy.

I trochę dymem z ogniska, dlatego że - Druc.

U niego - tak.

- A-a... - to Fiedoniuszka. Nie wytrzymał. A piegowata dziewczynina westchnęła słodko, jak w chwili pierwszego, boleśnie rozkosznego zbliżenia.

Oto oni: Adam i Ewa przed Pierwszym Upadkiem.

A oto wy: dwa węże bez żelaznych łusek i rozdwojonych języków.

Kusieciele? Któż jest teraz kusicielem, a kto kuszonym? Kto?!

„Gdzie są twoi bracia, Kainie? - pokpiwali w baraku zatwardziali farciarze; pytali żartobliwie, ale odpowiadali sami sobie - i bez uśmiechów. - Czyż jestem stróżem braci moich?”

Widzisz, Kniahini, przed tobą zaczyna falować ciepłe powietrze, pustka jaskrawo wiosennej barwy. Splatają się nici losów, tka się wieczne Płótno, i oto: żółc pergaminu. Wszystko jak zawsze. I bardzo chciałoby się wiedzieć: co u Druca? Też pergamin? Papier? Jedwab?

Zostaw... to głupstwo.

Po żółci biegają szkarłatne runy. Padają kroplami krwi wysączonej z żył i ustawiają się karnie w szeregu. Wiersz za wierszem, a Fiodor Sochacz wstrzymawszy dech patrzy, jak powstaje tajemna więź. W tej chwili dałby życie, żeby się dowiedzieć, co tam napisano, ale zagryza tylko wargi. Bolesnie, aż pęka skóra, kryjąca szkarłatny miękisz. Gdyby zapytał - i tak byś nie odpowiedziała. Sama nie wiesz, i nigdy nie wiedziałaś. Powiadają, że sens tych znaków dano poznać tylko Duchowi Prawa i świętej Marcie - a pozostałym: wara!

Nie o sens zresztą chodzi.

- Krwią? -jednym tchem wyrzuca z siebie Fiodor i jednocześnie wzdycha niewidoczna dla ciebie dziewczyna, wydając z siebie chlipnicie, które jednocześnie jest słodkie i bolesne. - Krwią podpisywać? Tak?

Śmiejesz się.

Nie trzeba krwią. Atramentem też nie.

W ogóle nie trzeba podpisywać.

-Trzymaj.

Posłusznie bierze.

Co się teraz dzieje z piegowatą Akulką, której Druc szepcze: „Trzymaj!” jednocześnie z tobą - tego też nie wiesz i nie chcesz wiedzieć, dlatego że jednak wiesz. Przecież sękata dłoń Fiedoniuszki przesuwa się obok twego ramienia, bierze pergamin i podporządkowując się mrocznemu nakazowi, który płynie bez słów z głębin strasznej bajki, zaczyna zgniatać żółc w pięści.

Mocniej!

Jeszcze mocniej!

I proszę, została tylko pięść - i nic nie wystaje na zewnątrz.

Tylko wy, nadzy i bezbronni, jakimi wychodziliście na świat z łona matki.

Twoja dłoń nakrywa pięść Sochacza z ukrytym w niej pergaminem. Zaciśnij palce, Kniahini! Mocniej! Jeszcze mocniej? Wzięłaś się?

Tak, świszczącym szeptem odpowiadasz mi -jedynemu, który ma teraz władzę nad tobą i twoim nowym chrześniakiem.

Tak.

A ja zapalam przed wami ogień.

Dłoń w dłoni, a w dłoni Umowa - dalejże!

Gwałtownym skurczem całego ciała wysyłasz wasze ręce w ogień. Mówią, że kiedy chrześniak nie zdąży targnąć się wstecz z trwogi, skamieniawszy ze zgrozy - to dobry znak. Los jest łaskaw dla ciebie, Kniahini, dla ciebie i dla tego chłopaka, którego minione, dotychczasowe życie było proste i nieskomplikowane... Nawet nie drgnął. Paruszył tylko niby koń i zamienił się w kamień od pięści po pierś. W twarde, niepodatny granit, a tymczasem jego ciało płonęło w ogniu wspólnie z twoim ciałem i z pergaminem, utkanym na osnowie szaleństwa młodości.

Znasz przecież Prawo, Kniahini? Bez reszty i do końca?

Trzymaj.

Trzymaj się.

Ja wszystko widzę, dziewczyno ty moja.

Wasze ręce płoną, każdym osmalonym nerwem błagając o litość. Wasze ciała stapiają się w wariackim tyglu ciał i Umowy, niewymagającej podpisów, ponieważ JA nie potrzebuję mizernych gwarancji ani zapewnień. W ogóle niczego nie potrzebuję - w tym moja siła i moja kara za samowolę w dniach stwarzania. A zresztą, zapomnij o tym.

Płoń.

Odrobinę ci pomogę; widzisz?

O tak, widzisz.

.. .loskot gongu niesie się nad śpiącym Kęs-Preblem. Otwierają się zapory, otworem stają drzwi -pierwsze biegną baby, rozczochrane, w rozchełstanych gieźlach, klnąc w biegu wrzeszczące dzieci; za nimi ciągną rozespiane chłopcy. Niektórzy wyrrywają sztachety z mijających płotów. Ot, na wszelki wypadek.

Niektórzy biegną z dubeltówkami.

- Ludu prawosławny! - ryczy Jermołaj Prokoficz, podczas gdy niemy sługa niez mordowanie wali w gong. - Jak długo jeszcze mamy to znosić?!



I nie wiadomo dlaczego, wskazuje palcem śmiertelnie przestraszonego Timoszkę łosiobójcę, który skulił się za kupieckimi plecami.

- Słyszeliście? Żli ludzie bez powodu zarzęli Filata Łukawkę! A jego starszą córkę, Akulinę, zgwałcili i utopili! Zabili dziewczkę! Zabili!

- I-i-iiii! - to wycie Pelagii, Filatowej żoneczki.

I natychmiast podchwycono dziki wrzask: najpierw całym kahałem rozdarły się osierocone Łukowczaki, a zaraz potem wszyscy, którzy mieli ochotę do darcia pysków na cześć cudzej krzywdy.

- Prawosławni! Nie można już, nie da się tego wytrzymać!

A podburzacz z niemowająz taszcą skrzynki z drogą „monopolówką” i wtykają butelki w wyciągnięte chciwie dłonie.

-Łap drani! Bij, kto w Boga wierzy! Władze daleko, a my tu, na miejscu!

Leje się wódka w gardła, odrywają się sztachety z płotów i po berdanki już podbiegli ci, co od razu z domów ich nie zabrali. Ciągnie ku krańcowi wsi bezosobowy potwór gromady.

- Pochodnie! Pochodnie zapalcie!

Mądry ten kupiec. Dobrze sobie wszystko wykombinował. Skoro przepadły szanse na to, żeby wyjść z wody o suchej nodze, skoro splątał się wątek przemysłnego spisku, trzeba utopić niepotrzebnych świadków w tej samej wodzie, uwolnić powódź ludzkiej podłości - potem nikt nie zdoła rozplatać tego węzła i określić, kto winien, a kto bez winy, kogo zabito za grosz, a kogo za wielki pieniądz.

Cały Kęs-Precel zwiąże sznurem krwawej zbrodni.

Gna przez las Dziki Gon.

Bliżej.

Jeszcze bliżej.

Ból. Straszny, już ci znany. Trzeba się pospieszyć; po tym, co ukazał ogień, liczy się każda minuta - a poganiać bólu nie wolno. Zakazane. Musi trwać, dopóki nie spłonie wszystko, co miało spłonać, dopóki męka łzawa siłą się nie stanie, aż stopi ciało z ciałem a duszę z duszą.

Och, jak boli!

I mimo wszystko nie wytrzymał Fiodor Sochacz. Baby są bardziej odporne. Szarpnął się bezwiednie, kierowany zwierzęcym, cieleśnym strachem; i zaczął wyciągać pięść z ognia Umowy. Niewiele brakło, a by pięść otworzył - nie pięść, węgiel czarny na skroś po-

przepalany! Niewiele brakło, a by się wyrwał - ale ty mu nie dałaś, Kniahini. Wczepiłaś się niczym matka w jedyne dziecko, które zawisło nad przepaścią, nie pozwoliłaś mu pięści rozluźnić - ale i nie utrzymałaś.

I popęzła łapa Fiedki wstecz.

Ale nie zdołała się uwolnić.

Zatrzymały ją ręka Druca z zaciśniętą w niej piąstką Akulki.

I wtedy ich zobaczyłaś: nagi Rom przywódca, kościsty i rosły, z tych wygów, co to i na starość nie chybają- i dziewczka, nie dziewczka, dziewczica nie dziewczica, chuda z poparzoną skórą, ale z wyzwaniem w oczach: „Wytrzymam!”

Baby nie zmożesz, baby są bardziej wytrzymałe.

Zaczepiły ręce rękę; chcesz się cofnąć, ale zostaniesz!

Płoń, żeby przypieczetować braterstwo!

-Raszelo...wybacz.

I Fiedońka wsunął rękę w ogień aż po ramię.

Żeby było pewne.

Żeby ból bólem poskromić.

A płomienie wzięły i pogasły.

## JTAWKA POD KARTĄ

### ALBO ZEZNANIA JWIADKÓW

*Dusza nasza jak ptak umknęła z sidła ptaszników;*

*Sidło się podarło, a myśmy wolni.*

*Księga Psalmów, Psalm 124*

Krople lekko tańczyły po parapecie.

W prysiadach, i kołem, i iskrami pod bożym słoneczkiem, odciągając uwagę stęsknionych za prawdziwą, nie kalendarzową wiosną ludzi od poważnych spraw.

Co prawda, w tym przypadku wszelkie wysiłki zwrócenia na siebie uwagi przez wiosenną kapelę szły na marne. Pan podpułkownik byli bardzo zajęci; czytali niedawno dostarczony raport o wydarzeniach i załączone do niego protokoły zeznań świadków.

Gdyby tak przyjrzeć się skrycie, każdy by sobie pomyślał - nie inaczej, pan podpułkownik potężnie się nudzą. Grube paluchy, porośnięte ostrym, rudawym włosem leniwie przerzucają papiery, wzrok ślizga się po liniijkach pisma.

Owszem, wszystko prawda, nuda mężczy.

Chandra.

Ale cóż poradzisz - czy może ktoś z uwagą i niecierpliwością czytać takie oto brednie:

„Urtiumow Jermolaj Prokoficz, kupiec drugiej gildii, mieszkaniec wsi Kęs-Precel w powiecie mordwińskim zeznał dobrowolnie i bez przymusu co następuje:

W nocy z 23 na 24 miesiąca marca tego roku, zaraz po północy, do bramy mojego gospodarstwa załomotał Draczew Timofiej, mieszkaniec wsi Werali, prawosławny, zajmujący się myślistwem. Onże Draczew Timofiej, znajdując się w stanie wielkiego wzburzenia wyjaśnił, że stał się mimowolnym świadkiem zabójstwa, które miało miejsce w leśnej chacie, stojącej nieopodal wsi Kęs-Precel w mordwińskim powiecie. Powiadomił mnie, że w chacie tej, do której pomienionego Draczewa Timofieja zawlekli siłą nieznanymi mu osobnikami, doszło do pijaństwa i rozpusty. Skutkiem wspomnianego pijaństwa i rozpusty został zabity mieszkaniec tejże wsi Kęs-Precel, chłop Łukawka Filat, prawosławny. Po zabójstwie w chacie wybuchła bójka, podczas której wzmiankowany Draczew Timofiej uciekł i pobiegnął powiadomić...”

No, jasna sprawa: nie są to słowa kupca! Albo pisarz, albo nadgorliwy naczelnik przesadził i przekształcił zeznania na podobieństwo urzędniczo-kancelaryjnego bełkotu, przyjętego w tym niedźwiedzim barłogu za poprawny.

Pan podpułkownik zmarszczyli gęste, krzaczaste brwi, i przewrócili stronę.

„...zeznał, że we wspomnianej chacie znajdowali się jeszcze: Akulina, niepełnoletnia córka wzmiankowanego Łukawki Filata i troje innych mieszkańców wsi Kęs-Precel płci obojga; męskiej i żeńskiej. Wszyscy troje najwyraźniej byli sterroryzowani przez morderców, którymi -jak się później okazało - byli poszukiwani za rozbój

i zabójstwa Korolek Karp Prochorow, Mostowej Siłantij Agafonow i Łabazczikow Piotr Demianow. Przebywał tam też zbiegły zesłaniec, Dufunia Druc-Wiśniewski, współ z..."

Pan podpułkownik łyknęli herbaty z wysokiej szklanki w srebrnym koszyczku. Przetoczyli ciecz językiem i kiwnęli głową z niezadowolaniem. Czyżby jego czujności nie spodobał się smak herbaty? Treść raportu? A może jeszcze co innego?

I znów szelest strony.

„...uznał za konieczne zwołanie mieszkańców wymienionej uprzednio wsi, żeby wspólnie pospieszyć do rzeczonej chaty w celu zapobieżenia zbrodniom. Około w pół do drugiej w nocy we wspomnianym celu wieś opuściło trzydziestu mniej więcej mieszkańców uzbrojonych..."

Sz-sz-szich-sz...

Przewrócona zostaje kolejna, niedoczytana do końca stronica.

„... miała miejsce strzelanina z broni palnej, gładkolufowej, a także gwintowanej, oraz eteryczne działania, zarówno zabójcze, jak i zwodzące wzrok. Podczas tej strzelaniny ja, Urtiumow Jermolaj Prokoficz zostałem ugodzony śrutem w miękką część ciała. Zabici na śmierć zostali: Podbriuszownikow Andriej..."

Dalsza lektura najwyraźniej mocno zainteresowała pana podpułkownika. Jego czujność przestali leniwie przerzucać strony i teraz jeżyli akuratnie podczasane szczoteczką wąsy, ironicznie unosili lewą brew, a czasami nawet chrząkali, uśmiechając się bezgłośnie. Książ Gandieri, Szałwa Timurazowicz, zachowywali się tak, jakby czytali nie protokół śledczy, a dziarską powieść przygodową - o zuchwałych magach rozbójnikach, pięknych damach i przenikliwych inspektorach śledczych, znających metodę dedukcyjną.

Zresztą, może tak właśnie i było?

Styl meldunku dalej mocno się zmienia. Zeznania pozostałych świadków zapisano słowo w słowo, jak opowiadali niepiśmienni kęs-precelczanie. Czy to pisarz zaczął się lenić i postanowił porzucić kancelaryjny napsuszony styl, czy może dostał w tym względzie surowe polecenie.

„...kazał kupiec pochodnie zapalić, żeby po ciemku mordami ziemi nie orać. Ale my, ludzie nawykli, leśni, nam w ciemności poręcznie. A jak ci z chaty zobaczą te pochodnie - zaczną strzelać i wielu podziurawią. Ja do kupca, a on mnie obsobaczył. >Ty - klnie, aż ziemia się kurczy - morda leśna, mnie się masz słuchać! Szlag by cię trafił!> I kazał pochodnie zapalić".

Pan podpułkownik się uśmiechają. Być może książę Gandieri wyobraził sobie tę „leśną mordę”. Idziesz sobie, idziesz przez las i nagle patrzysz, a tu prosto z drzewa potężna mordą i pięść w figę zwinięta wystaje, mchem porośnięta.

Zabawne.

„... i wyszło na moje. Jak tylko pokazała się chata, tak z miejsca zaczęli do nas walić. Andruczę Podbriusznikowa migiem położyli - prosto w pysk dostał. To my odpowiedzieliśmy na chybił trafił. I nagle - w stodole drzwi na zewnątrz wydeło! Wybiło je i w nas walnęło! Jak Boga kocham, przeleciały ze trzydzieści sążni! Niemego Michajło, co u kupca jest za odźwiernego, nakryły paskudy i całego oblepiły, jakby to nie drzwi były, a błoto! On ryczy, Michajło znaczy, a ja patrzę; wewnątrz stodoły zorze płoną, a z tych zórz wychodzi czwórka... Rękami - no, jak boże gromy, ognie płonące sypią na wszystkie strony, niczym kartacze! A potem -jak nie zawyją, wszyscy razem, nie po ludzku! - i w niebo się wzbili. Do tej pory, jak sobie wspomnę, chętką na żarcie mnie ze strachu opada -jem, aż mnie dusi, a brzuch nowego się domaga.”

„Zeznania myśliwego Sumarokowa Nikołaja Jewgrafowa, mieszkańca wsi Kęs-Precel w mordwińskim powiecie:

Ogłosił więc kupiec Jermiła wszystkim obecnym, że w las trzeba iść, naszych ziomków ratować, a rozbójników w pień wyciąć - całkiem, powiada, już żyć nie można przez tych niemilców! A tym, którzy pójdą, on, kupiec Jermiła długi wszelkie daruje i wódki do woli postawi - coby męstwo ogniem zagrzać.

Tak było.

Byłem winien kupcowi dwa i pół rubla. No i ziomków ratować trzeba, jasna sprawa. Wypiłem więc kupcowej wódeczki raz, potem drugi i poszedłem. Wielu nas poszło, jedni ze strzelbami, a inni z toporami.

Tak było.

A ledwo jedni i drudzy otworzyli ogień, wokół cuda i dziwy wyprawiać się zaczęły; las mętną mgłą zaciągnęło, a w tej mgłę cienie rozmaite krążyły -jak potwory potworne. A drzewa wciąż skrzypią i skrzypią, jakby wiatr górą ciągnął; ale wiatru wcale nie było! Obok jakby ktoś przeszedł - aż chłodem powiało, jak z mogiły. Strach mnie ogarnął! Migiem wytrzeźwiałem, ręce i nogi chodzą aż miło! I popatrz: rozwidnia się, nie widać żadnej mgły - no to my znów rury w łapy i dalej walić!

Tak było.

Naszych pięciu poległo, i trzech zostało rannych; kupiec Jermiła dostał śrutem w zadek - i dobrze mu tak, capowi, niech się po krzakach nie kryje! Z rozbójników żywa noga nie uszła. Filata Łukowkę zabitego znaleźliśmy, pod stodołą, jak to Timoszka powiedział. Marfa i jej córka żyją, ale mowę straciły obie i tylko jak kozy beczą, biedaczki. A zesłańcy, ci z *mażego* plemienia - przepadli jak kamień w wodę. I Fiedka Sochacz, oraz córka niewinnie zabitego Filata też. Czarownicy ich chyba ze sobą porwali, czarodziejskim sposobem.

Tak było."

Kapela przycichła.

Uspokoila się.

Zrobiło się zupełnie cicho, tylko zza okna dobiegały pozbawione wiary w sukces okrzyki jakiegoś woźnicy:

- Wsiadajcie! Wsiadajcie, panie!

A niech sobie krzyczy.

„Zeznania drwała Pontiuchina Ignata Trofimowa, mieszkańca wsi Kęs-Precel w mordwińskim powiecie:

...Wszyscy poszli bić duszogubców. Wziąłem topór i też poszedłem. Flintunię sprzedałem jeszcze w zeszłym roku. Jak przyszedliśmy - duszogubcy strzelać zaczęli. Schowałem się za drzewo. A co to ja, głupi, pod kule się pchać? Niech nasi tamtych wpierw wystrzelają, to pójdę ich bić. Patrzę, idą tamci. Znaczy, ci, czarownicy. I wszystko przez nich widać; ot, sosenka, a tam się kupiec Jermiła w krzakach kryje. Przeżegnałem się - a oni się tylko śmieją i palcami grożą. Ja do topora - a tu ręce mi zaczarowali, nie ręce, a haki żelazne! A ledwo tamci przeszli obok, słyszę-drażę się nasi: >Tutaj! Tutaj!> Poszedłem. Patrzę - duszogubcy nieżywi leżą. A z nimi Filat Łukawka. Postąłem trochę, a potem do domu..."

Pan podpułkownik się uśmiechają.

Pan podpułkownik są zadowoleni. Dlaczego, chciałoby się zapytać? Dlatego, że ze zbójów nikt żywy nie został? Raczej nie, panowie, raczej nie. Czyżby dlatego, że zesłańcom magom recydywistom udało się bezkarnie uciec, obwinąwszy sobie wokół palca zbójów, kmiotów - i na dodatek porwawszy dwie niewinne dusze? Czyżby akurat ta okoliczność wywołuje dobroduszny uśmiech na twarzy jego czujności?!

Brak odpowiedzi...

KSIĘGA DRUGA

**I DODAJ NIEPRAWOŚĆ  
DO NIEPRAWOŚCI ICH..**

## Krąg Czwarty

# JŁONE WIATRY KRYMU

*- Magia dobra jest tylko na odległość rzutu toporem!*

*Opera „Cymeryjczykachwycony”*

*Aria Conana Akwilońskiego*

## DOBÓR KART

Pod nogami cioteczki Demeter stękały ze współzuciem schody.

Rozumie się, że nie były to te same schody, które kiedyś zabawnie skrzypiały pod bosymi, dziewczęcymi piętami; i zupełnie nie te schody wzdychały z zachwytem, kiedy na piętro wchodziła po nich Demeter Andrusaki, pierwsza piękność bałakławska. A już absolutnie inne poręcze pojękiwały ze współzuciem, kiedy opierała się o nie zamężna, brzemienne kobieta - żeby chwilę odetchnąć.

Ach, gdybyż te wszystkie lata można było zamienić na inne - młode, nowe, śpiewające! - równie łatwo, jak się wymieniało te stopnie i poręcze!

Na zapadnięte wargi starej kobiety wypełza uśmiech.

Narzekła na wiek właściwie tylko dla urozmaicenia. Wcale nie miała ochoty na przeistaczanie się w młodzicutką i głupiutką dziewczynę! Tak, święta to prawda! A kto nie wierzy, niech idzie precz.



Cioteczka Demeter lubiła swoje lata; wszystkie razem i każde oddzielnie.

Lubiła postać chwilkę w tym miejscu, na półpiętrze pomiędzy dwoma schodniami. Za plecami pieszczotliwie milczał sad i maleńka winnica, pełna sprężystych wici drogiego gatunku „szaszła”, i wiatr wprawiał w drżenie korony brzoskwiniowych drzewek, a tam, na zewnątrz, nad murkiem z piaskowca, widać było kamienną cembrowinę studni, gdzie gdały o swoich babskich sprawach gospodynie domowe w kraciastych fartuchach.

Może krzyknąć żonie wnuka, młodziutkiej gadatliwej Andromasze, żeby za długo tam nie sterczała?

Zamiast tego cioteczka Demeter odwróciła głowę i spojrzała ku zatoce. Tam, gdzie ogromny, teraz niewidoczny kamienny smok krwio pijca zwieńczony koroną starych ruin przypiął się do wąskiego ujścia - tam nocami płonęła latarnia kordonu celnego. Nieboszczyk mąż, kiedy wychodził zapalić przed snem, zawsze wskazywał na nią dłonią i śmiał się dobrodusznie. - „Pilnują!” - mawiał wesoły Kostia Andrusaki, kiedy jeszcze żył i serdecznie poklepywał żonę po policzkach, jakby dopinając kolejną szmuglerską sztuczkę. A teraz, choć cioteczka Demeter pozostawała we wdowim stanie już siedem lat, uśmiechała się młodzieńczo, patrząc w tę stronę.

Na dole, pod plecionym okapem, starsza córka wdowy piekła byczka na ruszcie - zamknąwszy wylot piecyka glinianą dachówką. Zapach dymu i pieczeni jej nie drażnił. Przeciwnie - tak bardzo wplótł się w ręce, suknie i samo życie cioteczki Demeter, że gdyby znikła nagle ta woń ryby - marynowanej albo wędzonej - kobieta zaczęłaby się niepokoić.

Teraz też zresztą odczuwała niepokój, ale ryba nie miała z nim nic wspólnego.

Powodem wszystkiego był sen. Dzisiejszy, rodzony braciszek wczorajszego i przedwczorajszego. Sen był jaskrawo szmaragdowy i pachniał wcale nie byczkami - a kwiatami, dziwnymi, nieznanymi jej kwiatami; i płonął tam jeszcze ogień Umowy. To akurat jeszcze wcale by cioteczki Demeter nie zdziwiło; do tej pory ilekroć widziała ten płomień, czy we śnie, czy na jawie, nigdy nie odczuła cienia rozdrażnienia. Ale ręce! Ręce przechwycone w jednym ruchu! Dwie pary skrzyżowanych rąk!

Po raz pierwszy w życiu cioteczka Demeter, As Żołędny, na własne oczy zobaczyła „Umowę na Brudersaft”.

A wyrazistość wizji mogła oznaczać tylko jedno: oni są gdzieś tutaj, niedaleko.

Na Krymie.

Obok studni, zmuszając gosposie do przytrzymania na chwilą rozhułanych jęzorów, przeszedł pijany w dym rybak - chochoł,' Ostap Niebijbat'ko. Podniósł ukosem mętny wzrok, i na widok starej kobiety natychmiast wbił spojrzenie pod nogi, jakby bał się przekroczyć niewidzialną granicę. Nie bój się, rybaku-już się potknąłeś, nie ma co się szarpać, jak makrela na haczyku. Przed trzema laty Ostap nieproszony zjawił się w domu cioteczki Demeter i napomknął, że jeżeli zięciowie Andrusaki nie wezmą go do swojej maszoperii" na równych prawach, to on zamelduje komu trzeba, o kim należy.

„O kim?" - zdziwiła się stara kobieta.

Ostap zapalił i wyjaśnił, kogo dokładnie ma na myśli. Chodziło mu o tych obcych, którzy raz w miesiącu zaglądają do domku szacownej wdowy Andrusaki. Na przemytników nie wyglądają; na gości jeszcze mniej; a już do letników w ogóle podobni nie są.

„I co z tego?" - zapytała stara kobieta.

Nic. Po prostu on, Ostap, pójdzie i zamelduje władzom, one zaś już niech zrobią z tymi wiadomościami, co zechcą.

Zamiast udziału na równych prawach w zyskach z połowów, nadmiernie gadatliwy Ostap otrzymał coś zupełnie innego. Cioteczka Demeter, odprowadzając chochoła do wrót, cicho szepnęła mu do ucha rok, dzień i godzinę.

A potem wyjaśniła, że to termin Ostapowej śmierci.

Chochół parsknął śmiechem - o ile starucha nie zęgąła, wychodziło, że ma jeszcze ze dwadzieścia lat z hakiem. Śmiał się tak jeszcze przez tydzień, a potem się spił. Potem pojechał do Sewastopola i kupił sobie zegarek na łańcuszku. Po sto razy dziennie podnosił wieczko, patrzył na cyferblat - i okrągła, opalona twarz Ostapa powlekała się śmiertelną bledością.

Po roku spróbował się zastrzelić ze starej strzelby po dziadku. Kula przeszła mimo, zostawiając bliznę. Później, na oczach całej zało-

\* *Chochół - dawne miano, jakim Rusini obdarzali Ukraińców, z powodu ich skłonności do zmiękczenia rosyjskiego „g” na łagodniejsze „h” (przyj. tłum.)*

" *Maszoperia - zespół rybacki, łowiący ryby i dzielący zyski wedle z góry ustalonego planu.*

gi rybackiej barki rzucił się ze skały u przylądka Ajudahu. Wyciągnęli go i odratowali. Trucizna, którą chochoł ukradł aptekarzowi Iwanowi Kuźmiczowi okazała się jakimś kwaśnym świństwem, po którym dostał tylko sraczki.

Ani razu nie podjął próby wyjaśnienia: powiedziała ciotunia prawdę? Zwiodła go kłamstwem? A może zażartowała?

On nie pytał, a ciotunia nie narzucała się z wyjaśnieniami.

Pokonawszy ostatnią schodnię, kobieta weszła w drzwi drugiego piętra. Usiadłszy na stołeczku pod ścianą przez chwilę odpoczywała, łapiąc oddech. Wszystko szło swojąkoleją- dwaj zięciowie na nabrzeżu łatali sieci i skręcali szpagat na fladry, trzeci zięć - właściciel kawiarni - wspólnie z żoną obsługiwał porannych klientów, w większości letników, a u niej, u Demeter Andrusaki już niedługo powinna się zjawić ostatnia uczennica. Dobra dziewczyna -jeszcze miesiąc, dwa i w Konwencie pójdzie na swoje.

Na uczennice był popyt i zamówienia. Poważne, przez pośredników, przez ludzi samego Ospowatego Miszki; jak należało przy zwracaniu się do samego atutowego Asa. Gospodarz toru wyścigowego w Symferopolu, a potem odescy przemysłowcy prosili, powołując się na Papę Satyrowa; właściciel jałtajskiego domu gry, z tych abrahamitów-reformowanych, którzy zmienili mycki na cylindry i chyba od razu się rodzili w lśniących smokingach.

Cioteczka Demeter na razie żadnemu nie odpowiedziała.

Myślała.

Wybierała.

Naręczonych dla córek nie wybierała z takim rozmysłem i bacznością na wszystko, jak pracę dla swoich uczennic. Mimo wszystko dobrze jednak to urządzono, że zdolności do „eterycznych oddziaływań”, jak je nazywali bezmyślni kuracjusze, nie były dziedziczne. Stara kobieta nie życzyła dzieciom swojego losu. Za nic w świecie.

To było zbędne.

Gdyby nie ten sen. Gdyby jej się śniły zwykłe sny, jakie nawiedzają zwykłych ludzi!

O Umowie na Bruderszaft pośród magiosów, konwentowych magów wedle Prawa, mówiono szeptem. Nikt nie znał prawdziwych następstw tak zuchwałego kroku; nikt o nich nie wiedział i żaden z magów nie chciał podejmować ryzyka. Wszystkich odstraszała nieprzewidywalność następstw takiego postępku. Ta dwoistość, która jest pokrewna szaleństwu i koniec końców do szaleństwa się sprowadza.

A tu jeszcze na domiar wszystkiego...

Kiepsko się zaczął dzisiejszy dzień dla cioteczki Demeter, Żółtego Asa.

## I. FIODOR JOCHACZ

### ALBO JZTUKA WYMAGA OFIAR

*Czekali na mnie jak na deszcz  
i otwierali usta, jak na ochłodę.*

*Księga Hioba*

Na scenie trwał zwykły poranny rozgardiasz i zawierucha.

Tak, moi panowie, właśnie rozgardiasz - ponury i nieunikniony, jak paroksyzmy wstydu i żalu u gimnazjalisty, który całe kieszonkowe wydał na zakup kolekcji pornograficznych pocztówek *Danse de chale\**.

- Gdzie się pchasz! - wrzeszczał tęgi rekwizytor, błyskając oczami wywracanych mistrzowsko oczu. - Bokiem! Bokiem wnoś, bałwanie!

Techniczny, do którego zwrócony był pełen uniesienia monolog rekwizytora, posłusznie przesunął barwny mebel bokiem. Wczoraj wieczorem wystawiali „Króla Lwa”, utwór mieszczanina z Kaługi, pana Szekspira, z którego to spektaklu pozostały nieusunięte dekoracje. Obecnie najbardziej przeszkadzał monumentalny tron, na którym podczas pięciu aktów rozpierał się szalony król, co państwo podzielił pomiędzy trzy córki bliźniaczki, a syna, dziedzica tronu, wysłał pod eskortą na Uniwersytet w Heidelbergu - w rezultacie czego wszyscy zginęli gwałtowną śmiercią, a berło trafiło najpierw w ręce królewskiego kuzyna łajdaka, a po nim przypadło lordowi Fortynbrasowi von Makbet. Małżonka lorda pod koniec sztuki wpadła na pomysł, żeby wlać mężusiowi do ucha wywar z muchomora sromotnika.

Teraz zaś tym tak upragnionym tronem niepodzielnie władał pracownik techniczny, który obracał nim, jak chciał.

\* „*Taniec z szalem*” (franc).

Co tylko potwierdzało świadomość marności ziemskich zaszczytów.

-Bokiem!

Tron na koniec wjechał za kulisy, po drodze omal nie zgniótlszy na placek pomocnika reżysera - młodego człowieka o wymizerowanej twarzy, podobnej barwą do prześcieradła z dwurublowego burdelu. Inspicjent pisnął, odwrócił się i został odsunięty przez karzącą dłoń, która wysunęła się zza kulisy.

Pomiędzy tronem a zakurzoną tkaniną kurtyny pojawił się na scenie chodzący pomnik samego siebie.

Ustawivszy się pośrodku proscenium, obelisk wstrząsnął grzywą nie mytych od niepamiętnych czasów kędziorów, rozłożył ręce, demaskatorsko wytykając wskazujący palec w dal i zadudnił basem:

- O ty, nędzny, mizerny człowieczku! Gdzie mój ćwierciak\*?! Gdzie? Ty bękarcie wielkiej sztuki! Jak długo jeszcze?!

- A idź się prześpij! - dwugłosym chórem rozległ się rozpisany na głosy duet z altanki całkowicie spowitej bluszczem.

I obelisk pokornie się oddalił, przerwawszy tyradę. Nawet znakomity trafik Elpidifor Policajmako nie potrafiłby jednocześnie spierać się z dwoma ojcami założycielami Moskiewskiego Teatru Powszechnego: Władimirem Iwanowiczem Stanisławskim-Danczenką i Konstantinem Siergiejewiczem Niemirowiczem. O tak, ci dwaj byli lwami! Królami sceny! Burzycielami podstaw i fundamentów - którzy ustalili swoją sławę wystawieniem w Marynicy opery „*Cymeryjczyk zachwycony*”, z - wyobraźcie sobie tylko - samym Fiodorem Szaliapinem w roli tytułowej!

- Cóż to za cham! Nieprawdaż, drogi Władimirze Iwanowiczu? - jeden z geniuszy ruszył podbródkiem i utopił wąsy w kanapce z łososiem.

- Ach, niechże pan o nim nawet nie wspomina, najmilszy Konstantinie Siergiejewiczu. My go przecież wyciągnęliśmy z niebytu i -jak to się mówi - z błota w carskie wrota! Gdyby nie my, zapiłby się na śmierć w antrepryzie tego oszusta Baskina, grając do końca życia szlachetnych ojców!

- Właśnie tak, właśnie tak! - nie dopowiedziawszy, co „właśnie tak”, geniusze uśmiechnęli się jeden do drugiego ze zrozumieniem.

*Tu - banknot o nominale 25-rubli.*

Szkoda, że znamienity tragik nie widział tych uśmieszków. Naprawdę szkoda! - co prawda Elpidifor Policejmako zdążył już zapomnieć o krótkiej sprzeczce i o obiecany „ćwierciaku”. Uwagę tragika, który bohatersko walczył z okropnym, można by powiedzieć historycznych rozmiarów kacem, przykuł do siebie techniczny pracownik sceny.

Ten sam.

- Teodor, duszo ty moja! Ty jeden, ty jedynie rozumiesz...

Inspicjent zaryzykował bąknięcie czegoś na temat niesprząniętych dekoracji i wieczornego spektaklu, ale natychmiast przypomniano mu o syfilisie, który poraził obie jego inspicjenckie rodziny - po czym cierpiący okrutne męki tragik powlókł technicznego do swej garderoby.

- Ech, Teodorze! Chlupniem sobie? - z egipskich ciemności, królujących pod stolikiem do charakteryzacji, wyłoniła się napelnioma w połowie karafka z dwiema szklankami.

Fiodor Sochacz posłusznie kiwnął głową i wziął w dłonie dar tragika. Nie zamierzał wcale pić, szczególnie z rana, ale doskonale wiedział, że wielki Elpidifor wcale nie potrzebuje do tego towarzystwa. Upić się tragik potrafił sam, przy czym robił to starannie, oddając się lubemu zajęciu bez reszty. Ale pić w samotności? Do lustra?! Nigdy w życiu.

-Faryzeusze! Otaczają mnie sami faryzeusze, mój przyjacielu! Zawistnicy, gotowi zniszczyć geniusza! Ja im: „Być albo nie być! Pytam was, kanalie?!” - a oni mi takimi świńskimi głosikami: „Ale co też wy, Elpidiforze Kiryłyczu?! A może by tak lulu, paciorek i spać?” Gdzie tam im, karaluchom jednym, zrozumieć cierpienia czystego ducha?! Tylko ty, ty jeden...

Dalszej części Fiodor już nie słuchał, podczas minionego miesiąca nauczył się bowiem na pamięć wylewnych przemówień tragika. Jedno chciałby tylko zrozumieć; czemuż to Policejmako, którego nazwisko na afiszach Moskiewskiego Teatru Powszechnego drukowano największą czcionką i najbardziej wytłuszczonym pismem, zapalał nagłą miłością do bezimiennego i niedawno przyjętego do pracy młodziaka.

Wielka to tajemnica, a nie ma kogo zapytać!

Pytał Kniahinię, ale ta tylko się śmiała...

*Notatki na marginesie*

*Na kacu, strach - ale jeżeli złapać odpowiedni moment, kiedy znamienity tragik zdążył już wlać w siebie pierwszą poranną stopkę wódki, ale nie dobrał się jeszcze do drugiej i zajrzeć mu wtedy w oczy:*

*...bęben.*

*Wielki, huczny. Warstwa pyłu, niczym szary aksamit - na popękany lak barwy bordo, na jeszcze sprężystej, ale zaczynającej się już rozsychać skórze membrany. Stoi w ciemnej komórce, gdzie nikomu nie jest potrzebny; zostawił go dobosz i nie wrócił. Uchlął się, widać. Cyt! Skrzypnęły drzwi, pojawiło się pasmo światła - coraz szersze i szersze. Nareszcie bęben wywłokł z zawilgoconej piwnicy, zetrą zeń pył - / wszyscy wokół zatkają uszy, chroniąc bębenki przez dumnym, wstrząsającym „Bu-uu-um!”.*

*Wróciłem!*

- W twoje ręce! Tobie przekażę, tobie jednemu, Teodorze, duszy mej przyjacielu i druhu! Do pełna, nie pożałuję ani kropelki!

- Ale co przekażesz, Elpidiforze Kryłłowiczu? Sam nie masz ani grosza, ani altyna, biedny jesteś jak mysz cerkiewna.

Tragik wrzucił w gardło drugą porcję wódki. Roześmiał się:

- Głupis, Teodorze! Altyń, grosik... Talent ci przekażę! Talent giganta sceny, znamienitego Policejmako! Jeszcze dziś powiem tym - temu dwugłowemu wężowi! - że biorę cię na naukę! Nie będzie dłużej iskra boża tliła się w tym błocie! Dość przenoszenia tych śmieci zwanych dekoracjami! Czekaj na ciebie scena, Teodorze!

Fiodor ziewnął ukradkiem.

Z przyzwyczajenia przeżegnał gębę - dobrze, że Raszela nie widzi, bo z pewnością by go skłęła.

- Pleciesz, Elpidiforze Kiryłyyczu! Sam popatrz, gdzie mi tam pomiędzy aktorów się pchać?! Ani talentu, ani pamięci! Wstyd jeno i tyle!

- Iście głupiec z ciebie! - tragik obiema rękoma zmierzwił swoją słynną grzywę i natychmiast upodobnił się do Meduzy Gorgońskiej, o której opowiadała Kniahini. - A kto go ma, ten talent! Mamont Dalski? Salvini?! A może ten łzawy dupek, Moczalów?! Nie!!!

-A ty?

-No, chyba że ja, przyjacielu mój! Co w naszym fachu jest najważniejsze, oprócz zamiłowania do mocnych trunków?! Tragiczna postura! Głos jak dzwon! Gest! Ogień w oczach! A w to wszystko natura szczerze cię wyposażyła, uparciuchu jeden! Oby u zmierzchu życia nie przyszło ci żałośnie postękiwać: *Tu l'as voulu, George Dandin'*

- *C'est une maladie*" - wzruszył ramionami Fiodor Sochacz.  
- Elpidiforze Kiryłyczu, nie piłyś tyle z rana... no, tej przeklętej!

Wiedział, co powiedział tragic po francusku i wiedział, co odpowiedział mu on sam. Wiedział i tyle. Ot tak. Tak jak inni wiedzą, że na kaca najlepszy jest sok z kwaszonej kapusty. To wszystko Raszela, Kniehini troskliwa. W takich jak ta chwilach, kiedy pojawiają się znikąd wiedza wyrwała się nagle na zewnątrz, mimo woli i w sposób naturalny, Fiodor czuł zawsze: to ona, Raszela stoi nad jego lewym ramieniem. Gdzie by nie była w rzeczywistości - stoi. Pomaga. Ofiarowuje mu podarki.

I za prawym ramieniem, nieco dalej, ale mimo wszystko obok  
-Druc.

To oni.

Dzięki wam.

I niczego w tym nie ma zadziwiającego.

- Teodorze! Świętości naiwna! Niech cię ucałuję!

Gdyby choć wylewy przyjacielskich uczuć tragika, zawsze kończące się nieodpartą chęcią wzięcia „przyjaciela Teodora” na ucznia, były odrobinę urozmaicone...

Cała droga z zimnego Kęs-Precla na ciepły Krym, wszystkie te dni, tygodnie i miesiące zwały się Fiodorowi w jedną różnobarwną kulę. Jakby garść cukierków na rozgrzanej przez słońce blasze. Wesoło brzmiał gwizd parowozu, koła rażno spierały się jedno z drugim, podskakując na złączach szyn; surowy konduktor zaglądał do przedziału, pytał o bilety i zawsze się uśmiechał, napotkawszy wzrokiem spojrzenie Kniehini.

\* „*Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało!*” - cytata z *Moliera* (franc).

” „*To szaleństwo!*” (franc).



Fiodora konduktor w ogóle nie raczył zauważać.

Z początku czuł urazę, ale potem jakoś do tego przywykł.

Na nic drogi, niczym koraliki, nizały się bezimienne miasta. Fiodor się starał, ale nijak nie mógł zapamiętać, gdzie się zatrzymywali. A może po prostu nie bardzo miał ochotę zapamiętywać? Może i tak. Równomiernie szara codzienność, ustalona z góry droga z narodzin w objęcia śmierci nagle zamieniła się w niespodziewany fajerwerk, tęczy rozbryzg nad strumieniem - hotele, obiady w oberżach i zajazdach, wysokie domy, latarnie, karety, szyldy i ludzie, ludzie, ludzie...

Rozmaici.

Wcześniej nigdy by nie pomyślał, że na ziemi może żyć tylu ludzi.

„Żyjemy jak paniska” - myśl taka wpadała mu od czasu do czasu do głowy. Nie biegamy jak bezgłowa kura po podwórku - tylko szybujemy niczym orły. Gdzie tam do nas Kondratyczowi, gdzie Jermołajowi Prokoficzowi, drobnemu kupczykowi; gdzie nawet ojczulkowi z Borsuków Wielkich! I pewnego, niezbyt pięknego dnia, nagle (zrozumiał: nic podobnego! Prawdziwe „paniska” żyją zupełnie inaczej. Nie nocują w drugorzędnych hotelikach na zapluskwionych łózkach, oddychając kwaśną wonią perskiego proszku, nie dziwią się wywieszkom na kławkach apartamentów: „Wynajem na wesela, bale i zamówione obiady”, nie gapią się z otwartą gębą na gazowe latarnie. Wiedza ta, jak zwykle, pojawiła się sama z siebie, zaraz po iskrze zdziwienia: „Umiem czytać?! Nie, faktycznie umiem!” - i chłopak poczuł rzecz zdumiewającą. On, Fiodor Sochacz - mrówka wobec góry wiedzy, zapragnął stać się mrówką pogrzebaną w tej górze, a z czasem zostać jej częścią.

Stać się górą.

Ale mrówka - gdzież ty, małeństwo? Au! Nie odezwie się więcej.

Właściwie to trzeba by się było bać. Ale strach gdzieś znikł. Dlatego, że nawet gdy zostawał sam - nie, inaczej: sam na sam ze sobą, tym nowym! - Fiodor czuł całym swoim jestestwem, że Raszela jest przy nim. Choćby kazała się nazywać ciocią Różą, albo Rozalią Samuelówną, a o Raszeli, a tym bardziej o Kniadini zapomnieć i nigdy ich nie wspominać. Niechby nawet coraz częściej znikala, doglądając jakichś swoich nie bardzo rozumiałych spraw, niech go, głupiego Fiodora, niczego nie uczy; niech go wysyła na cały dzień, by się powłóczył po mieście, hojnie sypnąwszy w garść drobniaki - mimo wszystko jest tutaj.

Za lewym ramieniem.

W razie czego podtrzymaj i wesprzy.

Przecież wężasi stojkowi też chłopaka nie zauważali, jak tamci konduktorzy.

A tak w ogóle, Druc z wredną Akulką długo podróżowali razem ze swoimi towarzyszami ucieczki, to rozplywali się w gwarze i tłoku, po to tylko, by niespodzianie pojawić się tuż obok. Fiodor nawet nie nadążał ze spostrzeganiem, kiedy i gdzie znikali oraz kiedy i skąd się pojawiali. Poszli do bufetu po pasztety, a wrócili trzy stacje dalej, bez pasztetów. Ale zawsze i wszędzie, doskonale, wyraźnie i mocno odczuwano się ich obecność; kiedy obejrząwszy się za prawe ramię, Fiodor nie widział Roma, to zaraz zaczynało mu burczeć w brzuchu. A Kniadini się denerwowała, paliła raz za razem i natychmiast się uspokajała, kiedy brzuch Fiodora oznajmiał mu: towarzysze są blisko.

Kiedy Fiodor zapytał, czemu tak się dzieje, Kniadini wykręciła I się powołaniem na idiotyczny Bruderszaft. Co to takiego ów „Bruderszaft”, chłopak już wiedział. Widywał to przy okazji rozmaitych popijaw: ludzie się obejmują, piją wino, a potem się całują.

Jasna sprawa, że Kniadini nie chce o tym mówić. Wykręca się I od jasnej odpowiedzi. On, Fiodor Sochacz, choć z Drucelem wymieniał uścisk dłoni - w tym strasznym śnie o ogniu - ale z całowaniem Rom I taboryta się nie pchał.

I dobrze, bo natychmiast dostałby w mordę.

Jak tamten piskliwy fircyk w miasteczku bez nazwy, kiedy Ra- I szela chciała Fiodora zapoznać z „bohema”.

Jedynym miastem, które Fiodor zapamiętał z nazwy był Char- 3 ków. I to tylko z jednego powodu: trafili tu latem i cały miesiąc mieszkali przy charkowskim burdelu, na ulicy Kantorowej. Porozmawiający z szefową, grubym babencuszem o imieniu Zosia, Kniadini zatrudniła się jako księgowa, a Fiodora najęli w dzień „do wszystkiego”, a w nocy jako wykidajkę.

Nawet mu się to spodobało.

Wesoło było.

Gdyby tylko nie te dziewczyny, które lgnęły do chłopaka jak... I Jak muchy do miodu. Jak tragik Policejmako. Jak ten fircyk z „bohemy”. Jak wielu innych przypadkowych nieznanym po drodze. Gdy i tylko chłopak ją zaczynał wypytywać, o co im wszystkim chodzi, j Kniadini zawsze się śmiała, a w jej ciemnych oczach pojawiały się ] diabelskie ogniki.

„To dlatego, że ty za lewym ramieniem, a Druc za prawym?”  
- dopytywał się Fiodor.

Tak, śmieje się.

Dlatego, śmieje się.

Druc za prawym, a ja za lewym, śmieje się.

Cierp, Kozacze, atamanem będziesz.

Fiodor cierpiał. Słuchał zwierzeń panienek, które rankami - nieuczesane, w pomiętych koszulkach, ze spuchniętymi po wczorajszych wyczynach twarzami - dzieliły się z nim wstydliwymi sekretami. Biegał po cukierki i solone ogóreczki, co której do smaku. Pędził na trzy wiatry kochasiów, żądających od dziwek pieniędzy na wypitkę. Odbierał kapelusze i laseczki od gości; a najbardziej kłopotliwym i skandalizującym radził uprzejmie, żeby sobie poszli gdzie indziej. A oni odchodzili. Raz tylko musiał wyrzucić na bruk grubego Niemca - nauczyciela gimnazjalnego, który chciał, żeby wybrana dziewczynka zrobiła mu... Fiodor nie bardzo rozumiał, czego chciało Niemczysko, ale mu powiedziano, że było to absolutnie niemożliwe. Niemożliwe z punktu widzenia szefowej Zosi, niemożliwe wedle rozeznania Kniahini, a już panienki - jak jedna kwiczały wściekle i groziły, że przygotują Teutonowi zawodowy podarunek - zarażągo syfilisem.

Ale poza tym - cisza i spokój.

Szkoda, że w pierwszych dniach czerwca Kniahini zjawiała się wzburzona, bez czapki i kazała się zrywać. Po dwóch dniach oboje już wchodzili w skład trupy Moskiewskiego Teatru Powszechnego, jadącej na gościnne występy na Krym. Kniahinię wpisali do drugiego składu, bez wymieniając jej nazwisk na afiszach i prawa do benefisów, a Fiodora przyjęto na fizycznego - pomocnika inspicjenta.

Teatr spodobał się chłopakowi nie mniej niż burdel - zresztą podobieństwo pomiędzy jednym i drugim było uderzające.

Rankami - ospałe nieróbstwo, pod wieczór - burzliwa, nierzezywista gra w życie; nocami - największy ruch.

I ponownie ranek.

I tak dzień i noc, bez przerwy.

Czasami mu się wydawało, że Kęs-Precel był po prostu drzemką bez żadnych snów.

I bez nadziei na przebudzenie.

-.. panie Policjemako! Elpidiforze Kryłłowiczu!

Przenikliwy wrzask wytrącił Fiodora z zadumy, w którą wpędził chłopaka monotony niczym stuk deszczu na parapecie monolog tragika. Obejrząwszy się spostrzegł w drzwiach garderoby pomocnika reżysera - tego samego bardzo młodego człowieka, który po bliższym przyjrzeniu mu się wyglądał ani młodo, ani staro.

Imienia i nazwiska pomocnika zapamiętać mu się nie udawało, ale też i nikt inny z zespołu Moskiewskiego Powszechnego, włączając ojców-założycieli, nie nazywał go inaczej jak Iwanow-siódmy.

W oczy i poza oczami.

Dlaczego wszyscy się przy tym uśmiechali, Fiodor nie wiedział.

- Panie Policjemako! - Lakierowana skóra na policzkach pomocnika naciągnęła się i popękała w sieć czerwonych zmarszczek. - Mówiliście, że zostały wam kopie meldunków cenzorskich?

- Precz! - odpowiedział mu władczy gest, będący jednocześnie odstawieniem pustej stopki po wódce.

Pomocnik reżysera nerwowo wzruszył ramionami.

- No, jak sobie chcecie. Ale *oni* się domagają! Bileter zameldował, że na dzisiejszym spektaklu zauważono antreprenera\* Skłodowskiego, a także znanego wam Gordona Krega w towarzystwie samego Sawy Mamontowa! Możecie sobie wyobrazić, żeby takie asy zjawiały się u nas bez przyczyny? Boja - nie!

Tragik natychmiast padł na czworaki i odzyskawszy precyzję ruchów, popelzł w ką, gdzie zaczął przeglądać podróżny sakwojaż. Poleciały w ką pomięte krawaty, spinki do mankietów, fajki; pod nogi Fiodora frunęła paczka tabaki. Poszukiwania zakończył wstrząsający fundamentami teatru okrzyk:

- Spełniło się, druhowie!

Wyciągnięta przez Elpidifora Kryłłowicza z przepastnych głębin sakwojażu, wytarta na zgięciach kartka papieru, wyfrunęła niczym motylek i legła Fiodorowi na kolanie.

Rozwinęła się sama.

„Stwierdza się niniejszym - machinalnie przeczytał Fiodor- że powodzenie benefisu «Każń bezbożnika», utworu pana Brave, z ko-

\* *Antreprener - właściciel teatru, cyrku, wesołego miasteczka i ogólnie przedsiębiorstwa rozrywkowego.*

stiumami od I w. do XIX w., zostało wywołane całkowicie naturalnymi przyczynami. Zaprzysiężeni eksperci nie odkryli żadnych śladów działań eterycznych, na czym protokół zakończono i podpisano".

Niżej widać się niewyraźny podpis z zakrętasami.

Jeszcze niżej - pieczęć.

Chwyciwszy drogocennego motylka za skrzydełka - ostrożnie, żeby nie uронić pyłku słów! - pomocnik reżysera co tchu w piersiach kopnął się z powrotem. Po drodze zdążył się jeszcze popisać zręcznością prestidigitatora i nalał sobie stopkę z karafki.

Dopijał już w biegu.

- A! Ciężko im, zawistnikom, stawić czoła okrutnej dla nich prawdzie! - tragicznie wylazł z kąta pognieciony i spocony. Jego kędziory, obsypane pyłem, poruszały się groźnie niczym kłębowisko węzów.

- Sam popatrz, mój przyjacielu Fiodorze: tryumf!

- Elpidiforze Kiryłowiczu, o co mu chodziło? - Fiodor, który niczego nie rozumiał z niedawnej scenki, zamiast sypnąć oklaskami, zadał brutalne pytanie.

I stał się cud! Znakomity Policjemako, gigant sceny i geniusz ducha, nagle przeistoczył się w cichego, zmęczonego człowieka, który wiek średni dawno już miał za sobą. Powiódł dłonią po twarzy, przepędzając kaca z nalanych krwią oczek.

I westchnął - zupełnie zwyczajnie.

-Ech, Fied'ka...

Nabrał tchu w piersi, jakby chciał ryknąć, ale nie ryknął.

Zupełnie normalnym głosem stwierdził:

- Głupiś jeszcze. Młodyś. Podrośniesz, pokręcisz się na pomostach - zrozumiesz.

-Ale co zrozumiem?

- Nic. Dadzą ci, na przykład, benefis w mieście Orzeł, a ty weźmiesz i zagrzmisz, aż echa pójdą po okolicy. Krytycy pieją zachwytem, dumna publika wali drzwiami i oknami, za miejsce na parterze płacą jak za zboże... Na spektakle przychodzi władza z rodzinami, i gapi się przez lornetki i szkiełka. Rozmaite panie, panny jak kwiatuszki... prawie wieszają się z zachwytem. Czasami nawet się któraś powiesi, albo tam, powiedzmy, trutki na szczury nałyka z żądy romantycznej - i tak bywa. Wyjdiesz na miasto - każdy za honor sobie poczytuje, jeżeli zechcesz szklaneczkę z nim wypić. I to nie „monopolówki"! Szustowskim koniakiem cię poją! Dobrze, prawda?

Fiodor patrzył na nowego, nieznanego sobie tragika.

Kiwał głową, jakby chciał przytaknąć: pewnie, że dobrze.

Co może być lepszego - publika, damy... szklaneczki.

-I dlatego mówię, żeś głupi. Z pozoru to nawet dobrze. A potem pojawia się za kulisami taki oto spryciarz! - Gruby palec tragika drgnął tak jakoś i zgiął się, że znakomicie oddało to postawę Iwana siódmego. -I zamelduje: widziałem na sali znanych mistrzów, dwóch z Moskwy i jednego z Kijowskiego Konserwatorium. A zdarza się, że i zagraniczne ptaszki na naszej grzędzie siadają! I co, też powiesz: dobrze?!

Fiodorowi nie wiadomo dlaczego, zrobiło się zimno.

- Tak, lepiej już nic nie mów. W rzeczy samej, potrzebne to takiemu maestro jednemu z drugim, żeby jeździć, gdzie diabeł mówi dobranoc na obce spektakle. Akurat jesteś im potrzebny! Jeżdżą na koszt skarbu! W państwowej sprawie! Co oznacza, że naczelnik tu-tejszej policji raczył się zaniepokoić: czy przypadkiem powodem szalonego powodzenia spektaklów nie są działania eteryczne? Czy za kulisami nie siedzi kilku magów przestępców, co potrafią publice oczy zamydlić, narzucić sceniczną osobowość jakiemuś aktorskiemu beztalenciu? Zachwyty wywołać w duszy?

„Trzeba będzie uprzedzić Kniahinie! - zgnęło jaskrawym ogniem. -Znaczą miejsca, nas nie ominą! Czy tylko po to do trupy ją przyjęli? A mnie nie powiedziała, czy co? No tak, wielce ty jesteś ważny, Fied'ka, żeby ci o wszystkim meldować!"

Niby prawda, a jednak przykreść.

Tragik tymczasem przeszedł się po garderobie i obie dłonie zatopił w swej grzywie.

-I zaczęło się tajne sprawdzanie, mój przyjacielu Fiodorze! Zaprzysiężeni konsultanci przyjrzą się twojemu benefisowi, a potem zameldują w raporcie, ale gdzieś tak dopiero po tygodniu, żeby - nawet choćby i był jakiś wpływ - ich emocje zdążyły wystygnąć. Wszystko porozbierają na kawałki: twoją grę, kunszt reżysera, jakość kostiumów i dekoracji - czy w istocie tak przyciągają uwagę? Czy może to jakieś śmieci i stare rupiecie? No, módl się wtedy, żeby uznali, że wszystko w porządku! A cenzorscy ludzie szperają i węszą już na mieście: dobra była kampania reklamowa? Postarał się antreprenier? Autor sztuki? Reżyser? Aktor-beneficjent? Czy dawali koncerty na cele dobroczynne?

Policejmako westchnął głośno, ponownie nabierając tchu w płuca.

I łknął prosto z karafki.

- Jak dadzą ci cenzorskie zaświadczenie o „naturalnych przyczynach sukcesu i powodzenia”, wtedy jesteś carskim kumem i swatem ministra! Panisko z ciebie całą gębą! Pij koniak i choćby doprowadzaj damy do szaleństwa! A jak nie dadzą...

-Co wtedy, Elpidiforze Kiryłowiczu?

- Jak to, co? Machnie główny cenzor pisemko i twoją sprawą zajmą się żandarmi, te gończe psy! Zjawią się, a jakże! Najpierw incognito, żeby „śląd” wywęszyć. Od razu weselej się zrobi... Zrozumiałeś, przyjacielu mój Fiodorze?

Fiodor niewiele zrozumiał, ale w dalszych pytaniach mu przeszkodzono.

- Fied'ka! - w drzwiach garderoby znów, niczym diabeł z pudełka, pojawił się pomocnik reżysera. - Fied'ka, bałwanie jeden! Leć na dół, kierownictwo cię wzywa! Zaniesiesz papiery do biura, do cenzorów!

Śniadanie w altanie dość nieoczekiwanie zamieniło się w lekcję kaligrafii.

- Piszcie, najmilszy Konstantinie Siergiejewiczu! -jeden z geniuszy wstał, nerwowo poszczypując bródkę, znaną w kręgach teatralnych nie mniej niż pyszne wąsy jego towarzysza i partnera. -Znaczy, tak: „Naczelnik cenzorskiego kolegium miasta Sewastopola, radca stanu Buszwiec Iwan Piotrowicz”. Napisał pan?

Adresat zwrotu odpowiedział kiwnięciem głowy.

- Teraz niżej. „Wasza wscibskość! Głęboko przekonani, że niejednokrotnie miał pan do czynienia z próbami obrzucania błotem oskarżeń uczciwych aktorskich nazwisk, żywimy szczerą nadzieję, że wyznaczona przez waszą wscibskość weryfikacja przeprowadzana jest skrupulatnie i z przestrzeganiem litery prawa”.

- L-litery p-prawa... - pióro skrzypnęło jakoś i niewiele brakło, a na papierze wylądowałby kleks.

- „Dlatego też, oddając zasłużone honory zdolnościom i umiejętnościom waszej wscibskości w zakresie ujawniania i zbierania dowodów, pozwalamy sobie przewencyjnie przesłać waszej wscibskości niezbędne dla weryfikacji dokumenty (w załączeniu). Dodamy tylko, że sztuki z naszego repertuaru napisali wyłącznie autorzy cieszący się światowym uznaniem i znający swój fach, a co się tyczy sławy

Moskiewskiego Teatru Powszechnego, ściągającej publikę na przedstawienia, o tym nawet pisać nie warto..."

- Sztu-uki... n-nie warto...

- „Pozostajemy szczerze oddani waszej... załączamy wejściówki do końca naszych występów... kierownictwo Moskiewskiego..."  
No, daj, podpiszmy się. Czekać, nie składać, niech podeschnie!

Po chwili Fiodorowi wręczono pismo razem z wieloma innymi papierami. Zadanie było proste - skoczyć na Nabrzeże i przekazać papiery do kolegium cenzorskim.

- Precz! - w duecie, ale tym razem unisono, polecili chłopakowi geniusze.

I Fiodor poszedł precz.

## II. AZA-AKULINA

### ALBO I JA TAK POTRAFIĘ!

*Oto, jak dzikie osły na pustyni  
Wychodzą do swojej żmudnej pracy,  
szukając żywności; na stepie chleba  
dla swoich dzieci*

*Księga Hioba*

Ech, ten przekłety pył. Mam go już dość po same uszy. U nas w Kęs-Preclu leśne ścieżynki igliwiem są przyprószone, a tu nic, tylko pył! Na drogach i progach, na podwórkach i w zębach skrzypi, jakbyś się szkła mielonego najadła. Nawet drzewa jakieś takie zakurzone. Drzewa? Ogryzki jakieś powykrzywiane!

Las, mówią.

A mnie śmiech bierze.

Czemu się śmiejesz? - pytają.

Boście prawdziwego lasu nie widzieli! - odpowiadam.

A oni się obrażają. Bo głupi.



W ogóle to grzech byłoby się skarżyć na los - dobrze tu, na Krymie. Słońce grzeje jak szalone. Z początku strach mnie brał: spalił mnie żywcem! Ale przywykłam. Nawet mi się spodobało. Opaliłam się, jak prawdziwa Romka. Z nosa mi skóra oblażała, a teraz już nie oblaży.

Przepaliło ją na skroś.

Niebo -jak ścierką wytarte; nawet nie błękitne, ale jakieś takie wyblakłe. Też się z początku dziwiłam. Nitki sięjakieś po nim ciągną, niby to obłoki.

A góry?

A morze?!

Sto lat bym się w wodzie moczyła! Niechby mi ogon wyrósł, śliski, zielony, jak u rusalki. Nie, lepiej bez ogona. Popękałoby ze śmiechu.

Z ogonem byłoby źle.

A tutejsze sady? W życiu niczego takiego nie jadłam, nie widziałam i nawet nie wiedziałam, że takie owoce bywają! Cała nieprzeliczona masa granatów; te... jakże im... figi! Pęknie taka na pół, miękisz ziarnisty z niej się wylewa... no, cudo cudem! O gruszkach i jabłkach, brzoskwiniach i pomarańczach, o dyniach i arbuzach, i o winogronach nie ma co mówić! Jak zacznę te wszystkie pyszności pchać w gębę, to skończyć nie umiem!

Nie mogę już, a pcham...

I ludzie tu inni. Z nosami jak jatagany, opaleni, mówią dziwnie i dziwacznie się ubierają. Zresztą sama też jestem teraz piękna i dziwna! Kobiety z taboru wyszukały mi ubrań na zmianę - patrzeć i podziwiać! Suknie szerokie, z fałdami i falbankami - i niejedna, a trzy! Szkarłatna, zielona jak sałata i złociutka w plamki. Bluzka lazururowa, z atłasu, wyszywana barwną taśmą; na piersi cekiny dźwięczą przy każdym ruchu.

**P**Nie dziewczyna - a tęcza!  
Dali mi jeszcze chustkę piękną, w kwiaty i ptaszki, choć nie lubię jej nosić. Gorąco w niej. Włosy mi od tego pojaśniały. Śmieszne: włosyjak len, a sama smagła, że hej! Kobiety Romów są bardziej ode mnie czarne, ale tak im się już od wieków należy. Może poproszę Leile, żeby nauczyła mnie czernić włosy? Będęjak indyk.

Nie podobają mi się też ich kolczyki. Bardzo wielkie. Tylko patrzeć, jak ucho się pod czymś takim urwie! Wujek Druc obiecał, że mi

kupi inne, małe, takie jak noszą miejskie panny. Oj, znaczy, on nie jest już Drucem! I nie jest wujkiem! Daroca, Iwan Daroca! Kazał tak się nazywać, żeby żandarmi nas nie zwęszyli - przecież jesteśmy teraz zbiegami jak się patrzy!

A ja go mimo wszystko po staremu Drucem nazywam. Dla siebie, oczywiście. Druc i tylko Druc, a jak raz spróbowałam na głos, niby że zapomniałam, nie wyszło. Wargi same wymówiły:

- Ej, Daroca, posłuchaj!

Mówię wam wyraźnie, że to on takie zakłęcie rzucił, żeby się zabezpieczyć. No, dobrze, niech mu będzie. Szkoda czegoś innego: nic a nic mnie nie uczy! Cały czas go wypytuję: kiedy mnie wróżb i czarów zaczniesz uczyć? A on wszystko w śmiech obraca - do wesela zdążę!

I tylko pieśni rozpustne śpiewa: „Ej, ma dziewczka płaskie brzuchoch! Do wesela ją nadmuchar!”

No to mu wczoraj palnęłam wprost: „Jutro wezmę i wyjdę za mąż! U was w taborze to sprawa prosta: pobierają się przy ognisku! I zobaczymy, jak swojego słowa dotrzymujesz!”

Omiał się swoimi żartami nie udławił...

- Ej, Aza, dość liczenia wron w głowie! Pora iść!

Aza - to ja. Tak mnie nazwali w taborze. Nie szkodzi, podoba mi się nawet. Ach, Aza, pocałuj zza wachlarza! Wtedy, jak jechaliśmy pociągiem, ale takim, w którym sieje i śpi, a niczego innego do roboty nie ma - Raszelka nam bajki rozmaite opowiadała. Wśród innych była i bajka o rybie zębatej, takiej samej jak ja\*. Taka rybka może i człowieka zjeść na żywca.

Okropna - aż strach!

Znaczy co, nasz pop nadał mi imię rybiszona ludojada? Akulina, akula - nie, lepiej już Azą będę!

- Idę, idę!

I znów: kurzy się droga pod sandałowymi drzewami, pali słońce z wyblakłych niebios, a z lewej, z prawej, z przodu i z tyłu szeleszczą trawami i falują szarozielonym morzem krymskie stopy.

Pachnie piołunem.

\* *Po rosyjsku rekin, to „akula”.*

Nigdy wcześniej nie widziałam takich przestrzeni! U nas nic, tylko lasy i lasy, a zza drzew świata nie widać. A tu człowiek się czuje, jakby tkwił pośrodku ogromnej patelni. Niby piekło i niby raj. O, krawędzie patelni się wyginają- góry. Długa, niebieskawa, nazywa się Czwartek. Nie, nie Czwartek - Czatyr-Dag. A oto i Aju-Dag -po naszymu Niedźwiedź-Góra. Tyle że nic a nic do niedźwiedzia nie jest podobna, a na niedźwiedzie to ja się napatrzyłam! A ta z lewej... A co tam, Garbata i tyle, i bez tego głowa mi od nowych słówek puchnie!

A oto, przed nami siolo się pokazało. Przybyliśmy na miejsce.

Miejscowi ludkowie domy z kamienia pobudowane mają, nawet ostatnia gołota. Wujek Druc powiedział, że to z braku drewna. Studnie też kamieniami wykładają. I płoty. Żółty, wesoly wapień z muszlamami. Pewnego razu mu się przyjrzałam - z maleńkich muszelek pozlepiany! Ile ich tutaj? Takiej liczby z pewnością na świecie nie ma!

- Aza, ocknij się! Jesteśmy w Gruszewce!

Gruszewka się wieś nazywa, ale nie wiedzieć czemu same brzośkwynie tu rosną. Gałęzie przez murki się zwieszają i niemal się łamią od ciężaru owoców. Wprost grzech ich nie rwać! Dziesięć, albo i dwadzieścia!

Romki patrzą na mnie z ukosa i uśmiechają się ze zrozumieniem: jakby mówiły sobie: o, dorwała się sierotka do skarbu! Dzieciarnia się zbiegła: i mnie zerwij, i mnie! Zerwę, zerwę, a co mi szkodzi? Tym bardziej, że to nie moje!

Dobra, starczy, bo gospodarz się wścieknie.

Idziemy dalej.

Zaraz się zacznie zwykła robota: chodzić po podwórkach i prostacków nabierać. Temu powróżyć, z tego urok zdjąć, tamtemu zęby zamówić, a tymczasem maleńki Jefimek kurczaka w rozgardiaszu uca-pi. Z początku było wstyd - czułam się, jakbyśmy byli żebrakami, a po trosze i złodziejami. I wiecie, bałam się... A nuż gospodarze psy spuszczą z łańcuchów? Albo kijem przechrzczą? A może i do urzędnika powłoką?

A potem ciekawość wzięła we mnie górę. Stoi chłop jak byk, z nogi na nogę przestępuje, papieroska popala - i żeby choć przegnał na cztery wiatry albo sklął serdecznie! Atu... od słowa do słowa, już do kieszeni sięgnął i pieniążki wyciąga, i nie miedziaki złamane, ale grzywniaki; a potem jeszcze się cieszy, jakie mu to szczęście przepowiedziałas, i przed jaką to biedą go uchroniłaś. Nie bez powodu wu-

jek Druc „kmiotkami” takich nazywa. Kmioty z nich i tyle! Katarina i Leila kręcą nimi jak dzieciakami! Tu na litość biorą, tam szczęście ogromne wróżą, a jeszcze gdzie indziej złym urokiem postraszą. Pół roku temu sama bym się dała nabrać!

Ostatni grosz bym dała, żeby się odczepiły.

Tyle, że teraz sama jestem mądra i niedługo też tak będę umiała. Potrafię już trochę wróżyć i tańczyć, trzęsąc ramionami, i...

- O proszę, kolejni goście do Wadiuchy! O wilku mowa, romskie plemię! Poczuli zarobek!

Czapa. Z daszkiem. Kolor taki sam, jaki ma u nas woda w Psim Trzęsawisku na wiosnę. Nasunięta na same oczy, pognieciona i z załamany daszkiem.

Spod czapy sterczy nochal. Długi, bulwiasty, z nozdrzami pełnymi kłaków.

Zionie wódą.

Tfu!

Chłopina kiepsko stoi na nogach. Strasznie nim kolebie. Zupełnie jak moim tatką nieboszczykiem, kiedy - bywało - narąbał się siwuchą w niedzielę. Chłopina ma taką samą błotnistą barwę koszulkę bez naramienników - i stoi boso!

To, że jest bez portek, w samych tylko kalesonach z tasiemkami, jakoś mnie nie dziwiło.

- A Wadiucha, sokolik nasz jasny, już się nas wprost nie mógł doczekać! - natychmiast zaciągnęła mądrala-Leila. Usłyszała imię tego Wadiuchy przed chwilą, a taką minę zrobiła, jakby razem krowy pasali!

Sama bym tak chciała: żeby umieć wyczuć pismo nosem!

- Jednemu Wadiucha, druh serdeczny, a dla drugiego Wadim Geog...Gerog...Georgicz! Zlecieliście się, kruki?! Popić i pojeść za darmochę?! Jak się człek po gamni... omni... amnestii wrócił-od razu się zjawili, nawet kurz nie zdążył opaść. A wy gdzie? Gdzie?

Chłopina bezsilnie machnął ręką. A pijaczyna skierował się za ruchem ręki do najbliższego płotu, gdzie natychmiast przysiadł. Najwyraźniej zmordował się witaniem Wadiuchy.

Druha swego serdecznego.

- To nie... - oznajmił chłopina, daremnie starając się ułożyć palce w figę. - Wadiucha Gagłojew, to wiecie...

I zachrapał, wetknąwszy podbródek w nie do końca złożoną w figę pięść.

- Świętuje człowiek - Katarina błysnęła w uśmiechu bielą zębów i mrugnęła do mnie znacząco. - Aj, Aza, aj, szmaragdowa! Czemuż sobie nie podjąć, jeżeli kolejny Pokutnik stanął przed Sądem, za nasze ciężkie grzechy? My teraz wszyscy jak te gołąbki czyste - po to jest amnestia. Wszedł człowiek, hula i wszystkich ugaszcza. A my co, przyjaciele, nie ludzie jesteśmy? Nie powitamy wracającego do nas Wadima, syna Georgija?

Święto - to wspaniale! Podczas święta Rom zawsze znajdzie dla siebie zabawę i pożytek. A ja święta i bez powodu lubię-bo wesoło! Tańczy lubię! Piosenki śpiewać! Za stołem siedzieć, dopóki się nie utrubimy jak ten - utyłany w błocie.

Tyle, że wcale nie chciało mi się tam iść. Nie chciało mi się -i tyle!

Ale zmilczałam. Poszłam - bo by się ze mnie śmiali.

I głuchy by usłyszał, na którym podwórku wyprawili zabawę. Szukać nie było trzeba: wrota stały otworem, wchodzi, kto chcesz!

Podwórce - i wcale niemałe! - całutkie żerdziami przykryte. Żerdzie spowił winograd kipiela zieleń, z której zwieszają się w dół czarne grona; a pod łożami stół wystawiony - ale długi - przez całe podwórce aż do ganka! Za stołem ludzie się bawią; ktoś się tam już puścił w taniec z przysiadami pod dźwięk bębenków i piszczałek; na pierwszym miejscu gospodarz siedzi - widać, że to sam Gagłojew Wadim Georgiewicz - uśmiech od ucha do ucha, jasne oczy ma chytrze zmrużone, okrągła twarz pełna piegów. Włosy -jakby mu łeb smołą oblepili; Tatar nie Tatar, Grek nie Grek, chochoł nie chochoł (napatrzyłam się już na rozmaitych); ale od razu widać - gospodarz.

I widać, że należy do ludzi ostrożnych. Na ręce ma niebieskawy tatuaż, tylko stąd nie da się zobaczyć, jaki. O tych znakach igłami klutych opowiadał mi już wujek Druc.

- Pokój i szczęście waszemu domowi, niechaj biedy bokiem was mijają, a nieszczęścia w ogóle zapomną o waszej chacie! - Leila i Katarina idą wprost do gospodarza, ja idę za nimi, a dzieci już się kręcą pomiędzy gośćmi.

Nareszcie się chyba nażrąpo same gardła.

- Widzę, dom urzędowy został za wami, oby go pioruny podpa-  
liły; tyś teraz Wadiusza-rubin, Wadiusza-szafir - wolny ptak! Ra-  
dość czerwona zalewa ci serce - i tak już będzie po wieki wieków,  
amen! Nie przyjdzie już na cię smutek żarłoczny, fart i szczęście ci  
świecą, za serce twoje dobre i szczodre, za zuchwałość mołojecką!  
I Zora, twój ojciec, patrzy z niebios na syna i nacieszyć się nie może!

Widzisz, jak mydlą oczy... i ja bym tak chciała umieć!

- No, dziękuję, krasawice, za takie słowa! - gospodarzowi po-  
chlebstwa poszły w smak. - Widzisz je, o przeszłym od samego pro-  
gu dobrze powiedziały, ale znam ja was, romskie plemię! Może i na  
przyszłe powrózycie?

- A jakże nie powróżyć, Wadienka, kiedy dobry człowiek prosi?  
Daj rączkę, panie mój, samą prawdę powiem.

- Potem, potem, krasawice! Siadajcie za stołem i częstujcie się  
- grzech ludzi trzymać o pustym brzuchu! Wy z jakiego taboru? Kto  
jest u was wodzem?

'- Nasz wódz ma kieszenie większe od kurtki! - udało mi się  
wtrącić; nic gorszego, niż siedzieć, słuchać i milczeć. - O baronie  
Cziamba słyszałeś?

- Słysza-a-alem! - przedrzeźnia mnie chwacki Wadiucha, aleja  
się nie obrażam. - Przecież my z Cziambą na jarmarkach morze wina  
razem wypiliśmy! A poprzedniego roku... no, ale nie o tym mowa!  
Wróćcie do taboru, pokłońcie się baronowi. Przekażcie mu, że Wa-  
diucha Skoworodko z kicia już wyszedł; niech w gości przychodzi,  
jak mu gdzie w pobliżu droga wypadnie. A na razie - wszyscy do  
stołu! Jesteście moimi gośćmi! - I nagle wbił we mnie uważne spoj-  
rzenie. - A ty, ptaszku-pręgołaszku, coś za jedna? Przystałaś do Ro-  
mów? Bogomołka? Widzisz ją, bogomołka-babidołka!

- Taka będę, jaka byłam, kiedy mama mnie rodziła!

Samo tak się jakoś złożyło.

- Co, powiesz, że też jesteś Romką?

- Nie, mordo błotna i niemyta! Nie widzisz, brylancie złociutki?

- Widzę, widzę atuty, blotki... - cały czas patrzy na mnie z uko-  
sa, po ptasiemu. Jakby pryszcz zobaczył w miejscu, co przedtem czy-  
ste było.

Ale się gapi! Aż mrówki po skórze łązić mi zaczynają!

- Dobrze, Romko jasnobrewa, ty mi potem powrózysz. A teraz,  
jedz na zdrowie! - Wadiucha Skoworodko zdjął ze mnie swoje spoj-  
rzenie. Szczerzy zęby, a ja sobie myślę - dobrze go nazwali! Gębę ma

plaskając patelnia\*! - Ej, Miszka, poderwij tyłek, przyjmij gościa! Ale uważaj, nie pchaj się do dziewczki jak pies! Znam ja ciebie!

- Ależ co wy, Wadimie Georgiczu! Ani mi to w głowie!

I do mnie:

- Siadaj, nie krępuj się; darmowy poczęstunek każdemu w smak! Chcesz pilawu? A tu sandacz pieczony - paluszki lizać. Jak masz na imię?

- Aza, sokoliku! - uśmiechnęłam się tak, jak uczyła Katarina.

Chłopak niczego sobie, dziarski, choć grubo ciosany. Tylko białarz - od razu widać, że Wadiucha dobrze go ocenił.

- A ja jestem Michaił. Dla swoich, Miszok. Jestem teraz prawą ręką Wadiuchy! On beze mnie... - chłopak nadyma się jak indyk, a mnie śmiech bierze. Ale niech się przechwala, a co mi tam!

- Wiesz co, Aza? - mrugnął do mnie porozumiewawczo, jak spiskowiec do spiskowca. - A może byśmy się napili dobrego winka na początek miłej znajomości?

Nie muszę odpowiadać; Miszok już sięga po wielką, opłatą wikliną butelkę, przechylają, potrząsa - i z urazą odstawia precz.

- Do diabła, wyłopali, kurze syny! Co za ludzie! Nawet się nie zdążysz obejrzeć... No, dobra, poczekaj. Wadiucha ma wina - możesz się w nim utopić. Zaraz przytacham, nawet lepsze od tego. - Miszok znika, a ja nareszcie mogę się spokojnie zająć pysznościami, jakimi zastawiono stół.

Pilaw, sandacz, mięso z serem zapiekane w winnych liściach (zapomniałam, jak to się po tutejszemu nazywa) - no, nieźle sobie żyją ci ludzie! W Kęs-Preclu nie w każde święto mięso się jada, a winorośli nigdy tam nie widziano! Opowiesz, nie uwierzą i w twarz ci się roześmieją. Ryba i kasza... Ech, co tam u mamy? Tatko choć i pijanica bezwstydnny, ale czasami ściany naprawiał, drwa rąbał; a czasami nawet, jak nie przepił grosika, to nam go zostawiał. Ja też mamie pomagałam - a teraz co? Z małymi została - żeby tylko z głodu nie pomarli! Na razie nie zginą, lato przecież, ale zimą...

Trzeba by im pieniądze wysłać - odłożyłam już sobie jedenaście i pół rubla; tylko jak wysłać, żeby doszły? Wujek Druc nigdy nikomu pieniędzy nie wysyłał, pozostali Romowie tak samo. Zobaczę Raszelkę - zapytam. Na pewno wie! Ona wszystko wie! Jak jechaliśmy pociągiem...

\* Skovorodka - po rosyjsku patelinka, mała patelnia.

Najpierw dwie doby szliśmy przez las. Bez strzelby, bez zapalek, jeden nożyk na wszystkich. I nic, wydostaliśmy się! Fiedoniuszka drogę pokazywał, a wujek Druc zające tajnym gwizdem przywoływał. Włożył palce w gębę, świśnie melodyjnie - patrzysz, a tu kusy z za krzaka wygląda!

Prawie płakałam, kiedy Fiedoniuszka je rznął, ale jeść bardzo się chciało.

Raszelka ognisko rozpałała - a ja gębę otworzyłam! Nazbieraliśmy chrustu, jak kazała, a Kniahini przysiadła w kucki, spojrzała - i gałęzie zajęły się ogniem! Stoję, wytrzeszczam oczy, a ona się śmieje: „To głupstwo, za rok ty i Fiodor też tak będziecie umieli!” Naprawdę? Och, żeby ten rok już minął!

A potem to już w ogóle cuda się zaczęły. Wchodzimy do wsi - nigdy w niej nie byłam, tylko słyszałam, że Przrzeczna się nazywa. Druc z Raszelką kazali nam iść obok, ale nie odstępować ich na krok, nie rozglądać się i nic, tylko iść i robić, co każą.

Idziemy.

Na boki nie patrzymy, jak nam kazali.

No, nie, żeby tak całkiem. Fiedoniuszka uczciwie - aleja i owszem, choć ukradkiem. Wieś jak wieś; ale ciekawa rzecz - ludzie nie widzą. Jakby nas w ogóle tam nie było. Jakby to im, a nie nam kazali nie patrzeć, gdzie nie trzeba. Niesłychana to rzecz; obcy zjawili się we wsi, a wszyscy mają to w nosie!

Zasłaliśmy do urzędu. Raszelka kazała nam poczekać, a sama weszła do środka. Pchnęła drzwi - a mnie nagle się zwidziało, że nie ma na sobie wyświechtanego armiaka i wydeptanych łapci, ale odzież pańską, miejską i kołnierz ze srebrnego lisa, a na nogach świecące nowością buciki! I sama idzie jak księżna - nie idzie, a płynie nad ziemią, błota naszego nie tykając! Zmrużyłam oczy ze strachu, i znów usłyszałam to, co przy tamtym ognisku: „Za rok, i wy z Fiodorem...” Radość wtedy mnie wzięła i w tany się niemal puściłam. Ja też będę mogła? Malowaną piękność będę umiała udać? W każdej sukni się pokazać - aż chłopaki powariują?! Ale co tam chłopaki! Grafowie i generały wic się wokół będą!

Ciekawe, czy Druc też tak potrafi.

Nie wytrzymałam i zapytałam szeptem.



„Umiem - powiada. - Inaczej, nie całkiem tak, ale umiem”.

„A mnie nauczysz?”

„Nauczę - odpowiada, a mnie serce ze szczęścia o mało co z piersi nie wyskoczyło. To ja wtedy... -Nie ja cię nauczę, sama się nauczysz. Jak przyjdzie pora”.

Patrzę, a tu i Raszelka już do nas wychodzi. I uśmiecha się zwycięsko.

- Wóz nam - powiada - dadzą, żebyśmy się mogli do Wolnisk dostać. A stamtąd już do Bielska tylko ręką sięgnąć. No i prowiant na drogę, rozumie się!”

Patrzę na nią i nie poznaję! Raszelka odmłodziła, jakby dwadzieścia lat z pleców zrzuciła! Czyli ja też tak będę mogła, jak się na czarownicę wyuczę? Głupią mnie nazywali? Drażnili się? I kimże ja teraz jestem - a kim wy, coście mną gardzili?

Będziecie wy jeszcze łkali swoje obelgi!

Do Wolnisk wozem za dzień przyjechaliśmy. Dobrze jest jechać! Nie to, co na wybojach nogi sobie objąć! Same Wolniska - rozległe, domów pewnie z pół tysiąca będzie, jak nie więcej! Całe miasto prawie!

W Wolniskach Druc z Raszelą jakieś papiery załatwili, a potem poszliśmy do sklepu. Ubrania nowe wybierać. Jak zobaczyłam tam jedną suknię - niebiesciutką taką, z falbankami i kołnierzykiem wycinanym - to nie mogłam się od niej oderwać! Ach, myślałam, Akulka, nie będziesz miała szczęścia takiej sukni nosić. A wujek Druc tylko się uśmiecha, jakby to usłyszał - i pieniądze z kieszeni wyciąga! Asygnaty, a z wierzchu tasiemką przewiązane. Tasiemkę palcem podebrał, zerwał i aż dziesięć rubli sprzedawcy odlicza. Ot, powiada, Akulko, bierz, twoja suknia! Uwierzyć się boję i nie wierzyć strach, prawie płaczę - z radości - a on jeszcze kożuszek nowy podać każe.

*Przymierz, mówi, może ci się nada ?*

Nawet nie pamiętam, jak z tego sklepu wyszliśmy - wszystko jakby mgłą zasnutę.

A w nocy sen mi się przyśnił.

Dziwny.

Sama wchodzę do tego sklepu, gdzieśmy za dnia byli - sama zachodzę, bez Druca i Raszelki i bez Fiedoniuszki - a wiem dokładnie, że pieniędzy nie mam. Ani grosika. A kupić muszę to, tamto, i jeszcze

to. Podchodzę do sprzedawcy, tylko uśmiech mam inny, taki *specjalny*, a on też się uśmiecha, takim przyklejonym, martwym uśmiechem.

„A podaj mi, złociutki, (to ja we śnie tak mówię!), tamto paletko satynowe, szare damskie i jeszcze tamten parasol, i ten sakwojaż z liwepulskiej skóry, co na górnej półce stoi”.

„Proszę się nie niepokoić, łaskawa pani, w tej chwileczce podam” - odpowiada mi sprzedawca. (Łaskawa pani to ja!) I podaje mi wszystko, co mu kazałam.

„Biorę, młodzieńcze. Oto pieniądze. Zechce je pan przeliczyć”.

Wyciąga subiekt rękę, bierze z moich dłoni pustkę i zaczyna w powietrzu palcami przebierać, jakby liczył, a potem powiada: „Oto reszta łaskawej pani - pięć rubli i trzydzieści siedem kopiejek”.

„Dziękuję, mój drogi” - odpowiadam we śnie, biorę kupione rzeczy, zabieram pieniądze (prawdziwie!), wychodzę ze sklepu, idę ulicą... i budzę się!

Na dworze jasno się robi, niedługo jechać będzie pora - dalej do Bielska - a ja leżę z otwartymi oczami i czuję - że mogę! Mogę, umiem, i wszystko! Zajdę do dowolnego sklepu, uśmiechnę się do subiekta, każę podać, czego tam mi się zachce i wyjdę!

- Akulka, czemu płaczesz - pyta mnie Fedoniusza.

A ja milczę.

Milczę i płaczę.

No, w Bielsku to już sobie pożyliśmy jak jasne państwo! Szkoda tylko, że niedługo - wszystkiego tydzień. W pokojach, nie ławy, ale prawdziwe łoża, z pierzynami! Zwierciadło na całą ścianę, wieczorem codziennie lampę kerosynową przynoszą i nowe świece, nawet jeżeli stare do połowy się tylko wypaliły, a przy wejściu to w ogóle gazem świecą! Żeby goście, jak zajrzą, mogli drogę do domu znaleźć.

Samego Bielska to prawie nie widzieliśmy. Mnie i Fiedoniuszce w hotelu siedzieć kazali - no i siedzieliśmy. Nawet jedzenie nam do pokoiów przynosili, na talerzach i z ukłonami. A Raszelka wciąż nosem kręciła, nie wiadomo na co. Mało jej tego szacunku? Ale chyba nie darmo ją Kniahinią nazwali!

Z początku aż w dołku od tego ścisłało, tak rozkosznie się robiło, a jak zaczęliśmy przywykać, okazało się, że pora jechać.

Jechaliśmy długo. Z początku liczyłam, ale potem się pogubiłam. „Gdzie nas niesie w dal niezmierną?” - takie myśli do głowy mi

przychodziły. Tak i w zamorskie kraje trafić można, gdzie ludzie gęby na brzuchach mają i gadają, że ich zrozumieć nie można!

Co prawda, sama się zorientowałam, że głupio myślę. Druc z Raszelką wiedzą dokąd jechać, ślady mylą, jak lis, co przed myślonymi i ich ogarami ucieka. Dalekosmy uciekli - nie znajdą nas teraz myśliwi, ani psy gończe!

Ale nie, wciąż jedziemy i jedziemy, koła stukają, za oknami wszystko ucieka - cały dzień bym tak patrzyła!

I patrzyłam. Dzień, drugi i jeszcze. Aż w oczach ćmić mi się zaczęło.

Napatrzyłam się.

Spojrzeliśmy na siebie z Fiedoniuszką- i dalej wypytywać Drucę i Raszelkę: opowiedzcie coś, dobrze? O krajach dalekich, do których jedziemy, o tym, jak się magom żyje, o...

Z początku tamci się wykręcali - sami zobaczycie, powiadają. Fiedoniuszką zrezygnował - aleja nie Fiedoniuszką, uparta jestem, po tacie nieboszczyku to mam (świeć. Panie, jego duszy! Przeze mnie, głupią, zginął biedaczek!) - więc po tacie mam tę ciekawość i upór. Wujek Druc zresztą mnie zna -ja się tak łatwo nie poddaję.

I nic nie poradzili, mówili jak na spowiedzi; a wujek Druc tylko się śmiał: „Ty, Akulko, w policji pracować powinnaś! Jak zaczniesz wypytywać - każdy gębę otworzy, bylebyś tyją zamknęła!”

A Raszela o tej rybie zębatej opowiedziała - chyba z zemsty, żeby się odegrać. Aleja się nie obraziłam. A ona, jak zobaczyła, że nie mam jej tego za złe, od razu złagodniała i już nie trzeba było z niej słów kleszczami wyciągać.

- Wróciłem, Azo! Nad czym tak rozmyślasz? Dawaj lepiej szklanki -wino przyniosłem!

### *Notatki na marginesie*

*Bryzgają z oczu Michaiła-Miszoka wesole iskiereki, tańczą niby diablęta rozigrane. Patrzysz, już się porozbiegały, a za nimi widać:*

*...morze.*

*U samego brzegu ryba się pluszcze, pyszni się lśniąca łuską przed mewami. A figę wam, mewy, figę wam z makiem-pasternakiem rybolowy-pustobrzuchy; nie złapiecie mnie dziobem, na haczyk ani siecią! Wszystkim się wymknę! Buja mewa na niebie, siedzi rybak w łódce, patrzy na płuski-błyski, i uśmiecha się do rybki: nigdzie nie uciekniesz, głupia rybo, skończysz jako zakąska.*

*Piękny dzionek się trafił.*

i

### III. FIODOR JOCHACZ

#### ALBO DO CZEGO IM JE/TEM POTRZEBNY?

*A choć początek twój będzie niepozorny,  
Jednak koniec twój będzie wspaniały.*

*Księga Hioba*

Balustrada, otaczająca zewnętrzny taras hotelu „Lajstrygon i syn” była gorętsza od słońca. Dotknij ramieniem - wrzasku narobisz na cały bulwar!

- Ej, człowieku! Kufel piwa i rozbełtaj po waszemu!

-W tej chwileczce!

I młodziutki posługacz chwiejnie rzucił się do kuchni.

Fiodor z przyjemnością rozparł się w krzesło, patrząc w ślad za posługaczem, obleczonym w madapolamową koszulę wątpliwej białości i pozwolił sobie na chwilę wytchnienia.

Wyprawa do cenzorskiego kolegium skończyła się nad podziw szczęśliwie: chwilka - i po sprawie. W sumie za wiele było tego szczęścia, żeby to się spodobało Fiodorowi Sochaczowi, od dziecka nawykłego do uważnego i czujnego wsłuchiwania się w leśną ciszę. Kniahini zresztą też powtarzała setki razy: jeżeli nieznaną ci sprawą idzie gładko i bez kłopotów - nie spiesz się z ufnością w powodzenie.

Nagle może wmieszać się los, by boleśniej liznąć.

A tu, proszę: i budynek kolegium znalazł błyskawicznie, na ulicy Soborowej. Drogę mu wskazał staruszek w panamie i flanelowym

garniturze. Skręcisz, powiada, i szperaj wzrokiem po północnej stronie - szukaj marmurowych lwów na podjeździe. Dotarłszy na miejsce, Fiodor postął przez chwilę, gapiąc się na rzeźby: wspaniałe lwiska. Podobne do batiuszki z Wielkich Borsuków, tylko nie miały grzyw zawiązanych w modne ogonki na karkach.

Palca im w gębę nie wtykaj.

Zaśpiewają: „Niech się wzbije przed oblicze Twoje modlitwa moja...” - i odgryzą łapę po łokieć.

Przy jednym zwierzu urzędnik palił papieroska, drugą grzywą otulając kamienną mordę. I zapytał Fiodora, kierując się nastrojem i nudą: „Co się tu kręcisz, bratku? O co chodzi?” Chłopak odpowiedział. Urzędnik uśmiechnął się porcelanowymi zębami. Otrzepał surdut i strząsnął popiół na lwa. „Dawaj swoje papierki, powiada. Ja, powiada, kolegą i towarzyszem naczelnika jestem, zobaczę”. Przejrzał je szybko i uśmiechnął się: „Ty, chłopcze, przekaz w swoim Moskiewskim Powszechnym - nie takimi papierkami reputację się wspiera! Przekaz im słowo w słowo: nie takimi! Są, bratku, takie papierki...

Zapamiętałeś?”

Fiodor kiwnął głową. Co tu jest do zapamiętywania?

„Podobasz mi się, chłopczyno - urzędas wypuścił niebieski kłęb dymu i niemal całkowicie się w nim ukrył. - Mordę masz tępą, ale chytrą. Takie mordy podobają się wszystkim od początku świata, a mnie jeszcze dawniej. Chcesz, wezmą cię na gońca? Na państwową pensję? Ale uważaj, bo się rozmyślę. Paszoł won!”

I Fiodor poszedł.

Dlatego, że jakoś bez przyczyny, ale zwidziało się chłopakowi: oczy urzędasa, towarzysza naczelnika kolegium, już chyba gdzieś widział. Często mrugają. Połyskują rudawymi iskierkami. Wypisz wymaluj tragik Policajmako, kiedy wabi Fiodora, żeby ten został jego ukochanym uczniem. Albo te dziewczki w Charkowie, kiedy się do niego pchały ze swoimi głupimi tajemnicami, a babencjusz Zosia z wyki-dajły chciała go na szwajcara awansować.

Teraz ten się naprasza - gońca potrzebuje.

Co jego, miodem posmarowali, że tak wszyscy do niego leżą?

Ej, Kniahini zza lewego ramienia i ty, Druclu, zza prawego, odpowiedzcie: czemu tak za mną łążą?

Milczą.

Patrzą chytrze i nie odpowiadają. Niech im będzie.

Sam się dowiem.

- Podano do stołu!

Fiodor nie patrząc, rzucił na stół jakieś drobne monety. Zadzwo- niło i potoczyło się. Ale na podłogę nie spadło. Zręczny był posłu- gacz, choć chłopaczek młody; zgarnął szybko pieniądze i błyska- wicznie pobiegł do drugiego stolika.

Fiodor już wiedział - nie zapłacisz z góry, nie odejdziesz. Będzie stał naprzeciwko niczym słup, a potem to i gospodarza wezwie. Klient nie wyglądał na takiego, któremu można dać na kredyt. Nazre się taki za kopiejkę i da nogę, a posługacz musi wyrównać straty. No, ale na jego miejscu Fiodor sam by uważał. Tym bardziej, że jedzenie prawie darmowe: pieróg z mielonym mięsem, na cały talerz - piętnaście ko- piejek. A jak na dodatek piwo zamówisz, to na koszt firmy do pieroga talerz rosółu ci podadzą.

Miejsce to pokazał mi Elpidifor Kryłowicz.

Miejsce w sam raz dla aktorów, powiedział.

Fiodor nie zdradził tragiczowi, że czuje w sobie tajną moc. Że może cisnąć chłopakowi w madapolamie nie pieniądze, ale garść muszelek z plaży - a chłopak przyjmie to z wdzięcznością i kłaniać się będzie. Nie, tego mu nie powiedział, nie jest przecież durniem, a zresztą Kniahini bardzo surowo mu zapowiedziała, że język ma trzymać za zębami.

A jeszcze bardziej ostro mu przykazała, by nie robił żadnych sztuczek bez jej pozwolenia. W przeciwnym razie gębę mu niewidzial- nymi nitkami zaszyje, i ręce powykręca.

I uwierzył Kniahini Fiodor.

Nawet nie pomyślał o tym, żeby okazać nieposłuszeństwo.

Naprzeciwko, bliżej nabrzeżnego bulwaru, wabili publikę cyr- kowcy.

Dwaj zonglerzy rzucali sobie maczugi i pierścienie, stary kłown uganiał się za dziećmi kuracjuszy, a wokół całej grupy chodził biały koń z pióropuszem na głowie. W siodle wiła się tęgawa pan- nica: to nogi uniesie, ukazując bezwstydnie uda, to na rękach stanie.

Nieopodal, na koślawym taborecie siedziała bileterka: a nuż ktoś się skusi? A nuż zechce zajrzeć wieczorem na przedstawienie? Oto

i kapitan piechoty ze swoją damą się zatrzymuje, patrzą-podejdźcie państwo, furda pieniądze, a zabawa zawsze jest zabawą!

Czemuż się zastanawiacie? Dwa bilety na parterze?

Proszę, panie oficerze, bardzo proszę.

-Witaj, Fedro! - zagrzmiało w dole.

Huknęło niczym przybój o skały i teraz toczy pianę po tarasie. Fiodor spojrział ukosem w dół. Tak jest: stoi. Przy balustradzie. Z tamtej strony, na dole; ogolona do skóry czaszka świeci niczym bila i kusi, żeby ją stuknąć kijem.

Stalowy Marcepan, cyrkowy zapaśnik i mistrz popisów siłowych.

Gdy tylko Moskiewski Powszechny przyjechał z Suroża do Sewastopola, Kniahini zaprowadziła swojego ucznia do cyrku. Nazwała to poszerzeniem światopoglądu i przyzwyczajaniem do wysokości. Sama powiedziała: po teatrze cyrk jest bardzo pożyteczny. Nie powiedziała tylko, co w nim jest takiego pożytecznego. Fiodor tylko oczy wytrzeszczał z podziwu. Namiot do samego nieba! Na wpół gołe bezwstydnice łążą po linach niby małpy zamorskie! Kłowni stroją sobie żarty z poważnych ludzi! Jakiś jegomość zdjął cylinder i żebyż to w cylinder- ale w paszczę jakiejś kurewsko straszliwej bestii głowę wtyka! A nuż odgryzie mu ją bestia? Uf, udało się!

Przed wszystkim uradował się Fiodor Sochacz, że Raszeli strzeliło do głowy, iżby nie do cyrku, ale do teatru przystać. Lepiej już samemu trony przewracać, niż zębatego potwora drażnić! Kichniesz przypadkiem - i po główce!

Tak się chłopak nad cyrkowymi niedolami zamyślił, że przepuścił połowę następnego numeru. Ocknął się dopiero wtedy, gdy Kniahini kuksańcem go na manęż wypchnęła. Z prowokacyjnym uśmiechem. Okazało się, że szprechsztalmajster (ależ słoweczko do zapamiętania!) zwrócił się do publiki z prośbą o ochotników. I Fiedka został niby takim ochotnikiem.

A ten szprech-sztal... i tak dalej, zachłystuj e się własnymi słowami. Oto, powiada, będziecie świadkami turnieju pomiędzy mistrzem świata, wszechświata i miasta Upiurińska - Stalowym Marcepanem, ale takim, że diabła zje pierwej, kto go rozgryźć zechce, a tym tu dzielnym panem, wylonionym spomiędzy publiki.

Patrzy Fiodor, a przed nim Stalowy Marcepan. Wypisz wymaluj, tragik Policajmako - trzeba by tylko wspaniałemu mistrzowi sceny jego wybujałe kudły ogolić. Głowa lśni niczym kość słoniowa, rzęs

nie ma, brwi nie ma, podbródek dokładnie wyskrobany. W wycięciu trykotu lśni pierś żółta, pozbawiona włosów. Łapy lśnią tak samo. I byczy kark.

Pokazują Fiodorowi ciężar. Podnoś, mówią.

No to podniósł.

Podnieś wyżej, mówią. Nad głowę.

Podniósł i nad głowę. Potrzymał trochę; popatrzył z ukosa na szprecha.

Opuścił.

Wśród publiki wrzaski, gwizdy i chichoty. Ciężar pusty w środku, krzyczą. Jakiś podпиты bosmańczyk wytoczył się na arenę, chwycił ciężar i szarpnął, dla honoru Floty Czarnomorskiej. Wynieśli pana bosmana. Coś tam sobie urwał w środku. Po co się pchasz, gdy cię nie proszą?

Wcześniej trzeba było wyłazić.

Pokazują Fiodorowi stalową ośkę. Na końcach zamiast kół osadzone żelazne kule.

Podnoś, mówią.

No to podniósł. Od razu na głowę, żeby się nie czepiali.

Obróć! -pokazuje szprech-sztal.

Obrócił Fiodor ośkę, ale że palce niezbyt miał zręczne, za trzecim kręgiem nie utrzymał. Huknęło wszystko o ziemię, jeden z kłownów zuchwalców w ostatniej chwili uskoczyć zdążył, bo bez nóg by został.

Publika podzieliła się na obozy. Jedni ryczą: „Zmówili się! Zmówili!”, drudzy klaszczą w dłonie, inni jeszcze nie wiedzieć czemu programy na arenę ciskają.

A Stalowy Marcepan cały czas na Fiodora się gapi. Mętny ma jakiś wzrok i ciężki. Pcha oczami, jak dłonią. No, co się gapisz, panie Marcepanie?

Uspokoił publikę dziarski szprech-sztal; cisza zapadła, jakby makiem zasiał. Wskazał Marcepana palcem i rozkazuje Fied'ce: bij się z nim. Nie, zaprzeczył Fiodor ruchem głowy. Nie będę. Porządny człowiek, w cyrku pracuje, za co go w ucho walić?

Nie w ucho, wyjaśnia szprech-sztal. Wedle reguł szlachetnej walki rzymsko-francuskiej. Znaczy, kto kogo do snu na arenie ułoży.

Dobra, kiwa głową Fiodor. Ułożę. Skoro sam się prosisz, skoro publika w ciebie z mojego powodu programami ciska - proszę bardzo. Ale Marcepan nie głupi: zgiął się, dał nura Fiodorowi pod pachę i z tyłu go chwycił. Gniecie kark i złamać próbuje. Tak to i upaść można. Fiodor upadł. Patrzy: a Marcepan ba-bach! - wali się obok



i cały czas próbuje się na nim położyć. Zrzucił go Fiodor, zaklął szpetnie i piętę mu do karku przyginać zaczął.

Na wszelki wypadek.

W tej chwili huknęła muzyka, na arenie pojawiła się cała chmara tych półgołych bezwstydnie, zaczęły tańczyć, obręczami wywijając, a szprech-sztal remis przez tubę ogłosił. Fiodorowi zaś za jego trudy kudłatą kurwę dali.

Nie żywą: pluszową, wypchaną.

A następnego dnia, z samego rana, patrzy Fiodor, a tu obok sceny spaceruje sobie Stalowy Marcepan. I kąty łysą pałą oświeca.

Zobaczył chłopaka - i od razu do niego.

- Jak cię zwą? - pyta.

■

### *Notatki na marginesie*

*Zerknijcie w oczy Stalowego Marcepana! Nie bójcie się! Nie ugryzie. Spokojny człowiek z Marcepana, choć Stalowy. A w oczach: ...domek.*

*Maleńki, na przedmieściu. Podwórko z tyłu, z wiśniami i gruszą, całe chwastami i krzakami zarosło. W tych krzakach migają dziecięce główki: „Palka-zapalka, dwa kije! Kto się nie schowa, ten kryje! Szukaaaaam!”. W chowanego dzieci się bawią. W tych krzakach mnóstwo miejsca mają...*

*A przed gankiem klomby z georginiami; dróżki czyściutkie, płot się czerwieni nowiutką minią pomalowany. Od strony domku zapach barszczu na zieleninie ciągnie - aż ślinka cieknie, a w brzuchu zaczyna burczeć.*

*Leniwie brzęczą pszczoły. Słoneczko przygrzewa.*

*Nie tak, żeby za bardzo, a w sam raz.*

- No co, Fedra, odpoczywasz?

- Siadaj, wujku Grisza. Piwa się napij. Chcesz, zamówię. Zostało mi trochę pieniążków.

Stalowy Marcepan, dla znajomych wujek Grisza, sapnął z namysłem. Rozpiął dzianą koszulę, którą zgodnie z niepisaną cyrkową modą nosił na wykrochmalonym białym podkoszulku.

Pomyślał jeszcze chwilę.

- No, kufelek. Bo mnie rozbierze z gorąca, a mam publikę zabawiać. Widziałeś żelazo? Wszystko na mnie; klowni, gadziny jedne, odmówili. Wiesz co, dam sobie spokój z tym piwem. Zmęczyłem się.

Fiodor zerknął: nieopodal bileterki leży na ziemi stos żelastwa.

Każdy inny na miejscu klowców też by odmówił.

- Widzę, wujku Grisza. Współczuję. Ale dla ciebie kufelek - to jak dla słonia mucha!

Po minucie Stalowy Marcepan dostojnie wziął kufel, przyniesiony przez posługacza i starannie zdmuchnął pianę. Łyknął raz, drugi i odstawił pusty kufel na podłogę tarasu, obok nóg Fied'ki.

- I co, namyśliłeś się, Fedra? - zapytał przyjacielsko.

Wyszło jakby czknięcie.

- No, nie wiem, wujku Grisza. Co ja bym w tym twoim cyrku robił? Miałbym, jak ty, do samej starości dźwigać żelastwa i mocować się ludziom dla uciechy?

Te rozmowy, zawsze takie same, dojadły Fiodorowi jeszcze bardziej niż gawędy z natarczywym tragikiem. Widać, że zamiast piwa Marcepan wolałby Fiodora dopaść. No, żyć się wprost nie da!

Dość tego, trzeba się poskarżyć Kniahini, niech ich jakoś odpędzi!

- Głupiś, Fedra. Myślisz nie szybciej od wołu. Nie wiesz nawet, gdzie twoje szczęście. Dał ci Bóg siłę, a ty talent w ziemię zakopujesz. Mówię ci: przyjdź ty do mnie.

- Ale po co?

- A po to. Zapasów cię nauczę. Tajniki żelaza pokażę. W Kijowie będziemy występować, w cyrku samego papy Sura. Potem do Hamburga pojedziemy. Poznam cię z atletami, głupi Fedro, mistrza z ciebie zrobię. Co ty na to?

Od pierwszego... nie, od drugiego spotkania (bo na arenie nie rozmawiali), Stalowy Marcepan zaczął nazywać Fiodora Fedrą. Nie wiadomo, czy żartował, czy miał coś na myśli. Może zresztą był to tylko kaprys starego. Chłopak się nie sprzeciwiał ani się nie obrażał. Fedra, to Fedra. Jeśli wujek Grisza tak woli - to niech mu będzie.

Gdy słyszał to dziwne imię: Fedr-rrr-a!, Fiodorowi Sochaczowi zwidywało się coś osobliwego. Widział rozhukane konie, roztrzaskanego o skały młodzieńca... i babę w długiej, luźnej koszuli, która nad jego ciałem ręce załamuje i biadoli. I słyszał zadziwiające, wypływające z mgły niepamięci słowa:

„Nie ujrzejuz wspaniałej „Fedry” w starym, wielopiętrowym teatrze...”

Fiodor potrząsnął głową.

Znikły konie, znikli nieszczęsny młodzieniec i wyjąca baba... przemieły i słowa.

A wujek Grisza został.

I brzęczy, i grozi, że z Fiodora zrobi cyrkowego atleę. Żeby sto rubli za walkę brać. Żeby wedle „hamburskiego regulaminu” wszystkich zapaśników na bite kotlety przerabiać. Żeby trykot i pantalone, związane na kostkach tasiemkami, nosić.

A sławę i zaszczyty wagonami będą zwozić.

Fied'ka przeniósł spojrzenie gdzieś w bok. Zaczął myśleć o czym innym. Przecież gdyby mu się Stalowy Marcepan albo tragik Policajmako ze swoimi propozycjami pracy trafili przed rokiem - ani chwili by nie zwlekał. Na bosaka by przyleciał z Kęs-Precla do samego Krymu; nogi by mistrzom obmywał i tę wodę wypijał. No jakże, tacy wspaniali ludzie raczyli się zająć wiejskim przyglupem sierota! Dajcie choć rękę ucałować!

Kniahini, coś ty mi zrobiła? Co ty ze mną wyprawiasz, Kniahini? W ciągu połowy roku na nice mnie wywróciłaś! Swoje piętno na wieki na czole mi wypaliłaś! Ugniatasz mnie jak wosk!

Co ty ze mną robisz, niczego nie robiąc - Kniahini?

Odpowiedz!

I zdarzyła się bardzo nieprzyjemna historia.

Stał u wejścia roznosiciel. Sprzedawał pręty z derenia, trociczki z jałowca i nawleczone na nici paciorki. Miał jeszcze polerowane muszelki.

Obok kramarza stał sobie przyjezdny letnik. Grubas taki, w okularach *pince-nez*\*. Miał na sobie jedwabną rubaszkę ściągniętą barwnym, szerokim pasem, miał też grubas szerokoskrzydły kapelusz filcowy, i pantalone. Kniahini nie wiedzieć czemu takich grubasków nazywała drwiąco „socjaldemokratami”.

Też słoweczko, nie lepsze od „Fedry” wujka Griszy.

Ale nie w tym rzecz. I nawet nie w tym, że grubas targował się o wisior z krwawnika. Nieważne było nawet to, że frant był nieźle

\* *Pince-nez* - okulary w drucianej oprawie, trzymające się nosa na sprężynowym zacisku.

podpity. Ważne było co innego: palił papierosa. Drogiego papierosa ze złotą etykietką. I tak się zaciekle targował, że zapominając o wszystkim innym, machnął ręką, w ręce miał papieros, a tuż obok konik cyrkowy kończył kolejny krąg.

I papierosek trafił w końskie nozdrze.

Ależ przeraźliwie zarżało konisko i stanęło dęba! Tęgawa pannica zleciała z siodła, głową w dół, i nadgarstkiem zaczepiła o strzemię. .. uwięzła na amen! Koń poniósł i powłókł jąza sobą. Rzadko tak bywa, żeby w strzemię ręką trafić a nie nogą, ale się zdarza.

Pędzi biały koń wzdłuż balustrady, rży przeraźliwie, cyrkówka wlecze za nim warkocz pyłu i wrzeszczy niesamowicie.

Barwny trykot - w strzępy.

Delikatne ciało - tłucze się o kamienie.

Fiodor nie pamięta, kiedy śmignął przez poręcz. Kiedy? Po co? Z jakiego powodu? Jedyne wytłumaczenie: Druc-Rom zza prawego ramienia się zamachnął. I wymierzył potężnego kuksańca. Od tego kuksańca chłopak bez namysłu runął przed siebie. Przefrunął nad balustradą z rozstawionymi nogami niczym kruk, i jak wór opadł na koński grzbiet. A trzeba wiedzieć, że Fiodor Sochacz ważył niemało! Taki ciężar i byka by zniechęcił, a to w końcu był tylko koń, niechby i cyrkowy, i nauczony tańczyć walce.

Zwalił Fiodor konia na bok.

Na drugą stronę od balustrady, żeby cyrkówki nie przygniotło.

Trzyma i słyszy - niewidzialny dla innych Druc zza ramienia jak coś nie charknie! Jak nie wrzaśnie!

Koń nagle się uspokoił. Leży, bokami robi i już nie rży, tylko postępuje niczym żrebak. I ani drgnie. Jakby go zamroziło.

Kawał lodu, nie koń.

Stoi Fiodor Sochacz przy tarasie. Wycalowany na policzkach czerwoną pomadką, wyklepany po plecach łapami cyrkowców, wychwalony tak, że niemal unoszą go te pochwały w powietrze. Obdarowany trzema darmowymi biletami. Ręce mu się trzęsą i wargi, ale któż to widzi?

Nikt.

Pora uchodzić.

I podchodzi do Fiodora taki niepozorny Romiszko, taborowy włóczęga. Cały siwy, smagły, a koszulę majak płomień. Frant i elegant.

A kamizelkę ma wyszywaną.

- Aj, *barol* - uśmiecha się bezzębnymi ustami. I dalej coś mówi, po swojemu, po romsku.

Nie, pokazuje Fiodor rękoma, ni cholery nie rozumiem.

- Nie rozumiesz? - drobniutki Rom aż się skrzywił z urazy.

- A kto na kobyłkę zakłęcie *Merawa-me* nałożył? Ja może?

Nie wiem, pokazuje Fiodor rękoma. *Merawa-me*? Zakłęcie „Dwóch zamków”? Nie, nie wiem. Może ty.

- Och, *baro...* - Romiszko grozi kościstym palcem. - Nie kłam staremu Cziambie. Stary Cziamba łgarstwo na sto wiorst przewidzi. No, dobra -jeszcze się zobaczymy.

I poszedł swoją drogą.

Fiodor też.

#### IV. AZA-AKULINA

##### ALBO HRABIOW/KA CÓRA NA UCZCIE

*Chodzę szerniały, ale nie od słońca;*

*Powstałem na zgromadzeniu i krzychałem o pomoc.*

*Księga Hioba*

- Ty co tak lejesz bez miary, Miszok?

Aż się wzdrygnął.

- Aza, kochaneczko, nie czepiaj się bez powodu! Gdyby to był wymrożeniec\* albo firmowa madera - a w tym przecież nijakiej mocy nie ma! Całą butelkę opróżniesz i nawet okiem nie mrugniesz!

Akurat! Sam ma już oczka maślane; latają mu na wszystkie strony jak myszy po pustej piwnicy. Tu jedno, tam drugie - i oba zielone.

*' Zanim ludzkość opanowała szlachetną sztukę destylacji alkoholu, w niektórych rejonach świata wzmacniano moc trunku poddając go procesowi wymrażania (woda, jako płyn o znacznie wyższej temperaturze zamarzania ścinała się w lód, zostawiając alkohol), (przyp. tłum.)*

Jakby miał trzecie, i te by niespokojnie myszkowało! Zupełnie jak ten duszogub, który tatkę mojego...

- Łżecie wy wszyscy, babiarze za kieckami biegający! Miałam takiego znajomego, też wódkę ciągle polewał - i ledwo z życiem uszłam! Tak mnie chciał poczęstować!

A skąd i od czego uszłam, nie trzeba mu wiedzieć.

- Ależ porównanie: wódka! To przecież wino! A co, może u was w taborze zakaz picia wina obowiązuje? Jak u mahometanek?

Uśmiecha się chytrus gruszewski.

- Ale z ciebie natręt... no dobrze, nalej. Ale nie myśl sobie, żeś mnie namówił. Ile zechcę, tyle wypiję.

- A, to inna sprawa. Pokaż młodym, nie żonatom, jak chwackie Romki piją!

Trącamy się kielichami.

A wino rzeczywiście smaczne! I w ogóle nie idzie do głowy, nie tak jak wódka przeklęta, żeby ją ze wszystkich butelek zaraza wywiała! Tu zupełnie inaczej: Łyknęłam raz, drugi - i nagle mi się wydało... mamó jedyna! Jakby za moimi plecami, za lewym ramieniem stanął nagle wujek Druc. A za prawym, tylko że nieco dalej - Raszelka Kniahini. Zabrali mi szklankę i razem wypili. Druc wypił większą porcję, mężczyzna z niego bywała i twardy, Raszelka dopiła resztę. Dla nich taka butelka to tyle co nic, już ja to wiem!

Stawiam pustą szklankę na stole, a Miszok, chytra morda, znów za butelkę chwyta.

Chciałam mu powiedzieć, żeby dał sobie spokój z tymi samczymi sztuczkami; wiadoma sprawa, najpierw napoi do utraty pamięci, a potem na siano pociągnie... i nagle czuje dusza moja: nie spije on rybki-akulki! I nigdzie nie pociągnie. Spije się chłop na umór, a ja sama stąd na własnych nogach wyjdę! Ale skąd mam tę pewność - nie wiem i sama sobie się dziwię. Nikt mnie przecież pić nie uczył, wtedy, w tamtej chatce po jednej szklance wódki już pijana byłam; a teraz wiem: pierwszy pęknie Miszok!

Święto!

Więc on nalewa i cieszy się w duchu, a ja się do niego uśmiecham i na boki zerkam. Ludkowie piją, weselą się, ktoś tam już tańczy, drugi toasty wznosi i innych przekrzykuje; wszystko jak na zwykłej zabawie.

Naprzeciwno usiadł jakiś posepny wujek. W cywilnym mundurze z pętlczkami. Wszyscy się weselą, a jemu ponuro. Chudy, wyso-

ki, za stołem siedzi prosto, jakby kij połknął; twarz pod furazerką pocięta zmarszczkami i jakby wymięta, a wąsiki mu wiszą niczym dwie pijawki. I tak leniwie, od niechcenia, grzebie w talerzu.

Udaje, że tylko przypadkiem znalazł się za tym stołem.

Nie wytrzymałam.

- Miszok, posłuchaj, a ten co za jeden - ten, co siedzi naprzeciwko nas?

- A, to mierniczy z miasta - Miszok pogardliwie macha ręką. Jasna sprawa, wolałby porozmawiać o czymś innym. - Czwarty już dzień w Gruszewce sterczy, wszędzie łązi i step żerdziami mierzy. Wadiucha wszystkich sąsiadów sprosił, to i jego wypadalo. Wiesz, jaki on jest, ten nasz Wadiucha? Ostatnie spodnie odda, jak go poprosisz. Dusza jak morze! I w kiciu był taki, i w życiu jest...

- A ty co? Siedziałeś z nim razem, w kiciu znaczy?

- No! - twarz Miszoka pękła w szczerbatym uśmiechu. - Nie zna życia, kto nie był w obozie! Wypij ze mną za wolność mołojeką, Azo-pięknotko!

Widzę, że uważa się za orla siwego.

Rozpostarł skrzydelka i nie wpuścił we wrota.

- Wolność jest dla Roma święta. Grzech nie wypić, mój ty rubinku!

Znów się trącamy i znów wujek Druc sięga mi przez ramię i odbiera szklankę. Teraz połowa jemu, połowa ciotuni Raszelce. Równo. No pewnie, Kniahini też chętnie sobie chlupnie, nie wylewa za kolnierz. Mnie też się spodobało. Chyba się jeszcze napiję.

Bo mało tego będzie na nas troje.

- A ciebie za jaki grzech związali? Arbuza Tatarom z grędy podciąłeś?

Miszok patrzy na mnie z góry. I krzywi wargi.

- Powiedz jeszcze, że kromkę chleba ukradłem. Obrażasz mnie, Azo! Porzucił mnie jeden chałaciarz, to go piórkiem drapnąłem. No i zaczęło się dla mnie, chłopaczka, życie obozowe. Tam właśnie nawiązałem znajomość z Wadiucha Skoworodką, kiedy na spacemiaci mi powiedział: chcesz wejść do mojej talii\*?

Miszok nagle ugryzł się w język. I rozejrzał się dookoła, niczym złodziejaszek: czy aby ktoś tego nie usłyszał? Ale któż zwracałby

\* *Talia (po rosyjsku „kolda”) - takie wataha, sfera - w rosyjskiej kminie grupa przestępców pod rozkazami jednego szefa.*

uwagę na jego pijackie przechwałki? Niechby nawet Wadiucha wziął go do swej grupy - co z tego? Na dodatek łąz bezczelnie - sam się wprosił do szajki, przyczepił jak rzep.

- Ja tylko tak, o tej talii... Wszystko to głupstwa, Azo! - mamrocząc chłopak i z nadmiernego przestachu kolejną szklanekę nam nalewa. - Lepiej wypijemy jego zdrowie. Zdrowie Wadiuchy. Towarzysze my z nim, z jednej miski jedliśmy, z jednego wiadra wodę piliśmy.

Pijemy. We czwórkę.

- Ja o tej talii... no, z głupoty. Jesteśmy kamratami i tyle. Zrozumiałas? Wadiucha przemytem się zajmował, wbrew akcyznikom. Wziął go nie opodal Kryształowej Zatoczki, ale towar zdołał ukryć, bo nie spieszył się z upłynieniem. - Miszok chichocze pijackim śmiechem, zachwycając się rozumem Wadiuchy Gagłojewa. - A potem amnestia! Przed swoim Ojcem każdy z grzeszników sam odpowiada - a nam wolność! Zrozumiałas? Wolność, po kres życia! Razem wyszedłem, ze Skworodką. Wadiucha od dziecka był przemytnikiem i bardzo go wszyscy szanują. Wyobrażasz sobie? A ja teraz przy nim. Trzymaj się mnie, Aza - nie zginiessz! Ze mną i z Wadiucha... Jeszcze po szklaneczce?

- A nie spijesz się, sokoliku?

- Ja? No nie, ja... miałbym?!

Butelka trzęsie mu się w ręce, bulgoce radośnie i zachłystuje się z uciechy. Wino rozlewa się po stole krwawą kałużą - a ja nagle podchwytuję spojrzenie siedzącego naprzeciwko mierniczego. Wzrok ma pusty, ołowiany. Jak tamten duszogub w leśnej kryjówce.

Boże! Ileż razy będę jeszcze to wspominać?! Żeby to można było zapomnieć...

Mierniczy patrzy na Miszoka. Potem na mnie. Niespiesznie się odwraca i sięga po jakąś zieleninę.

Pijemy.

Czyjaś ciężka łapa spada mi na ramię.

- Ależ ty chlejesz, dziewczyno! - głos dobroduszny i jakby lekko zdziwiony. - Niczym Rom koniokrad! Aleś mi chłopaka ululała! No dobra, więcej nie pij, przed tobajeszcze wrózenie. Zobaczmy, co potrafisz, oprócz trąbienia wina niczym wody!

Oglądam się, ale gospodarz idzie już dalej. Obchodzi gości i zatrzymuje się obok każdego, żeby powiedzieć kilka słów. Dobry gospodarz, o gościach nie zapomina.

- To niby ty mnie ululałaś? - dziwi się Miszok. - Przesieź jasam, kogozechceszsz...do końsażycia...Chodźmy potańszyc!



Wali się na mnie, usiłuje mnie objąć i gorąco dyszy prosto w twarz.

- Hej, zatańczymy, sokoliku! Diabłów samych zawstydzimy!

- Oj, dana dana, dradanu-danaj!

To nie ja.

I nie Druc z Raszelką.

To Katarina z Leilą! Romowie swojego skrzywdzić nie dadzą, a ja dla nich jestem swojaczka. Dobrze być swojaczką! Choćby u Romów... gdziekolwiek!

Wydało mi się, że Miszok chyba nawet nie zrozumiał, kto go wywłókł na tańce. A baby czarnowłose zakręciły po kolei chłopaka, zalały podwórkę tęczą spódnic, zarzuciły dźwiękiem bębenków z cekinami z towarzyszeniem piszczałek. Zakręciły Miszokowi w jego chwackiej głowie - i usiadł pośrodku podwórka, potrząsając tężę głową.

Dobrze Miszokowi. Tak dobrze, że aż źle. Chciał chrześniaczkę Druca przepić. Sam chyba do blotki nie dorósł - i gdzie się pcha! O czym to ja? Co za bzdury do głowy mi się pchają? Spiłam się? Chyba jednak nie...

- Ej, rusz się który! Zanieście chłopaka do strumienia, niech się wyśpi. Młody, z siłami się przeliczył. A ty, panno, siadaj obok mnie. Los mi wywróżysz.

- Pozwól, że ci karty rozłożę, złociutki?! - Obok Wadiuchy mi-giem zjawia się Leila. Obejmuje go smukłą rączką, muska piersią. - Ja mam dobre oko, co wy wróżę, to się spełni!

W tym ma rację... niech mu wróży Leila.

- Nie, moja piękna. Ja chcę, żeby twoja przyjaciółka fart mi wywróżyła. Jak ją zwał? Aza? No, siadaj Aza, Romko taborzytko... porwana chyba?

-Kto, ja?!

- Ty, ty, a któżby inny! Oj, chodzili Romowie, kto wie, niech powie, i dziewczynę jasnowłosą wprost z kołyski w tabor niosą..

- Cały czas bajesz, Skoworodko!

- Może i baję.

Kątem oka widzę; czterech gruszewców, pomiędzy nimi i wąsaty mierniczy, niesie Miszoka z podwórka. Chyba do strumienia. Będą go trzeźwić. Miszok szarpie się słabo i coś tam plecie.

Oj, kiepsko z nim, z brylantowym.

- Milczysz, białobrewa?

- A ty do mamy mojej pretensje wnoś! Do mamy i tego grafa silvańskiego, który ją pokochał nad własne życie!

Tę bajeczkę z wujkiem Drucem wymyśliśmy. Potem Druc powiedział, że sama dam sobie radę. Język, powiedział, nie bez powodu kości jest pozbawiony. I daję sobie radę. Wierzą czy nie, bez różnicy! Chociaż do tej pory nikt z pytaniami za bardzo się nie pchał.

- No, no! - Wadiucha nieco unosi brew, od czego jego płaska twarz przestaje być podobna do patelni i upodabnia się do bardzo przebiegłej patelni.

Nie powinien był tego robić. Tylko mnie rusz - od razu odpowiadam potokiem słów.

- A co tu opowiadać? Mówię to, co wiem od mamy. Stał wtedy nasz tabor w Karpackich Górach i zaprosił tamtejszy graf wolnych Romów do siebie na zamek: śpiewać i tańczyć dla niego i gości. I tam ów graf Wład, nazwiskiem Drakoczy, zobaczył moją mateńkę. A była piękna - słowami nie wypowiesz! Taborowi Romowie, oficerowie i rozmaici możni panowie całymi stadami do nóg jej padali! Ale jej serce milczało, nie znalazła tego, co był jej sądzony. A graf jak ją zobaczył - z miejsca głowę stracił. Obiecywał żeniączkę, grafinią chciał ją zrobić. A mateńka moja w twarz mu się roześmiała i z taborem odjechała. Ale nie poddał się graf Wład - swoich ludzi posłał, żeby wykradli moją mamę. Do zamku ją przywieśli. Przeżyła tam trzy lata, mnie urodziła i grafa mocno pokochała, za dobre serce i pieszczoty - ale umiłowanie romskiej wolności okazało się silniejsze. Wyjechał graf Wład do miasta i Londynu za swoimi sprawami - a mama mnie na ręce i w nogi! Dlatego białobrewa jestem i jasnowłosa-po ojcu. Graf biedaczysko do tej pory za nami tęskni. Wyje jak wilk do księżycy. Ale ja do niego na zamek żyć nie pójdę, choćby mnie i znalazł. Jak moja I mateńka!

Wadiucha tak się śmiał, że łzy mu w oczach stanęły.

Jasna sprawa, nie uwierzył. Ale wcale się na niego nie obraziłam. Też bym nie uwierzyła na jego miejscu.

- Ależ ty łąć potrafisz, dziewczyno! No dobra, nie chcesz mówić, nie mów, twoja sprawa. Rozłóż tylko karty, na fart przyszły I - zobaczymy, jak biała Romka we wrózeniu jest biegła!

Karty to ja zawsze mam ze sobą, prędzej Romkę bez spódnicy 3 zobaczycie niż bez kart. Szkoda, że wróżbitka ze mnie jak z krowy koń; j się na grzbiet wsiądziesz, ale czy daleko ujedziesz?

*A, dźidejawasa, na marasa!*

*'Przeżyjemy, nie pomrzemy! (rom.)*

Tasuję talię, zamawiam, pomrukuje pod nosem, jak Leila mnie uczyła. Co pamiętam, to głośno, co zapomniałam - to cichutko, że zrozumieć nie można było.

- Wadimie kochany Georgiewiczu, będziemy wróżyć na Czerwienną Dziesiątkę?

Samo mi się tak powiedziało. Ale ze mnie pleciuga głupia! Jaka on Dziesiątka, jaka Czerwienna? Uczyli mnie już: Król Winny, a ja... Ale patrzę ja na niego i widzę: Dziesiątka Czerwienna i nijak inaczej! A za lewym ramieniem Druc stoi i kiwa na potwierdzenie głową. I Raszelka - z prawej, nieco dalej - uśmiecha się. Dodaje mi otuchy tym uśmiechem, jakby mówiła: dobrze ci idzie, rybko-akulko!

Wytrzeszczył oczy Wadiucha, jakby mnie pierwszy raz zobaczył - i też głową kiwa. Bez słowa. Dalej córuniu grafa na Czerwienną Dziesiątkę. Nawet nie zapytał: czemuś taką kartę wybrała?

Czyżby wiedział?

Czy trzeba było wróżyć właśnie na Dziesiątkę?

### *Notatki na marginesie*

*Popatrzcie w chytre, skośne oczy Wadiuchy Skoworodki. Spojrzeliście? No i jak? Zobaczyliście:*

***k**...coś...  
Chlupie. Niby morze, jak u Miszoka-chrześniaka, bezkresne, bez końca. W stronę horyzontu płynie łódka pod skośnym żaglem, krzyczą mewy... A może to nie morze tam się kołysze? Step bodiakami porośnięty, kwiatami upstrzony, po niebie jastrzęb kołuje, a zamiast łódki -jeździec na gniadym żrebcu pomyka ku horyzontowi. Nie, nie sposób się zorientować.  
Tylko przestrzeń, bezkresna i bez końca.*

\*\*\*

Dobra, rozkładałam karty. Talię miałam znaczoną, przez Katarinę podłamaną i kartami tylko dla pozoru się bawiłam. Romowie mnie nauczyli: wróż człowiekowi dobro i powodzenie - chętniej się wtedy z pieniędzmi rozstaje.

Początkowo szedł kolor w kolor: zakład karny u Wadiuchy za plecami został (trafnie wypadło) i droga go z druhem wiernym w rodzinne strony przywiodła (M iszok „druhkiem wiernym”, czy co?)...

i wtedy dziesiątka żołędna wcisnęła się niczym gad (żeby ją diabli wzięli!). Ja jarekawem w bok, ale Wadiucha zauważył.

I położył na miejsce, gdzie miała leżeć.

- Nie - zaciska szczęki. - Mów, jak leci, podarków od ciebie nie potrzebuję. Jeżeli rozkład paskudny - chcę wiedzieć. A ty mów, mów, Azo. Nie bój się.

No to powiedziała. Choć lepiej bym zrobiła, gdybym siedziała cicho!

- Czeka cię, sokole jasny, nieszczęście bliskie...

Karty same się układały na stole, między talerzami i słowa też wylatywały ze mnie same, niczym osy z dziupli, wylatywały i żądliły, żądliły na śmierć.

- Nieszczęście twoje, i nie twoje, w druha uderzy, ale w tobie się odezwie, innym echem się odbije, a świat niemiłym ci się stanie...

Co ja mu gadam, idiotka nieszczęsna?!

Opamiętałam się i usta zamknęłam, niewiele brakowało, a bym sobie jęzor przekłety odgryzła. Zaraz wścieknie się Wadiucha-Sko-worodko na moją wróżbę paskudną. A on się nie gniewa. Patrzy na mnie tylko i jakby nie na mnie, a *na skroś*, jakby Druca z Raszelkąza moimi plecami zobaczył; a mnie strach taki wziął, że zimno mi się zrobiło i mrówki mi po plecach łązić zaczęły.

I w pierwszej chwili nawet nie spostrzegłam, kiedy gospodarz uczyty zaczął się walić na bok.

Niczym worek z kaszą.

Czyżby też z winem przebrał miarę, jak Miszok?

Jakiś chłop spośród gości w lot się widać połapał. Podparł go ramieniem i potrząsnął:

- Ty co, Wadiucha? Za dużo wypileś?

A ten nagle jak się nie szarpnie! Jak opętany!

Posiniał cały, pianę z gęby toczy, oczy białkami na wierzch wywrócone szaleństwem błyszczą. Wyje jak wilk w potrzasku, szarpie się, aż goście zza stołów powyskakiwali, rzucili się pomagać, a mnie w głowie wciąż huczy niczym dzwon pogrzebowy:

„Czeka cię, sokole jasny, nieszczęście bliskie; nieszczęście twoje, i nie twoje, w druha uderzy, ale w tobie się odezwie, innym echem się odbije...”

*Chasiam'*

*' Strzeżcie się! Zguba! (rom.).*

Alem się nawróżyła, idiotka jedna!

Nie wiedzieć czemu, nagle Druc mi się przypomniał. Jak tamtą niedźwiedzicę czarował, a potem tak samo na ziemi się rzucał, pianę toczył, cały siny, oczami błyskał wytrzeszczonymi...

- W nogi, Aza! żywo!

Nawet kart pozbierać nie zdążyłam. Katarina mnie za łokieć i do wrót! Dzieci z podwórka jakby wichrem wyniosło, a za nami Leila pędzi i ani się obejrzy.

A z tyłu wrzask stugębny:

-Zauroczyły go, kurwy jedne! Łapcie te suki! Zaraz więdznom żebra policzymy!

I górujący nad tym wszystkim ryk dziki, zwierzęcy:

- Wara! Niech sobie idą! To nie ich wina...

Ocknął się Wadiucha, dzięki niech mu będą wieczne!

Co ja takiego ci wywróżyłam, sokole?!

Przez wieś szliśmy szybko, choć nie biegliliśmy; co chwila jednak się oglądaliśmy, by sprawdzić, czy gruszewcy się nie rozmyślili. Czy nie pogonią? Rozgrzani gniewem mogą zapomnieć o zastrzeżeniu Wadiuchy: rzadko się zdarza okazja, żeby romskim więdznom dać nauczkę!

Ale, chwała Bogu, udało się. Nie pogonili.

Katarina odwróciła się do mnie na skraj wiosk:

- Azo, jak się te karty ułożyły?

Choć nie widziała, ale poczuła: cosik złego ciągnie drogą!

- No, chciałam jak zwykle, szczęście, powodzenie, żonę młodą, pieniędzy więcej. Sama wiesz, co trzeba mówić. Najpierw tak zresztą się układało - samo, wyobrażasz sobie? A potem... potem diabli nadalili tę dziesiątkę zoledną! Nieszczęście bliskie. Ledwo powiedziałam, a on...

- Oj, masz ty oko, Aza, masz ty oko! Mówili, że moja babka takie miała!

Leila idzie obok i zagryza wargi. Leilajest z serwów, a ci bardzo na wrózenie są zawzięci; widzą, co trzeba i czego nie trzeba. Druc mi opowiadał - on sam z lowarów\* pochodzi, ale wie - że zazdrości mi Leila mojego oka: ale zwykłą, dobrą i czystą zawiścią, nie ma w niej zła.

\* *Lowarowie, serwowie, keldarowie i.t.d - romskie grupy etnograficzne; lowarów najczęściej spotykano w Transylwanii, serwów w Malej Rosji i na południu Rosji właściwej.*

Dzieci dawno przodem uciekły. Pierwsze wszystko w lot odgadły.

Patrę: a one z powrotem ku nam gnają.

I krzyczą jedno przez drugie, niczym cietrzewie na tokowisku!

-Trup! Martwiak! *Dzia, diia!* Topielec tam leży!

Po romsku się dra, ale już dawno wszystko mi jedno, w jakim języku do mnie mówią. Czasami samej mi dziwno. Ale teraz jeszcze dziwniej: gdzie tu się można utopić, w stepie?

Plotą bez sensu, postrzeleńcy!

Ale za wzgórzem łączka i strumień przez nią płynie. Kiedy tu słyśmy, nie zwróciłyśmy uwagi. Na brzegu rośnie gęsta trawa, krzaki opuściły gałązki w wodę - i bieleje coś pomiędzy tymi krzakami.

Serce natychmiast skoczyło mi do gardła, a nogi odmówiły posłuszeństwa. A potem same do strumienia mnie poniosły.

Leżał tam Michaił-Miszok.

Jakby spał. Tyle, że nikt nie śpi z twarzą w wodzie.

Leży, ani drgnie. Kędziory bujne strumień kołysze i głaszcze w ostatniej pieszczocie. Misza, chciałeś się otrzeźwić?

Na zawsze się otrzeźwiłeś.

Chciałam go wyciągać - może jeszcze żyje, może go odratujemy? - ale Leila z Katariną mnie zatrzymały. Odciągnęły wstecz i z obu stron szepczą zawzięcie w uszy:

- Nic i nikt mu nie pomoże! To już trup! Chodźmy stąd, Azo!

- Zobaczą i na nas wszystko zwałą! Żywymi nas stąd nie wypuszczą!

-Chodźmy już, chodźmy! Nie patrz! Nie oglądaj się!

A ja mimo wszystko się oglądam. Szkoda tylko, że źle widzę, jakby mi mgła oczy zasnuła. I pojmuję: nie mgła to. Łzami się zalewam i łzy mi wzrok mącą.

Zatrzymałam się i zdławiłam płacz. Otarłam łzy rękawem. Spojrzałam ostatni raz, jakby na pożegnanie i widzę: daleko w stepie jakiś człowiek uchodzi. A idzie, jak tyka, do czapli podobny.

Mierniczy!

Nie inaczej, mierniczy. On chyba wtedy na podwórze w ogóle nie wracał...

I nagle wszystko w głowie zlało mi się w jedno: Wadiucha rzuca-ny parkosyzmami pianę z gęby toczy, potem martwa twarz Miszki mi się zwidziała - szkarłatna, z wytrzeszczonymi oczami, później mierniczy, wbija we mnie te swoje ołowiane guziki oczu; a nad tym wszystkim, głos:

Niby mój i jakby nie mój:

- Czeką cię, sokole jasny, nieszczęście bliskie. Nieszczęście twoje i nie twoje, w druha uderzy, ale w tobie się odezwie, innym echem się odbije, a świat niemiłym ci się stanie...

\*\*\*

A potem noc się zrobiła pośrodku dnia.

## V. FIODOR JOCHACZ

### ALBO ŻANDARMI TAKŻE TAŃCZĄ

*Ich wielkość trwa tylko chwilą,  
potem znikają;  
schną i więdną, bywają porwani jak wszyscy ludzie  
i odcięci jak kłos.*

*Księga Hioba*

Dawniej była tu tatarska jadłodajnia.

Nazwisko poprzednich właścicieli poszło w zapomnienie - Demirkajewowie? Kemirdajewowie? Mirkadajewowie? - ale starzy mieszkańcy do dziś się oblizują, wspominając tłustą dymłamę babci Fatimy. Tym, czym jadłodajnia zasłynęła wśród ludzi, była jakoś podawanych potraw. Nad baranią pieczenia z jarzynami unosił się obłok wonnej pary, a sama pieczeń tonęła w tak korzennym, zawieszonym sosie, że wydawała się zupa. Klienci pochłaniali dymłamę łyżkami z magnolii, zapobiegliwie osłoniwszy pierś serwetą, a lekkie wino rozchodziło się do niej w niewiarygodnych ilościach.

Następni właściciele przerobili jadłodajnię po swojemu. Nowe czasy, nowe prądy i mody. W menu pojawiły się wypisane wymyślnie i z zakrętasami: „Filet porrugese...bef-bruise...pudding dyplommat...” Ale święta dymłama pozostała ostatnim, niezniszczalnym bastionem minionej chwały, niczym reduta Konstantyna, co prawda wstydliwie zamienionym dla smakoszków na „pieczeń po tatarsku”.

A po brzegach sali w wykładanych dywanami niszach zostały niskie stoliki otoczone pufami zamiast krzesel.

Nad pufami też wisały kilimy - dla miłośników egzotyki.

Obecnie jadłodajnia, która wielokrotnie przechodziła już z rąk do rąk, nazywała się nie wiadomo dlaczego „Babilon 5”. A był ten piąty Babilon osobliwym pomieszaniem bożego daru z jajecznicą: letnicy o bladych twarzach siadali tu bez najmniejszego skrupowania obok smagłych winiarzy z Inkermanu, a baranią dymłąmę podawano wspólnie z kilkunastowarstwowym kulebiakiem (od krojonej wątróbki miętusa, do kuropatw z jabłkami Calville). Kelnerzy też nie przejmowali się swoimi strojami -jeden nosił tatarskie chałaty, inni fraki w jaskółcze ogony, a jeszcze inni zwykłe białe rubaszki, przepasane pasami z zatkniętymi zań pugilaresami wielkości łopaty.

1 to się podobało.

1 jeszcze strzelić palcami.

Dla szpanu.

Fiodor kiwnął głową szwajcarowi i przeszedłszy pomiędzy pijakami, przeciął salę na ukos.

Oto drzwi do kuchni.

Przy nich stał pusty stolik dla pracowników obsługi „Babilonu 5”. Fiodorowi zawsze pozwalano usiąść przy tym stoliku - z przyczyn, o których po części już była mowa, a częściowo wyjaśnią się później - i dobroduszne kucharki podkarmiły wiecznie zgłodniałego młodzieńca. Czasami zatrzymywał się obok starszy kelner, Karakałpaker August Modestowicz, człowiek o naturze serdecznej i przyjacielskiej. Przyglądał natarte brylantyną włosy, kichał delikatnie, zakrywając dyskretnie nos dwoma palcami i proponował Fiodorowi pracę restauracyjnego szwajcara. Wzrost, powiadał, postawa wspaniała... Weźmiesz łagę - wypisz, wymaluj Nabuchodonozor!

Co ty, gołabeczkę, szczęścia swego nie rozumiesz?

Fiodor wymawiał się jakimiś bzdurnymi powodami.

Na maleńkiej estradzie, przy pianinie z giętymi kandelabrami, siedziała szansonistka. Delikatne palce muskały lekko klawiaturę w niedbalej pieśczoce, jakby gładziły grzbiet ulubionego kocura; wzrok śpiewaczki pełen był smutku i tęsknoty.

Na salę sączyło się cichym ogniem:



- Życie nie przeszło, bzów płatki nie spadły  
 W powietrzu wisi woń wiosny luba,  
 Wokół się snuje tuman mgieł poblady  
 I gdzieś się czai zguba...

Milkli letnicy. Przerywali swoje wieczne, niczym marność nad marnościami i wszystko marność, rozmowy o niezliczonych dolegliwościach i chorobach. O cudownie leczniczych właściwościach wczesnego derenia i amuletów z chalcedonu. O polityce. O sztuce. O kuzynce Gruszeńce, której nikt nie chce wziąć, a jeżeli już zjawia się jakiś kawaler, to przeważnie farmazon i hulaka. ....

Ponuro opierali podbródki o pięści inkermańscy winiarze. Mrużyli oczy. Zapominali o cenach na zwykły Chateau-ikeme i złocisty tokaj. O plantacjach. O bydlakach pomocnikach z drewnianymi kłodami zamiast rąk. O cłach; o kontrabandzie też zapominali.

Coraz ciszej snuli się pomiędzy stolikami kelnerzy. W dwu palcach nieśli naczynka - byle tylko nie brzęknąć, nie zbić!

Ucichł Babilon.

- Skrzą się cekiny na tancerki rękach.  
 Gitara w śmiechu zanosi się próbach,  
 Nie każdą drogę przejść trzeba w mękach  
 Choć gdzieś się czai zguba...

Na estradzie, wokół niej, wprost na podłodze, zaścieliwszy ją barwnym kobiercem spódnic i szarawarów rozsiadł się „Chór Jaszki”. Najświetniejszy ze świetnych! *Aj, cziawale!* Widać, nie trafiła się dziś nigdzie hulanka, na którą by was zaprosili, czamogłowi. Sam Jaszka, Rom ogromnego wzrostu, w którego dłoniach gitara wyglądała niczym dziecięca zabawka, wtulił strzechę siwiejących już włosów w stopy śpiewaczki.

I płakał stary włóczęga.

Łzy płynęły i grzęzły w zmarszczkach przecinających jego twarz.

-Jak dawniej beztrosko, jak dawniej z hazardem  
 Czy sprzedam, czy kupię ryzykując grubo,  
 Niechaj skrzy się mika w szczelinach bazaltu,  
 Lecz gdzieś się czai zguba...

Fiodor patrzył, jak Kniahini od niechcenia jakby, mimochodem bierze publikę za gardło. Rozumiał, że patrzy na mistrzynię. Potrafi. Najpewniej nie posługiwała się teraz żadną z *małych* sztuk, po prostu śpiewała, nie kierując swojego śpiewu do nikogo w szczególności i już w tym kryło się mistrzostwo. Może stukrotnie starsze od wszelkich „działań eterycznych”. Sam Fiodor nagle zapragnął gruchnąć pięścią w stół, huknąć coś w rodzaju: „Ech! Zacznijmy nowe życie!” - i uronić łzę. Ale z tym gruchnięciem to mu jakoś nie wychodziło.

W teatrze Raszel grała, kogo jej kazali - duenie, powiernice i obrończynie heroin, komiczne staruchy - błyskawicznie wczuwała się w dowolną rolę. Można by pomyśleć, że zna na pamięć cały teatralny repertuar i może grać bez pomocy suflera. Częściej jednak spędzała wieczory w „Babilonie 5”. Jak w Jałcie, Surazu, Symferopolu; wszędzie się znajdowały jakieś „Babilony”, gdzie gotowi byli płacić za zabawianie klientów. Ojcowie założyciele Moskiewskiego Powszechnego nie protestowali. Gładko brali dziesiątą część dochodów śpiewaczki, co finansowo było bardziej korzystne od udziału Raszeli w spektaklach; jedynym niejasnym punktem dla geniuszy były możliwe plotki. Przepadek reputacji. Jak to? „Artystka z Powszechnego śpiewa w kabarecie? Chyba pan żartuje?!”

Kniahini obiecała zdecydowanie, że plotek nie będzie.

I nie było.

A Fiodora karmiono za to w „Babilonie” bezpłatnie.

- Nie ostygło szczęście, nie zapadła ciemność

I kropla krwi jeszcze noża nie splamiła;

Zostań miły! Jeszcze nie żegnaj się ze mną!

Choć komuś się zguba zdarzyła.

Rozdzwonił się kroplami rosy ostatni tryl. Ucichły dźwięki. Poruszyli się letnicy, drgnęli winiarze; otarł policzki twardy wilk, Jaszka Rom.

Szczęki wróciły do przeżuwanajadła.

Wargi znów się przypięły do brzegów pucharów.

A Kniahini zeszała z estrady, przelotnie - niczym małemu dziecku - zmierzwiła Jaszce jego kędziory i siadła obok Fiodora. „R-rączkę

pozwól pani ucałować! - natarł niemrawo jakiś niespożyty panicz, ale natknąwszy się wzrokiem na spojrzenie Kniahini, przełknął ślinę i wrócił do swojej kompanii.

Uradowany, jakby udało mu się skraść szansonistce całusa.

Nawet goździk w jego butonierce odzyskał wigor.

Kniahini o nic nie zapytała. Łyknęła wody z wysokiej szklanki. Fiodor też się nie odezwał. Pomilczał chwilkę i pomyślał. Potem opowiedział o groźbie cenzorskiej rewizji. Opowiedział, jak po raz drugi pobiegł do towarzysza naczelnika kolegium, i do zapobiegliwego urzędnika. Jak odnosił w kopercie prawidłowe papierki. I jak potem pili piwo wespół ze Stalowym Marcepanem.

O białym koniu nie opowiedział.

Przynajmniej nie wszystko.

O Cziambie natrętnym, z jego romskimi docinkami - też.

Zamiast tego zaczął się przyglądać Kniahini. Jak maleńkimi łyżkami popija wodę z bąbelkami. Od samego patrzenia w nosie szczypie. Gdyby zresztą nalać do tej szklanki wina burgońskiego albo szustowskiego koniaku, który tak lubi tragik Policzejmako - wypiłaby tak samo.

- Wiesz co? - nie chciał zaczynać, ale samo tak wyszło. - Może niech już tak zostanie?

- Co? - zapytała Kniahini.

- Wszystko. Bo ty mnie niczego nie uczysz, po prostu sobie jeździmy i tyle. Naprawdę. Niech tak zostanie. Przecież jest dobrze, bezpiecznie i wesoło. Chcesz, to się z tobą ożenię. Co z tego, że jesteś stara? A ja wezmę i się ożenię.

- Popatrz na mnie, głuptasie - odezwała się Kniahini cichym głosem.

Fiodor spojrział. Siedzi naprzeciwko kobieta bez wieku i obraca szklankę w palcach. Kasztanowe włosy dawno już jej odrosły, jak należy. Spadają na ramiona i podwijają się na końcach. Błyszczy na nich samotna srebrna szpilka zapinki, z drobnym szafirem pośrodku. No, oczy - mało takich oczu jest na świecie. Policzki wysokie, usta zaciśnięte nieco mocniej niż zwykle.

1 pierścionek na środkowym palcu: kwiat tulipan, którego lodyżka obejmuje palec.

A szklanka uniosła się nieco wyżej. I twarz Kniahini prześwieca przez szkło. Na krawędziach otaczają tęczowa obwódka, a sama twarz miga jak obraz na wodzie. I mieni się; była poprzednia twarz, ale już

znikła, stała się inna. Czarodziejska. I szklanka zaczarowana: nie wino w niej i nie woda, ale twarz Raszki-Kniahini.

Zobaczysz raz - i do nóg paść chciałbyś.

Szklankę do sefju by zamknąć, żeby w największe święta roś poranną z niej pijać.

Ki diabeł?!

A szklanka już zielonym szronem się pokryła. Niby płomień świeci. I fiołkami skądś pachnie. A wokół szkła niejedna dłoń, tylko dwie, złęczone nierozzerwalnym uściskiem. Dwie? A może cztery? Sen to czy jawa?

Fiodor wie: Nie sen.

Odwrócił się.

- Widzisz - mówi Kniahini jakby bez związku; ustami porusza, ale słów cichych nie usłyszałby, który nie powinien. - Nie trzeba, żebyś się ze mną żenił. Wszystko to głupstwa. Patrzyłeś teraz na mnie przez szkło, a inni patrzą na ciebie jak na to szkło. I za szklanym, przejrzystym Fied'ką widzą mnie. Starą, złą, i mądrą. Doświadczoną i bywałą w życiu. Rozmaitą. Oni sapo prostu ślepi. Myślą, że wszystko to ty: szkło i co za szkłem. Dlatego im się podobasz, dlatego każdy cię ciągnie do siebie. Ciągną przeciw, prawda?

Fiodor kiwnął głową.

- Czas nagli, Fiedieńka. Na razie ja w ciebie wejść i tobą się stanę. Całkowicie i do końca. Ja- i jeszcze Druc. Dziwna sprawa nam się przydarzyła, Fiedieńka, nawet nie zrozumiesz, jak dziwna... tylko nie próbuj ode mnie uciekać! Zrozumiałeś?

- Dlaczego?

Dziwna rzecz: wcale nie zamierzał uciekać, a mimo to zapytał. Ot tak, na wszelki wypadek, czy co?

Kniahini odłożyła szklankę na stół.

- A dlatego, Fiedieńka, że ja cię niczego nie uczę. Sam tak przeciw powiedziałeś. Sam się uczysz; choć i to może nie do końca prawda. Wyrzynają się z ciebie, głupiego dębczaka, skrzyпки drogocenne; pokrywy, gryf i wcięcia po bokach. Leje się w ciebie jak do szklanki: skoro i nieskoro, a będzie pełna. Więc nie uciekaj taki, jaki jesteś - niewyrzeźbiony i niepełny.

Twarz naprzeciwno nabrała twardości żelaza.

I lodowego chłodu.

- Ale możesz nie zdążyć, przyjacielu miły, Fiedieńko.

- Z czym nie zdążyć?

- Nie zdążysz dobiec z powrotem.

I prawie natychmiast, przekształciwszy żelazo w najdelikatniejszy puch, błysnąwszy okiem niczym dziecko, zapytała pospieszonym, konspiracyjnym szeptem:

- Boże! Czyja też byłam tak naiwnym dzieckiem?! Kiedy? Gdzie? I czy w ogóle? - I sama sobie odpowiedziała: - Było, minęło. Uważaj, Fied'ka i w razie czego mnie nie przeklinaj... *Doyou understand, my prince?*

- *Yes, I do*- machinalnie odpowiedział Fiodor, usiłując w istocie zrozumieć coś zupełnie innego: co on w końcu rozumiał, skoro odpowiada?

Co?

I dlaczego serce przeniknęło słodkie i straszne drzenie?

*-Andseem a saint, when I most play a devil. Andseem a saint, my princess...*

- Słusznie. Zuch - uśmiechnęła się Kniahini i powtórzyła to, co powiedział Fiodor, wymieniając słowa na słowa: - „Stwarzam pozór świętego, diabła rolę grając...” Stary, dobry Ryszard III! Jakże trafne! Tylko ty, Fiedienka, nie marszcz czoła. Nie spiesz się ze zrozumieniem. Zrozumienie, przyjacielu, to Prawo i Konwencja. A drogi powrotnej nie ma. Z każdym nowym przyswojonym pojęciem przestajemy być takimi, jakimi byliśmy; zmieniamy się na zawsze i bezpowrotnie. Czy ci się to podoba, czy nie - wybór został już uczyniony, a spieszyć się nie ma do czego.

I w tej akurat chwili rozległ się na ulicy turkot licznych kół i tętent końskich kopyt, a zaraz potem krzyki.

MM

-Jaszka! Sukinsynu jeden! Atuśmi!

-Gospodarzu! Szampana!

- Wszystkim szampana! Najlepszego, „Abrau-Diurso"! Na mój rachunek!

- Jaków, hultaju jeden! Daj, niech cię ucałuję! Zaśpiewaj mi, Jaków! Tańcz! Oczaruj duszę!

Pierwszy wdarł się do „Babilonu 5" olbrzym w czarnym surducie. Z jego potężnego nochała nieustannie zsuwały się okulary *pince-nez*, zawisając na łańcuszku. Siwiejąca już strzecha włosów drżała wstrząsana dreszczem. Olbrzym natychmiast objął Roma Jaszkę nie-

dźwiedzim uściskiem i obaj zawirowali po całej sali, gniotąc sobie żebra aż do chrzęstu kości i wykrzykując radosne powitania.

Tego gościa znali wszyscy. Dorożkarze nazywali go Dzikim Panem, służba w krymskich i kaukaskich majątkach „wasza-wieść”, skracając i zniekształcając jaśniepański tytuł; skorzy do kwiecistej mowy Tatarzy nadali mu przydomek Aslan-Deli, co znaczyło „Szalony Lew”, a wymuskani członkowie Klubu Angielskiego zawsze mieli jedno wolne krzesło dla kniazia Lwa Golicyna.

To on, „wasza-wieść”, tuż obok domu generała-gubernatora otworzył sklepik, w którym sprzedawano wspaniałe wino po dwa-dzieścia pięć kopiejek za butelkę.

To on, Dzikie Pan, posprzeczawszy się z zawołanym opojem Skuratowem, rozkazał wylać na ziemię pełną beczkę przedniego xeresu tylko dlatego, że wybrednemu Skuratowowi wino zalatywało mokrą skórą, a samemu kniaziewi - miedzią. Wieść niosła, że na dnie beczki znaleziono miedziany ni to krzyżyk, ni to klucz od piwnicy, na skórzanym rzemyku - diabli wiedzą kiedy, utopił tam ów drobiazg jeden z pracowników winnicy; i adwersarze się uspokoili, zadowoleni jeden z drugiego.

To on, Szalony Lew, ukrył u siebie rannych studentów po rozprawieniu przez kozactwo uniwersyteckiej demonstracji, a gdy po buntowników przyszli przedstawiciele władz - spoił w trupa policjantów, studentów i całą ulicę, ogłaszając, że akurat obchodzi imieniny, wszyscy są jego gośćmi i takim sposobem ocalił młodych od policyjnych dochodzeń.

To on, Lew Golicyn, nigdy nie pił wódki.

Posunął się nawet do tego, że z całej swojej bujnej duszy obstawał przy zakazie jej picia jak państwo długie i szerokie.

-Grzej Jaszka! Śpiewaj! Tańcz!

### *Notatki na marginesie*

*Kniaz Golicyn nie patrzy na świat oczami, ale dwiema czarami iskrzącego się szkarłatnym i złotym blaskiem wina. Takiego wina, że jeden kielich zawróci w głowie, a już dwa... Ale jeżeli ktoś zanurkowałby w te kielichy, od razu w oba, nie oglądając się na nic i zdawszy się na rosyjskie: „jakoś tam będzie” - to na dnie znalazłby:*

*...staruszka.*

*Siedzącego na piaszczystym wzgórku nad zatoką. Maleńki staruszek, cały w zmarszczkach, w wytartym czarnym surduciku i wyświechtanych porciętach. Chytrym spojrzeniem zmrużonych oczek mierzy słońce i mewy -przysiadł sobie, żeby odpocząć. Ale... przyjrząwszy mu się uważniej, nagle pojmujesz, że nie jest on taki stary, jak mogłoby się wydawać, i nie taki znużony. Przeciągnie się nagle całym ciałem - i trzaśnie w szwach surducik, a z rękawów wysuną się potężne lwie łapy!*

*I zadrży zatoczka od tryumfalnego ryku!*

Z chóralną pieśnią na ustach: „Przyjechał do nas ukochany nasz...” do sali wdarli się pozostali hulacy. Tęgi staruszek z bujną, rozczesaną na dwa skrzydła brodą („Kaszperow! Fabrykant cukru Kaszperow!” - zaszeptano przy stołach), zaraz za nim rotmistrz żandarmerii, wysoki, chudy i tak pijany, że wyglądał na kompletnie trzeźwego; i stadko aktorek, wśród których Fiodor spostrzegł dwie pulchniutkie pierwsze naiwne z zespołu Moskiewskiego Powszechnego; jeszcze jeden żandarm, tym razem podoficer, opiekujący się podchmielonym rotmistrzem z troskliwością rodzonej mamuni... jakieś trzy miłutkie osóбки, wczepione w ogon szczodrego kniazia... jacyś rozhułkani Romowie z gitarami i bębenkami, zebrani najwyraźniej po drodze, na bulwarze, dla braku Jaszki i jego ludzi.

Fiodor się nawet nie zdziwił, rozpoznawszy w najbliższej z grających na tamburynie dziewczyn przyjaciółkę Akulinę, a w chwackim gitarzyście, który natychmiast rozpląnął się pośród członków zespołu Jaszki - Druca.

Skoro przyszli - mieli powód.

Dzień dziś taki... ale jakież to dzień, noc już na dworze!

Obsługa restauracji niemal się pogubiła, rozsadzając znakomitych gości - rzadko się zdarzało, żeby zjawiali się tu w takim wyborze. Jakże rzadko! W zasadzie nigdy wcześniej. Strzelały korki, piana lała się wprost na obrusy, na spodnie, suknie dam i na podłogę, wrzawa jednak stopniowi się uśmierzyła i radosny ryk kniazia Golicyna zabrzmiał już we względnej ciszy - o ile w ogóle można mówić o ciszy w takim miejscu jak „Babilon 5”.

-Rozalio Samuelowna! Prosimy! Słyszałem was w Jalcie! Prosimy...

- Prosimy! Gołąbeczko, zagrajcie dla nas! -podjęto ze wszystkich stron.

Kniahini wstała bez słowa, skłoniła się i bez sprzeciwów podeszła do estrady. Usiadła przy instrumencie przy dźwięku cichnących z pełnym nabożeństwa szacunkiem bębenków. Przycisnęła pedał czubkiem trzewiczka. Musnęła klawisze samymi koniuszkami palców; i cofnęła ręce, jakby ją ten dotyk sparzył. Znów je musnęła, jakby pytając bez słów: ostygłyście, nie będziecie płatać złośliwych figielków? I prawie natychmiast obok niej znalazł się Druc: jakby mimochodem przyklęknął na jedno kolano i trącił struny jedną po drugiej w rozlewnym, potoczystym akordzie.

Jakby ostudził słońsiową kość i heban pod delikatnymi paluszkami Kniahini.

Klawisze odpowiedziały natarczywym jękiem. Gniewnie. Ale zaraz uśmierzyły złość, bo gitara łagodnie, prawie błagalnie, załkała prośbą o wybaczenie.

I dalej pociągnęły w dwugłosie: pytanie, odpowiedź, gniew i błaganie.

Wsluchujący się w duet Fiodor natychmiast spostrzegł, że oboje są zdenerwowani. I popatrują na stolik, gdzie pomiędzy niezbyt usilnie strzegącymi swej cnoty pierwszymi naiwnymi błyskał srebrem guzików - po sześć w rzędzie! - szafirowy mundur rotmistrza żandarmerii. Sam Fiodor zresztą, trzeba przyznać, w życiu nie widział tak papuziego munduru: jaskrawa obszywka na mankietach i wyłogach, a w talii - srebrzysty pas z materiału, wykończony kutasami.

A kołnierzyk podbity szkarłatnym sukнем.

Odświećnie, ale nie po romsku, kiedy kolor na kolor się wpycha i kolorem pogania. „Urzędowo odświećnie” - pomyślało się mimo woli. I jeszcze: ciągnie od rotmistrza niebywałym chłódkiem.

Kurtkę by narzucić, żeby się ogrzać - ale nie ma kurtki.

A fortepian z gitarą cały czas prowadziły swój sekretny dyskurs i bez przerwy Druc z Kniahinią mierzyli rotmistrza podejrzliwymi spojrzzeniami. Jak myszy w spichlerzu: kradną ziarenka i zerkająca śpiącego kota. Kradną i popatrują. A nuż się ocknie i skoczy? A kraść trzeba! Chcesz czy nie -jak mus, to mus!

Odchylił się Fiodor ku oparciu krzesła. Zmrużył powieki i rozluźnił się. I wtedy muzyka weszła weń naprawdę. Zsunęli się z estrady Rom z kobietą w nieokreślonym wieku i stanęli bezszelestnie, nieopstrzeżenie za plecami; u prawego i lewego ramienia. Dla wszystkich



nadal znajdowali się tam, na scenie; dla Fiodora Sochacza - tam i tu. Chłopak widzi i słyszy coś niebywałego; dźwięczy gitara nutkami o wsi Gruszewka, rytmem opowiada o nieliczej pijatyce z przemysłnikiem Skoworodką, z akordu na akord ciągnie pieśń o młodziku, którego utopiono albo utonął po pijanemu. A ciężki fortepian to zapyta basem, to cofa się ze zdziwieniem, to deszczem nutek nieznanego rybaka maluje, a rybak plecie bzdury: „Kazali przekazać... na nowym stole pod Asa najpierw wychodzą...”

Pod jakiego asa?

Jaki młodzik się utopił? Co za rybak się zjawiał?

Siedzi Fiodor z zamkniętymi oczami i pod nosem podśpiewuje sobie unisono melodyjkę. Niby podśpiewuje. Ej wy, dwoje! - podśpiewuje. Dość sekretów! -. Niczego nie rozumiem! -nuci.

Bo i nie trzeba! - odpowiadają mu w duecie.

Odpowiedzieli i umilkli.

Pijani goście sypnęli brawami. Ci, co byli trzeźwi, też odpowiedzieli frenetycznymi oklaskami. A książę Lew pięścią z nadmiaru zachwytu w stół uderzył. Przyszło naczynia porozbijane ze stołu usunąć, ale to drobiazgi. Zdarza się. Romowie pohukują, brzęczą, klaszczą w rytm, Romki rozbiegły się po sali niczym kwiaty na łące. Wirują wokół gości. Jedna przyczepiła się niby rzep do Fiodora; chwacki chłopak wedle każdej miary, a że w kieszeniach ma tylko powietrze... miłość nie słucha głosu rozsądku!

- Mój chwacie - śmieje się, błyskając bielą zębów. - Przeżegnaj mi dłoń złotem! -1 ciszej, szeptem: - Żandarma widziałeś?

- Widziałem - odpowiada Fiodor Akulce. Zresztą i tak wszystko jedno, obok nie ma nikogo, nie podsłuchują. - Aż dwóch. Tam szampana chleją: rotmistrz i podoficer przy nim, jakby wujek. A co?

Akulka się śmieje, a w oczach ma strach. Rozlewa się niczym błotne trzęsawisko i wszystko pochłania. Ciamka. Dobrze strachowi. Śmieję się, dziewczyno! Jestem tutaj, straszycie i nigdzie nie odejdę!

Akulka wzięła chłopaka za rękę i dalej wodzić palcem po pokrytej odciskami dłoni. Udaje, że wróży.

- To mierniczy z Gruszewki - wróży. - Ten niby rotmistrz. Podobny, że nie daj Bóg! Widziałam go na wiejskiej popijawie, a potem w stepie, kiedy od martwego Miszki uciekałam.

Mówi tak, jakby doskonale wiedziała, że Fiodor słyszał rozmowę gitary z fortepianem. Nie ma co powtarzać szczegółów.

- Jesteś pewna?

- Nie. Przecież mówię: podobny. Tamten był ponury, a ten niby też, ale inaczej. I mundury mają różne na sobie. Mogło mi się pomylić. A zresztą: skąd mi wiadomo, że Miskę utopili na siłę? A może sam się zachłysnął?

Fiodor wzruszył ramionami. Była dziewczka głupia i głupia została. Rotmistrzowie u niej za mierniczych chodzą. Miski się zachłystują. Co prawda, nie da się ukryć, że wylądowała. Służy jej wolność w taborze.

Chciał to powiedzieć głośno, ale nie powiedział.

Zmieszał się i zawstydział.

- O wszystkim już mówiłam Drucowi w taborze - palec Akulki poruszył się wzdłuż dłoni Fiodora figlarną pieszczołą. - I potem, w mieście, kiedy zobaczyłam ich przelotnie. O tym rotmistrzu, podobnym. A Druc nie uwierzył. Odpowiedział: niemożliwe. Odpowiedział, że te żandarmerskie łapacze całe życie mają ujęte w karby Kodeksu Karnego, odtąd dotąd. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby „Barbarzyńca” jakiś prawo złamał. Słuchaj, Fiedoniusza? A może już straciłam rozum?

Fiodor znów wzruszył ramionami. Gdyby miała rozum, to mogłaby go stracić. A tak... Spojrzał ponownie na rotmistrza. Zajrzał mu w samą twarz.

I skamieniał na widok tego, co zobaczył.

Twarz jak twarz. Pomarszczona i poryta bruzdami. Spod powiek połyskują matowo dwa łożowane guziki, wystające kości policzkowe i usta ukryte pod wąsami. Cokolwiek życie nie namaluje na takiej twarzy, pozostanie bez wyrazu. Twarz z tych, których nie nauczone wyrażania uczuć. No, może umie mrugać powiekami lub poruszać wargami. Ale kipi wewnętrznie, za kamienną osłoną, kocioł ze smołą. Aż się pieni. Sam siebie łyka, sam się wchłania.

I dlatego twarz drga, targana nerwowym tikiem.

I dlatego poruszają się mięśnie na wystających policzkach. I dlatego rotmistrz wrzuca w siebie szklanek za szklanką, kielich za kielichem.

Zalewa trawiący go pożar, ale zalać go nie może. Dziwnie patrzeć Fiodorowi, jak człowiek własną duszę kęsami połyka. I w tej chwili porwał się rotmistrz na nogi; nie chwiejąc się wcale wszedł na środek sali.

- Jaszka! Rwij duszę! W kawałki! - ryknął.

Uderzył Jaszka w struny. Wzbił się w powietrze dźwięk sławnych tamburynów zza gór. Podchwyciły melodie klawisze Kniahini.

Romki skoczyły w tan. Widzą goście - w zawierusze spódnic, smagłych, załamanych rąk, drzeniu kobiecych ramion, w pieśni, śpiewie i szalonym tupocie tańczy rotmistrz żandarmerii.

Pies gończy.

Duma i chluba Trzeciego Oddziału.

-Jaszka! Zacinaj!

Dźwięczą cekiny tamburynów. Jęczy bity obcasami parkiet. Gitary oszalały - nie śpiewają, a wyją jak wilki.

Tańczy pan rotmistrz.

I słyszy Fiodor w huraganie szalonych dźwięków, przez rytm tańca śmierci:

- Nie ostygło szczęście, nie zapadła ciemność,

I kropla krwi jeszcze noża nie splamiła;

Zostań miły! Jeszcze nie żegnaj się ze mną!

Lecz już komuś się zguba zdarzyła.

Już.

Znikł rotmistrz w huraganie i zawierusze.

Runął na ziemię, samiec dorodny.

Fiodor sam nie zrozumiał, dlaczego natychmiast zerwał się od stolika. A doskoczył jako pierwszy. Jeszcze romskie tancerki klaskały w dłonie, jeszcze chichotał wilczym śmiechem siwy Jaszka i stał pośrodku parkietu, niczym samotna góra kniaź Golicyn, rycząc: „Dalej-że!"; jeszcze bili w tamburyny, rwali struny - a chłopak już padał na kolana obok rotmistrza.

Widać przecież: to nie trunek zmógł tego człowieka! Czemu tańczą? Czemu się śmieją? Nie pojmują niczego?!

- Rozstąpcie się! - woła Fiodor. - Dajcie powietrza!

Rwie haftki na żandarmskim kołnierzu. Purpurowe sukno mieni się jak mięso; jakby ranę otworzono. Wykręciło rotmistrza zupełnie nie po ludzku. Fiodor nie mógłby narzekać na brak siły, ale i jemu nie stało krzepy, żeby utrzymać miotanego drgawkami „Barbarzyńcę". Dwie ręce wczepiły się chłopakowi w gardło. Nie duszą go, tylko trzymają.

Miota się rotmistrz, jak wyrzucony na brzeg jesiotr.

- Ktoś ty?! - piana z warg bryzga Fiodorowi w twarz. - Kto?!

- Nikt! - odgryza się chłopak. - Niech ktoś mi pomoże!

Wargi wykrzywia straszny uśmiech.

Lewe oko utkwiło spojrzenie gdzieś za plecami Fied'ki.

- Nikt? Wiedz więc, mój kochany, że Nikt zjedzon będzie na ostatku, kiedy się rozprawię z pozostałymi; oto i mój podarek! Tak!

I nagle sflaczał rotmistrz. Rozwarł szeroko oczy. Pustka z nich zionie. Był człowiek, nie ma człowieka i od razu wiadomo, że więcej nie będzie.

- Pijany? Zachorował? - pyta chłopak z roztargnieniem, wpatrując się w twarz byłego człowieka.

- Zwariował - odpowiedziano mu zza lewego ramienia.

Fiodor się obejrzał: Kniahini.

Stoi.

I nagle chłopca zdjęło przerażenie dwakroć większe niż to, którego doznał przed chwilą, gdy w jego ramionach człowiek przestał być człowiekiem.

Dlatego, że po raz pierwszy zobaczył Kniahinię zbitą z tropu.

- Wiedz, że Nikt zjedzon będzie na ostatku - wymamrotał chłopak, czując, jak po grzbiecie przebiegająmu zimne palce trwogi. - Co to miało być?

- Tak powiedział cyklop Odysowi - Kniahini powiodła wzrokiem po sali i tam, gdzie padło jej spojrzenie, robiła się cisza.

Martwa cisza.

Do czego pił żandarm - Bóg jeden wie. Pewnie palnął bez zastanowienia.

Widać było, że Kniahini łże.

Żandarm dobrze wiedział, co mówi.

## Krań Piąty

**LECIAŁ /OKÓŁ, LECIAŁ JAINY**

- *Bij magów, ratuj Cymmerię!*

*Opera „Cymeryjczyk zachwycony”*

*Aria Conana Akwilońskiego*

**DOBÓR KART**

Nóż do sprawiania ryb zręcznie migał tam i siam.

Jakby tańczył z osełką. Tylko zamiast osełki na desce leżała plamiasta i pręgowana tusza skumbrii; tłustej, bo złowionej we wrześniu. Ostra klinga rozbierała rybę ze zręcznością doświadczonego lowelasa lub -jak kto woli! - rzeźnika sadysty Gołubacha, słynnego maniakalnego mordercy, którego powieszono w Rostowie zeszłego roku. Najpierw oddzieliła cienkie kęsy skóry z zewnętrznym, ciemno-liliowym mięsem, a potem zabrała się do delikatnych filetów z grzbietu, piersi i boków.

Po raz pierwszy zajęcie, zwykle i codzienne jak okap z gałęzi łoży nad głową, nie dawało cioteczce Demeter zadowolenia. Drażniło. Męczyło ją. Przypominało o tym strasznym i niezwykłym, o czym nie tylko myśleć, ale i wiedzieć w ogóle nie chciała.

A jakże nie wiedzieć?

Stara kobieta westchnęła i wrzuciła rybi szkielet z głową i ogonem to koszyka. I sięgnęła po następną rybę. Skumbria niemal wyślizgnęła się jej z palców - ale ją utrzymała. I zabrała się do oprawiania -raz dwa, i lecały piękne kęsy!

Gdzieś tam, daleko od Bałakławy, tak daleko, że wydawały się tylko mirażami z głupiej bajki, stały banki, których cioteczka nigdy nie widziała. Nad najbardziej tłustymi w świecie rybkami śmigali tam nożami urzędnicy i klerkowie, których cioteczka Demeter też nigdy nie widziała. Pocili się, brudząc białe koszule i co chwila poprawiali krawaty. I bardzo często powtarzali czarodziejskie słowo: „rachunek”, podobne do nadętego parą mydłanego pęcherza, który łada moment pęknie. W tych pęcherzach zaś, tęczowymi iskierkami, przelewały się pieniądze.

Mnóstwo pieniędzy, których stara kobieta nigdy nie widziała, podobnie jak bankowych budynków, klerków i tych rachunków podobnych do mydłanych baniek.

Wcale nie musiała ich oglądać.

To były jej pieniądze.

Zamiast nich cioteczka Demeter widziała sny.

Wiedziała, że jest bogata. Niezmiernie, potwornie wprost bogata. Za jej sny płacono aż nazbyt szczerze - za sny, zajedno-dwa słowa, rzucone mimochodem, za ostrzeżenie albo lekkie skinienie głową. Mimo tego, że ani razu nie trafiła w ręce żandarmerskich łapsów i ani razu nie wciągnęła w płuca zgniętego więziennego powietrza. A raczej płacono jej za to dodatkowo. Choć wiadano, że starej (niekiedy jednak młodej, zgódźmy się zatem, że dojrzałej) kobiecie pieniądze potrzebne nie są.

Oprawia skumbrię i ta tłusta, wrześniowa ryba daje jej radość, podobniejak niebo - wrześniowe, niebieściutkie; i cierpki zapach zbliżającej się coraz szybciej jesieni i marynaty w glinianej wazie.

Recepta marynaty była źródłem jej skrytej dumy. Wiele, bardzo wiele cukru, sporo cynamonu, gałki muszkatolowej i goździków, bardzo mało soli i żadnego octu. I jeszcze kilka drobiazgów, o których wam wiedzieć nie trzeba. Kawalki mięsa moczyły się w tym pod przygniecioną odpowiednim ciężarem przykrywą i nie przyszedł jeszcze na świat człowiek, który nie wytrąbiłby do nich butelki lub dwu mocnego wymrożeńca, lykając slinkę i zachwycając się mistrzostwem cioteczki Demeter. Jak robiło to już trzecie pokolenie mieszkańców Bałakławy, albo ten bardzo zabawny letnik i próżniak, który utrzymywał, że jest pisarzem i błagał cioteczkę Demeter, żeby nazywała go po prostu Saszką.

Od tego wszystkiego robiło jej się cieplej na duszy.

A pieniądze? Powiedzcie, kochani, po co jej pieniądze?

Brała tylko na korzenie do marynaty, nie mogąc odmówić; a i to bardzo niewiele.

Stara kobieta podniosła głowę. Naprzeciwko, nad wiadrem z takimiz rybami i takimże koszykiem na ości, siedziała Helena. Dla wszystkich - Helena Kostandis, samotna nieboraczka, ani męża, ani rodziny, zabijająca czas siedzeniem przy staruszce i w zasadzie nie ma o czym gadać.

To dla wszystkich.

A cioteczka Demeter wiedziała: Helena już niedługo wejdzie do Konwencji. Może za miesiąc, może za dwa. Z pewnością jeszcze przed Nowym Rokiem. I wtedy wyjedzie do pracy. Dla odeskich przemysłowców. Albo do jałtajskiego domu gry. Ale najpewniej do Symferopola, na tor wyścigowy.

Tak, najpewniej.

\_J

Symferopolanie jeszcze przed końcem tego miesiąca powinni byli przysłać jakiegoś człowieka; zjawi się i otrzyma zgodę. Stara kobieta szykuje się do tego, żeby wyprawić z nim Helene; nową uczennicę znalazła sobie jeszcze półtora roku temu. Dziewczyna czekała i będzie czekać, dopóki trzeba.

Siedząca naprzeciwko Helena też podniosła głowę, kiwnęła krótko i ponownie zabrała się do skumbrii. Dawno już nie potrzebowały słów do tego, żeby się porozumieć. Nie jak matka z dorosłą, ukochaną córką. Nie jak przyjaciółki, codziennie się spotykające.

Jak As Żołędny z uczennicą, która na dniach wejdzie w Prawo i do Konwencji.

Kto wie - zrozumie.

Po raz pierwszy w swoim długim życiu cioteczka Demeter bliska była tego, żeby przekląć swój straszny i pełen słodczy dar. Ponieważ sny Heleny wciąż stały przed nią otworem - niby jej własne. I oto już miesiąc prawie mija, jak tam, w tych przejrzystych snach krzyczały przerażone mewy, a w dół zbrocza powoli pełzła lawina liści.

A widzeń nie było.

Ślepotą.

Inna ślepotą niż ta, jaka się zdarza, kiedy umiera dar. Zupełnie inna - i umieranie całkiem inne.

Los wypowiedział się osobliwie jednoznacznie i As Żołędny z jej uczennicą doskonale to rozumiały. Tylko kiedy? Jutro? Za rok? A może za lat dwadzieścia?

I może z losem można by się jakoś dogadać?

Wczoraj cioteczka Demeter podjęła próbę podejrzenia odpowiedzi. I ona ostatnio miała swoje sny, w których nie krzyczały mewy, a czysta zgroza, co było dziesięciokrotnie gorsze. Ale mimo wszystko spróbowała. I niczego nie zobaczyła ani nie usłyszała - tylko krzyki mew i szelest zsuwających się liści.

Ślepotą.

Mętna, nieprzejrzysta ciecz przed oczami.

Trzeba będzie zajrzeć do cerkwi. Postać przed ikonostasem Pokutnika, wpatrzeć się w korowód jednakowych twarzy, ciągnących się przez wszystkie te grzeszne lata, od niepamiętnych czasów po dzisiaj, od Golgoty do Bałakławy i pokłonić się przed groźnym obliczem Ojca i Najwyższego Sędziego, a potem zapalić świece przed Orędownikami... W milczeniu, bezgłośnie skowitem psa błagającego o zmiłowanie przypomnieć: sieroca ochronka w Kerczu, wzniesiona za pieniądze jednej nieszczęśliwej staruchy z Bałakławy i jeszcze dwa przytułki w Jałcie i Teodozji, cerkiew w Surożu, przy której jakiś przedsiębiorczy Karaim zaczął handlować wodą z cudownego źródła, nadawszy jej firmową markę „Bogurodzica z Suroża”

-Wiadro „Bogurodzicy"! Pół wiadra! Podrożała? Dlaczego?

Kiedy cioteczka Demeter się o tym dowiedziała, zmarszczyła brwi i Karaim z jego wodą znikł, jakby go tu w ogóle nie było.

Nie, wizyta w cerkwi jej nie ulży. Tego akurat stara kobieta była pewna. Wymawiała się od pustych snów z czajkami w znany już sobie sposób: końcem terminu nauki chrześniaczki Heleny. W tym okresie w każdej chrestnej matce, czy byłaby Asem, czy marną Dzieśiątką, wzbiera i nabrzmiewa siła, i trzeba postępować bardzo ostrożnie, żeby nie odstraszyć, nie zerwać Umowy, i nie spłonąć.

Zwłaszcza w wieku cioteczki Demeter.

Do koszyka spadł nowy rybi szkielet z głową i ogonem. Stara kobieta opuściła wzrok w dół. Góra kruchych ości, w pół otwarte pyszczki, wybaluszone oczy pytają: „Za co? Za co do marynaty? Z cynamonem? Z cukrem?!” Istny Sąd Ostateczny. Od razu się przypomniało: gońcy porozsyłani jeszcze w poprzednim tygodniu złożyli raport: znaleziono. Znaleźli, kogo szukali i napomknęli: „Na nowym stole pod Asa najpierw wychodzą...” Jutro rano należy się spodziewać gości.

„Heleno, wyjdiesz na spotkanie?” - zapytała bezgłośnie.

„Wyjdę” - padła odpowiedź.



Cioteczka Demeter westchnęła. I spojrzała na pokryty śluzem nóż, jakby go zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Nie wiedzieć dlaczego, wytarła dłonie o fartuch.

I jeszcze raz westchnęła.

A w dali - w niebie? we śnie? w malignie?! - cały czas krzyczały niewidoczne mewy.

## VI. AZA-AKULINA

### ALBO DOBIERANE TRUPY

*Wykażę ci to, tylko posłuchaj mnie,  
i co widziałem opowiem.*

*Księga Hioba*

Spać mi się chce, że aż strach! Nogi same z siebie idą, jakby ktoś inny je za mnie przestawiał; z lewej góra pełźnie, z prawej - przepaść w dół się wali. Z początku strach mnie brał - a jak zlecisz z takiej wysokości, to co będzie? Ale teraz już mi niestraszno. Wszystko jedno. Tak bardzo mi się chce spać.

Zlecisz, to jeszcze w powietrzu zaśniesz.

I z tego snu - w śmierć.

- Zmęczyła się dziewczyna. Zgoniłeś ją, Druc.

- Dojdzie. Kniahini, a czy pamiętasz, że byłaś taka sama? I co, śmiech cię nie bierze?

- Ja już się w życiu swoje naśmiałam.

Niby ranek, mgła i zimno - a szczęki ziewanie rozdziera. Zupełnie jak wtedy, w Charkowie, gdy Druc zatrudnił się w kuźni na Moskalewce, a mnie załatwili pracę roznosicielki u mleczarki. Kobiętę jeszcze przed świtem diabeł z łóżka zganiał, a ona mnie budziła kuksańcami - najpierw krowy musiałam doić, a potem wedle spisu klien-

tom bańkami roznosić. Cały ten czas usiłowałam się zorientować; na wsi żyję czy w mieście? Ciotka miała chlewik na podwórku, obok wygon; i proszę, zaraz się miejska ulica zaczyna. Przejdziesz kawałek, skrećisz za róg -kamienne domy wokół wyrastają, piętrowe, a dalej już całkiem pańskie, niby pałace!

Trochę mi było głupio po pańskim życiu w hotelach z posługą nocować niemal w chlewiku u ciotki mleczarki. Dokładnie tak, jak w Kęs-Preclu. Przedtem i słowa bym nie powiedziała, a co mi tam, nawykła jestem - a teraz proszę, dojadło mi to! Po atlasach ponownie nosem w błocko. Czyżby Druc niczego lepszego znaleźć nie mógł? Ma przecież i pieniądze, i swoją siłę mażą, i...

Tak mu też wypaliłam. A on: „Leż na dnie i się nie szarp. Szubienica za nami tęskni, Akulino. Zrozumiałaś?”

Oczywiście, że rozumiałam i się nie szarpię. Milczę. No, dobra. Nie na zawsze przecież. W domu też tak mogłam. Wstawać z kurami, z łuczycem do chlewa iść, a potem - na ulicę, w szarość przedświt.

Nudno.

Dobrze choć, że niedługo mnie mleczarka tak dręczyła. Któregoś dnia wieczorem zjawił się wujek Druc. Zaraz potem, jak Raszelka z Fiodorem z miasta wyjechali. My się z nimi prawie nie widzieliśmy: Kniahini dopiero przez samym wyjazdem zajrzała, żeby się pospieszenie pożegnać, Drucowi w ucho kilka słów szepnęła- i tyleśmy ją widzieli.

Więc przyszedł Druc, a ja widzę, że skrzywiony jakiś, jakby utykał, czy co... Znów go skrećilo? Mnie zresztą ostatnio też jakaś słabość dopadła, z nosa krew idzie, w głowie się kręci albo przez całą noc śnią mi się jakieś okropności.

„Koniec - powiada - zbieraj manatki. Wynosimy się stąd. Będziemy żyć w taborze. Pora ci nawdychać się romskiej swobody!”

A ja jemu: „A dadzą się choć wyspać w tym twoim taborze?!”

Zaśmiał się tylko: „Romałe nie śpią. W dzień orzą, w nocy tańczą!”

I tak trafiliśmy do taboru.

A na drugi dzień ruszyliśmy w drogę. Na Krym.

- Pozwólcie, że jajaponię. Dla mnie to jak piórko.

- Piórko, przyjacielu Fiedoniuszka, ale nie na tutejszym serpen-tynicie. Poślizgniesz się i kto was oboje utrzyma?

-No, dobra...

Po drodze zaczęłam zauważać: w zwierciadło patrzę - niby ja, a jakby nie ja! Twarz moja, tylko gładka, piegi pozniwały, choć dzioby

po ospie zostały, ale i tych zaledwie kilka! Cudeńka na kiju! No nie, uroda może nie olśniewająca, ale dość sympatyczna dziewczyna ze zwierciadła na mnie patrzy! A ja się cieszę i dziwię! Chłopaki romskie, kędzierzawe jeden z drugiego, rozmawiać ze mną zaczęli i znacząco do mnie mrugają. Może wujek Druc czar jakiś na mnie nałożył?

Zapytałam go, a on zęby szczyrzy: „Ja już nie mam tu nic do roboty! Rośnij i krasy nabieraj, Akulino. niech ci będzie na zdrowie, tylko uważaj, *gožo czaj*”, żebyś mi tujakiegoś smągłolicego dzieciaka nie urodziła!”

Na żarty mu się zebrało.

Ale faktycznie, jeden tancerz się do mnie przyczepił - no, istny rzep! Rozzłościłam się tak, że bym go żywcem pożarła, psa paskudnika, jak ta ryba zębata - i jak mu raz nie wypaliłam... po romsku, jak się okazało. Ale taką mu litanię wycięłam, że chłopakowi uszy w trąbkę zwinęło.

Przez dwa dni niczego nie słyszał, tylko palcami w uszach wiercił.

Za te słowa baron Cziamba mnie nawet skrzyczał! A już zwłaszcza za: *Kato romengih džukloro, te chaw tu dedeskiro mas!*” Krzyczał na mnie, ale sam oczy brwiami kosmatymi zasłonił i patrzy z ukosa... jakby z szacunkiem, czy co?

I tak po ichniemu zaczęłam mówić. Okazało się, nic szczególnego. W ogóle mówić to dla mnie jak splunąć. Gorzej z milczeniem. I jeszcze wujek Druc mnie na gitarze brzękać nauczył! W trzy dni! A Romki z taboru nauczyły mnie tańczyć, śpiewać i wróżyć z kart. I poczułam się szczęśliwa. Przedtem byłam nieszczęśliwa, a teraz - co mi tam! Chociaż czasami, jak sobie mamę wspominam albo tatkę zabitego - to znów mnie smutek opada...

- Pod nogi patrz, Akulino! Spadniesz, to kości nie pozbierasz!

- Oj! Patrzę, patrzę!

A droga się wiję, niczym wąż nad przepaścią; wiatrem słonym powiało, i w dole pokazało się morze. Nogi mi się porobiły jakby z waty! Po nocy bezsennej, po hulance w karczmie i tym oszalałym rotmistrzu mierniczym, a przecież była jeszcze jedna hulanka, u Wadiuchy natarczywego, i ten Miszok martwy...

Dziwne, że w ogóle idę, choć potykam się i lada chwila upadnę.

\* *Piękna panna (rom.).*

*Ty czarny psie romski, żebyś trupa swojego ojca zeżar!*  
(rom.).

Morze szumi coraz bliżej, już mewy słychać i iść jakby lżej. Droga biegnie po stoku. Już niedługo będzie ta, jakiej tam... Baba Klawa?

O, przypomniałam sobie! Bałakława!

Aha, pokazały się rybackie pomosty. Woda bulgoce tak cichutko, sennie - od tego pluskania powieki same się do siebie kleją. Nad wodą mgła się ciągnie i pasmami wije, rybackie łódeczki jedna o drugą burtami się stukają albo o pomosty ocierają, niczym koty o nogi gospodarza. Urwisko się skończyło - dróżka przy samym brzegu biegnie, pachnie morzem, solą, wodorostami i rybą, i jeszcze czymś niepojętym, ale z pewnością „morskim”!

Droga znów skręca, a ja niemal wpadam na rosnącego brodacza w długiej brezentowej kurcie, takich samych portkach i rybackich butach prawie po uszy.

Nie jest sam! Trzech... nie, czterech!

I pewnie wszyscy na kacu - ciągnie od nich tak, jakby każdego trzy dni w beczcze gorzały moczo!

- Dzieńdoberek! -język zaczął, zanim pomyślałam: u mnie tak zawsze! - Gdzie wy tak rankiem?

Kamienna buła z roznachem i boleśnie uderza mnie w szczękę. Tuż obok widzę szary żwir nadmorskiej dróżki i żdźbła pozółklej już trawy. Jakby mi ogniem przypiekło! I nie w to ucho, na którym leżę, a w to drugie. Tak chyba poczerwieniało, że papierosy można by od niego przypalać!

A przed samym nosem widzę dwa buciory. Poruszają się groźnie - lada moment któryś gotów kopnąć!

- Zapeszyć chciałaś, złodziejska duszo! Ale moja pięść każdego pecha odgoni!

- Ech, za rybkę grosik, tu ich cały tabor lezie!

Za co?! Ja mu: „Dzieńdoberek” - a on?!

W oczach natychmiast stanęły mi łzy. Nie z bólu - z poczucia krzywdy. Chcę wstać - a nogi i ręce jakby całkiem obce się stały, nie słuchają, choć płaczą...

- Zawracajcie, czarne ryje, przybłąkańcy! Widzisz ich, za rybkę grosik, jak to się pchają!

-Bij!

-I jeszcze dziwkę z prospektu ze sobą ciągną!

Ale się porobiło! To gdzieś nade mną, w górze. Pod niebem.

Buty znikają nagle, jakby je czarem porwało - i niedaleko wzbija się z ziemi gęsty obłok kurzu. W tym kurzu znów się pokazują buciska - choć nie całe, tylko ich podeszwy. Cuda jakieś, czy co?

Sama się nie spostrzegłam, jak frunęłam na nogi.

Obok stoi Fiedoniuszka, chmurzy się bardziej niż zwykle i pociera swoją wielgachną pięść; drogą spieszą ku nam Druc z Raszelką - widać zostali gdzieś z tyłu, o swoich sprawach rozmawiając.

Rybak tymczasem zaczął wstawać; za szczękę się trzyma. Powinien jeszcze podziękować, że mu jej Sochacz nie wybił ani złamał! Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą!

- No, to już chłopie, przesadziliś! Tylko byśmy wam zebra policyli, ale teraz... za rybkę grosik!

- Wszystkim wam będzie kęsim! - szczyrzy zęby drugi, bardziej jeszcze niż Druc do Roma podobny. I nóż sprężynowy wyjmuje. Oj, mamu ty moja - nie nóż, ale nożyisko! Takim człowieka na wylot można!

Patrzcie tylko: pozostali też już noże w rękach mają!

- Oj, klóć się kruki i piórka stroszą! - wujek Druc zdążył właśnie podejść i stanął obok. Fiedońkę odsunął ramieniem i mnie zasłonił. - Piórka stroszą, oczkami błyskają...

Zaraz ich wszystkich w szczury pozamienia! A potem obcasem! Kniahini też już obok, oczy jej błyszczą, jak rozjuszony tygrysy (w charkowskim zoo widziałam - sam strach!). Tylko patrzeć, jak jej ognie z oczu sypną i poprzepalają rybaków na wylot. Oj, co to będzie...

- Pieśni śpiewasz, włóczykiju? No to uważaj, żebyś się nie dośpiewał, aż ci wątroba pęknie!

I wtedy się rozdarłam. Na wszelki wypadek, zawczasu - a nuż potem nie zdążę. A obok coś jak nie świsnie, a potem jak nie huknie - jakby z niewidzialnej strzelby! Aż się zdziwiłam - zwykle najpierw huknęło, a potem świszczowało. Ja się dziwię, a rybak najbliższy kłąć zaczął, aż dym z kamieni poszedł - patrzę, a on za rękę się trzyma, a jego nóż leży trzy kroki dalej. Nie inaczej, tylko wujek Druc czarem mu przyłożył, siłamażął!

I wtedy zobaczyłam czary na własne oczy. Druc miał przy sobie taki bat. Pleciony, rzemienny i ciężki. I tym batem zaczął rybaków czarować.

Nie zdążyłam nawet okiem mrugnąć, a wszystko się skończyło. *Jeden za mordę się trzyma i krew zatamować usiłuje, dwaj inni, jakby się zmówili, jedną ręką każdy tuli i osłania, a ostatni cofa się wzdłuż brzegu, nóż składa - w rękę się zaciął biedaczek, a oczy ma takie okrągłe, jak wywleczona na brzeg ryba! On się cofa, a wujek Druc*

idzie na niego. Cofa się rybak, cofa i na jakąś ciotkę nagle się natyka. Sama nie wiem, skąd się tu ta baba wzięła.

Stoi, szalem szarym się otula i patrzy na nasze wyglupy.

Rybak, co się na nią natknął, aż podskoczył. Odwrócił się, a ta ciotka coś mu powiedziała. Cicho, nie dało się niczego usłyszeć. Rybak szybciotko pokiwał głową, nóż za cholewę wsuwa - a ręka mu drży, nie słucha.

No, jakoś go tam schował.

Ostrożnie obszedł Druca - i zaszwargotał coś tam do swoich kompanów. Poszeptali, podrapali się po głowach - i znikli, jakby ich wietrzyśko porwało.

Nawet noży nie pozbiali.

A ciotka tymczasem do nas podchodzi i się uśmiecha. Greczynka. Czarna, tęga. Trochę chyba starsza od naszej Raszelki; gdzieś tak o pięć, sześć lat. Z całej jej twarzy jedno tylko na zawsze mi w pamięci chyba zostanie; drapieźny dziób, zamiast nosa. I oczy - smoliście czarne, jakby ci w duszę patrzyły!

- Idziemy - powiada. - As na was czeka. Wysłam was powitać. I poszliśmy. Za nią.

Ta cała Bałakława została za zakrętem. Znów pod górę leźć nam przyszło. Ale to już drobiazg - można uznać, że prawie na miejscu jesteśmy.

Idę. Nogi ledwo przestawiam, o tych rybakach nawet zapomniałam. Myślę tylko o jednym - dojdę i padnę. Choćby na środku podwórza, jak innego miejsca się nie znajdzie. Niech tam sobie oni o czym chcą gadają z tym swoim Asem - a ja spać się walnę! Na nic innego nie mam już sił.

I nagle czuję, ktoś mnie w ramię trąca. Oglądam się: wujek Druc. Oj, aja przecież z Fiedoniuszką nawet mu nie podziękowaliśmy! Otworzyłam gębę - ale wujek Diuc mnie uprzedził. Chyba pierwszy raz w życiu coś takiego mi się zdarzyło. To dlatego, że sen mnie morzył.

- Na drugi raz - wyjaśnia wujek Druc - nie pytaj rybaków, dokąd idą. Szczególnie rano, gdy na połów się wybierają. Uważają za złą wróżbę, gorszą od niedobrego uroku. I biją za to. Na śmierć.

No proszę! Nawet człek nie wie, na czym się potknąć może!

A skąd ja mam znać wszystkie rybackie przesady?!!

Pośrodku podwórza układać się nie musiałam. Pod okapem znalazł się wygodny tapczan. Padłam na niego jak kłoda. Myślałam, że od razu zasnę, jakbym w studnię wleciała, ale jakoś nie wyszło. Niby zasnęłam, a jakby nie. Czy to we śnie Greczynka mnie szalem otula? A obok sapie Fiedoniuszka?

Może i we śnie?

Druc z Kniahinią poszli po schodkach do tego Asa.

Skrzyp-skrzyp, skrzyp-skrzyp - i dobrze.

Ja śpię.

A może nie?

A, wszystko jedno! Najważniejsze, że już chodzić nigdzie nie muszę!

W oddali szumi morze, na niebie ogryzek miesiąca, bładzi jakiś, gaśnie, a różowy jęzor gwiazdeczki zlizuje - świta już. (Jakie gwiazdy, skoro pod okapem leżę? Jaki miesiąc?! A, to sen taki. Nie może być inaczej). O, już nie pod okapem leżę, tylko w morzu czystym płynę - ale jak mi się spać chciało, to dalej mi się chce. Ledwo, ledwo nogami ruszam. Nogami? Ogonem? Ciężko się zorientować. Może w rybę się przemieniłam. Tę zębatą, akulkę?

A niech tam! Nie wszystko jedno, jak spać? Rybie też nieźle. Fale kołyszą, do snu układają.

Śpię jak ryba.

Obok mnie jeszcze jedna ryba zębatą się pojawia, okiem okrągłym na mnie zezuje. Aleja się jej nie boję. Mam dwa razy więcej zębów niż ona. Jak capnę za boczek... Nie, nie capnę. Nie chce mi się. Spać mi się chce, a nie capać...

A ryba paszczę rozchyła i mówi do mnie Drucowym głosem:

- Akulka, śpisz?

- Śpię - odpowiadam. - Chyba.

- No i dobrze - cieszy się ryba-Druc. - Śpij i słuchaj.

Kiwam głową. Będę spać i słuchać.

- Wiesz, u kogo jesteśmy w gościnie?

Nie chce mi się kiwać, ale tu obok nowa ryba się pokazuje - nie ryba, a cały wieloryb! - i zamiast mnie odpowiada basem:

- No przecież słyszeliśmy. U Asa.

To Fiedoniuszka, w cudzym śnie wielorybem został!

- A kto to taki, ten As?

- No... najważniejszy... w miejscowej talii. Ten, co jest *uber alles. Capo di tutti capi*. „Iwan”, znaczy.

- Fiodor, ty się tu nie popisuj językami. A już szczególnie kminą! Ani przede mną, ani przed miejscowymi kmiotami. Za faraona\* cię uznają. Załatwią cię - nawet nie zaćwierkasz.

Wieloryb-Fiedoniuszka z urazą łypie oczkami. A łyp sobie, łyp! Ryba-Druc ma rację: nie wymądrzaj się! Patrzcie go, jakich to się słów nałykał! A ja po romsku mogę, i co?

- Co do Asa masz rację, ale nie całkiem. As nie jest zwykłym „Iwanem” w talii. As bije wszystkie inne karty. Na całym Krymie jest tylko jeden As, Żołędny. No, to już wiecie, kto jest naszym gospodarzem.

Przerwałam milczenie. Paszczę zębatą otwieram i pytam:

- A ten As, co? Największy czarownik w guberni? Dlatego Asem został?

- Niekoniecznie - wzrusza ramionami ryba-Druc, choć jakież u ryby mogą być ramiona? - Żeby Asem zostać, nie wystarczy być magiem wyjadaczem, z łaski Prawa i w Konwencie. Powinni cię szanować, posłuch dawać. Uznaniem darzyć. A tutejszy As w *małym* kunszcie jest biegły, jak nikt inny! Widek Żołędny - to ci Winny Walet, koniokrad!

- Widek?

- Rozumiesz, Akulino... widek potrafi przejrzeć to, co niewidoczne i skryte. Co było, co będzie, co człowiek ma w głowie, w sercu, w duszy i w snach. Nie wróży i nie zgaduje - widzi. Los przepowiedzieć może. A niekiedy i zmienić nieco.

- Ty, Druc, łzyj sobie, ile chcesz, ale znaj miarę - niezbyt pewnym głosem basuje Fiedoniuszka-wieloryb. - Los przecie... w rękę bożym jest...

- Ale przecie i Bóg do Asów należy! - szczyrzy się w uśmiechu paszcza Druca. - Tyle, że talię ma większą!

Oj, przytnie mu kiedyś diabeł ten jego język!

Pluskają fale, igra na nich słońce niczym złoto roztopione, w oczy razi. Mrużyć powieki trzeba. Ciekawe, czy ryby też oczy mrużyć mogą?

A może to tylko we śnie?

- No dobra, los to sprawa skomplikowana. A teraz coś bardziej prostego... Czy talii powodzić się będzie w jej sprawach? Który koń na wyścigach przyjdzie do mety pierwszy? Komu dziś za stołem karta

\* *Faraon - ment, policjant albo agent policji.*



będzie sprzyjać? Komu łąpsy na ogonie wiszą, a kto może sobie pohulać bez obawy? A giełda? A polityka? A kariera?! Dobry widek wiele pożytecznych rzeczy powiedzieć może...

- A tutejszy As jest dobry?

- Nie znam lepszego - zabrzmiało to poważnie.

- To czemu tu z nami pływasz, kiedy Raszelka jest na górze?

- Dlatego, że ja jestem rybka przybrzeżna. Walet jestem, a ona

- Dama. As z Damą prowadzą poważną rozmowę, nie dla uszu Waleta.

-Ej, Druc!

Woda natychmiast spływa gdzieś w dół, znika - a ja trzepoczę się na suchym piasku. Budzę się.

-Cojest, Kniahini?

- Wołają cię. Razem z Akuliną. Chodźcie na górę. Wasza kolej. Wychodzi na to, że teraz Damy się pozbywają.

Ale się porobiło! Sam As mnie wzywa!

Wyobrażam to sobie tak: siedzi w mrocznej izbie kosmaty wujek. Brwi ma jak leśne runo, w oczach węgle płonące, na piersi, w gęstym futrze siwych włosów tatuaż - krucyfiks wielgachny, niczym u popa. W gębie zamiast języka - żądło wężowej mądrości. Porusza się i przesuwa po wargach. A przed Asem na stole kryształowa kula, w której widać przyszłość.

Ponuro skrzypią schody pod naciskiem butów Druca. Moje sandały budzą dźwięk podobny do drwiącego chichotu. Jakby schody chciały zapytać: a ty tu czego?

- Wejź, Walecie. Niech popatrzę na twoją chrześniaczkę.

Kobieta! Staruszczyka, niby boży dmuchawiec. A gdzie As?!

Pokój dość ciemny, ale na stole nie ma żadnej kryształowej kuli. Zamiast niej stoi pękaty samowar, dwie filiżanki z podstawkami, cięty cukier, ciasto, konfitury z derenia..

Rozglądam się.

Poza staruszką w pokoju nikogo nie ma.

-Toja, dziewczyno, ja. Nie szukaj.

Przecież ona w lot czyta moje myśli!

- Myśli się czyta, gdy są. Ty masz po prostu wszystko na twarzy wypisane. To przy tobie Miszka Głowacz niedawno umarł?

- Przy mnie... no, niezupełnie przy mnie. Narąbał się jak drwał w sobotę i odnieśli go do strumienia. A potem Wadiucha Skoworodko zaniemógł-a my odeszliśmy, żeby licha nie kusić. Idziemy, patrzmy, a on już martwy leży, głowa w strumieniu. Zachłysnął się. Gdybym widziała, że tonie, to bym...

- Wierzę, córeczko, wierzę ci. Ala ja sama muszę wszystko zobaczyć. Zgadzasz się?

- Ja? Pewnie że się zgadzam, obowiązkowo... A co to znaczy - zobaczyć?

- Twoimi oczami. Ej, Walecie, nie będziesz się sprzeciwiał, nie staniesz okoniem przeciwko kolorowi?

- Nie stanę, Asie. Skoro trzeba w karty dokupione zajrzeć, to niechże i tak będzie. Tylko będziemy odkrywać ostrożnie, żeby dziewczynie w głowie nie namieszać.

- I ty *mnie* to mówisz, Walecie?!

Zwidziało mi się nagle, że siedząca naprzeciwko mnie starucha to drapieżny sęp. Oczy stały się węglami, nos zagiął się w hak, wysunęła pazury - lada moment rzuci się na nas i na strzępy porozrywa! W brzuchu poczułam nagle lód, a nogi same zaczęły się ku drzwiom cofać.

Precz stąd!

- Tobie, Asie. Za moją chrześniaczkę ja odpowiadam, nie ty.

I nagle pomiędzy mną i sępem stanął czarny żrebiec.

Potrząsnął grzywą.

- Wiem, Walecie. - Za stołem znów siedzi stara Greczynka i z orlim nosem. Czy przypadkiem nie mateczka tej czarownicy, która I nam na spotkanie wyszła?

A co za różnica, jak na herbatę prosi.

A herbata u niej... mocna aż do bólu.

- No cóż, zrzucaj, Walecie.

Był żrebiec, ale się zbył. Odwrócił się do mnie wujek Druc I i uśmiechnął z przymusem.

-Nie bój się, Akulino, ona tylko popatrzy, jak było. Trzeba jej to I wiedzieć.

- Wcale się nie boję!

Nieprawda. Boję się. Tak się boję, że kolana mi drżą. Niby usiadłam na stołku, a one wciąż się trzęsą. W oczach coraz ciemniej mi się robi, chłodem z kątów wieje... Tak chyba śmierć na człowieka przychodzi!

Ale to nie śmierć. Druc z obu stron swoje dłonie do głowy mi przyłożył i palcami zakrył oczy. Gdy tylko to zrozumiałam, od razu spokojniej mi się zrobiło i strach gdzieś uciekł - troszkę go tylko w brzuchu zostało... chłód mnie ziębi. No, dobra, jakoś wytrzymam! W zimie bywało gorzej. Chciałoby się tylko wiedzieć, jak ta Asica w głowę mi wleźć zamierza? Nie kleszczami przecież?! Nie, na coś takiego wujek Druc w życiu by nie pozwolił, niechby sobie była Asicą, diabłem ogoniastym czy aniołem bożym. Wujek Druc by...

- Wspominaj, Akulino. Michaiła-Miszkę wspominaj, gospodarza, gości... wszystkich!

I wszystko samo przed oczami mi stanęło. Miszok jak żywy. Śmieje się, wino mi w szklanke leje, sam sobie dolewa i nie wie nawet, biedaczysko, że to nie wino, tylko jego zguba! Chcę mu powiedzieć, a język głupstwa jakies plecie. Miszok znów się śmieje, sięga po butelkę...

Butelka trzęsie mu się w ręce, bulgoce radośnie i zachłystuje się z uciechy. Wino rozlewa się po stole krwawą kałużą - a ja nagle podchwytyję spojrzenie siedzącego naprzeciwko mierniczego. Wzrok ma pusty, ołowiany. Jak tamten duszogub w leśnej kryjówce.

Boże! Ileż razy jeszcze będę to wspominać?! Żebyż to można było zapomnieć...

A poryta bruzdami twarz napiera i napiera, otoczone rzęsami ołowiane guziczki są tuż, rozdzielają do naga, wywracają duszę na nice - i nie wiem, czy to oczy mierniczego, czy Pietuni z leśnej chaty, czy... czy to ten sępi As w duszę mi patrzy, a Drucowe dłonie szponami w skronie się wbiły - nie oderwiesz; ściska i zgniata mi głowę - lada moment pęknie głowina moja nieszczęsna; a guziki palą, wiercą i czekają nie wiedzieć na co. Odpowiedziałabym przecież, wszystko bym oddała, gdybym wiedziała, czego ode mnie chcą! Wujku Druc, ratuj mnie nieszczęsną, ratuj i obroń! Przecież ona zaraz duszę mi całą wypije! Nie ona - on, Pietunia-duszogub! On tatkę mojego zarznął i mnie zabić chce, z mogiły wylezie, upiór, i dlatego chłodem od niego, piekielnika, ciągnie! Tylko dlaczego mundur ma na sobie cywilny z pętelkami i wąsiki niczym dwie pijawki? Ależ to nie cywilny mundur na nim, żandarmerski! Po moją duszę przyszedł, rotmistrz mierniczy, oto pętlę konopną, namydloną, w rękach trzyma! Dusić mnie będzie! Nie! Nie chcę! Nie chcę umierać! Ratuj, wujku Druc!

Gdzie jesteś?!

- Dość, Asie! Nie pod kolor dokupiłaś! Dość, powiedziałem!

I twarz mierniczego-Pietunieczki-rotmistrza natychmiast zaczęła się rozpywać i drżeć, jakbym przez wodę na nią patrzyła. Ale to nie mierniczy, i nie duszogub - Miszok topielec patrzy na mnie ze strumienia, a mundur żandarmerski pusty, bez człowieka, ucieka po stepie.. . coraz dalej i dalej...

Aż przepadł w oddali.

### *Notatki na marginesie*

*Niebezpiecznie zaglądać w oczy Widelcowi, a już patrzenie w źrenice Wideka-Asa to jak igranie z ogniem! Chcecie jednak? No to popatrzcie!*

*...zwierciadło!*

*Tylko dlaczego nie ma w nim odbicia? Dlaczego siebie w nim nie widzicie? Chociaż nie, coś się zaczęło przecierać:*

*...wierzchołek.*

*Samotny, pokryty śniegiem. Wysokość i rozrzedzone przez nią powietrze zapierają dech w piersiach. Zimną bielą błyszczą lodowe gleczery i mrocznymi połyskami czerni odpowiadają im szklane załomy bazaltu.*

*Martwe, przerażające piękno.*

*A nad nim - bezkresny błękit nieba.*

Do Sewastopola ruszyliśmy z powrotem już po południu. Po tym, jak się obudziłam. Słońce dotarło pod okap i mnie obudziło. Spałam jak zabita - nic mi się nie śniło! A ledwo powieki rozchyliłam, wszystkie koszmary, co mi się zwidziały u Asicy w jej pokoiku, niczym mgła się rozwiały - i bójka z rybakami też. Było? Nie było? Sama sobie to wymyśliłam?! Nie, nawet nie próbowałam odgadywać. Czegoś tak okropnego lepiej ponownie nie wspominać!

I ucho wcale mnie nie boli.

Druc z Kniahiną popatrzyli na mnie, wymienili spojrzenia- i oto już wóz u wrót staje. Jakby go wyczarowali. Coś takiego, to dla nich jak splunąć! Niedługo sama tak będę mogła!

Asem będę!

Najważniejszym.

- Do miasta? - pyta mocno zarośnięty chłopina w szarej, brudnej rubaszce i w takich samych, wystrzępionych portkach. Na głowie ma pogniecioną i niesłychanie wiekową czapkę z daszkiem, a w zębach skręta z samosiejki.

Strasznie ten skręt śmierdzi. Cały wóz za to ma wyłożony nowiutkimi, pustymi workami -jakby na targ z nimi jechał.

Chłopkowi nikt nie odpowiedział, on zresztą odpowiedzi się nie spodziewał. Odczekał, aż wszyscy na wóz się wdrapią - i chlasnął lejcamy swojego konika.

Jazda!

Jedziemy. Milczymy. Pomosty rybackie zostały z tyłu, droga zaczęła się piąć pod górę. Kniahini wyciągnęła cygaretkę i przypaliła od woźnicy - z taka miną i fasonem, jakby jej znamienity kawaler zapalną podawał, a ona mu łaskę robi, że ogień od niego przyjmuje. Na koniec się odezwała:

- Opowiadaj, Druc. A potem ja opowiem. Niech będzie, że zawiastujemy z dwóch rąk. I co, zajrzeliście do dokupionych?

- Zajrzeliśmy. Dobrze, że po jednej odkrywaliśmy, inaczej niechybnie pozbawilibyśmy dziewczynę rozumu! A wbrew kolorowi musiałem się postawić.

-Niedobrze.

- Wiem, że niedobrze. As takich rzeczy nie zapomina.

„Przecież oni przy woźnicy o *małych* sprawach mówią! - doszło nagle do mnie. - A on, chyba że jest ostatnim łapciuchem, migiem się zorientuje w czym rzecz i w mieście zamelduje komu trzeba! O, jak to ucha nadstawia!"

- Ej! - szepczę. - Pokręciło was? Przecież ten kmiot słucha!

- A niech sobie słucha - odpowiadają.

Ze zdumienia mowę mi odjęło - coś takiego jeszcze mi się nie przydarzyło!

A chłopina tymczasem odwraca się i mówi:

- Dobrze mówisz, dziewczyno. Worek w gospodarstwie zawsze się przyda! Wielkich pieniędzy się na tym nie dorobisz, wiadomo, ale i z głodu się nie pomrze i rodzinę wykarmi.

I odwraca się ku drodze. Ciekawe, któremu z nas uszy trzeba by przetkać?

A może do tej pory jeszcze rybką sobie we śnie pływam?

- Zapomni As czy zapamięta - to jeszcze pół biedy - cedzi Kniahini i puszcza z nosa dymek papierosowy. - A w mojej zrzutce półtora biedy znaleźć można. Dobra, mów coście w dokupionych widzieli.

- I to racja; ceny spadły. I na arbuzy, i na brzoskwinie, i na skumbrie, wiadoma sprawa - wzdycha kmiot, nawet się nie odwracając. - A worki się trzymają! - dodaje z uciechą w głosie.

My o jednym, on o drugim. Widziałaś kiedyś coś takiego, rybko-akulko?

- Ale niczego sensownego nie zobaczyliśmy, Kniahini. Widzieliliśmy Miskę nieboszczyka i tego rotmistrza, który mierniczego udawał. Akulina nie zęgała i nie pomyliła się, to był on.

- Może i on - przeciąga zamyślona Kniahini. - Ale sam wiesz: kiedy dobrane karty odsłaniasz siłą, wszystko może się zwidzieć.

- Może, Damo, niechybnie może! Mojej chrześniacze takie się rzeczy pokazały, że mnie samego zemdliło! Ale ten faraon był prawdziwy. Pasał\* on kogoś w Gruszewce. I dobrze, jeżeli Skoworodkę z jego chrześniakiem - świeć Panie nad jego duszą. Ale jeżeli nas...

- Nas pasać po Gruszewkach? Pastuchów zabraknie. A zresztą to nie Akulina i Fiodor są im potrzebni do rachunku. Ty i ja jesteśmy im potrzebni. A rotmistrz w barbarzyńskim mundurze z Gruszewki prosto do karczmy polazł, jakby chciał się pokazać! Nie, nie nas szukał, Druć, i nie ma co się trząść bez potrzeby.

Kniahini krzywo się uśmiechnęła, ale wargi mimo woli jej drgnęły. Druć umilkł. Obraził się, czy co?

- No dobra, Walecie, bez urazy. Nerwy, nerwy... Rotmistrzowi już nie obławy i pasanie w głowie... bąbelki nosem do końca świata w przytułku będzie puszczać. Trzeba uważać na kogo innego. Teraz moja kolej karty odsłaniać. Patrzcie uważnie. Wszyscy patrzcie. I ty, Druć, i ty, Fiodor, i ty, Akulino - żeby zapamiętać!

Po tych słowach strach mnie przejął do szpiku kości! Wczepiłam się w dłoń Druca i w tej chwili Kniahini pokazała! Omal z wozu nie zleciałam! Wolną dłonią gębę sobie zatkałam, żeby nie krzyżeć. Bo jakże się nie rozedrzyć, kiedy przed oczami trup ci się nagle pokazuje! I nie zwykły trup, tylko tak okaleczony, że rodzona matka by go nie poznała! Poodcinane palce, pierś rozcięta, w brzuchu dziura - rękę

\* *Pasać kogoś - tropić, śledzić (rosyjska kmina).*

wsadzić można; gardło poderżnięte od ucha do ucha. Zamiast oczu dziury wypalone; a na czole Winny znak wycięty.

Nie wiadomo skąd wzięła się nagle mgła sina; trupa osnuła i przed naszymi oczami skryła; ja tylko oddech zdążyłam złapać, a z mgły kolejny nieboszczyk się wyłania: młoda kobieta. Na szyi pasek siny i język na bok wywala... Udużona! I zaczęły we mgle oba trupy pływać, a nad tym całym okropieństwem głos dźwięczy - cichy, starczy i obojętny.

Głos Żołędnego Asa.

- Patrz uważnie, Damo Dzwonkowa. Nigdy czegoś takiego w mojej talii nie było. Podczas ostatnich miesięcy czterestu nieboszczyków, same - blotki drobne, chrześniacy tego lub owego, od dwójki do siódemki. Różnych kolorów. Ośmioro zwykłą śmiercią zginęło, ze skały skoczyli, sami się przeciwko sobie zwrócili... A sześciu w kawałki porzniętych... i każdy miał znamię - karciany kolor na czole wyróżnięty.

- Czemu mi to pokazujesz, Asie? - głos ochrypli i jakby z boku. Nie od razu poznałam Kniahinę. - Uprzedzić mnie chcesz?

- A patrz bardziej uważnie.

I znów - trupy, trupy i trupy.

Nie pamiętam, przy którym mnie na nice wywróciło, ledwo zdążyłam się za wóz wychylić. Druc mnie przytrzymał - gdyby nie to, na drogę bym się wysypała we własne rzygowiny twarzą. Szarpie mną i szarpie, niby już rzygać nie mam czym, z oczu łzy się leją - a trupom końca nie widać! Za cóż mi taką męką sprawiać! Zlitujcie się!

Oszczędzili.

Skończył się korowód trupów. A mnie zaraz się lżej zrobiło. Padłam na worki, leżę, oddech złapać próbuję. Druc mi manierkę z wodą podsuwa. Zimna. Dobrze, bardzo dobrze! Trzeba jakoś wypłukać obrzydliwy smak.

A głosy w głowie dźwięczą cały czas, nie cichną:

- Jak myślisz, Damo, do czego to podobne?

- Coś niesamowitego, Asie! Żeby chrześniaków, drobne blotki...

Cisza, ciemność, przerwa...

I głos Druca:

- As w ciemno rozdaje. Nie dla cudzych uszu. Dobrze mówię, Kniahini?

- Dobrze.

I na tle tego wszystkiego - głos chłopiny workodzieja:

- No i mówię właśnie: całkiem dranie umiar stracili. A władze, co na to władze? Mnie niedawno dwa nowe worki ukradli...

I znów:

-.. .sama widzisz - pośród talii rozłam się zaczął. Tylko że nigdy wcześniej nie było *aż tak*

- Nie inaczej, Damo. Z początku sama tak pomyślałam - rachunki wyrównują. Tylko że coś strasznie wielkie te rachunki! Kazałam sprawdzić, ludzi posłałam. Sama zresztą po swojemu rozejrzeć się próbowałam. I co powiesz, Damo? Nie wyszło! Rozumiesz? Nie wyszło...

- Zaraz, jak to nie wyszło? *Tobie* nie wyszło?

- Mnie. A oto, co ja myślę, Damo Dzwonkowa...

I znów przerwa. Głucha, czarna cisza. W uszach, w oczach - wata beznadziejnej nocy i mroku.

Znowu „rozdanie w ciemno” - teraz to sama zrozumiałam.

- .. .talię pod siebie chce zgarnąć. A ja nie widzę niczego - bo ktoś nad nimi osłonę stworzył. Nad „mokrymi grandami”<sup>1</sup>, którzy ten zamęt czynią. Oni chyba nie są z Konwentu i nie blotki nawet - po prostu mocni ludzie ich osłaniają. Wątpię, by ten, co na moje miejsce mierzy, był stąd - on raczej w Czarnomorsku się przyczaił. Ale przysłał tu swoich ludzi, żeby tych „mokrych grandów” osłaniali, nie dali się im przyjrzeć. Jak myślisz, czy Dama i Walet, to dość na taki „dach”?

Cisza.

Ale nie czarna - dzwoniąca, straszna, niczym napięta struna. Lada moment pęknie.

- Nie wiem, Asie. Może i dość. - Głos Kniahini tnie niczym żelazo, jakby to inny człowiek przed chwilą ze staruszką Żołędną rozmawiał.

- Nie wkurzaj się niepotrzebnie, Damo. Nikogo nie obwiniam... na razie. Pomylę się - zapłacę. A trafię... Pierwsza śmierć zdarzyła się akurat tydzień po tym, jak wy się pokazaliście. Od tej pory będzie się was śledzić. Dobrze, pewne oczy za wami się pośle. I niejedną parę. Możecie się buntować albo nie, jak chcecie. A jak będziecie stawać przeciw...

Ciemność.

Zupełnie krótka.

\* *Mokry grand - specjalista od „ mokrej roboty ”, zabójca (ros. kmina)*



- Więc tak, Druc i moje błotki drogie. Przyszła bieda, skąd jej się nie spodziewaliśmy. Posłali za nami takiego psa - zeżre, a się nie udławi.

- Ja też psów nie lubię! Jak byłem jeszcze chłopcem, psisko mnie ugryzło - do dzisiejszego dnia mam bliznę! Wszystkie bym wystrzelał, zarazy jedne!

Nikt się nawet do chłopca nie odwrócił.

-Aj, *more*, latał sokół, latał jasny pod niebem wysokim! Aj, strzała go dosięgła, sokoła jasnego... Wychodzi na to, że gdzie nie stąpnie kotek, tam zobaczy płotek. Kniahini? Brać nóg za pas teraz nie możemy - wszystkie śmierci nam przypiszą, daleko nie uciekniemy. Zostać? A jak cisza nagle zapadnie? Pomyśli As: przestraszyli się i „mokrym grandom” przekazali sygnał: „Dość!”. Jedną tylko teraz widzę przed nami szansę, Kniahini - żeby te dranie załatwiły kogoś daleko stąd! Choćby i w samej Odessie. Zrozumie wtedy As, że to nie my „mokrych” osłaniamy; przecież Walet ani Dama nie sięgnie z Sewastopola do Odessy!

- Albo pomyśli, że jest z nami w zмовie ktoś trzeci. Żeby odwrócić od nas uwagę. Milczysz, *barol* Z Krymu teraz uciec nie możemy, w tym masz rację. Szkoda, że nie mogłam cię uprzedzić. Nijak nie mogłam! A ty postawiłeś się Asowi, gdy odsłanialiście dokupione karty! Teraz to już ona myśleć o nas nie przestanie, skoroś jej nie dał wszystkich kart w głowie dziewczki przejrzyć!

- Nie sierz się, Kniahini...

Nie *wiczajak* Druc patrzy na Raszelkę, ona jednak ucieka spojzeniem w bok. Dama ustępuje Waletowi!

- Nawet gdybym znał cały rozkład i tak bym się Asowi postawił. - Odwraca się do mnie. - Pamiętasz, Akulino, tamtego rotmistrza, któremu w restauracji odbiło?

Wolałabym go nie wspominać!

- Więc gdyby odsłonili jeszcze jedną kartę i ty byś się taką stała.

- Aj, *baw..* - Kniahini się odwraca, ale mimo wszystko zdążyłam zauważyć, że coś dziwnie błysnęło w jej oku. Czyżby płakała? Kniahini płacze?!

- Miasto już - oznajmia chłopina workodziej. - Gdzie was wysadzić?

Milczymy.  
Wszyscy.  
Jak ryby.  
Te zębate.

- A tyś Asowi o tej kostnicy w Mordwińsku opowiadała?  
- zapytał Druc nieco później.  
Kniahini rozmyślała o swoich sprawach.  
Długo to trwało.  
- Nie - odpowiedziała wreszcie. - Ona zresztą też chyba coś przede mną ukryła.

## VII. FIODOR /OCHACZ

### ALBO ZA KNIAZIÓW/KIM JTOŁEM

*Kruszyłem szczęki krzywdziciela  
I wyrzywałem łup z jego zębów.*

*Księga Hioba*

Fiodor wyobrażał sobie raj jako coś podobnego do krymskiego bazaru.

Jeszcze podczas pospiesznej ucieczki z kęs-precelskiej pułapki, w jej najbardziej gorącym okresie, zobaczywszy prawdziwy bazar w którymś z miasteczek po drodze, chłopak zamarł jak wkopany w ziemię. Oto niczym na zaczarowanym „stoliczku-nakryj się” rozesał się przed nim symbol ziemskiej obfitości i nadmiaru wszelakich dóbr; absolutne przeciwieństwo niedawnej niedoli i ubóstwa, w których pozbawione głów kury biegały bez końca i z roku na rok, z piekła w piekło - tak już miało być zawsze.

Zresztą słowa, obrazy i pojęcia pojawiły się, znacznie później, grzebiąc pod sobą nieszczęsną, szczęśliwą mrówkę; wtedy po prostu stał i patrzył.

Oddychał bazarem.

A jeżeli mowa o bazarowym pojęciu dobrobytu, przepychu i kwiecistości, Krym mógł każdemu dać sto punktów for.

... Soczysty chrząst arbuza; pobudzające ślinę w gębie i pot pod pachami, cmokanie ciętej nożem dyni.

.. Okrzyki kramarzy - gardłowe, niczym odmawianie najświętszej modlitwy albo spełnienie najtajniejszej haremowej rozkoszy.

...Pasiaste chałaty, krój tiubetejek, głupie panamy letników, wyzywająco frywolne sukienki z cieniutkiego atłasu, tęcza kwiatów na kapeluszach dam, martwych i żywych na przemian (kwiatów, nie dam!), lśniący lak sztybletów - taki był właśnie karnawałowy, plamisty ubiór zbiorowego arlekina.

...Gorąco wzdychają różny z szaszłykami, podstawiające pod ogień to jeden, to drugi bok; lepki sok spływający z nadgryzionej brzoskwini, podobnej do policzka znużonej pięknotki; zwieszona aż do ziemi jęzory psów w uliczce rzeźników - kudłatych niby barany na chwilę przedtem, zanim trafią pod nóż i na hak; czerwona cebula w przecięciu połyskuje cukrową bielą, jakby napomykając o cudownym życiu bez goryczy; pomidory niechby czerwone - ale nie, szkarłatne z liniowym odcieniem, sprężyste niczym pierś dziewicy i delikatne, jak dziecięcy pocałunek.

...Krymski bazar.

Fiodor obrócił w palcach rozczochrany pęczek kopru. Odłożył go. Skrzywił się lekko i cmoknął językiem. Jakby chciał powiedzieć, że zwiędłajuz ta zielenina i pójdzie poszukać innej. Coś niecoś, ale grosz na tym zarobił - staruch krymczak złapał go za połę i ustąpił z ceną.

Przybili transakcję, jakby nie o pęczek kopru, ale o dom z mansardą się targowali.

Dwie ogromne plecione kobiałki powoli się napelniały. Aktorzy Moskiewskiego Powszechnego siedzieli w szponach jakichś tam diet: jedni chronili głos, inni figurę, jeszcze inni jakiś nie za bardzo zrozumiały tonus; aktorki pilnowały talii i biustu - od czego spis towarów, które zamawiano u Fiodora, tylko rozrastał się w oczach.

Fiodor nie myślał wcale o tej osobliwości.

Szedł i dokonywał zakupów, ciesząc się możliwością zajrzenia do raj. Obok starego krymczaka handlowała marynowanym nie-

dźwiedzim czosnkiem skora do śmieszków młódka. Pulchniutka, czerstwa, o rumianych policzkach. Ta nawet nie zamierzała się targować - opuściła pół ceny i jeszcze mrugnęła porozumiewawczo. Czemu taki chłopak miałby marnować czas na targi - lepiej umówmy się na wspólny wieczór.

Fiodor dwuznacznie podrapał się po nosie, ruszył podbródkiem i poszedł dalej. Ostatnie trzy dni, które minęły po zadziwiającej wizycie u Asa, kompletnie stłumiły w nim chętkę na spotkania z młódkami - chichotkami, Greczynkami, czy jakimikolwiek innymi. I nawet nie dni to były, tylko noce, ponieważ śnić mu się zaczęły rozmaite idiotyzmy.

Kompletne.

Takie sny powinny raczej nawiedzać przyszczatego niedorostka, niż byłego wymiatacza charkowskiego burdelu. Wtedy dość dziwne było dowiadywanie się od śmiałych panienek, że dziewczką można nazwać i dowolnego chłopaka, jeżeli nie jest tym ostatnim; chyba, że zwodniczo męskie słówko brzmiało bardziej prawdziwie i wymyślnie. Co prawda o samej sprawie Fiodor sporo dowiedział się jeszcze w Kęs-Preclu. Najpierw, na pijackiej hulance w chacie Ustinii Skokuchy, na której Usta - piersiasta i nieco już przejrzała pannica - zaciągnęła Fiodora na poddasze. Potem córka Matriony poprosiła go, żeby zajął się płotem; Fiodor owszem, zajął się płotem, córką, a potem i samą Matrioną, która zjawiała się nieco za wcześnie.

Potem...

Sama rzecz chłopakowi się nie spodobała. Nudno. Niczym robota bez celu: sapiesz, sapiesz, a pożytek z tego żaden. Z dzieciństwa, z tych kiepsko zapamiętanych lat, kiedy żyli jeszcze jego ojciec z matką, napływały wspomnienia nocnej szamotaniny na piecu. Tylko ciężko dyszy i chrapie niczym zagoniony koń, a mama nic; poświętuje przez nos, aż wreszcie wzdycha.

- Co wy tam? - pytał z niezadowolaniem w głosie rozbudzony, śpiący na ławie Fiedoniuszka. - Ej, co wy?

- Śpij, synku - odpowiadał ojciec po chwili milczenia. - To ja, tego... diabli nadali...

Po roku tatkę przygniótł pień w lesie. Mama przeżyła go o jesień i połowę zimy; ścięło ją błyskawicznie, w jednej chwili. Tęsknota? Żal? Różnie mówiono. Tym niemniej do chaty, dla nadzoru i żeby zadbać o chłopaka, wprowadziła się sroga chrzestna matka, która należała do starowierców z Białej Pustelni i o żadnej szamotaninie na piecu już mowy być nie mogło.

Okazało się, że to grzech śmiertelny; z jego powodu na tamtym świecie diabły kleszczami grzeszne miejsca wyrrywają.

No, w diabły Fied'ka nie wierzył. I w grzech. Nawet w Charkowie, kiedy zmęczona o poranku pani zawlekła go do swego ciemnego pokoiku - nie wierzył. Smutno jej - i Fiodorowi też. Też mi zajęcie, nie gorsze i trudniejsze od wywalania jakiegoś podpitego bałwana. Niech sobie gada, że żądza w niej kipi, żeby jej duszy poszukać, a on, Fiodor, jest jej *cypa-lalem*. Niech gada.

Ale krymskie sny... były zupełnie, ale to zupełnie inne.

Nie nudne - słodkie.

I straszne.

W tych snach kochał Kniahinię, a Kniahini kochała jego. Słowo „kochał” nasuwało siejakoś samo najęzyk, niczym jakiś natręt, choć ośobiście Fiodorowi wydawało się zupełnie nie na miejscu. W tych snach byli z Kniahinią rówieśnikami; bez wieku, oboje. Wobec tych snów szamotanina na piecu wydawała się jednocześnie czystą i brudną; ludzie niekiedy tak się zachwycają zwierzętami, wolnymi od przesądów dziećmi przyrody, delikatnie nie zauważając łąna na własnym, akuratnie przystrzyżonym trawniku.

.. Rytm. Porywa, czaruje, zmusza do uległości; roztopia w sobie i tworzy od nowa. Zmienny, jak prawda i niezmienny jak kłamstwo.

Smak. Smak soli, krwi, tłustej pomadki, niewypowiedzianych słów. Ukrytej melodii, smak zakazanego owocu, od którego bardziej słodkie jest tylko ostatnie, przedśmiertne westchnienie; na języku pozostaje pamięć o smaku, która władczo domaga się powtórzenia.

...Jęk.

Fiodor wzdrygnął się i zaczął zajadłe targi z pasiecznikiem, podobnym do grzyba z powodu wielkiego, słomianego kapelusza. Miódowe plastry ociekały słodyczą, wpychając go ponownie w sny, we wspomnienia - ale chłopak zawinął je już w natłuszczony papier i wsunął w róg kobiałki.

Miód u niego nikt nie zamawiał.

A niech tam.

Podszedł do płotu, gdzie w kącie kulił się najbardziej parszywy ze wszystkich bazarowych psów kundel. Odłamał kęs od świeżego bochna; rzucił zwierzakowi. Ten z wdzięcznością zamrugał zażawionymi ślepiami, ale nie podszedł.

- Bierz, no bierz! Wsuwaj!

Psisko chwycił chleb i na wszelki wypadek cofnął się jeszcze bardziej w kąt; a nuż mu go zabiorą?

Tu, na bazarze, w rajach obfitości, trzeba było czujnie nadstawiać ucha. A ten parszywy pies... jedno ucho wisiało mu smętnie, a drugie w ogóle mu odgryziono. Co tu nadstawiać?

...Ciało napiera na ciało. Raz za razem, nieczym fala przyboju uderza w skały. I czuje nowy Fiodor, ten bez wieku i wstydu - że zmienia się. Jakby każde zetknięcie obciosywało go na wzór Kniagini; ramiona robią się delikatne i smukłe, palce się wydłużają, o, już sina żyłka na szyi mu występuje...

Gdzie mężczyzna?

Gdzie kobieta?

Ktoś sam ze sobą się kocha.

Ktoś? Nikt.

Wiedz, mój kochanećku, że Nikt zjedzon będzie na ostatku, kiedy rozprawię się z pozostałymi, taki będzie mój podarunek!

Fiodor mruga powiekami.

Bolesnie jest te sny wspominać.

A nie wspominać - trzy razy trudniej.

Naprzeciwno, kompletnie się nie przejmując czyimikolwiek duchownymi rozterkami, targował się o brzoskwinie jakiś pan.

Stojący do Fiodora plecami.

Usiłując oderwać się od przeciwstawnych sobie wizji, chłopak przez jakiś czas tępym wzrokiem wgapiał się w tego pana. Od razu widać; człowiek zamożny, pewny siebie, nie jakiś tam jednodniowy szalawila. Klasą od niego wiało. Wszystko o niej świadczyło: i letni płaszczyk - luźny, rozkloszowany dołem o dwu połach z szarego, delikatnego materiału w paski, i czarna skóra trzewików, i kapelusz z tasiemką. I nie rzucający się w oczy sygnet na serdecznym palcu; na śnieżnobiałych, nakrochmalonych mankietach błyszczą zapinki, delikatne i z topazami.

Wszystkim gorąco, pot ich oblewa, a temu panu co, przeciągi się zwidują? A może po prostu dla niego to rzecz zwykła? Kniagini

mówiła, że są tacy, co bez zawiązanego starannie krawata nie zjedzą na śniadanie jajka na miękko.

Pan przy brzoskwińowej piramidzie - piesek z elitarnej psiarni, wykarmiony na najdelikatniejszych filecikach z polędwicy. Rodowód wie dzie pewnie od tego psa, który obok Adama szwendał się po ogrodach Edenu.

Każdy na swoim miejscu.

I nawet nie da się żywić urazy.

Dlatego przy Fiodorze nie ma nikogo, oprócz wdzięcznego kundla; dlatego też przy dostojnym panu uwija się Tatarczyn mahometanin. Z gęby i gołej, sinawej dupiny na wiorstę widać: złodziejaszek. Nawet się z tym nie kryje: owszem, jestem złodziejaszek i chcę podwędzić brzoskwinie. Mości się bokiem ku żółtej piramidzie smakowitości, na kupca popatruje spod oka, a dwa palce już skrył pod płaszczem dostojnego pana - palto letnie, szerokie, pod takim i cały Tatarczyn mógłby się skryć.

A dwa palce? Któż by to zauważył?

Gdyby Fiodor przypadkiem nie znalazł się u płotu, faktycznie nikt by tego nie zauważył. I zostałby dostojny pan bez ukochanego portfela. Fiodor uśmiechnął się do swoich myśli: oto i on, los, jednemu fart, drugiemu niepowodzenie, a innym widowisko niczym teatr! Postawił w myślach siebie samego na miejscu drobnego kieszonkowca. Nie wyszło: wyimaginowana dłoń nijak nie chce leżeć pod tanto palto. A jak już wlaźła, niczego uchwycić nie może.

Kiepski kieszonkowiec byłby z Fiodora Sochacza.

Ale i Tatarczyn dał spokój figlom. I na swoją rączkę smagła się gapi. Rączka sama spod cudzego płaszcza niczym wąż się wymsknęła, bez zdobyczy, a po raz drugi się tam nie wsuwa. Jakby przymroziło ją pośród gorącego dnia. Rad by ją chłopczyk wsunąć ponownie - ale nic z tego.

Pokręcił Tatarczyn kędzierzawą główką.

Zetknął się ze spojrzeniem Fiodora; aż iskry się sypnęły.

- *Tyr-byr, tyr-byń* - załopotał po swojemu, po mahometanisku. Mamrocze i ślini się, a Fiodor słyszy: „Czarownik! Niech mnie gęś kopnie - czarownik!” To pewnie z gorąca. Różne rzeczy człek usłyszeć może, gdy słońce przygrzeje, a głupie słowa wokół uszu mu brzęczą.

Sam po ichniemu mówić zaczniesz, i nawet się nie spostrzeżesz...

*Tyr-byr, tyr-byr.*

W tejże chwili dostojny pan wziął i się odwrócił. Wypisz wymaluj - jakby rodowodowy seter ślad złapał. I nie na Tatarczyna, ale na Fiodora patrzy. Piękny sam w sobie był ten pan, a w oczodołach, za panięskimi rzęsami, nie oczy, ale szkła. Zielone, mętne. I błyszczą dwoma ognikami, wznieconymi w pijackim sporze; nie będziesz uważał, zatniesz się na śmierć.

Fiodor rozłożył ręce.

I wskazał uciekającego Tatarczyna - a ten wiał tak, że widać było tylko pięty migające w powietrzu. O to w czym rzecz, powiedział Fiodor tym gestem. Ty, szlachetny panie roztrzępańcu, nie łowiłbyś much i nie liczyłbyś wron; i nie kupiłbyś brzoskwiń.

Bo byłbyś mocno stratny.

I zrozumiał pan Fiodora. Uśmiechnął się jasno, z wdzięcznością i nastroszył ryżawe wąsy. Ruszył w stronę ogrodzenia, lekkim, dumnym krokiem. Wypiął szeroką pierś.

Orzeł.

- Dzięki wam, gołąbeczku - mówi. - Odstraszyliście złodziejaska. Zrozumcie; nie pieniędzy bym żałował. Pieniądze - pyłek, drobiazg. Metal godny wzgardy. Ale mam w portfelu dwie fotografie: nieboszczka żona i córka. Ich byłoby mi żal do łez. Ale co ja wam mówię, sami spójrzcie...

Surdutowa na panu kamizelka pod barwę paletka, jak morski piasek. Zanurzyła się dłoń w piasku i wypłynęła ze zdobyczą- skórzanym portfelem. Wyjęła fotografie i pokazuje, jakby chciała rzec: patrz!

I Fiodor popatrzył.

Na jednej - kobieta w średnim wieku. Albo nieco starsza. Podobna trochę do Kniahini, ale w zasadzie nie za bardzo podobna. Skóra o bieli wosku..I warz niby z ikony, o owalnym zarysie, czarne niczym noc oczy o\|| arte na pół twarzy, a usta zaciśnięte - nie daj Bóg, żeby jakieś słóweczko się z nich wyrwało! Nie wargi, ale pięść się tak zaciska. A na drugiej kartce panienka śmiechem się zanosi. Młodziutka i sympatyczna. Kapelusik lekko przekrzywiony, okrągły kołnierzyk i coś jeszcze: W twarzy? W cieniach? A może fotograf figiel jakiś umyślił? - od czego chłopaka ciarkami po grzbiecie przeciągnęło.

- A-a. - To przyzwyczajenie zostało po dawnym Fiodorze.

A pan schował fotografie.

Wziął Fiodora pod łokieć.



- Idziemy - powiada - gołąbeczku. Zamierzam was czymś ugościć. W przeciwnym razie sumienie mnie przez was zadrećcać będzie.

Chłodem od tego pana ciągnie. Przeciągiem. Można by pomyśleć, że to w ogóle nie człowiek, a szczelina w oknie. Patrzcie, co za dziwo! Skądś z daleka przypomniał o sobie tamten szalony rotmistrz, jakby mrugnął porozumiewawczo. Też od niego zimnem wionęło, dopóki się nie ocieplił. I jeszcze jedno: Fiodor głowę byłby sobie dał uciąć, że widział gdzieś tego gapę w palcie.

Wcześniej.

I w takich okolicznościach, że lepiej o nich zapomnieć, albo wrogowi je podsunąć i dopilnować, iżby ich gdzieś chyłkiem nie wyrzucił.

Pamięć świerzbi, ale się wymyka.

Jak żmija.

- Dobra, chce pan, to niech stawia - zgadza się chłopak z rezygnacją. - Muszę tylko te kobiałki zabrać...

Nad poustawianymi na lewo od bazarowej bramy stolikami rozciągnięto markizę.

Cukiernia.

Z wina Fiodor zrezygnował. Szklanka wody mineralnej z syropem wiśniowym i ekerka z kremem, podobnym do mrożonego kisielu - i dość. A nieznajomy pan w ogóle niczego nie zamówił; powiedział, że nie znosi słodczy.

Cygaro pali i mruga na chłopaka spod krzaczastych brwi.

- Podobacie mi się, gołąbeczku. Widać, los nas ze sobą zetknął. Wiecie, co wam proponuję?

- Wiem - odpowiada Fiodor umazany słodczymi. - Zaproponujecie mi pracę. Mam zostać waszym uczniem albo terminatorem. Nie wy pierwsi chcecie mi życie porządnie układać. Wybaczcie szczerą.

Pan unióśł lekko kąćki ust. W mętnej zieleni oczu mignęła przypadkowa iskierka. Lewa brew zgięła się lekko i uniosła ukośnie w górę.

Uśmiech.

Patrzy Fiodor na rozmówcę: ale sobie twarz wyszkolił, ten nasz natręt! Ani śmiechu na nią wciągnąć się nie da, ani płaczu, ażuż żeby wściekłość czy pijacka uraza - w życiu! Usta drgnęły - uśmiech, brwi

ku sobie popelzły - gniew; policzek opadł - wściekłość. Rozdęły się lekko nozdrza garbatego noska - zaraz chyba zabije. Twarz jakby wyrzeźbiona w drzewie, z najcenniejszych gatunków. Żłobek do wypustu, obok drugi i wszystko na amen klejem zalane. Niewzruszona uroda i duma.

- No, tu już, gołąbeczku, palnęliście niczym chory w kubek! Jeżeli nawet kogoś biorę, to z pewnością nie do nauki! Obejdę się i bez terminatorów. Choć w jednym niewątpliwie macie rację: gdybym trafił na was, kiedy byliście chłopcem, z pewnością bym was przez Departament Nadzoru umieścił w zamkniętym, elitarnym Korpusie Kadetów. Bylibyście idealnym kandydatem według wszelkich miar: wzrost, siła, obojętność na zewnętrzne wpływy. Wyglądzone emocjonalne wysoki. Wy w istocie mnie sobie nie przypominacie? A ja was od razu poznałem...

Wyloty butelek w jego oczach zwróciły się ku Fiodorowi - ostrymi końcami.

Musnęły umykającą niczym żmijka pamięć.

Oto on, dostojny pan, zagapiony letnik, arystokrata, *didebuli* - ależ słówko, kto je psia mać, wymyślił?! - oto on, naprzeciwno, w cywilnym ubraniu...

- Nie spodziewała się pani, że los jeszcze nas tu ze sobą zetknie, pani Altschuller?

Stoi przed tobą. Smagły, barczysty dorodny samiec, nie wie-dzieć dlaczego po cywilnemu. Grube palce obracają breloczek: znaną ci już łapę z brązu trzymającą miecz. Na twarzy pana podpułkownika maluje się uprzejma obojętność; ktoś postronny gotów byłby pomy-sleć, że spotkał miłą znajomą.

I nie w kostnicy, a latem, na nadmorskim bulwarze.

- A-a - wyrwało się bezwiednie Fiodorowi Sochaczowi.

Wychodzi na to, że zabawa ma się ku końcowi.

Posmakował pańskiego życia, a teraz trzeba płacić rachunki.

Pan zrozumiał. Jeszcze raz zmusił swoją twarz do uśmiechu. Wyciągnął rękę i uspokajająco poklepał chłopaka po ramieniu. Grube palce miał pan łaps, rudawą szczecinią porośnięte. Z Mordwińska aż do samego Sewastopola sięgnęły.

Uciekać?

Dokąd?!

- Wy, gołąbeczku, lepiej ekierka dojadajcie. Mineralną popijcie. A jeżeli spotkacie gdzieś miłą panią Altschuller, przekażcie jej serdeczne pozdrowienia od kniazia Gandieri. Zapytacie: Dlaczego nie wzywam policji, dlaczego nie każe was chwycić i taszczyć na odwach?! Wszystko jest proste, gołąbeczku...

Kniaź Gandieri pochylał się naprzód. Niczym orzeł, który ze swej skały zdobył i żer spostrzegł, ale na razie jest syty. W tym familiarnym niemal pochyleniu wyczuwało się: chłopie, jak cię zechcę zatrzymać, to sam cię wezmę, bez pomocy miejskich mentów.

Ale na razie nie zechcę.

Wierzysz?

- A teraz... sprawa prywatna, gołąbeczku. Tkwie tu już trzeci miesiąc. Letnik pomiędzy innymi letnikami. Ileż to lat krzychałem władzom państwa w uszy: nie gałązki, ale korzenie rąbać trzeba! Państwo okazało się głuche. Demencja starcza. Podąłem się do dymisji, a państwo moją dymisję przyjęło. Czyli, jak każdy szanujący prawo obywatel, ale niemający już żadnych wobec państwa zobowiązań, mogę z wami sobie posiedzieć w cukierni. A potem się rozejdziemy w różne strony. A przy okazji, oto moja wizytówka, proszę.

Kawowej barwy prostokącik ze złotymi obwódkami.

Legł na stoliku przed Fiodorem; wyraziście drukowany.

„Kniaź Szałwa Timurazowicz Gandieri, emerytowany podpułkownik”.

- Wasza ucieczka, gołąbeczku... Co prawda, nie wasza. Wyście, zechciej wybaczyć, pałętali się niczym przypadkowo przylepiony do podeszwy liść. Ucieczka pani Altschuller i tego Winnego Waleta, legły cieniem na mojej reputacji. Przecież to ja ich na zesłanie skierowałem, na moją odpowiedzialność, i proszę, odbiło się. Dodano mi jeszcze coś z przeszłości, o czym wiedzieć wam nie trzeba. A ja się z tego cieszę. Jak Boga kocham! Okazuje się, że bycie osobą prywatną jest bardzo ciekawe i interesujące. To jak branie i dawanie. Wiecie, że pisał o tym wielki Szota z Rustawy?

I kniaź, zmrużywszy oczy, zadeklamował dźwięcznym głosem:

- Trwoniąc we dwoje i w troje, rozkwitniesz niczym aloes,

Owo drzewo wiekowe, w Edenie rosnące.

Hojność - władza, władza kala człowieka. Gdzie zdrada?

Precz ucieka...

Fiodor niemal udławił się lepkiem kremem, gdy zrozumiał, że oto on sam, podsumował cytat:

- Co ukryjesz, to przepadło. Coś oddał, zostało twoje.

Zacisnęła się krzepka łapa na przedramieniu Fied'ki. Nie z chęci zatrzymania, ale ze zdziwienia.

W butelkowych oczach kniazia błysnęły nowe iskierki.

- Ejże, gołąbeczku! To już u was tak daleko zaszło? W tak krótkim czasie? No, no, bardzo interesujące... spróbujmy na dwa głosy: *meteta szigan suichwe, wit Dems alwa rgulia...*

- *Uchwsa morczilobs koweli* - machinalnie pociągnął chłopak, przetaczając językiem obce, gardłowe słowa - *igica, win orgulia.*

- *Sma-czma-didad szesargo, dęba Ra sawargulial*

- *Rasach gascem szenija, rac ara-dakargulia...*

- Wspaniale! Urodzony Meschetyniec! Gołąbeczku, koniecznie, obowiązkowo opowiedzcie pani Altschuller o naszym przypadkowym spotkaniu. Sam bym zresztą z nią chętnie porozmawiał o tym i owym... oczywiście w charakterze osoby prywatnej. Wyłącznie prywatnej. Wierzycie mi?

- Nie. - Fiodor dopił mineralną wodę i postawił szklaneczkę na stole. - Nie wierzę. Igracie ze mną, wasza czujność, jak kot z myszą. Mało to ludzi po obozach siedzi? Nie ma z kim pogadać, tylko akurat z Kniahinią? Lepiej wezwijcie policajów.

Kniaź Gandieri odchylił się aż na oparcie krzesła.

- Mało, gołąbeczku. Bardzo mało. A takich, jak pani Altschuller to w ogóle na palcach policzyć można. Wy poważnie myślicie, że każdy mizerny włamywacz albo, wybaczcie z łaski swojej, „furtacz”,\* obowiązkowo jest magiem? I wygą? Z Konwentu? Bracie, takich jak wy, z trudem zbierze się z dziesięć procent w całej ferajnie! Jesteście czymś rzadkim, wyjątkiem, a nie regułą! - Dziwne, ale nawet podczas tej pełnej uniesienia tyrady twarz kniazia pozostała spokojna. - Gołąbeczku, nasi wspaniali prawodawcy takich jak pani Altschuller usuwają w cień, na pobocze! Zamiast schwytania, zbadania, leczenia wreszcie albo środków radykalnych - izolacja! Kiepsko kontrolowana izolacja! Dziwi pana, że te słowa padają z ust emerytowanego podpułkownika „Barbarzyńców”? Więc powiem panu, gołąbeczku, że nie usłyszycie ich od nikogo innego, ponieważ nikt inny nie orien-

\* *Furtacz* - w rosyjskiej kminie złodziej wchodzący na włam przez drzwi wejściowe.

tuję się w specyfice sprawy! Ale cóż ja wam będę opowiadała o treści mojego raportu...

Kniaź wstał.

Przypomniał:

- Niech pan nie zapomni o wizytówce, gołąbeczku.

I odszedł, nawet się nie odwracając.

Fiodor za nic nie mógł sobie później przypomnieć, jak dotarł do tych umeblowanych pokojów do wynajęcia, gdzie kwaterowali aktorzy Moskiewskiego Powszechnego. Niczym na sznurze ciągnęło go w zupełnie przeciwnym kierunku. Ale jakoś tam dotarł. Przekazał kobiałki tym, co trzeba i co do kopiejki wydał resztę. Wysłuchał, czego wysłuchać był powinien. Owoce były kiepskie, koper przywędły, a śliwki pomarszczone.

A miód to już w ogóle nie wiadomo po co kupił.

Głupiś, bratku.

Fiodor kiwnął głową. Owszem, głupi jestem. Poprawię się. Ale myśli o czym innym: kłamał kniaź i szpicel? Prawdę mówił? I co z tym począć?!

Skoczył na poszukiwania Raszelki. Gdzieś poszła, mówią aktorki, a aktorzy zgodnie im przytakują. Wyszła godzinę temu. Dziś nie miała występu. Po wczorajszym sukcesie, kiedy Rozalię Samuelowną bez prób i dalszych ceregieli osadzili w spektaklu, w farsie jałtajskiego komediopisarza Antoszy Czechonte „Zwaśniona mewa”, a Rozalia Samuelowną całą salę na kolana rzuciła, bo sam generał gubernator omal sobie swojego nieco nadmiernie wybijającego brzuszka nie naderwał - aktorka ma teraz wychodne.

Dla poprawy zdrowia.

Zaczął się miotać Fiodor po ulicy - co robić? kto winien?! - i niewidzialna nić na szyi przeistoczyła się w mocną pętlę.

Która wlecze chłopaka przez cały Sewastopol prosto na Hrabiewską Przyszań.

Chcesz czy nie, nogi same cię niosą.

- Fiedieńka! - słyszy. - Szybciej, Fiedieńka!

W przystani barkas rybacki się na fali pluszcze. U wiosła Grecy pochurni; co jeden, to kapitan. Znaczy, minę ma kapitańską. A pośrodku barkasu Kniahini rękę macha.

- Szybciej!

Skoczył Fiodor na barkas.

- Kniahini, posłuchaj! - szepcze jej prosto w ucho. - Dzisiaj na bazarze...

A Kniahini zbywa go machnięciem dłoni:

- Fiedieńka, nie ma czasu! As z Bałakławy przysłała po nas.

Rozkazała: natychmiast do niej! Oj, coś paskudnego się szykuje!

-AleżKniahini! Posłuchajże!

Chlasnęła wróżka chrzestna chrześniaka wzrokiem. Na odlew. Chyba byłoby lepiej, gdyby po prostu w pysk go strzeliła! Mniej by bolało.

- Zamknij się, Fiodor! Za krótki jesteś! Zrozumiałeś? Czy mam ci język wyrwać?!

Chłopak zdążył tylko stęknąć resztką sił:

- Ale to ważne... Widziałem... Aż mi serce skoczyło...

- Co widziałeś? We śnie? Jak ja się z tobą...

Słowo, które Kniahini wymówiła nawet się nie zaczerwieniwszy, Fiodor znał od dawna. Chyba od urodzenia. W Kęs-Preclu „tę rzecz” nazywali tak wszyscy, kogo byś nie zapytał.

Ale tak wprost, przy obcych! Od *niej!*

- Znaczy, zgadłam - dodała kobieta po chwili milczenia, zagryzając nerwowo wargi. - To wszystko głupstwa. Zapamiętaj to sobie, Fiedieńka; głupstwa. Wcześniej się zaczęło, ale i wcześniej się skończy. Pocierp... poboli i przestanie. I nie rób z siebie Tristana cierpienika: tak było ze wszystkimi, i ze mną też. Bo znów ci przyjdzie chęćka do żeniaczki...

W tym momencie chłopak obraził się nie na żarty.

Nadał się niczym indyk i umilkł.

Naprzeciwko Fiodora, na ławeczce, drzemie tłuściutki staruszek. Walizeczkę postawił przy nogach. Siwiutki puszek wokół głowy wygina się w górę, niczym uszy u puchacza albo różki. Biała bródka w klin, policzki rumiane, w lewym oku monokl błyszczący na złotym łańcuszku. I garnitur na staruszku kolorem dokładnie taki sam, jak na kniaziu Gandieri. Drogi garnitur, tweedowy, dwurzędowa marynarka, kamizelka, czerwony krawat w wielkie białe grochy...

- Kniahiniuszka! - popiskuje starowina dyszkantem. - Gdzieś ty takiego wspaniałego piskorzyka podłapałaś? Poczciwy, głupiutki... Masz ty szczęście do chrześniaków, milutka. Mnie by twój fart...

Rumiana twarz staruszka lśni niczym niemowlęcy tyłeczek. Jakby ją staruszek wazeliną „Fleur-de-Fleur” przeciwko odparzeniom posmarował. Tyle, że dziecięcą kochaną dupinę całują mama z tatkiem i babcia z dziadkiem nacałowac się nie mogą - a cmoknąć z zapalem staruszka...

A, Fiodor? Mdli cię?

Czuje Fiodor: mdli. Nawet generał żandarmerii nie mógłby go do tego zmusić.

I jeszcze coś głupiego mu się zwidziało: że zamiast odpowiedzi, Raszel miała ochotę splunąć staruszkowi pod nogi.

Pod drogie trzewiki z krokodylej skóry.

### *Notatki na marginesie*

*Jeżeli dokładnie wpatrzeć się w oczy rumianego staruszka, zmrużywszy pierwszej oczy, żeby nie oślepnąć, to zobaczy się:*

*...ogrodzenie.*

*Niewysokie, kute. Przy ogrodzeniu stoi człowiek, opierając się o żeliwne zawijasy. A tam, po drugiej stronie ogrodzenia bawią się dzieci. Grzebią się w piasku, zamki wznoszą, drogi ubijają; dwa urwisy dosiadłszy kijków, skaczą jeden za drugim. - „l-ha-hal l-ha-ha! Nie dogonisz mnie, nie dogonisz...”*

*Stoi ogrodzenie, stoi człowiek, opiera się, patrzy. Na wargach ma tęskny uśmiech. Dzieciństwo wspomina albo coś innego.*

*A za jego plecami: Krzyże, krzyże, krzyże...*

Chciała, ale nie plunęła.

## VIII. AZA-AKULINA ALBO POJEDZIEMY, JLICZNOTKO, NA PRZEJAŻDŻKĘ

*Popsuli moją drogę,  
Przyczyniają się do mojej nędzy,  
A nikt ich nie powstrzymuje.*

*Księga Hioba*

Baron Cziamba zaprosił dziś do swojego namiotu Druca. Z samego rana. Może w jakichś magicznych sprawach? Chciałoby się podsłuchać - aż skóra świerzbi - ale za wysokie progi na moje nogi. Nieproszony gość dostaje w kość. Więc chodzę tylko wokół namiotu, niczym pies na uwięzi i uchem strzygę.

Niewiele wystrzygłam. Na dodatek wokół pełno taborowego gwaru. To u dalekiego ogniska, gdzie szykują posiłek, młodzi Romowie zarzą niczym konie albo koń nieopodal zarzy, przy powoziku Katariny pieśń zaintonowali, gdzieś niedaleko jakiś berbec zanosi się płaczem...

Ranek.

Och, gdybyż wszyscy wreszcie się pozatykali... albo gdyby mnie od nich ścianą odgradzono... Hej! A cóż to za dziwo?! Czyżbym nagle słuch straciła?! A może cały tabor diabli porwali?!

Rozejrzałam się. Nie, tabor był na miejscu, gdzieżby się zresztą miał podziać: nad ogniskiem dymek się wije, chłopaki gęby niczym ryby pootwierali, i kowal podobny do leszcza wędzonego - tylko cały gwar jakby krowa jęzorem zlizala.

To wujek Druc stanął za moim lewym ramieniem i pięścią pogroził Katarinie śpiewaczce, Romom hałaśliwym i koniom. A Raszelka za prawym - i kowalowi przykazuje: siedź cicho! Żaden z tamtych nie widzi, co ja widzę, a pięść Drucowa wcale nie jest dla nich prawem - ale teraz ich nie słyszę. A to dlatego, że Druc wszystkie dźwięki w dłoń zbiera i Kniahini je przekazuje. Żeby schowała je pod policzkiem - tak samo jak ja, gdy w dzieciństwie pod Błędnyimi Urwiskami znajdowałam czerwone kamyczki.

Stoję więc po kolana w ciszy! Popas! Z głową mnie nakryło!  
Za to od namiotu baroński terkot się niesie:



-.. .przeciągasz, Druc. Czas nie idzie, tylko niczym ptak leci! Za dwa tygodnie wielki wyścig - a źrebiec do dziś w stajni swego pana. Niedobrze. Interesant się denerwuje. Człowieka swojego przysłał. Rozkazał, żeby się pospieszyć.

- A widziałeś te stajnie, Cziamba?

Wujek Druc mówi ponurym, nawet posepnym głosem. Nie głos to, ale papier ścierny! Najwyraźniej pertraktacje z baronem to nie to samo, co zwodnicze sterczenie za dziewczęcym ramieniem.

- Nie, Dufunia. Jakbym je widział, sam bym się sprawił. Nie musiałbym po ciebie posyłać.

- A ja widziałem. Nie w każdej stadninie jest taka ochrona. Charty! I ludzie! Chyba się zorientowali, że ktoś im chce konia uprowadzić, bo pilnują. Aj, dobrze pilnują, mądrze wszystko obmyślili. Ptak nie przeleci, mysz się nie wciśnie.

- Ty co, *morel* Rozmyśliłeś się? Rezygnujesz z zadania, którego się podjąłeś?

- A kiedyż to ja, słowo dawszy, rezygnowałem z zadania? Czy pamiętasz choć takie wydarzenie, Cziamba? Byłeś jego świadkiem? Słyszałeś może o czymś takim? Sroka ci w ucho szepnęła?

-Nie było takiego przypadku, Dufunia.

- I nie będzie. W połowie drogi nigdy z konia, z igły, ani ze sprawy nie rezygnuję! I teraz też się nie cofnę!

No proszę, to on konia zamierza komuś ukraść! I to jeszcze jakiegoś znacznego! No, niech tylko spróbuje mnie ze sobą nie wziąć! Dość już mam włóczenia się po dworach z Romkami i patrzonia, jak kmiotów sobie wokół palców owijają!

Koniokradem chcę zostać!

- Dufunia, ale czasu brak! Bardzo niewiele go już zostało!

-Tak mówi ten, co zamówienie składał, nie ty. Mam rację? Mam. Przekaż mu; niech się niepotrzebnie nie denerwuje. Wywiążę się w terminie. Mysz się nie wciśnie, ptak nie przeleci, a Rom koniokrad niczym wąż się przemknie i znajdzie szczelinę. Tyle, że na odszukanie szczelinki trzeba trochę czasu.

-Ile, Dufunia?

- Trzy, cztery dni. Może i pięć.

- Dobra. Przekażę. Zaraz Jaszkę posłę. Ale ty, *more*, uważaj sobie. ..

- Uważam, Cziamba. Aj, dobrze uważam i pilnie się rozglądam! I wiesz co? Wydaje mi się, że twojemu namiotowi uszy wyrosły.

Poczuł! Siłą czarnoksięską mnie wymacał, nie może być inaczej!  
Chciałam natychmiast rzucić się do ucieczki - ale nogi jakby mi w ziemię wrosły. Do orania tylko chyba by się nadały! Sterczone jak durny kolek przed namiotem, milczę jak rybka-akulka i czekam, aż Druc wyjdzie z namiotu i na mnie zacznie krzyczeć.

Zacznie przecież?

A może daruje?

Nie wiadomo dlaczego, natychmiast sen mi się dawny przyśnił. A jaki wstydlivy... Wystarczy, że go wspomnę, a zaczynam się trząść. I krew uderza mi do twarzy, aż gorąco się robi.

Nie powinny panny takich snów oglądać.

Z początku śniła mi się jakaś bzdura; leżę w namiocie i śpię. Nago, bez koszuli. Śpię sobie spokojnie i nagle czuję: nie jestem sama w tej pościeli! Ktoś obok mnie się układa - i nie tylko się układa, nie zdążyłam się nawet dobrze ocknąć, a ten mnie łaps - w pół obejmuje! Do siebie mnie przycisnął, że wyrwać się nie można! Już miałam gębę otworzyć do wrzasku, ale patrzę- wujek Druc. Patrzcie go, rozpustnika starego! Chciałam go zawstydzić słowami, chciałam wstać i wyjść spod tego koca - lepiej by mnie magii uczył, niż w pościel się do mnie pchał, cap jeden - ale milczę... nie krzyczę, nie szarpie się i nawet go nie odpycham. A on już całkiem na mnie wlaźł, spocony, gorący; ostatnia głupia by się domyśliła po co. Ja też wiem. Boję się, strach mnie przejmuję, dreszcze i gorączka jakaś jednocześnie; chcę zaprotestować, uciec - ale nie ucieknie dziewczyna przed swoim losem.

„A, co mi tam! Niech będzie, co ma być! - myślę w tym śnie. A Druc jakby odgadł te moje myśli nieszczęsne - nawet się nie spostrzegłam kiedy, a on już na mnie, we mnie i wszędzie dookoła. Boleśnie i słodko, wstyd i chce się jednocześnie, żeby zawsze tak było... Teraz już nawet nie umiałabym powiedzieć, gdzie on, gdzie ja i gdzie moja dola. Rozmiękłam cała, niczym wosk, a on z tego wosku lepi mnie wewnątrz i z zewnątrz.

Po co lepi?

Do czego mu ta kukielka?

A zresztą choćby i do niczego, gdzie się podzieję! Nawet nie protestuję. Co innego mnie dziwi: zaczęłam się jakby dwoić. Niby leżę, topię się jak wosk, a jednocześnie jako chłop z góry naciskam, lepię i na swój wzór przykrawam.

Na swój wzór?!

Ale co tam myśleć o takich sprawach, kiedy nie tylko my z Druce w tym namiocie jesteśmy. Koc rozciągnął się niczym morze - patrzcie, są tu i Fiedoniuszka z Raszelką! A to ci rozpusta! Sami ledwo się rozlepili, a już do nas się pchają! Matuniu, tatuniu... krzyczę niby, a krzyk w rozkoszny jęk się obraca... Nawet wspominać wstyd!

Więc teraz tak sobie myślę: a czy to nie wujek Druc ten sen na mnie swą *mażą* mocą zesłał? Aluzje robi, żeby się do mnie dobrać? Najpierw snami cześć dziewiczą zgubi, a potem i najawie zechce? Żeby nie rozróżniała: gdzie sen, a gdzie jawa najprawdziwsza?! I co wtedy?

A nic! Wtedy się zobaczy! Jeżeli zacznie mi uszy wykręcać za to, że podsłuchiwałam - znaczy, że nie ma czasu się Akuliną zająć! To mnie samej, głupiej, się przyśniło! A jak nie zacznie, tylko wybaczy... albo zacznie umyślnie kręcić, żebym się w porę nie domyśliła...

Oj, całkiem się już zaplątałam!

I akurat wtedy złapano mnie za ucho. Szykują już gardło, ale tak, żeby w porównaniu z moim wrzaskiem gwar i harmider taborowy słodką ciszą wszystkim się wydały! A on pokręcił uchem dla porządku, i pyta:

- No co, pięknotko, wiele usłyszałaś?

Nie ma co go okłamywać. Od razu poczuje.

Ma węch, skubany!

- Słyszałam, że konia ci ukraść polecono. I że potrzebujesz na to trzy, cztery dni. Albo i pięć.

-Jasne...

Stoi nade mną, ucha nie kręci, ale i puszczać nie ma zamiaru.

- A chcesz, żebym cię ze sobą wziął? - pyta nagle.

-Chcę!

Niczego więcej Druc powiedzieć nie zdążył, bo ten powozik, który przed chwilą jeszcze jechał ku nam, ale był jeszcze dość daleko - nagle znalazł się tuż obok. Dwa sążnie, nie dalej. I natychmiast wróciły dźwięki: konie parskają, jacyś ludzie na ziemię zeskakują i tupią butami. A pyłu przy tym wzniesają całe chmury! Patrzę na nich i w żaden sposób połapać się nie mogę: panowie to czy hołota? A może w ogóle nie wiadomo kto?

Odziani szykownie, ale nie z pańska; zachowują się jak gospodarze. I to w taborze! Na nas w ogóle uwagi nie zwrócili, tylko od razu ruszyli do namiotu barona Cziambu.

- Co to za jedni? - pytam szeptem Druca.

A on tylko wzrusza ramionami. Dobrze choć, że ucho puścił. A może źle? A co, jeżeli on rzeczywiście ten sen na mnie nasłał?

A ci ni to panowie, ni golcy, już z namiotu ponownie wyszli. Brwi zmarszczone, wszyscy z poważnymi minami; do powoziku wskoczyli - i tyle ich widziano!

Za nimi zaś baron Cziamba z namiotu wychodzi.

ADruc?Aja?

Beze mnie sobie poradzą.

### Notatki na marginesie

*Z dziada pradziada Rom Cziamba, urodzony na Wołoszczyźnie tak dawno temu, że stracił rachubę swoich lat, brwi już nie ma, ale spod zwisłychfałd skóry błyska mu:*

*...podkowa.*

*Zgubił ją czyjś koń, przegapił jeździec. Leży podkowa w przydrożnym pyle, błyszczy na słońcu niby srebrna rybka. Szczęście wróży pierwszemu przechodniowi: „Podnieś mnie! Schowaj! Przydam się!”. A podniesiesz, tylko sobie zaszkodzisz. Z dnia na dzień zaczniesz czekać na obiecane szczęście. A każda bieda trzykroć cięższą ci się wyda: „Jakże to? Szczęście być miało, a tu... ”*

*A jednak nic nie poradzisz morę: podniesiesz.*

*Przecież to podkowa.*

- Ja przez ciebie, Dufunia, z bałakławskim Asem sporu wszczynać nie będę! Drugi raz po twoją duszę przysyła. Najpierw zapraszali, a teraz każą: leć niczym wicher! Nie zjawi się albo spóźni - niech ma do samego siebie pretensje. Akurat trzeba mi cię ukrywać - i to nie przed władzami, ale przed waszymi, magowie, porachunkami! Nawet o tym nie myśl! Co będzie miał stary Cziamba z dodatkowego czyraka na tyłku? Ja odpowiadam za ludzi i tabor, swoich własnych spraw mam powyżej uszu.

- Ależ uspokój się, *barol Chajam, pijam, ech ekcheskepleski-driaml* Pojadę do Bałakławy, wihrem polecę, jak kazali! Ijąwezme ze sobą - Wujek Druc wskazuje mnie kiwnięciem dłoni.

\* Romskie przysłowie, oznaczające niej więcej: „Piękno długu w tym, że go się splanca!”

A mnie aż serce zamarło: znów mamy jechać do tej Asicy o nosie jak hak rzeznicki? Kto się uwziął na nasze głowy?! Przecież od tych doborów z nieboszczykami omal nie zwariowałam. Ledwo co do siebie przyszląm, zaczęłam powoli zapominać; myślałam - koniec, skończyło się bicie Asowi! - a tu nie! Wszystko od początku! Co tym razem wymyśliła wredna starucha?!

W te morderstwa chce nas zrobić?

- Ty, *more*, wodzowi zębów nie pokazuj. Możesz je stracić. Niepotrzebnie udzieliłem ci schronienia, aj, niepotrzebnie! Nie spostrzegłem, dureń stary, że twoim śladem nieszczęście bieży i nie popuszcza! Ot, znów, niedawno w Sewastopolu spotkałem pewnego chłopaka. Podobny do Roma, jak ja do cesarza Ferdynanda, a ledwo kobyłka poniosła, on na nią rzucił *Merawa-me* - i kobyłka ani drgnęła! Też któryś z twoich chrześniaków?

- Cziamba, uspokój się! Na razie nic złego się jeszcze nie stało. A nawet jeżeli jakieś się wydarzy, to mnie i Azie, nie tobie czy komuś z taboru. I przestań myśleć o tamtym chłopaku - co to, na całym Krymie nie znajdziesz innego poza mną konwentowego maga wygi? Daj nam lepiej konie. Nie zdążymy w porę do Asa i wtedy naprawdę zrobi się pochyło. Uważaj, żebyś nie wykrakał...

- Ech, nie konie bym ja ci... Dobra, zostawmy to. Jaszka! Gdy Jaszka biegał za końmi, baron Cziamba nie przestawał utyskiwać:

- Konie mu daj! Konie! A potem choć na Syberii tych koni szukaj! Oni mają z Asem sprawy, a Cziamba niech konie szykuje! Znalazł sobie bogacza z bajki: *Isys Roma. Roma barwale!*

' Zwyczajowy początek bajki: „Byli sobie Romowie. Romowie bogaci...”

- Cokolwiek się stanie, konie zwrócę - przyrzekł wujek Druc. Widać i jemu Cziamba dojadł do żywego. - I z tym zamówionym źrebakiem w porę się sprawię, o ile przy życiu zostanie. Sam wiesz, moje słowo jest jak stal!

- No, niby wiem. Gdyby było inaczej, *more*, zamiast koni dałbym ci...

Akurat wtedy Jaszka wrócił; dwa konie na sznurze prowadzi. Jeden - rosły, czarny ogier, w taborze nazywają go Conan-Doylem. Chyba na cześć tego bohaterskiego Conana z opery o żandarmach, co to o nim Raszelka jeszcze w pociągu opowiadała. Pamiętam, że książkę w księgarni gwizdnęłam, kiedy się subiekt odwrócił - na tym byku z okładki w ósemkę się przejechać można by było.

A obok Conan-Doyle'a, który wierzgać lubił - kobyłka myszowata i jabłkowita. Złośliwa, niczym... niczym ta zębata rybka, po której mam imię. Popatruje na mnie wilgotnym okiem - chyba się zastanawia, gdzie by mnie tu ugryźć, żeby bardziej bolało. A, przypominam sobie, tę zarazę nazywają Kolczychą. Dobrze ją nazwano. Toja mam na nią wsiadać?!

Ależ... wżyciu!

- No, Aza, jedziemy. As nie będzie czekał. - Okazuje się, że Druc już w siodle siedzi i mnie pogania.

A ja zdobyłam się tylko na najbardziej prostą z odpowiedzi:

-Ojoj! Mamusiu!..

I wtedy ten Rom, mag nad magami, wujek Druc, żeby go pokreśliło, ja-ak nie warknie! Niby zwierz srogi! I ruszył z kopyta. A ja z tego strachu za nim. Biegnę za nim, biegnę i nadążam, choć on przecież na koniu jedzie! I wcale się nie meczę, jakbym przez całe życie nic innego nie robiła, tylko ścigała się z ogierami! Druc tylko raz się obejrzał, kiwnął mi dłonią dalej pędzi. Przedemną, co prawda, ale niezbyt daleko - ze sześć sążni będzie, nie więcej. Myślę sobie, zaraz cię dogonię, *more!* I dogoniłam! Dziwne tylko, że biegnę jakoś osobliwie, tupiąc nogami niczym koń. Spojrzałam w dół: mam cztery nogi! A na wszystkich - kopyta! A sama my szata jestem i jabłkowita...

Za co, Druc?! Za coś ty mnie w konia zmienił?! W tę złošnicę Kolczychę?!

Niewiele brakło, a ze strachu bym upadła!

Patrzę: a wujek Druc obok uśmiecha się szeroko.

- Coś ty ze mną zrobił, potworze! - krzyczę mu w biegu.

Ludzkim głosem krzyczę, po staremu. Dzięki ci, Boże, choć za to! Bo już się bałam, że zarzę niczym kobyłka!

- Zaraz masz mnie z powrotem w dziewczynę zmieni! Patrzcie go, wymyślił...

- Zmienię! - chichocze Druc-zdrajca. - Jak na miejsce przyjeździemy!

- Uczciwie? Obiecujesz?!

A on znów w przód się wyrwał. I tylko słyszę, niczym echo:

- Moje słowo jest jak stal...

Od razu się uspokoiłam. Przyjedziemy - znów człowiekiem się stanę. A tak to nawet jest ciekawie! Rybajuz byłam, to teraz pobędę kobyłą!

Skoczyłam przed siebie, ile sił w nogach - wszystkich czterech! Bez trudu wyprzedziłam Conan-Doyle'a i dalej w galop! Najpierw po przedmieściu, a potem na przełaj przez jakieś płoty i ogrody! Za plecami jacyś miejscowi chłopcy klną w żywy kamień. Tatarzy wrzeszczą coś gardłowo - a ja tylko wesołym rzeniem im odpowiadam! Dobrze mi! I nawet nie bardzo mam ochotę na powrotne przemienienie. I kichać na tę Asicę - na razie do tej Bałakławy dobiec nam trzeba!

Druc na wronym ogierze mnie dopędza i coś tam krzyczy, ale nie słyszę, bo mam wiatr w uszach. Oto droga na Bałakławę - popatrz, jak szybko dobiegi iśmy! A ot i...

W ostatniej chwili Druc zdążył mnie za ogłowie złapać.

I utrzymał mnie, *more*. Gdyby nie to, stoczyłabym się z urwiska w dół na skały!

Na łeb na szyję.

Stoję i nijak tchu odzyskać nie mogę. Zmęczyły się konie - wychodzi na to, że i one podwójnych płuc nie mają! Druc obok krzyczy, przeklina, jakby litanie czytał, ale ja go nie słucham, choć niby głową kiwam: tak i tak, prawda, zawiniłam, na drugi raz będę uważała; a sama bokiem się do niego przytulałam. Od razu mi się sen niedawny przypomniał, tylko strach i wstyd gdzieś przepadły - a wszystko inne pamiętam: jak to on mnie do siebie przytulał, pieszczotami obsypując, a potem jak...

Kobyła z ciebie, Akulino! Kobyłajesteś i tyle! I nie do Druca się przytulasz, tylko do karego Conan-Doyle'a, a parska na ciebie Conan tak, że ledwo usłyszałaś, a migiem odskoczyłaś.

Umilkł Druc. Odzyskał oddech. Spojrzał na mnie, mrugnął i pyta:

- Dziewczyno, co ty wyprawiasz? Co, sen bezwstydnym widziałas? Siebie, mnie...

-...iRaszelkęzFied'ką! A ty...

- Jasne. Więc tak, Akulino... Nie przejmuj się tymi głupstwami. To sen. Sen i nic więcej. Coś takiego wszystkim chrześniakom się przytrafia w ciągu pierwszego roku. Pocierp przez kilka miesięcy - rozmaite rzeczy śnić ci się będą, niekiedy okropnie wstydlive. Potem samo przejdzie i zapomnisz o wszystkim.

- A ty, Druc? Też zapomniałeś? Jak ty nie chrzestnym, tylko chrześniakiem byłeś? Zapomniałeś, co? No, powiedz?

Twarz mu zastygła w krzemień twardy.

Tylko patrzeć, jak iskrami z oczu sypać zacznie.

- Czy zapomniałem, czy nie - to nie twoja sprawa. Ja miałem sto razy gorzej, miałem już za sobą swoje doświadczenia, kiedy chrześniakiem zostałem, a chrzestnym moim nie baba była, ale chłop, z Romów. Nie zrozumiesz tego, Akulino. I nawet nie próbuj. Najważniejsze, żebyś snów z jawą nie pomieszała. Dobra, jeszcze się naga-dać zdążymy. Potem. Jak od Asa wrócimy. No to co, jedziemy?

I pojechaliśmy. A raczej pobieглиśmy.

Najpierw stępa, potem w kłus - tylko już nie gnałam jak przedtem. Z urwiska zlecisz, to na dole kości twoich w jeden worek nie zbiorą! Wszystko jedno, czyż człowiek, koń czy rybka zębata! A Druc za drugim razem może nie zdążyć złapać za wodze.

Oto i zatoka z pomostami rybackimi. Kiedy ją zobaczyłam, natychmiast pojęłam, że wcale koniem nie jestem -jadę sobie na kobylce, w siodle siedzę, jakbym od dzieciństwa niczego innego nie robiła! A Kolczycha też się nie szarpie i ukąsić mnie nie próbuje.

- Ej, gospodarze! Wzywaliście nas?

Dom Asicy.

Otwarte wrota.

A na podwórzcu pełno ludzi.

Z Kolczychy ledwo zlazłam - niby z konia zsiadałam, a jakbym z własnej skóry wylazła.

I zaraz Druc mnie w ramię trącił.

- Idziemy - powiada. - Czekają na nas.

Konie jakiś chłopaczek nieznajomy wziął i dokąś odprowadził - a my ruszyliśmy ku domowi. Patrzę - a tam już Raszela z Fiedoniuszką stoją. Wszyscy jacyś poważni, milczący. Chciałam nawet Fiedoniuszkę zapytać, o co chodzi? Ale nie zdążyłam. Wychodzi naprzeciwko nas dwóch takich; raz tylko na nich spojrzałam i natychmiast nieswojo mi się zrobiło. Obaj w kraciastych marynareczkach, spodnie w rurkę, sztyblety malinowej barwy błyszczą, jak psu jaja. Na głowach kapelusiki mają, niczym baby, ze wstążeczkami. Jedna



mać ich rodzila, czy co? Nawet wąsiki w strzałeczkę mają takie same. Tylko pierwszy - chłop niczym kredens, barami marynarkę rozpiera, aż tkanina trzeszczy; a drugi chudy jak tyka. Suchy, jakby zasolony i oczy ma niczym zdechła płotka.

Nie, nie będę o oczach! Znów mi się Pietuńka przypomni!

Jedno powiem: takiemu człowieka wykończyć łatwiej, niż mnie zelgać bez namysłu! A ten szeroki jak piec - uśmiecha się od ucha do ucha, policzki ma z dołeczkami i mruży oczy, jak syty kocur. Ależ ludzi sobie ta Asica dobrała! Czy nie po nasze dusze przyszli ci w kratkę ubrani?

Oj, przecież oni fotel na biegunach na podwórko wynieśli! A na tym fotelu...

Nie od razu poznałam, kto!

Za pierwszym spotkaniem jakoś nie mogłam jej nazwać staruchą; a teraz nie znalazłoby się lepszego słowa! I w czymś takim jeszcze się dusza kołacze?! Jakby uschła ta Asica podczas tych kilku dni; skurczyła się w sobie niczym smark zeszłoroczny.

Żyje aby?

A może już zdechła?

Aż mnie mrozem po skórze smagneło. Niby nieżywa - a jak wstanie?!

I wtedy ona otworzyła oko!

...Jedno.

Lewe.

Krąg Szósty

## OGARNEŁY MNIE WODY PO DU/ZĘ MOJĄ

- *Kiedy słyszę słowo „Mag”, moja dłoń sama sięga po miecz!*  
*Opera „Cymeryjczyk zachwycony”*  
*Aria Conana Akwilońskiego*

### DOBÓR KART

Cioteczka Demeter wiedziała, że umiera.

Żałowała tylko jednego - tego, że w ogóle dożyła tej chwili. O Sędzio Najwyższy, czemuś ty zapomniał o zabranii nikomu niepotrzebnej staruchy zaraz po jej mężu? Albo później, gdy złamała sobie bark. Kiedy miotając się w gorączce, tonęła w kałuży własnego potu? Kiedy słabość kładła się tuż obok, pieszcząc się z nią niczym zgniła meduza?!

O Sędzio Najwyższy! Czyżby i twoje wyroki zatwierdzali oberstarcy: hierarchalni, synodalni i wszechświatowi?!

Błuznierstwo? Ja miałabym bluźnić? Stara kobieta z Bałakławy, stojąca już jedną nogą na tamtym świecie?

Co wy też...

W każdym wypadku, gdyby cioteczka Demeter umarła wcześniej, odeszłaby jako osoba szczęśliwa. Szczęśliwa - i cała. Nie dopuściłaby do tego, żeby udar obezwładnił prawą połowę jej ciała i rozkoszował się w pełni drwinami z ledwo żywych resztek. Dwóch sym-

feropolskich „byków” niosło jej krzesło w dół po schodach, troskliwie i delikatnie, jak się niesie najrzadszy rarytas - nie bacząc na to, iż zrozumieli już daremność swojego przyjazdu. Ale czemu krzesło, a nie trumnę?

Przed świtem cioteczce Demeter- tej dawnej, w istnienie której teraz i wierzyć się nie chciało - ponownie przyśnił się obcy sen. Sen jej chrześniaczki, Heleny. Ślepy i bez wizji; tylko z tym krzykiem mew i szmerem osypiska. Stara kobieta już wcześniej podglądała sny uczennicy, tyle, że teraz zjawa ukazała się jej niby własna. A kto jak kto, ale cioteczka Demeter, As Żołędny, potrafiła odróżnić swoje od cudzego. Powiadają, że u schyłku życia każdy widek zaczyna widzieć Atląsową Kartę. Szulerzy robią takie sztuczki całkiem prosto: dowolną kartę wyklejają atlasem. Potem poprzez tarcie o sukno sprawiają, że atlas pochyła włos w jedną stronę i maluje się na nim, powiedzmy dziesiątkę. Barwa wysycha, włos przechyla się w drugą stronę i maluje się na nim króla.

Do zmiany wartości karty wystarczy potrzeć ją o stół, wyginając włosy w przeciwną stronę.

Na tej stronie Atlasowej Karty, odwróconej ku skazanemu widekowi był kompletny mrok. Jeżeli udawało się przegiąć włosie widma w drugą stronę, pojawiał się obraz. Nieważne jaki, ważne, że mrok na pewien czas ustępował.

Cioteczka Demeter jeszcze przeginała włos, jeszcze skręcała się w zaświatach, wyrrywając siebie i Helenę Kostandis z bezlitosnych łap losu, kiedy starą kobietę dopadł udar.

Osypiskiem ze zbrocza.

Mewami z nieba.

Sądem Ostatecznym.

Podczas swojego długiego życia bałakławska starucha ani razu nie straciła ucznia. Brała wedle Ugody chrześniaków, wprowadzała do Konwentu i w Prawo; wyzwalała i brała nowych. Ale żeby stracić?! W wyniku zbrodni i gwałtu?! „Heleno!” Krzyk frunął w mrok, niczym zmięta szmata.

I wyszło coś zdumiewającego:

- Lenka! Lenka Fert!

Brzeżek włosia mimo wszystko się wygiął, ustępując przed podświadomym naporem Asa. I odsłonił odrobinę: marmurowy stół, na stole Dzwonkowa Dziewiątka, obca, okropnie pokaleczona i uprzejmy głos znikąd:

- Miła pani Altschuller, zna pani tę osobę?  
 „Nie!” - chciała odpowiedzieć cioteczka Demeter.  
 „Tak!” - chciała odpowiedzieć cioteczka Demeter.  
 Nie! Tak! Nie...

Z odpowiedzi nic nie wyszło, bo głos wymówił już starej kobiecie posłuszeństwo. Wokół niej zwierzał się już mrok, w głowie miały się urywki innych widzeń i obrazów, a ciało przeszywał ból - czysty, niczym źródłana woda.

I jeszcze: z mroku i bólu urywkami niosła się skądś marcowa kapela deszczu kroplistych dźwięków fortepianu, zmieszana z monotonnym pomrukiem dziwnej modlitwy:

- Przemknęło życie niczym sen,  
 Więc świecę gaś.  
 Modlitewnego bębna rytm  
 Powtarza czas.

Za wszystkie łaski, Boże mój  
 Szeląg mi daj.  
 Za wszystkie łaski, Boże mój  
 Choć jeden raz...

Kapela wabiła cioteczkę Demeter, miała spokojem, obiecując zapomnienie i sen.

Ale cioteczka mimo wszystko była Asem.

Kiedy później, w jasnym porannym świetle na podwórku wszczął się zamęt, cioteczka Demeter była jeszcze żywa. Zdołała nawet się unieść i wychrypieć pozwolenie na wejście, gdy tylko symferopolskie „byki\*” nieśmiało zastukały do drzwi.

\* „Byk” - w rosyjskiej kminie były więzień, który karę odbywał na ciężkich robotach.

Chrześcianażkę Helenę przywiózł na swoim wozie Jurko workodziej. Wracając o brzasku z miasta spostrzegł w dole, nad samą wodą, nieruchome ciało - co prawda najpierw spostrzegł liczne stado mew, które zażarcie walczyły o zdobycz. Gdyby był trzeźwy, za chińskiego boga nie polazłby pomagać jakiemuś skacowanemu nieszczęśnikowi: chłasnąłby konia lejcami po grzbiecie i pojechał dalej, ale wczorajszy bimber z pierwszego pędzenia jeszcze mu szumiał we łbie, a zostawione na rano piwo popychało do bohaterских wyczynów...

I oto przywiózł na podwórze cioteczki Demeter.

Przecież nie do domu miałby ją zawieźć: każdy w Bałakławie wiedział, że Greczynka żyła samotnie - nie miała krewnych ni rodziny. Czy to się godzi, żeby nieboszczka bez doгляdu leżała?

I jak ona na dół zleciała, biedaczka?

Pojmując, że umiera, umiera jak chrestna starucha w ślad za chreszniaczką - cioteczka postanowiła, że ostatnie chwile żywota musi przeżyć godnie. Jurkowi powiedziała „dziękuję” - ale tak, że chłop kompletnie stracił pamięć tego, co się stało. Niewiele brakło, a wysiłek zabiłby staruchę, ponieważ gdy konwentowy mag wyga zamyka się w sobie po śmierci chrześniaka czy chrześniaczki - to już lepiej byłoby mu skoczyć żywcem w płomień.

Ale inaczej się nie dało.

Z jej rozkazu „byki” przekazali wszystkim znajdującym się w domu krewniakom cioteczki Demeter: wynoście się. I nie wracajcie do wieczora. Dom opustoszał w ciągu dziesięciu minut; w razie potrzeby w tej rodzinie wszystkie synowe, córki, synowie i wnuki robili się nad podziw pojętni. I posłuszni.

Do tej pory zdarzyło się to trzy razy. Ten był czwarty.

I ostatni.

Młodsze wnuka, męża gadatliwej Andromachy starucha zatrzymała. Sztynniejącymi wargami wydusiła z siebie kilka słów. I rybacki barkas jak najszybciej wypłynął prosto do Sewastopola. A dwóch letników, którzy przyjechali wspólnie z symferopolskimi „bykami”, wyprawiono do taboru barona Cziambu. Gdyby chreszniaczką Helena żyła, wszystko byłoby niepotrzebne: cioteczka Demeter, As Żołędny i bez gońców sięgnęłaby i przyzwała kogo trzeba.

Zresztą i teraz mogłaby to zrobić.

Na ostatek.

Ale gdyby goście przybyli - nie mieliby o czym rozmawiać z dwiema martwymi kobietami.

Oprócz przejezdnych Waleta i Damy, którzy jeszcze przy pierwszym spotkaniu zdołali staruchę nieźle rozdrażnić, rozkazano jeszcze, bez względu na koszty, ściągnąć na barkas niejakiego doktora Ozno-biszyna\* Piotra Walerianycza, Turecki Zaulek numer 8, na półpiętrze. Drzwi z mosiężną tabliczką „Lekarz pediastra Ozno-biszyn”, a niżej - godziny przyjęć.

\* Nazwisko znaczące - „oznob” po rosyjsku znaczy „dreszcz”

„Byki” zaczęły grymasić: Po co komu dziecięcy lekarz? Oni sami lekarza znajdą! Najlepszego! Spod ziemi go wykopią! „Spod ziemi nie trzeba - odpowiedziała bez słów cioteczka Demeter. - Ten pediatra sam... spod ziemi...”

Z głęboka.

Po raz pierwszy w życiu starucha zwracała się do Króla tej samej maści - znakomitego „trupiarza” Oznobiszyna, który wsławił się tym, że do rozstrzygnięcia pewnego sporu przesłuchał kiedyś trupa mistrza miejscowej łoży masonów, po prostu przespacerowawszy się wzdłuż ogrodzenia miejskiego cmentarza.

Nie kazał nawet rozkopywać mogiły.

Oznobiszyn, który z powodzeniem leczył dzieciaki z kokluszki, szkarlatyny, odry i świnki, potrzebny był cioteczce Demeter dla jednej przyczyny. Po jej śmierci i do czasu przeprowadzenia najbliższej Elekcji Asa dobry pan doktor miał zostać krymskim najwyższym autorytetem.

Stara kobieta czekała.

Wiedziała, że umiera.

I wiedziała jeszcze, że się doczeka.

- Dajże mi Boże szeląg jeden

Nic więcej z nim,

Dobrze mi z groszem, moim groszem

A także Twym.

Pójdę do świętych w rajske sady

Lub w piekła dym.

Za wszystkie grzechy i zasługi

Zapłacę im...

Nie.

Doczeka się.

Doczekała.

**IX. FIODOR JOCHACZ****ALBO /TYPA TRUPIARZA**

*Czy otworzyły się przed tobą bramy śmierci  
I widziałeś bramy mroków?*

*Księga Hioba*

...Otworzyła oko.

Lewe.

Tuż obok zachłysnęła się własnym krzykiem przerażona Akulka.

Wargi Asa drgnęły kurczowo: uśmiech? Może jakieś słowo się przebiło?

- Pszszsz... - niczym syk gadziny.

„Przyszliście...” - Fiodor raczej odgadł, niż usłyszał to, co powiedziano. Przepadło gdzieś wszystko inne - pamięć o spotkaniu z kniazem żandarmem, gorzki uraz do Kniahini, obrzydzenie jakie przyniósł ze sobą na barkas rumiany staruszek! - został tylko ten syk, niezdarnie przełożony przez niewidzialnego tłumacza na ludzką mowę.

- Tr-rr... ssss... dowm...

„Teraz się dowiemy.” - Fiodor doskonale zrozumiał i wolałby ogłuchnąć, choć nie wiadomo, czy byłoby to coś pomogło.

- N-chch... zaszszsz...

„Niech zaczyna”.

Dwa draby w kratę ostrożnie, niczym największy skarb, podniosły krzesło ze staruchą. Ruszyli z nim w głąb domu. Stąpali drobnymi kroczkami i w nogę: żeby nie zatrzeć krzesłem. Przeszli ku zbitemu z desek stołowi, na którym stała trumna bez wieka. Trumnę Fiodor zauważył jeszcze od drzwi i cały czas starał się odgadnąć, kto leży w środku?

Nie liczył co prawda na śpiącą królowną, która czeka, żeby ją Fiodor Sochacz obudził pocałunkiem.

Głupiutka Akulka oczywiście przed gospodarzem łeb w piec wetknęła. Zerknęła do trumny - i aż ją odrzuciło! Zbladła natych-

miast jak nie dziewczyna, ale świeżo uprana lniana koszula. No popatrz, nawet romska opalenizna z niej spęzła!

Nawet barwna suknia jakby siwą pleśnią się powlekła.

Sam Fiodor patrzeć nie bardzo miał ochotę. Nie lubił martwiaków. Zerknął tylko z wysokości swego niemałego wzrostu i też się odwrócił. Czemu się gapić po próżnicy? W trumnie leży Greczynka. Ta sama, która poprzednio wyszła im na spotkanie. Jedna rzecz go zastanowiła: po czym rozpoznał nieboszczkę, skoro zamiast twarzy miała plaster rąbanki? Policzki podziobane. Wargi wydziobane. Nos długi i zagięty - podziobany. Oczy...

I oczy wydziobane.

Ze szczętem.

Zemdlilo chłopaka. Do krtani wspiął się obrzydliwy kłębek żółci - ledwo go Fiodor zdołał zatrzymać. Z głębin pamięci wypłynął obraz mordwińskiej kostnicy. Tam było tak samo... i tak samo pojawił się kniaź-żandarm z jego uśmiechem-nieuśmiechem. Tyle, że mordwińska nieboszczka, którą do czasu trzymali nieczym dokupioną kartę koszulką do góry, miała na czole romb dzwonka, a Greczynki nie oszelmowano żadnym kolorem.

I nagle Fiodor poczuł pewność: powinien być kolor! Musowo! U tej Asicy, co to im wtedy Raszka na wozie pokazywała - wszyscy pokaleczeni nieboszczykowie mieli kolory! No, poczekajże ty...

- S-s-t-ć... zzz... o-k-u...

„Stańcie z boku”. Tym razem tłumacz się nieco spóźnił z przekładem.

Chłopak przez chwilę przestępował niepewnie z nogi na nogę.

I nagle z krzesła padło jasno i wyraźnie, poprzednim głosem:

- Tylko atuty. Dzieci... dzieci nie trzeba.

Fiodor pochwycił krótkie spojrzenie Kniahini. Dobra. Bez dzieci, znaczy bez dzieci. Postoimy sobie tutaj, z boczką.

Myśmy przywykli, nie jesteśmy obraźliwi.

Akulkę chrzestny Druc odprowadził za rękę, jak małą dziewczynkę. Usadził obok chłopca na tapczanie, na którym dziewczyna poprzednio (przysięgłbyś, że od tamtego razu minęła cała wieczność) odsypiała hulankę.

- Siedz tu, dopóki wszystko się nie skończy - przykazał surowo. - Pomiedzy dorosłych się nie pchaj. Zrozumiałś?

I wrócił do stołu katafalku. Stanął ramię w ramię z Kniahinią, plecy przygarbił, ramiona opuścił - nie Rom, ale wielkie ptaszysko.



Drapieżne. Z obu stron natychmiast zbliżyli się ci w kratę. Krzesło Asa ustawili naprzeciwko, kapelusze zsunęli na tył głowy - i stoją. Dziarskie chłopaki - palca im w gęby nie wsuwaj, bo z łokciem odgryzą!

Stanęli niczym straż honorowa i czekają nie wiedzieć na co.

A wokół stołu płąsa tanecznym krokiem staruszek, ten z barkasu. Oznobiszyn jego nazwisko, Piotr Walerianycz, doktor od dzieci. Tak się chłopcu po drodze przedstawił. Dlaczego Walerianycz, to Fiodor rozumie: są takie krople w aptece, dla uspokojenia nerwów, tragic Policejmało nimi przed wyjściem na scenę koniak zapija. A dlaczego Oznobiszyn - też jasne. Do tej pory go trzęsie. Niezły doktorek: sam o dreszcze przyprawi, sam uspokoi i do snu ułoży... wiecznego.

Co prawda, lepiej już patrzeć na niego niż na nieboszczkę!

Ej, doktorze Walerianyczu, i cóż ty robisz? Nie słyszy. To poprawił, to przesunął, tam palec wetknął, powąchał i zamyślił się. Paznokcie na palcu ma długie, lśniące chłodem, niczym lekarskie narzędzie. Lancet, nie paznokcie! Otworzył walizeczkę i prawdziwe narzędzia zaczął wyjmować. Niklowane, w skórzanym futerale. Walerianyczu jeden, po cholere cię do Bałakławy morzem przytaszczono? Greczynce zdasz się już na nic. Nie dziecina to z angina; z łap Kostuchy jej nie wydrzesz; nikomu się jeszcze taka sztuka nie udała. Może do Asicy cię wezwano - wredną babę skurcz i spazmy chwyciły, tylko patrzeć, jak kopyta wyciągnie. Lecz staruchę, kropłamiżalewaj! Ale czemuż ty ciągle wokół trumny się kręcisz, a siwiutkie twoje kłaczkę słońce w srebrną koronę zamienia?!

Walerianycz, a może tyś księżę następcę? Pocałuj Greczynkę - ożyje!

\*\*\*

W tym momencie Akulina ostrym łokciem kolnęła chłopaka w bok. Znacząco. Strach dziewczynę bierze, pot na jej czole się perli - a na miejscu usiedzieć nie potrafi! Pomyślał Fiodor, rozważył, kiwnął głową niecierplivej krajance i zaczęli oboje bokiem, nieznacznie, ku stołowi się przesuwac. Nie trzeba dzieci, to nie trzeba, ale się zobaczy. Rację ma Akulina; nie masz nic gorszego nad bezradne siedzenie i czekanie na boskie zmiłowanie.

Walerianycz tymczasem trumnę w ogóle na brzeg stołu zsunął. Jedną ręką, lewą. Zdumiał się Fiodor: czy on sam dałby radę? Ciężko jakoś. Kiedy tak myślał, Walerianycz się pochylił, z woreczka nabral pustych muszli i na blacie stołu rozrzucił. Jak która padła. Potem nici z zasłony narwał i obok muszelek położył. I piaseczkiem przysypał.

Jakieś gry doktorek zaczyna.

Mruczy pod nosem: „Ene, due, kukaracza, miast mądrego - dom zapłacze...”

Przyjrzał się Fiodor uważniej; wszystko ten Walerianycz lewą ręką robi. Lewica, znaczy. A w prawicy laseczkę ściska, która zamiast główki ma łeb czarnego pudła. Z kości wyrzeźbiony, ale tak mistrzowsko, że głowę byś dał: ugryzie zaraz! Coś tam Raszela w pociągu o czarnych pudłach mówiła... nie, teraz sobie nie przypomnisz.

Wszyscy zebrani też od samego początku w doktora się wgapili i na chłopaka z dziewczyną nikt nie patrzył. Podkradli się cichutko i stanęli za plecami Raszeli i Druca. I zastrzygli uszami, na wszelki wypadek. Widać, przyszła pora, żeby oni z Akulką postali za plecami chrzestnych. Niedobrze się stało, że na tamtym barkasie Kniahini na Fied'kę naskoczyła i o kniazium słuchać nie zechciała! Niedobrze.

Ale jakoś sienie złożyło, a teraz rzeczywiście nie pora.

„...wyszedł miesiąc z sinej mgły, oszukańcze rozwiął sny...”. Biega doktor podśpiewując, śliną parska, a obok ten bardziej tęgi „kraciasty” z Drucem naszeptuje:

- ..ten sam? Któremu baron Cziamba zlecenie przekazał?

- Zlecenie? - cedzi leniwie Druc, jakby mówił mimochodem.

- Jakie zlecenie?

- Nie strugaj durnia, Golony! Przecież to ciebie w obozach Golonym ochrzczono?

- Gołę się, to mnie ochrzczono.

- Na ogiera, mówię, zlecenie. Wziąłeś się do sprawy?

- Aj, *more*, żrebiec żrebcowi nierówny! Czystej krwi orłowskiej, tak?

-No!

- A amerykańniec biega? Nogi mu bandażują, bo staw ma nadwężony?

-No!

- Nie, *more*, nie moja to sprawa. Ja raczej świnię kradnę, na kielbasy. Chcesz, ciebie ukradnę! Tłuuuusty jesteś!

- Dobra. Coś innego ci powiem: módl się, Romie, żebyś ty się na tej śliskiej sprawie nie potknął. Za późno już na to, żeby zamówienie innemu składać. Wychodzi na to, że mamy do ciebie ważną, atutową sprawę - i to podwójną. Nie stawaj okoniem. Bo wiesz, Pstryk jest dość nerwowy. Mama w dzieciństwie często go po głowie waliła. I teraz najpierw wali z rury, a dopiero potem myśli.

- Już się boję, *more*. Wszystkie konie ci sprowadzę, tylko mnie nie strasz.

-No, uważaj sobie...

### *Notatki na marginesie*

*Niebezpieczna to sprawa: wgapić się w oczy takiego zucha, jak Kraciasty! Patrzysz w oczy, a jakbyś w dwie lufy rewolweru spoglądał. Strzeli? Nie strzeli? I sama z siebie jakoś się ujawnia:*

*...ruletka.*

*Zielony stół. Kolo się kręci, panowie i damy obstawiają numery i kolory, stukają żetony, szeleszczą banknoty, dźwięczą monety, podskakuje kulka. Twarze graczy tchną hazardem: czarne? czerwone? wygrana? szczonek w nos od losu? „Zero” mignie i zęby wyszczerzy? Lufę rewolweru w skroń wcisnąć? Ech losie, ty prześmiewco, fortuna nieszczęsna, życie kopiejki niewarte! Obcy hazard, obce żądze. Dla durniów.*

*Mądry zawsze na swoje wyjdzie...*

„Kraciasty” zaraz umilkł i wsunął swoją szeroką łapę za kołnierzyk. Najpewniej się spocił podczas rozmowy. Albo postanowił połapać mrówki, które biegają po skórze. Zaszumiały z góry łoży trącane wiatrem; napłynęła na jasne słońce chmurka i sobaje zakryła. I skąd się przybędła wzięła? Klębi się po brzegach, uszy wydeła, paszczę rozwarła i światło jasne zębyszczami przeżuwa.

Nie chmura to, ale czarny pudel.

Sfrunęły z góry cienie na ziemię i taniec ze sobą zaczęły.

Odwrocił się Oznobiszyn, Piotr Walerianycz, do Asicy sparalizowanej:

- *Kali mera*, cioteczko Demeter!

Znieruchomiał Fiodor niczym kamień. I wcale nie dlatego, że dziecięcy doktor przemówił do staruchy po grecku, ale dlatego, że głos ukradł Walerianycz-prajdocha; po prostu wziął i ukradł.

Godzi się kraść głos nieboszczce?

Pamiętał przecież - na brzegu koło pomostów, gdzie zawiązała się awantura z rybakami, tym samym głosem Greczynka ich powitała:

- Idziemy. As na was czeka. Wysłałam was powitać.

I masz ci los!

Asica i wcześniej biała była, a teraz to już cała posiniała. Żyły jej wystąpiły na czole, niczym powrozy. Mięśnie na policzkach jak kamienie. I podniosła się - popatrz, gdzie się podział jej paraliż? - na krześle:

- Heleno!

Dziecięcy doktor palcem jej pogroził: milcz! Jakby chciał rzec: uważaj, bo przestraszysz i odstraszysz. I znów się zabrał do biegania wokół; jakby nie trumna na stole leżała, a mucha i on sam był pająkiem krzyżakiem, który zdobycz pajęczyną otula i w kokon owija.

Zatrzymał się.

Laseczką po krawędzi trumny chlasnął na odlew.

Akulina palce wczepiła w Fiodorowi łokieć; zda się - nie odewiesz. Fiodor i sam rad by się wsparł na kimś; przecież otchłań pod nogami! Niby stoją na podwórzu, ale i nie na podwórzu - wiszą niczym wisielcy nad urwiskiem. Wszyscy jak jeden - cała kompania. Ducha w piersi zapiera. „Kraciaści” grzebią w pazuchach, szukają w kogo by tu palnąć; ale nie ma do kogo strzelać. Chyba że w Greczynka nieboszczkę.

A ona - proszę! - żywa i zdrowa po ścieżce idzie.

Trawki o brzasku zbiera.

I wstrząsnęło światem od podstaw do szczytu samego. Znów podwórze i trumna, ale na stole wokół trumny, zamiast rozmaitych drobiazgów, skały się piętrzą. Maleńkie - wszystkie w dłoni pozamykać można. Były muszelki - skałami się stały. Były łozy, fale zamiast nich dołem popłynęły. Był piasek i ziemia, piaskiem i ziemią się ostał. A po ścieżce wzdłuż tęczowego grzbietu najbliższej muszli - mucha pełźnie.

Greczynka Helena; żywa.

Przypomniał sobie Fiodor rotmistrza. Zrozumiał, jak ludzie rozum tracą.

Do końca życia pamiętał będzie.

Chciał się podnieść i cofnąć; nie wyszło. Nogi stały, jak przymrowane. Tylko zobaczył, jak nikąd spadł kamyczek i uderzył w muchę Helenę. A ta - bęc z muszelki, stoczyła się ku falom i upadła nóżkami do góry. A Walerianycz znów laseczką trzask-prask! Od razu widać, że rozgniewał się dobry doktor! Coś tam nie wyszło. Nadleciała chmara komarów, unoszą się nad muchą, dziobami kłapią...

Dziobami?!

Szarpią mewy kobiece ciało. Śniadanie żrą. I boją się: a nuż ktoś zabierze im łakomy kąsek.

A Walerianycz wciąż się wścieka. Laseczką siecze. Skalpelem sobie żyłę otworzył; rzucił skalpel i zacisnął nacięcie. Krew po dłoni rozmazał i chwycił tą dłonią dwie boże krówki. Na muszlę je rzucił. „Boża krówko, nie leć do nieba, splącz, co było i czego nie było”. Pełzną owady po skałce, lśnącymi grzbietami łuskając.

Spelzły powolutku.

Zbliżają się do muchy Heleny, szarpanej przez czajki.

Wścieka się doktor. Sarka gniewnie: krówki boże jak były owadami, tak i nimi zostały. W nikogo potrzebnego się nie zamieniają. „D-chchch...” - syczy Asica z krzesła. „Dach!,” znaczy. Nad bożymi krówkami dach, osłonę ktoś rozpiął.

Niczego wyraźnego nie widać.

Tylko szepty jakieś z daleka:

-Oczy już jej wydziobały?

- Chyba tak... podejździemy?

- Cyklop przecież rozkazał: tylko wtedy, gdy oczy wydziobane będzie miała. Inaczej - sam kapujesz...

I nagle Walerianycz jak nie wrześnie na nieboszczkę:

- Dziesiątko Żołędna! Widek jesteś czy nie?! Po co widekowi zwykle oczy? No, po co?! Odpowiedz!!!

Fiodor aż się lekko uniósł: a co, jeżeli doktorowi odpowie nieboszczka? Ruszy wargami? Fuj... ale nie, udało się, nie odpowiedziała. Ale... ta większa z bożych krówek migotać zaczęła. Drży niczym błędny ognik: był grzbiecik, plecami się stał. Ludzkimi. Były wąsiki, w wąsiska się zmieniły. Z zakręconymi w górę końcami. Były łapki, stały się butami. Pastą wysmarowane, do połysku wyczyszczone.

Przez ciało owada człowiek prześwituje; to się objawi, to zniknie.

Znajomy ten człowiek.

- Kniahini! - wrzasnął chłopak, na nic nie bacząc. - Kniahini, popatrz. To ten podoficer!

- Jaki podoficer?! - Walerianycz podleciał w jednej chwili niczym bażant. Laseczkę uniósł i pudłem zaczepił o szyję Fiodora tak, że wyrwać się chłopak nie może. - Skąd go znasz?!

Zerknął Fiodor ukosem na chrzestną: kiwa głową przyzwalająco.

- W Babilonie go widziałem. Przychodził tam z tym rotmistrzem, co na naszych oczach zwariował. Był przy nim jakby służącym. Akulka jeszcze mówiła, że ten rotmistrz się za mierniczego w Gruszewce podawał.

- Mierniczy? Z Gruszewki? To tam, gdzie u Wad'ki przemysłnika chrześniaka utopili?!

-No...

Odwrócił się Walerianycz do siedzącej na krześle staruchy:

- Otóż i masz swój „dach”, Demeter. Znikł on, jakby go wiatr zdmuchnął. Wierz sobie albo nie: naszych chrześniaków „Barbarzyńcy” zabijają. Dlatego i zabójców nie widzimy, bo mag w swoim prawie żandarma nigdy w życiu nie zobaczy i nie wyśledzi. Od wieków z ludźmi było inaczej, i nie nam to zmieniać.

- Niemożliwe - zamiast Asa odpowiedziała Kniahini.

„Niemożliwe!”-zamilczał Druc, przygryzając wąsy.

Zaprzeczeniem - żywym, choć martwym, odpowiedział As z Bałakławy.

-No, jak sobie chcecie - wzruszył ramionami „trupiarz”.

Stoi Fiodor Sochacz, kęs-precelski prostaczyna, chrześniaczek Dzwonkowy. Okazuje się, że należy do tych, których sprzątają. Jest jednym z nich. Jest w tym przecież i dobra strona, Asica przestanie się czepiać Kniahini i Druca. Niczemu nie są winni, nikogo nie osłaniali. Przypadkiem trafili na cudze wesele i goście ich o kaca obwiniają.

I o ból głowy.

Zrzuć Fiodora Sochacza z urwiska albo, powiedzmy, poszarpią rozpalonymi kleszczami - bywa.

Za to od Kniahini odsunięto podejrzenia.

Słyszysz, Asico Żołędna, więdźmo z Bałakławy? Słyszysz, do-bry doktorze Oznobiszynie? Słyszysz, szalony rotmistrzu?

Jeżeli ktoś słucha, to tylko ten rotmistrz.

I nawet odpowiada:

„Wiedz, mój kochany, że Nikt zjedzon będzie na ostatku, kiedy się rozprawię z pozostałymi; oto i mój podarek!..”

A podoficer wąsacz, boża krówka, przytakuje szefowi:

„Cyklop przecież powiedział... Inaczej, sam kapujesz.

Fiodor Sochacz niczego nie rozumie. Kazał, nie kazał, cyklop, nie cyklop. Nie pojmuje ni cholery. Po prostu cieszy się chłopak. Patrzy z miłością na Walerianycza, kiedy ten pot z czoła chusteczką ociera. Puls sobie mierzy. Wyciąga z sakwojazu nie lancet czy pincetę - ale butelkę drogiej wódeczki. Lakiem zapieczętowana i pieczęcie na sznurku z boku wiszą. Od razu widać, że taką wódkę tylko car pija.

Zmęczył się doktorek.

Przerwał kręcenie karuzeli nieboszczykom.

Podsoczył do staruszka „kraciasty” i niby z powietrza wyjął szklaneczkę kryształową. A białe doktorskie ręczki drżą... nie otwo-rzy Walerianycz butelki, nie napelni szklaneczki. „Kraciasty” zrobił to w najlepszym stylu - odpieczętował, nalał. Do pełna, tylko pa-trzeć, jak się przeleje.

Nie żałował.

Pij, dobry człowieku!

Nawet podsunał mu pod nos srebrną cygarnicę: może papiero-ska? Ze złotym ustnikiem, „Pompeja”? Zapaliłby Walerianycz! Po kieszeniach się trzepie, niczym roztańczony Rom taboryta - ognia szuka. Przyszła pora, żeby i Fiodor się wykazał. Podbiegł uradowany, sięgnął za pazuchę, wyjął paczkę zapalek.

A razem z zapalkami z kieszeni wysunęła się książęca wizytów-ka.

Okazało się, że „kraciasty” jest zręczny i chybki.

Buhaj-a zręczny.

W locie karteluszu pochwycił.

## X. AZA-AKULINA ALBO

### NIE PODKRADAJCIE JTRAJZNYCH BAJEK

*Z prawej strony powstaje banda wyrostków,  
Nogi moje odtrącili  
I spychają mnie na zgubne ścieżki.*

*Księga Hioba*

- Książ Szałwa Timurazowicz Gandieri, emerytowany podpułkownik.

„Kredens w kraciastym garniturze” przeczytał na głos to, co było napisane na karteczce Fiodora.

- Ależ ty masz kompanów, chłopie! - dolna szczeka „kredensu” wysunęła się niczym szuflada; uśmiechnął się, znaczy. - Niezła rodzinka: mateczka chrzestna - Kniahini, a tu na dodatek jeszcze i tatuś chrzestny jak ta lala! Z błota na salony, z chłopca - pan!

Zachichotał krótko, zakrzuszył się, zrobił zeza ku nieboszczce w żalobie, a potem zerknął na panią domu.

I kiwnął głową, jakby chciał rzec: przepraszam, to nieumyślnie było.

A mnie samą aż trzęsie i jednocześnie płakać i śmiać mi się chce. Niby cieszyć się trzeba z tego, że nikt już nas podejrzewał nie będzie - ale z czego się tu cieszyć przy trumnie i po tych nowych wieściach! Druc z Kniahinią rzucają sobie znaczące spojrzenia. Akurat znaleźli sobie porę na tę zabawę! Przecież wszystko już się skończyło!

- Mój drogi, zechciejcie wybaczyć...

Doktor-trupiarz stawia na stole pustą szklaneczkę. Była wódka, ale się zbyła. Wypił ją. Całą szklanekę. Bez reszty. Bez zakąski. Drobnymi łyżkami.

A ja go, staruszka, żalowałam!

- Zechciejcie wybaczyć, mój drogi... Można zerknąć?

No popatrz, już nawet ręce trząść mu się przestały!

- Gandieri... Szałwa Gandieri... - mamrocze pod nosem doktor tym samym tonem, jakim wcześniej mamrotał swoje straszne wyli-



czanki. - Ciekawe, czy dawno jest na emeryturze? Co pan powie, młody człowieku?

Różowiutkie, dobroduszne oblicze zwraca się ku Fiodorowi. I nagle na tym pyszczku podstarzałego prosiaczka ostro błyska szkiełko w oku.

Mimo woli wczepiam się w ramię Druca. Ogarnia mnie strach! Niech już lepiej zaczną mówić wszystkie trupy na świecie! Niech! Lepiej będzie! Nie wiadomo czemu wydaje mi się, że doktor lada moment sięgnie do swojej walizeczki i wyciągnie stamtąd kosę!

Krzywą i szczerbatą.

- Ależ ty pytania zadajesz, Walerianycz! - Fiodor drapie się po karku. - Przecie jajego raz tylko widziałem, na bazarze. Dzisiaj.

- No, młody człowieku, nie udawajcie skromnego! - dobroduszenie uśmiecha się doktor.

Jeżeli do mnie się tak uśmiechnie - ucieknę! Jak Boga kocham, ucieknę!

Albo skonam tu bez rozgrzeszenia.

- Nie udaję skromnego. Mówię, jak jest: spotkałem go dziś na bazarze. Jakiś złodziejasek się do niego dobierał, a ja smarka przegnałem. A ten kniaź, dziękować mi zaczął. W cukierni poczęstował mnie ciasteczkami i mineralną wodą. I dał tę karteczkę, dla pamięci. A potem każdy poszedł w swoją stronę.

- Za przeproszeniem, Piotrze Walerianyczu - wtrącił się „kredens” i nawet kapelusz leciutko uniósł. - Cóż to za przesłuchania pomiędzy swoimi? Co kogo obchodzi, z kim się chłopak, delikatnie mówiąc, spiknął. Prawda, że głupi, prawda, że uczciwym urkom w pracy przeszkadza i ciastka wsuwa z rozmaitymi frajerami. Ja za dwie godziny parowiec mam...

- Zechce pan się zamknąć z łaski swojej.

I „kredens” się zamknął. Natychmiast. Zatrzasnął wieczko i zamknął na klucz. Aż czerwony się cały zrobił: chyba ciężko mu milczeć. Sama wiem po sobie.

- Jeżeli pana interesuje cel mojego -jak to raczył się pan wyrazić? - przesłuchania! - Trupiarz obraca karteczkę w palcach jak zdechłego motylka. - Czy jest panu wiadome, kim jest nasz szlachetny kniaź Gandieri?

- Przecież tam napisano! Na karteczce - nie wytrzymuje drugi „kraciasty”, ten podobny do tyczki.

Trupiarz go nie słucha. Nie słyszy.

- A ty, Kniahini, Damulko moja najśliczniejsza, też nie wiesz? Miód, nie głos. *Cieknie i wsysa w lepka, bagienną słodycz. Ciekawe, czemu pasiaستم „panuje”, a Kniahinię „tyka”?*

- Czemu nie, Królu. Wiem. Kiedy widziałam go ostatnio, był żandarmerskim podpułkownikiem. Łapsem z „Barbarzyńców”.

- Nie inaczej, Kniahini! I dlatego pytam: od dawna książę Gandieri jest na emeryturze? Przecież to on, o ile mnie pamięć nie myli, najpierw cię związał w Henningu, a po odbyciu kary osobiście skierował cię na zesłanie gdzieś nad staw ze złotymi rybkami i złagodzonego reżimem?! Bliżej siebie, wielbiciela w mundurze?! Opowiadano, że dla tego drobiazgu przeniósł się ze stolicy do Mordwińska - po wasze dusze! I proszę, *voilla*! Ty na Krymie, w słoneczku się wygrzewasz...

-Ach wy, gady!

Oj, matulu jedyna! Kiedyż ci „kraciaści” rewolwery zdążyli powymnować? Jeden mierzy Drucowi w głowę, drugi w Raszelkę.

- Mówcie, dranie, kogo jeszcze faraonom nadaliście! No!

- Ciszej, panie bracie - trupiarz tylko oczy zmrużył pogardliwie.

- Po cóż się tak unosić? Myślę, że zebrali się tu ludzie rozumni i teraz się dowiemy wszystkiego, co nas interesuje.

-Ja...p-żżż...

Jakby fala przyboju o brzeg uderzyła: „Ja... pokażę...”

Asica!

Wszyscy zdążyliśmy o niej zapomnieć.

- Pani Andrusaki, nie powinna pani teraz podejmować żadnych wysiłków! Mówię to pani jako lekarz i jako Król Żołędny! Nie wykluczam śmiertelnego zejścia! Słyszysz pani?!

- S-s-s...

Gdzie nagle podziało się podwórze? Gdzie trumna z nieboszczką? Gdzie „trupiarz” i „kraciaści”?

Gdzie jestem?!

Naprzeciwko mnie, za stolikiem - nieznany pan ze szczoteczką rudych wąsów, w drogim garniturze i cygaro pali.

Nawet dymem zapachniało!

- Wy, *gołąbeczku, ekierka lepiej spokojnie dojadajcie. Mineralną wodą popijcie. A jeżeli spotkacie gdzieś miłą panią Alt-*

*Yoillal - oto jest! otóż go mamy! (franc.)*

*schuller, przekażcie jej serdeczne pozdrowienia od kniazia Gandieri. Zapytacie: Dlaczego nie wzywam policji, dlaczego nie każę...*

Jego mowa rozplywa się w niezrozumiałym mamrotaniu i uchodzi precz. Świat dookoła mnie pokrywa się fałdami drzeń, znów przez niego zaczyna prześwitywać bałakławskie podwórze, teraz człowieka za stolikiem widać niezbyt wyraźnie - jakbym ja, Akulka spod wody nań patrzyła. Albo jakby on sam był pod wodą, aja... nie, znów obraz się poprawił i głos wrócił.

Pan wyciąga dłoń i uspokajającym gestem klepie kogoś niewidzialnego po ramieniu.

Najpewniej Fiedoniuszkę.

*- Gołabczku, koniecznie, obowiązkowo opowiedzcie pani Altschuller o naszym przypadkowym spotkaniu. Sam bym zresztą z nią chętnie porozmawiał o tym i owym... oczywiście w charakterze osoby prywatnej. Wyłącznie prywatnej...*

I znów - drzenie, mgła, niezrozumiałe, senne mamrotanie. Pojmuję nowym, nie swoim zrozumieniem: teraz już po wszystkim. Wykańcza się As. I nagle - ostatnim, dogorywającym dźwiękiem:

Ileż to lat krzychałem władzom państwa w uszy: nie gałązki, ale korzenie rąbać trzeba! Państwo okazało się głuche. Demencja starczą państwo cechuje. To podałem się do dymisji...

Drgnęło nagle i zamarło serce. Pociemniało mi w oczach. „Tak oto ludzie umierają” - pomyślało mi się ni z tego, ni z owego. Spokojnie, bez strachu, a gdy otworzyłam oczy, patrzę i widzę- sflaczała As w swoim krześle. Głowę w czepcu na pierś zwiesiła.

Koniec.

Nie masz już Asa w Bałakławie.

- Niepotrzebne to było, Demeter - z żalem w głosie odezwał się „Trupiarz”. - No, ale Bóg sędzią ci będzie. Odejdź w pokoju.

Wziął laseczkę i przekreślił staruchę swoim pudlem.

A potem zwrócił się do nas. Do wszystkich.

- No cóż, Kniahini. Myślę, że pora, abys się wytłumaczyła. Nie sądzisz?

- A od kiedyż to Dama przed Królem i to jeszcze innego koloru, tłumaczyć się musi? Mam ci przypomnieć Prawo? Asowi bym odpowiedziała, ale już go tu nie ma. Zwołaj zgromadzenie Asów, Królu, wtedy porozmawiamy.

Słucham i się dziwię; mogłaby przecież opowiedzieć wszystko jak było, prawdę, zrozumiałby trupiarz, że nie my im buty szyjemy! A ta się wzięła i uparła... i głos, ten głos! Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby Kniahini mówiła takim głosem!

Jakby szczęki stalowych sideł na niedźwiedzia się zatrzaśniwały!

- Nie tobie teraz na Prawo się powoływać! - syczy w odpowiedzi Trupiarz niczym wąż, co na dnie studni się kryje i szkiełkiem w oku łyśka. - Za wiele przypadków na twojej szyi zawisło! Uważaj, żebyś się nie naderwała! I ten twój uczeń - niech baczy, żeby biegunki nie dostał od tych ciasteczek i wody mineralnej! Poza Prawem się teraz postawiłaś, Kniahini...

Na Druca wcale nie spogląda. Cóż jemu, ważnemu doktorowi ze szkiełkiem w oku, Rom taboryta zrobić może!

- A więc słucham. Dama powinna zacząć pierwsza.

- Niczego ci nie powiem, Królu. Teraz nie. Zresztą i tak mi nie uwierzysz. A władzy to nie masz nade mną żadnej, twoje słowo równe jest mojemu. Zwołuj zebranie. Na tym zebraniu odpowiem całej krymskiej talii. I Golony odpowie. Nie bój się, nigdzie nie uciekniemy. Gdybyś po dobroci poprosił, może bym ci i odpowiedziała. Ale teraz, kiedyś mnie obciążył trupami wszystkich chrześniaków - zabij, a słowa się ode mnie nie doczekasz. Bardzo mnie obraziłeś, Królu...

- Moja ty Kniahini, obrażeni wodę noszą! A co do tego „choć zabij”, dobrze myślisz. Nie odpowiesz za życia, martwa głębę otworzysz. Będę cię podnosić i kłaść, podnosić i kłaść! O pokój wieczny poprosisz - nie dam! Piekło po tym rajem ci się wyda! A jak błąd popełnię - to sam przed zebraniem odpowiem. Jeżeli „Barbarzyńcom” ktoś istotę Prawa przekazał - odpowiem, moja miła, uczciwie odpowiem! Asa już nie ma, czyli do wyboru nowego, ja w talii przewodzę. Ostatni raz proszę: lepiej odpowiedz po dobroci.

- Osssstatni r-rrrazzzz...

I nagle odpowiedź Kniahini żmijowym sykiem się rozlega. Przebija się przezeń coś z przedśmiertnego głosu Asicy; oczy Kniahini nagle zwięzają się w szczelinki, a w ich głębinie błyska odbłask piekielnych ogni.

- Strzelajcie! - wrzeszczy Trupiarz.

Mrużę oczy, ale nie wiedzieć czemu nie słyszę wystrzałów. Ostrożnie otwieram jedno oko.

Lewe.

...No, dziewczyno!

...Doczekaliśmy się!

Otóż i ono, czarodziejstwo! Najprawdziwsze z prawdziwych! Nie masz nadeń innego!

Dobrze jeszcze byłoby wiedzieć - cieszyć się, czy co?

Obaj „kraciaści” wiją się jak robaki na haczykach. Ruszać wam się zachciało - to macie! Strzelać wam się zachciało - to strzelajcie! Smakuje wam? Ręka każdego z nich, ta w której rewolwery trzymają, skamieniała nagle! I wygląda jak głaz! Oni zaś szarpią się, drugą dłońią kurek usiłują spuścić - i nic z tego!

Z nadmiaru uczuć kopnęłam „kredens” w dupę.

Teraz tylko doktora załatwić! Przecież on jeden się został, a nas tyle! Hej, Druc i Kniahini! Dalej tego trupojada - ognidami, błyskachami, gromami niebieskimi!

Obracam się ku nim - i aż się nogi pode mną ugięły! Jakby ciężar niesłychany na grzbiet mi zwałono! Ale mimo wszystko ustałam, utrzymałam się na nogach. Nie, kłamię! Nie sama - Fiedoniuszka mnie pod rękę podtrzymał. Jak kawaler damę. Chciałam mu powiedzieć „dziękuję” i omal się tym słowem nie udławiłam.

Ujrzałam Druca.

Stoi skąpany cały w zielonym, bijącym od niego świetle, przeczysty niby butelka po winie, wewnątrz której świeczkę zapalono! Co tam zresztą świeczka - cała ognista fontanna wewnątrz Druca bije, falami się rozplywa i przez oczy na zewnątrz tryska!

A Kniahini! Ogniami purpurowymi rzuca, wewnątrz niej węgle płonące się przesypują, żarem bucha, a włosy językami płomieni na wietrze trzaskają! Teraz pojęłam, czemu ojczulek w cerkwi *maże* plemię anatamą nieustannie obkładał. Przecież ja sama, kiedy głupia jeszcze byłam, gdybym coś takiego zobaczyła - umarłabym ze strachu!

I proszę - zobaczyłam!

I mało brakowało, a bym umarła!

Okazuje się, że nie straszno, kiedy strach, ale straszno, gdy groza przejmuje! Nasi, choć w ogniu, ale nasi, do ludzi podobni - ale Piotr Walerianycz, trupiarz dziecięcy... Płaski siejakiś zrobił, oleisty, jakby go z nawoskowanego papieru wycięto! A przez ten papier mrok prześwituje. I przenika wszystko wokół, chłodem śmiertelnym od niego wieje i nie wiadomo skąd burzą zapachniało!

Niewiele brakowało, a ze strachu łuską bym porosła!

Odwrócił się płaski trupiarz ku nieboszczykom -jakby nas tu w ogóle nie było! - i mignął na nich swoim mrokiem: jakby mówił „Wstawajcie!”

I wstały.

Obie.

Chcę uciekać - i nie mogę! Kolana się pode mną uginają, ciężar na plecach gniecie. A wiem, że go zrzucić nie mogę! Nie wiem dlaczego, ale nie wolno i już.

Zakrzyczałoby się- ale nawet krzyk mi w gardle kneblem utkwiał. Ale... wydaje mi się, że za plecami papierowego trupiarza korytarz się otwiera. Ściany z mgły, sklepienie też, a posadzka marmurowa, jak stół z kostnicy - tej, którą Fiedoniuszka widział i mi opowiedział. A tam, w głębi tego korytarza, jakiś chłopaczek zastygł, pomiędzy półkami ze szklankami i buteleczkami. Stał i patrzy. Nie na półki - ale na nas, czy co? Nie wiadomo. Dlatego, że twarzy tego chłopaka nie można dojrzeć przez mgłę - widać tylko, że kitel ma na sobie biały, niczym pigularz...

-Akulino! Fiodorze! Szybciej, uciekajmy!

Chwytają mnie za rękę i ciągną.

Dokąd?

Gdziekolwiek, byle dalej!

Dzięki ci, wujaszku Druc!

Nogi, nogi wy moje! Idźcie! Biegnijcie! Ramiona moje, nie złamcie się! Głowo, nie odwracaj się!

- Nie patrz, Akulino!

To Kniahini.

Za późno, ciociu Raszelko, już spojrzałam.

Głupia jestem, ależ głupia...

Oto i one: pokaleczony przez mewy trup Greczynki i Asica Demeter. Stoją przy bokach trupiarza; promieniujący niesamowitym miogotaniem Piotr Walerianycz trzyma nieboszczki za ręce, jak dzieci, a na jego woskową twarz powoli wypływa kościsty półksiężyc.

Uśmiech.

- Ch-cholera, spóźniliśmy się! Podniósłje Król! Nie na darmo w operze śpiewali: dobry mag, to martwy mag! A tu jeszcze i ta nieboszczka chrześniaczka...

Kniahini mamrocze coś i widać ją ledwo ledwo, bardzo daleko, na samym końcu świata, gdzie już prawie mrok.

- Idziemy, Akulino! Szybciej...

Idę.

Bardzo się staram, żeby iść.

Udaje mi się nawet zrobić krok. I jeszcze jeden.

Po trzecim kroku wszystko wokół zaczyna się walić.

Jest tak, jakbyśmy do tej pory siedzieli wewnątrz ogromnego kotła, a domy, drzewa, niebo i obłoki - wszystko to było narysowane na jego ścianach. Ale nie z zewnątrz, ale od środka, specjalnie dla nas. I oto ktoś z zewnątrz jak nie trzaśnie w ten kocioł pałą- i kocioł pękł, rozpadł się na kawałki, a na zewnątrz...

A na zewnątrz wszystko było zupełnie inaczej!

Jak w bajce!

Jak w tej książce, którą w sklepie podwędziłam.

### *Notatki na marginesie*

*Nie patrzcie w oczy martwej Greczynce! Nie patrzcie! Tym bardziej, że ona nie ma oczu... Stójcie!!! Ach:*

*...popiół.*

*Szara, kamienista równina aż po widnokrąg; żadnej roślinki, krzaczka, żadnego drgnienia życia. Pomiedzy kamieniami nie przemknie mysz, a nikłego słonecznego dysku nie przesłoni wronie skrzydło.*

*Zresztą słońca też tu nie masz. Niebo jest tak samo szare jak ziemia. Szare, mętne i nieprzeniknione. Od czasu do czasu tylko przelotny wiatr podrywa z ziemi obłoczek lekkiego, prawie nieważkiego pyłu, skręca go w małe wiry, dziwnie podobne do przezroczystych ludzkich sylwetek...*

Był kocioł, stał się zamek. Baszty pną się ku niebieskim wymiom chmur, jakby wołając o mleko; mur zębaty, z dziurkami strzelnic, a u wrót most przykuty łańcuchami, żeby go nie ukradziono.

Most podniesiony i wrota zamknięte.

A kto stoi przy ścianie, tam gdzie schody? Czyżby my?

Druc ma na sobie szmaragdowy płaszcz iskrzący się płynną zielenią; na ramieniu wyszyty jedwabną nicią i podobny do czarnego liścia znak Wina; pod płaszczem czarny atlas i jedwab, na nogach buty z ostrogami, na głowie niby to kapelusz, niby obręcz, widać tylko, że srebrne. W dłoni trzyma solidną łapę i przymierza się, jakby tu Trupiarzowi lepiej przygrzać. A Kniahini - wygląda, jakby w ogóle z ikony zesza! Suknię ma ze złotogłowiu perłami wyszywanego, w bujnych włosach luzem kamienie szlachetne; na piersi - amulet rubinowy w kształcie rombu Dzwonka. A laseczkę ma niewielką, za to od razu widać, że czarodziejską.

Ależ się odstawiała!

Spojrzałam na Fied'kę - też się jołop wystroił! Kaftan ma na sobie zamorski, portki z liliowego atlasu i szablę u boku, a na plecach... na plecach trzyma kamienną łapę! Samą rękę, nic więcej! Ciężkie łapiszcze; choć z Fied'ki siłacz nie lada i jego ku ziemi przygięło!

A co mnie z tyłu gniecie?!

Wykręciłam się i zrobiłam zeza. Nie inaczej! Wcale nie jestem gorsza od Fied'ki: i mnie rękę przymocowali. Jak się na nogach trzymam, skoro nawet Fied'ka resztki sił zbierać musi?!

Ale stoję i się nie przewracam.

Szkoda że zwierciadła nie ma, żeby się w nim przejrzeć!

Co nieco widzę: sukieneczyna na mnie atlasowa; koloru morskiej wody, drobnymi perełkami wyszywana, a na nogach mam srebrne pantofelki... Ale reszty nie widzę.

Rozglądam się na boki, ale zamiast zwierciadła dostrzegam tylko tego trupiarza. Taboret pod nim wielgachny, z kości rżnięty, a pod nogami ma ławeczkę. Sprośna ta ławeczka - baba naga i rozkraczona. Widzisz go, bezwstydnika jednego! Ja też jestem dobra - żeby coś takiego mi się przyśniło... A niech się śni! Ale za to nie jestem z wosku, jak ten ich Piotr Walerianycz, i do cholery podobna nie jestem, i rogi mi z włosów nie wyrastają.

A jemu wyrastają.



I wtedy po obu stronach krzesła stanęły dwie nieboszczki. Starucha cała w czerni, na piersi łańcuch miedziany, zgniłozielony od patyny - i ta Greczynka z nochalem. Zamiast twarzy ma czerep, a z dziury pośrodku długi nos jej sterczy. Węszy i nozdrzami porusza.

Greczynka odziana jest w pogrzebowy całun.

Aleśmy do strasznej bajki trafili! Nie chcę tu zostać! Nie potrzebuję ani tej sukni z perełkami, ani pantofelków, ani zamek mnie nie ciekawi - chcę do domu, na Krym, a choćby i do Kęs-Precla! Zabierajcie mnie stąd, gdzie po nasze dusze takie potwory przyszły! Lepiej już być prostą dziewczyną na Krymie... Gdzie ten Krym, gdzie morze?! Odpłynęłabym stąd jak rybka-akulka, żeby tylko tego nie widzieć!

A jak my tu już zostaniemy?! Na zawsze?! Nie, nie zostaniemy! Druc i Kniahini wszystkich pobiją, zwyciężą i uciekniemy! Albo zdołamy ten zamek i dopiero sobie użyjemy.

Oj, matulu!

Nigdy już w życiu takich strasznych ksiązek kraść nie będę!

A potem ktoś wielki, silny, najważniejszy, ale nie za bardzo mądry i bardzo niedobry - wziął z szafki książkę mojego bezładnego życia - i o ścianę grzbietem, z całej siły! Rozleciały się strzępy na wszystkie strony po kątach... urywki, fragmenty, stroniczki...

-Tam ich macie! Brać ich!

„Oni”, to my. A „brać ich!” i bez tłumacza zrozumieć można. Niewiele brakło, a bym zemdląła, a niebo nad głową zwiśło niczym siwe brzuszysko. Mama opowiadała, że jak byłam dzieckiem, to mnie świnia omal nie zżarła.. jeszcze kiedy świnie trzymaliśmy. Oj, mamo, gdzieś ty teraz? Wiesz, co się wyrabia z twoją marnotrawną córeczką? Lepiej ci nie wiedzieć: oto jedna kościejka z drugąpalce porozstawiały - i powietrze w kisiel owsiany zamieniły. A w tym kisielu - trupy, trupy, trupy! - sinawe, pokaleczone, kości spod skóry im sterczą, skóra zwisa frędzlami. Zbił się ten kisiel w grudę, zadrżał, zakołysał się - i nagle jak nie chlupnie!

Prosto na nas.

Jakby ropa buchnęła z czyraka wielgachnego.

I wtedy *tak* się rozdarłam... żeby was wszystkich...

.. plecami się ku schodom cofam. Zapomniałam nawet o tej kamiennej łapie. Ale Fiodor kawaler znów mnie rycersko podtrzymał. Gdyby nie on, upadłabym i tę przeklętą rękę zgubiła - można to ją upuścić? A czy... No, dobra! Wiem! Wiem, że nie można!

I tam wiedziałam, i tu.

Ale trupi kisiel nas nie zalał. Machnął pałką wujek Druc, Kniahini rękawem koronkowym skinęła- i trysnął na kisiel strumień soku żurawinowego, purpurowego, z szafirowymi listeczkami! Zakipiała fala, wydeło ją w pęcherz, rozbryznęła się na wszystkie strony - i buchnął pod niebo bury dym z palonego gnijącego mięsa!

Mdli mnie tak, że zaraz na drugą stronę się wywrócę, pluję już samążółcią- a rękę kamienną trzymam! Trzymam! I cały czas myślę - odparliśmy atak czy nie?!

...kościelka z kościelką jakby na miejscu stały, przy Piotrze Walerianyczu - żeby do końca życia żabami mu się czkawka odbijała! - i jednocześnie na nas idą. Ręce już wyciągnęły, oczodoły im świecą niby błędne ogniki, każdej z gęby smród idzie obrzydliwy, od którego głowa pęka i myśli się mącą; a ręce długie mają, niczym grabie - tylko patrzeć, jak złapia, zgniotą i żywe ciało rwać na strzępy zaczną!

Druc, kochany, Kniahini... no zróbcie coś, cokolwiek!..

Czy, na darmo was na tej katordze dręczyli?!

...pod nogi stopnie się podsuwają. Schody - cuda-niewidy - w górę się ciągną, na ścianę. A gdziekolwiek, choćby do rajy na piechotę, byle dalej od tych piekielnych wiedźm bałakławskich!

Cofamy się po schodach. Druc z Kniahinią klną po *mażemu*, ognidy gorące od nich na wszystkie strony bryzgają, palą nieboszczkom te ich hakowate łapska. Aż syk idzie, skwierczą łapy szkarłatnym dymem; oddychać już zupełnie czym nie masz - wyżej, wyżej! powietrzem czystym odetchnąć! Przejrzystym! Błękitnym! Prawdzi...  
Wyżej...

Wyżej...

.. wyżej się już nie da!

Szare dobre niebo brzuchem niczym szorstką tarką na nas napiera. Oblepiło nas, szczypie, żywą skórę zdziera! Z dołu martwe trupie czarownice ku nam się rwą, trupiarz ze swojego krzesła wciąż palcem nam grozi, a paznokieć na tym paluchu ma jak nóż ostry!

Wciągam powietrze i nic, nie ma wytchnienia dla dziewczyny, jakbym się naprawdę w rybkę-akulkę przemieniła, którą z wody wytaszczo-  
no! Leżę teraz na piasku, paszczę rozdziawiam i czekam, aż zdechnę!

Wody, wody mi dajcie!

... woda! Wzdłuż ściany rów wykopano, w rowie woda chlupocze, zimna chyba, czy co? Lec by na dnie i odetchnąć...

Oto mi ratunek!

Trzeba tylko, żebyśmy się wszyscy w ryby pozamieniali. Wtedy się im wyslizgniemy. Podpowiedzieć by! Drucowi i Kniahini... Oni nas wszystkich w oka mgnieniu w ryby pozamieniają! Zanurkujemy w fosę.. .poleżymy na dnie... odpoczniemy.. .czy pozdychamy?

- Stać! Tam śmierć! Stać, powiedziałem!

Ściana drga pod nogami i niemal padam głową w rów.

Co on, zgłupiał, żeby tak krzyczeć? Żadnej tam śmierci nie...

W dłoniach Druca pojawia się ognisty bat.

Nie trzeba, Druca. Nie trzeba! Już więcej nie będę...

.. z ukosa bije błyskawica - niebieskawa, rozgałęziona.

W następnej chwili na murze obok nas lądują dwa skrzydlate smoczyska; czarny i złoty! Łopoczą skrzydła, smoki gorejące iskrami z paszcz sypią, niebo od tych iskieł zaczyna się skrecać w kryształowe wiry, mocno w nos bije zapach burzy. Nareszcie - haust świeżego powietrza! Nareszcie!

- Uciekamy!

Jak? Gadzinie latającej na grzbiet się piąć?! Przecież ja...

No przecież! Jasne! To Drukowe smoczyska, i jemu posłuszne!

Są mu posłuszne!

- Druca. Zmień mnie w smoka! No, już! Ja ich wszystkich pazurami...

-Siadaj, głupia!

Nie, nie zmieni mnie.

Szkoda...

.. .pnę się w górę. Powoli i z mozołem.

A ta kamienna łapa gniecie ku ziemi i przeszkadza!

- Ej, Asie! Jestem ci winna jedną wizję! Patrz!

Kniahini stoi obok złotego smoka, położywszy dłoń na jego grzbiecie. W jej oczach nabrzmiewa ogromna kropla łzy, a ja czuję całą sobą, że ta kropla pełna jest bólu i tęsknoty... ból i tęsknota...

Łza powoli spływa w dół po policzku.

Spada.

Na dłoń starej Asicy...

...sekundeczka. Jedna jedyna. A potem ręce obu nieboszczyk zwisają niczym gałązki płaczących wierzb - i na mgnienie oka zdaje mi się, że widzę dawną, żywą cioteczkę Demeter. Przecież to ona! Żywa! Jak żywa! Cioteczka Demeter powoli, ze zrozumieniem macha Kniahini, jakby jej dziękowała; a potem kładzie się na wznak, na zimnych płytach - i umiera.

Ostatecznie.

Na zawsze.

Z drugiej strony Piotra Walerianczyca, niby zwierciadlane odbicie, leży trup Greczynki.

-Koniec! Rzucacie- i w konie!

Co rzucać, nie trzeba mnie i Fied'ce wyjaśniać. Dopiero w tej chwili zrozumiałam, co znaczy powiedzenie o spadającym z pleców kamieniu!

Okazuje się, że smoczysko ma na grzbiecie siodło!

Wiatr uderza sprężyste w twar?. Wczepiam się w ramiona Druca.

Lecimy! Lecimy!

Oglądam się...

...dwóch Iwanów-carewiczów wybiega na zamkową galerię, brzęcząc kolczugami. Zupełnie jak na obrazku w tej przeklętej po trzykroć książce! Podnoszą łuki, cięciwy pełzną ze skrzypem wstecz...

Huk!

Krótki świst nad uchem.

Co to, łuk tak huczy?

Oglądam się przez ramię i widzę, że obaj carewicze ponownie i starannie przymierzają się do nas z łuków. Tym razem żaden nie chybi! Jedna strzała w moje plecy, druga Fiedoniuszce.

Przyleciała, dziewczka krasawica, kostucha.

Mrużę oczy i z całej siły przytulam się do Druca... Ale strzałów nie mająk wtedy, na samym początku, kiedy trupiarz rozkazał dwóm „kraciastym”: „Strzelajcie!”

Odwracam się.

Gdzież to przepadł zamek-pałac?!

.. bałakławska uliczka. I dwa konie - kary Conan-Doyle i Kolczycha kochaneczka - unoszą nas od kamiennej studni. „A przecież niewiele brakło, a wszyscy byśmy w nią wpadli! - dociera do mnie spóźniona, przerażona myśl. - Przecież właśnie tam chcieli nas zagnać!”

I jeszcze: na górnym balkoniku znikającego już za zakrętem domu cioteczki Demeter, znieruchomieli dwaj „kraciaści” z rewolwerami. Dwóch Iwanów-carewiczów zamienionych w Iwanów-głuptaków.

Nie strzelają.

Nie mogą.

-Druc, dlaczego!

Lepiej byłoby milczeć w galopie ucieczki, ale nie wytrzymałam.

- Dlatego, że trupiarz ich trzyma.

Mimo wszystko usłyszał, odpowiedział!

-Trupiarz?!

- Żołędny K.ról jest magiem należącym do Konwentu. A taki nigdy nie pozwoli zabić chrześniaka.

- Nawet obcego?

- Nawet obcego.

Wiatr chwyta słowa i unosi je, ale głos Roma-taboryty, Druca-katorznika uparcie mu się przeciwstawia.

- A... ta studnia? Przecież oni chcieli...

- Nie pozwolono by wam do niej wpaść. Tobie i Fied'ce. Przecież mówię: konwentowy mag nie zabija chrześniaków.

-Nawet martwy?

W lot pojmuje, o kim mówię.

On zawsze wszystko rozumie.

-Nawet martwy.

I - po długiej chwili milczenia:

- Ale drugiego maga - proszę bardzo. My z Raszela postawiliśmy się właśnie poza Prawem, Akulino.

## IX. FIODOR JOCHACZ

## ALBO CAŁA KRÓLEWKA DRUŻYNA

*Podchodzą jakby przez szeroki  
wylom,  
wałq wśród wrzawy.*

*Księga Hioba*

- Konie zamorzysz, Romie pieprzony!
- Nie twoja sprawa!

Nie pora była na to, żeby się obrażać. Wiedział zresztą Fiodor, że Druc złość wyładowuje, a kto pierwszy mu się w złości pod rękę nawinie, sam niech ma do siebie pretensje. Wreszcie prześwit w przeklętym jarze się znalazł, gdzie można było skręcić.

Skrećili.

W skały.

Obie baby padły jak podcięte - w piasek się zwały, jak na dywan szemechiński. Dyszącążko, a ich piersi pod bluzkami kamarynkę tańczą. Słyszał Fiodor, że baby znacznie bardziej są od chłopów wytrzymałe! Słyszał i nie wierzył. Teraz zresztą też wierzyć się w to nie chce. Kniahini zupełnie się postarzała, policzki jej się zapadły, pod oczami sine cienie, a Akulka charczy i zachłystuje się, mówiąc o jakichś idiotycznych skrzydlatych smokach.

Ze smokami Fiodor się nie zadawał, ale przecież leciał z Bałakławy na pocisku armatnim, uciekając od doktora Walerianycza i tych diaboliczdechłych, które goniły gości z widłami trójzębnymi, i cały czas się siliły na to, by ich do smolnego kotła zagonić.

Tak to zapamiętał.

Nawet żal mu się zrobiło Akuliny - całkiem dziewczynie ze strachu odbiło.

- No, coś ty? - usiadł obok i dotknął jej rozpalonego, mokrego policzka. - Wiesz... przestałabyś rzeźcić...

A ona twarzą w dłoń chłopaka się wtuliła i zamarła w bezruchu.

Ani drgnie.

Ech, samemu by się chciało tak lec i odetchnąć, ale strach; cofniesz rękę i Akulka znów bredzić zacznie. No dobra, niech jej będzie. Trzymaj.

Po obcych, kamiennych dłoniach, swoje, ludzkie dwa razy milsze się stają.

Druc odszedł dalej, w głąb rozpadliny. Konie łagodzi; słyhać, jak one tupią, parskają, a Rom im piosenkę nuci: *Tejawen by, tejawen by, mande e kyrylia...* Piosenka o skrzydłach. Żeby się nie zagrzały, po takim galopie i z podwójnym ciężarem na grzbietach! Konie, to nie ludzie - dwa razy bardziej ich żal.

Nad głową prosto z kamienia wyrasta jałowiec. Drzewo, nie drzewo - pniaczek mizerny, Bóg go doświadczał, bo cały jakiś taki posezony. Cień rzuca mizerny, w nogi kłuje i się ociera.

Gorąco mu... cieniowi, znaczy.

- Fiedoniuszka, wybac mi...

Najpierw pomyślał, że się przesłyszał.

- Dobrze?

- Co ci mam wybaczyć, Raszelo?

- Głupotę. I szorstkość. Trzeba mi cię było jeszcze tam, na tym barkasie wysłuchać. Niepotrzebnie tylko cię obraziłam...

Siedzi Fiodor na piętach i śmiech go bierze! Jedna baba prosi o wybaczenie, druga w dłoń mu się wtula. Maluj obraz i w ramki wstawiaj - panienki z lufkami na targu wielkie pieniądze za niego dadzą.

Po raz pierwszy w życiu chłopak sam z siebie się śmieje, sam z siebie pokpiwa. Po raz pierwszy ma kłębek w gardle, i to taki, którego złym śmieszkiem nie przepchniesz.

Wszystko po raz pierwszy.

Ma chłopak za kogo zdychać.

I ma dla kogo żyć.

- Słuchaj, Raszelo - zapytał, żeby coś powiedzieć. - A czemu oni...

- Którzy „oni”, Fiedieńka?

- No, nie oni. Wy wszyscy. Kiedy przez bożą krówkę żandarmerski podoficer przejrzał. Wszyscy zaczęliście powtarzać chórem: „Nie może to być! Nie może!” Dlaczego nie może? Czyli wy... my, *maže* plemię jesteśmy, a oni - ludzie rządowi! Oni nas i tak na wszelkie sposoby tępią: katorgą, obozami...

Pomyślał przez chwilę. I podsumował:

- Tępią nas, jak popadnie.

*Epoera, me wzleciał bym...* - to Druc poeta konie uśmierza.

- Niczego nie rozumiesz, miły mój Fiedieńko - rzekła Raszela z westchnieniem. - Za wcześnie na zrozumienie. Każdy w tym życiu

swojego prawa się trzyma - i mag katorżnik, i żandarmerski łapacz, i hierarchalny ober-starzec. Mleczarki i piekarki. I generał-gubernator.

- I bazarowi żebracy?

- Oni też. Tyle, że nie każdy o tym wie. Jeszcze w Starym Testamencie powiedziano: „Nieznajomość Prawa nie zwalnia od odpowiedzialności”. Co prawda powiedziano to innymi słowami, ale co za różnica! Zrozum, Fiedieńka, gdyby w Henningu nie wzięli mnie z dowodami i na gorącym uczynku, a podczas rozprawy gdyby mnie tymi dowodami do ściany nie przyparto, gdyby pozbawiono mnie adwokata, a wyrok nie wedle Prawa wydano, wszystko akuratnie i co do joty...

- To co? Co wtedy?!

O oddychaniu nawet zapomniał, a Akulka przeciwnie - głośno westchnęła.

Gorąco, łaskotliwie.

- To nic by nie było, Fiedieńka. Wtedy wyszłabym sobie z sądu, na własnych nogach i w całej swojej sile i krasie. Dlatego, że żaden ober-starzec nie przypieczętowałby takiego wyroku. A bez jego pieczęci, bez „niniejszym zatwierdzam, teraz i zawsze, i do końca wyznaczonego wyroku, amen!”, stawiam na swoim, mój miły! A gdy Kniahini na swoim postawi, któż ją zatrzyma?!

- A ci... „Barbarzyńcy”?

- „Barbarzyńcy” nie mieliby nade mną władzy, gdyby sąd był lipny, a wyrok ustawiony. Oni od dzieciństwa są szkoleni: tylko zgodnie z Kodeksem Karnym. Nawet nie Prawo dla nich jest najważniejsze, ale Litera Prawa! Dlatego zamknięci są przed nami na głucho, ponieważ przeciwko Prawu magów „Barbarzyńcy” mają swoje - państwowe. We krwi to u nich siedzi. We krwi, w mózgu, na sercu piętno mają wypalone! Nie zdarzyło się jeszcze, żeby łaps podejmowały jakiegokolwiek bezprawne działania! I jeżeli śledztwo uczciwie zostanie przeprowadzone, sąd wedle Prawa mnie skaże, a ober-starzec na koniec pieczęć i wizę postawi - to muszą uczciwie odsiedzieć swoje do końca wyroku! Nie da się uciec.

- A nas chyłkiem wykańczać po zaułkach - to co? To nie przeciwko Prawu działania? Nie?!

- Bezprawne to, Fiedieńka. Bezprawne. Faktycznie. I pewnie dlatego zdołaliśmy poznać podoficera nad chrześniaczką Demeter. Inaczej oczy byśmy sobie powypatrywali i nic.



I znów chłopakowi się przypomniało: „Cyklop przecież rozkazał: tylko wtedy, gdy oczy wydziobane będzie miała. Inaczej - sam kapujesz...” Dziwne: skoro żandarm wie, że on maga wyśledzić może, a mag jego nie - to po co te „oczy wydziobane”?! Żeby trupiarz nie podniósł, a mag żeby nie zameldował: kto, kiedy i dlaczego, ot co! Widziała na własne...

Znaczy, że bywa, iż mag łapsa wypatrzeć może?

Chyba tak.

Co prawda, nie na twój rozum to sprawa, Fiodorze. Słusznie się Druc na ciebie zirytował. Nie na twój.

Rozum.

Sprawa.

I tylko zdołał jeszcze zapytać:

- Posłuchaj, Raszelo... Coś ty tej Asicy na koniec zrobiła? I jeszcze wołałaś „Dług zwracam...” Zwróciłaś?

I nagle Kniahini zmieniła się w tę Jej Kościstość, którą Fiodor znał z Kęs-Precla. Nie baba, ale pień uschnięty. Lada moment zacznie się dusić.

- Zwróciłam - odpowiada ledwo słyszalnie. - Widzenie za widzenie.

-I co jej pokazałaś?

- Kostnicę, Fiedieńka, pamiętasz? W gorący dzień zimny wiaterek po nogach, po plecach i w samo serce. Kostnica w Mordwińsku?! Na stole Lenka Fert? Karciany kolor wypalony na jej czole?! Siebie?! Mnie?! Pamiętasz?!

- P-pamiętam, Raszelo... pamiętam. Do końca życia nie zapomnę.

Kniahini zacisnęła szczękę:

- To właśnie jej pokazałam. Żeby jej w pamięci zostało.

Fiodorowi duszno się zrobiło. Szarpnął kołnierz - nie pomaga. Zwaliła się na niego duchota gorsza od tej kamiennej łapy, gniecie i dławi. Łaskocze w krtani niczym wróble piórko. A z dołu, od tego urwiska, które tu brzegiem się nazywa, nie morzem, ale śledziem zdechłym pachnie.

Wtedy akurat wrócił Druc.

-Czujesz, Kniahini?

Kniahini sięgnęła po chusteczkę i wytarła Fied'ce czoło.

- Czuję. Król całą talię powiadomił. Jego chrześniak mieszka niedaleko, w jałtajskiej aptece za pomocnika robi. Przez chrześniaka wszystkich powiadomił. Szukają nas, Romie. Wszyscy szukają- swoi i obcy. Krym za ciasny się dla nas robi, trzeba brać nogi za pas.

- Może poczekamy na zebranie?

Spojrzał chłopak Drucowi w twarz i widzi: sam sobie Rom nie wierzy. Mówi, ale wie, że nie uda im się doczekać zebrania. Wie także, dlaczego doczekać im się nie uda. Dobrze mówi Raszela - za ciasny się stał dla nich Krym, ten istny raj na ziemi.

Ciasno Fied'ce.

Oj, jak ciasno...

- To co, ruszamy? - smętnie zapytał Druc. Poruszył brwiami, w których czerń się z siwizną mieszała. Z jego wielkiego, kościstego ciała jakby ktoś powietrze spuścił. - Jedźmy, co?

Porzucić koni Rom nie chciał, nie mógł na to pozwolić. Obiecał je zwrócić, a jego słowo to przecież żelazo. Łatwiej sobie ręce poucinać, niż te piękne zwierzęta zostawić kaprysom losu... A kiedy wracając do miasta od strony wąwozu Apollona natknęli się na pstry tłum - taborowe żebraczki wracały z łowów - Druc się rozpromienił. Polecił, żeby się pospieszyć i potykając się, pobiegł ku Romkom.

Po trawie ostrej i niepodatnej.

W sekundę później pod niebo wzbila się niesłychana wrzawa. Fiodor blisko nie podchodził, siedział na przydrożnym kamieniu, skąd słów rozpoznać nie było sposobu. Ale i tak wszystko było jasne: Romki namawiały Druca na powrót do taboru. Obiecywały wsta-wiennictwo i opiekę ze strony Cziamby, machały rękawami, dzwoniły cekinami naszymi naszyjników.

Dzieciaki darły się równie głośno, jak ich mamunie.

- Niedobrze ci, Fiedieńka... - stwierdziła idąca w tyle Kniahini. Nie zapytała, po prostu stwierdziła ze współczuciem.

Stała tam prawdziwa, nie widmowa; stała i wsłuchiwała się. Nie w romskie wrzaski - w Fiodora. I w siebie. Obok milczała Akulka, i tylko od czasu do czasu wyciągała dłoń, żeby musnąć splecione kędziory chłopaka.

Nie dotykała ich; wstydziała się.

A Fiodor okropnie, aż do bólu chciał, żeby dotknęła. Dlatego, że zamiast serca w jego piersi jakby pięść się obca znalazła. Zwiera się

i rozwiera; palcami porusza. Paznokcie na nich długie, polerowane i za każdym razem zgrzytają... a zgrzyt paskudny, jakby kto gwoździem po szkłe wodził. Ot tego zgrzytu Fiodora ogarnia obrzydliwa słabość. Meduzę z niego robi.

A miał wrażenie, że gdyby Akulina położyła mu dłoń na głowie - zamiast tej pięści znów serce bić by mu zaczęło w piersi.

- Pocierp trochę, Fiedieńka. Dalej też lepiej nie będzie. Dopóki się nie wyrwiemy. Wytrzymaj, dobrze?

**-A-a...**

Co znaczy: pocierpę.

- Konia zabrali. - Druc był tak szczęśliwy, że nie podszedł, tylko podleciał. W zapale klepnął się po cholewach butów; a potem spojrział na Fiodora, jakby go po raz pierwszy w życiu zobaczył. I zwrócił się do Kniahini, ale tak jakoś niezrozumiale:

- Nie umiem ja... no, nie umiem kart przed swoimi ukrywać! Nie umiem ijuż!

- Ciszey, *more* - odpowiada mu Kniahini. - Nie wrzeszcz. Ja umiem. Na razie przecież jakoś się trzymamy. Po prostu jeszcze za wcześniej. Och, za wcześniej! Chce się aż zawyc po wilczemu...

- Udał ci się chrześniak, Kniahini. Gdyby nie był taki wielki i taki...

Chciał widać coś miłego powiedzieć. Ale nagle diabelnie się upodobnił do doktora Oznobiszyna, słynnego trupiarza.

Nawet policzki mu obcym rumieńcem błysnęły.

Fiodor się nie obraził. O co się na Druca obrażać? Przecież urodził się wielkoludem. W czym innym rzecz: w piersi pięść się porusza, a Fiodorowi nagle się wydało, że była obca, a stała się swoją. Niby od tego lżej nie jest, ajednak jest. Jakby to Fiodor Sochacz, taki wielki, taki (jaki?!), ich wszystkich - i Kniahinę, i Akulkę i Roma taborytę - w tej pięści trzyma. Ściśnie mocniej - ukryje ich. Nikt ich nie zobaczy i nie usłyszy. Rozewrze pięść - da odetchnąć świeżym powietrzem, niech się rozejrzą i odpoczną.

A gdy porusza palcami (*skrzyp-skrzyp, skrzyp-skrzyp...*), duchota się rozwiewa.

Na krótko.

- Przestań! - stojąca za nim Kniahini aż się zachłysnęła krzykiem. - Przestań, mówię! Nie wolno ci! Samemu! Zabijesz się, głuptasie! Po prostu cierp!

-A-aaa...

Ależ cierpię, Raszelo, cierpię.  
Nie krzycz.

To, co było dalej, pamiętał w postaci oderwanych fragmentów.

Oto jesteście na przystani. Raszela przed chwilką wróciła od kas, patrzyła na rozkład kursów. Smutna jest, wargi zagryza. Mówi: Parostatki „Diament” i „Imperator Ferdynand” odpływają do Anatolii w czwartki i soboty. A dziś jest wtorek.

„Do Jałty? - pyta Druc. - I dopiero stamtąd?”

W dole, na oleistej powierzchni wody, kołyszą się jakieś drzazgi i skórki mandarynek.

Aż młodości chwytają, kiedy człek na to patrzy.

Raszela przecząco kręci głową. Do Jałty nie wolno. Wie, że do Jałty za nic (*skrzyp-skrzyp...*) nie wolno. I Fiodor wie też. Przecież wiesz, Fiodorze? A co tam, wiem!.. Flakami czuję. W Jałcie mieszka chrześniak Oznobiszyna, jako uczeń aptekarza; w jałtańskim hotelu „Oreada” łysy portier Chrumow (kto? skąd się pojawiło?) pękiem kluczy od niechcienia pobrzękuje. Każdy klucz - brzękiem. Każdy brzęk - krzykiem. Gdzie jesteście?! Gdzie? Otworzy portier Chrumow, Walet Czerwienny, niewidoczny zamek - i nie skryje Fiodor całego towarzystwa w swojej pięści.

Alarm się rozlegnie od Jałty do Sewastopola.

A figę ci, Walecie-portierze! Figę z makiem! Brzękaj kluczami! I co, wiele wybrzęczysz?!

Wściekasz się, Fiodorze Sochaczu, duszo zatracona? Wściekam. Rozwścieczonemu lżej.

Skądś napłynęły słowa. Dziwne, dźwięczne i głuche, rozmaite. Biegają po klawiszach, dzwonią akordami, rozsypują się niczym okruszki chleba - zbierajcie, wróbelki! Skąd te słowa? Po co? Czyje wy jesteście, słowa?

Moje?

O, róże purpurowe w kryształach kruchych waz -  
Jak zachód zniewolony.  
Zamieniam mowy dźwięk i pospolitość fraz,  
Na ciszy dzwony...

A pięść się rozwarła, porusza palcami i muska klawisze...

.. .oto podchodzicie do dworca. Pomiedzy brudnożółtymi domkami widać skrawek placu. I slychać już orkiestrę: grzmi miedź i pogwizdują klarnety. Marsz „Malborough rusza na wyprawę”. Najbardziej dworcowy z dworcowych marszów. Druc powinien trzaskać kopytami, a on ni z tego, ni z owego stanął jak wryty.

Palec oblizal i dalej go na wiatr wystawiać.

Popuściło nieco Fiodorowi, ale oto, kolejna bieda: idąca obok Akulka za głowę się chwyciła. Zbladła jak chusta. Pokazuje, że ogłuchła. Niczego nie slyszy. Głosik ma cienki, płacziwy, a zamiast słów szczenięcy pisk wychodzi.

Uf-fff, przemówiła.

I slych jej chyba (*skrzyp - skrzyp! Mnie, mnie! Nieją.-.*) wrócił.

Druc nie ma czasu chrześniaczką się zajmować. Każę zawracać. Nie mówi dlaczego. Mus, i tyle. Nie wolno im na dworzec. Fiodor (a pięść w piersi wali jak dzwon) sam rozumie: nie wolno. Na dworcu, obok okienka starszego kasjera, ślepy żebrak laską o ziemię stuka. Wspomóżcie obrońcę Ojczyzny, dając, ile kto może! Kopiejęczką, szlachetni panowie! Laska na biało pomalowana, stuk-stuk, stuk-stuk... Wejdzie Raszela na peron jak mucha w pajęczą sieć, a pałeczka stuk-stuk, a ślepiec - Winna Dziesiątka - komu trzeba, stuk-stuk...

Nic bardziej łatwego niż wejść na dworzec! Za to wyjście...

Ej, słowa z tej strony! Dźwięki! Tryl klawiszów! Pomóżcie mi łyknać nieco powietrza!

Pomóżcie mi uciec!

Zamieniam bełkot dni, zamieniam huk epoki

W błysk krótkotrwały,

I zbiorę skrętnie w nim, jak w dłoni swej szerokiej

Ten światek cały...

Trochę ulżyło.

Na chwilę.

.. .i oto jesteśmy na Północnej Stronie. Suche przybrzeżne urwiska zatoki wycięto z kości świata - żółtych i nieco popękanych. W pieczarach, którymi urwiska (*skrzyp-skrzyp... nieprzyjemnie...*) są poryte, znajduje schronienie rybacka biedota: wąsate obdartusy,

ich przedwcześnie postarzałe żony, gołe berbecie. Przy pomostach kołyszą się nasmołowane łódki i woda cichutko pobrzękuje, kołysząc puszkę po konserwach. Idzicie szybko, byle dalej, wzdłuż krytych dachówką domków, akacji (*Pięści! Zaciśnij się! Ukryj!*) i płataniny balkoników, zaczyna się step - pył, przestrzeń i psy.

Słuchać stąd, jak leniwie poszczekują jeden na drugiego.

Po co tam idzicie - nie wiadomo.

Żeby ot tak, normalnie uciec?

- Raszelo?

- Co, Fiedieńka? Niedobrze ci?

- A-aaa - pamiętasz, w Kęs-Preclu? Tam tobie bywało niedobrze.. . A teraz mnie. I wiesz, co sobie pomyślałem, Raszelo?

- Lepiej, żebyś sobie tego nie myślał, Fiedieńka. Wejdiesz do Konwentu, wszystko ci objaśnię. Wcześniej nie można. Po prostu cierp.

- Cierpię... i przecierpię. Raszel, ty *sin miedo!*.. Nie bój się, dobrze? Ukryję was, już to umiem; naprawdę umiem! Ten Walet, portier hotelowy, niech sobie dzwoni kluczami! Nie otworzy!

- Przestań! Nie wolno ci! Nie wolno samemu! Boże, czemuż to u was wszystko tak szybko idzie! Boże ty mój!

- Raszel? Skąd słowa?

- Jakie słowa, Fiedieńka?

-No, rozmaite... o, róże w kryształach kruchych... Zamieniam bełkot dni... i jeszcze:

Zamieniam losu dar, i cios, co wszystko zmiecie

Na płacz w oddali.

Czyja was pojme? I czy wy mnie pojmiecie?!

Na życia fali...

-Fiedieńka...

- Czy to twoje słowa?

-Nie, twoje. Boże, jak szybko... Składaj je, składaj, tak ci lżej będzie... Fiedieńka.

Kiedy z krzywej przecznicy wyszedł im na spotkanie pan w letnim płaszczu, Fiodor się nawet nie zdziwił.

Ucieszył się raczej.

Teraz można się zatrzymać... choć na chwilkę.

-Raiso Siegiejewa! Witajcie, gołąbeczko! Już się zmęczyłem tą gonitwą za wami...

### *Notatki na marginesie*

*W mętno-zielone, barwy butelkowego szkła oczy pana podpułkownika lepiej nie zaglądać. A zresztą, wasza to sprawa:*

*...okienko.*

*Przedziera się przez nie szary blask przedświt, płacząc się w stalowych kratkach. Kamienna cela - trzy kroki wszere, cztery wzdłuż. Obozowy karcer. Zdumiewająco czysty i suchy - ani nacieków wody, ani kurzu, ani kamiennych okruszków. Dźwięcząc kajdanami, przemierza celę z kąta w kąt człowiek. Zatrzymał się. Przystanął przy gołych deskach pryczy, na której leży pęk błyszczących kluczy.*

*Pomyślał.*

*Znów chodzi...*

Wiele lat później, w autorskim przedśłowiu do zbioru wierszy „Korzenie pajęczyny”, pewien „chwilowy idol”, jak niesprawiedliwie nazwą go krytycy, napisze:

„Jestem zakładnikiem swojej pamięci.

Niekiedy mi się zdaje, że zapomniałem, jak się wspomina. W tych dniach życia, które naiwnie uznałem za swoje, jakby syci się celem, którym jest zdrwienie ze mnie. Jakże inaczej nazwać jego fortele? Jak w ogóle je nazwać, to moje życie? Sprzeciwiam się, wyrwam z dusznych objęć niepamięci, ale tylko mocniej jeszcze się zaplątuję we fragmenty serpentyny. Niczym zakurzona mumia walam się na poboczu, a karnawał postaci bez twarzy, bez imion, bez przeszłości i przyszłości - tak, on toczy się obok. Z nieba wałą się czyste kartki papieru, setki, tysiące, niczym zamieć, na której bieli mogę zapisać wszystko, co tylko zechcę napisać, przepisać ponownie, zmienić albo zostawić jak było - ale przecież nie pamiętam, jak to szło wcześniej! Nie pamiętam! Nie...

Jestem zakładnikiem swojej pamięci.

Niekiedy mi się wydaje, że oduczylem się zapominania. To się zdarza częściej, znacznie częściej. Wszystko staje się wyraziste i jasne, życie ustawia się w szyku i każde wydarzenie na pierwsze moje żądanie gotowe jest wysunąć się przed szereg. W koło! Na lewoooo! Na prawoooo! ...aprzód ...arrrsz! Jest mi posłuszne, to szeregowe wydarzenie, występuje i zawraca, występuje i zawraca, widzę, jak błyszczy blaszka jego pasa i wypucowane buty. Jednym machnięciem dłoni mogę je posłać do boju współ z jemu podobnymi - ale nie wiem, czy tak akurat nie było wcześniej? W rzeczy samej! Nie wiem...

Jestem zakładnikiem swojej pamięci.

A wy nie?"

Krytycy nigdy nie mieli się dowiedzieć, że autor „Korzeni pajęczyny” zapisując strofy swoim charakterystycznym pochyłym i dobrze wyrobionym pismem, widział miasto, zespawane w siną kulę niebo i morze, widział wariacki pościg po zakurzonych łódkach, szczotkę ryżych wąsów, długie poły letniego płaszcza; i czuł wolno się rozluźniającą, chrzęszczącą stawami pięść w piersi.

- Raiso Siergiejewna! Witajcie, gołąbeczko! Już się zmęczyłem tą gonitwą za wami...

Książ Gandieri uklonił się lekko. Na jego mało wyrazistej twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu, a w brudnozielonych oczach mignęły iskiarki. Dwie; w każdym oku po jednej, co całkowicie wystarczyło. Znający kniazia ludzie powiedzieliby: Szatwa Timurazowicz jest bardzo zadowolony.

Tu także byli ludzie, w pewnym stopniu znający Szatwę Timurazowicza, ci jednak milczeli.

W ogóle się nie odzywali.

- Najmilszy! - książ zwrócił się do woźnicy, który kulił się na koźle tarantasu nieco dalej, w głębi zaułka. - Jesteś wolny!

- Ależ co też pan mówi, łaskawy panie?! - wymamrotał woźnica, starszy już chochoł, z silnie zarysowanymi bułami policzków. - Czy tak się godzi?! Jedźmy stąd, panie, to nie ludzie, ale jakieś zbójce!



- Jesteś wolny! - powtórzył książę Gandieri tonem nieznośnym sprzeciwu; a jego obleczone w cieniutką zamszą rękawiczkę ręka wykonała odmowny gest.

- A może żandarmów skrzyknąć? Co, jasny panie? Ja szybciej, raz dwa skoczę...

- Paszł won, bydlę jedno!

Zabrzmiało niczym chłaśnięcie batem. Jak „*Allles*” którym stary akrobata z okrucieństwem mistrza zmusza młodą debiutantkę do skoku w przepaść. Śmiertelnie przestraszony woźnica poruszył policzkami, targnął wodze - „Wio! Wiooo, zaaaar-razo!” - i tarantas kołysząc się i pojękując, potoczył się precz.

- Ach, Raiso Siergiejewna, Raiso Siergiejewna! - książę poruszył szerokimi ramionami, jakby chciał poprosić o wybaczenie chamstwa. - Mimo wszystko nie umie się pani powstrzymać! To pani za mną powinna gonić, a nie ja za wami. Od bardzo dawna nie lubię biegać niczym karaluch. Teraz jestem człowiekiem rozważnym, nawet zbędnego kroku z nudów nie uczynię! A zresztą...

Z bocznej kieszonki książę Gandieri wyciągnął tabakierkę- szylkretową i inkrustowaną. Podniósł wieczko. Wziął szczyptę tabaki i powąchał drżącymi łąpczywie nozdrzami.

Kichnął zamaszycie i ze smakiem.

- Zresztą, niechże pani sama osądzi; czyż może emerytowany podpułkownik, niedysiejszy - powiem bez fałszywej skromności - niezły „łaps”, leżeć beczynnie na kanapie w hotelu „Ermitaż”, kiedy... Przecież nie obłoczek - chmury się nad miastem zebrały! Powiem pani, że koncentracja działań eterycznych jest po prostu porażająca! Pamiętam, przed dziewięć laty, w Tyflisie, gdzieśmy to razem z Asyryjczykami...

Wtedy nie wytrzymał Druc. Jeszcze od tych rybackich pieczar włókł się za wszystkimi ze zwieszoną głową i przez cały czas mamrotał tylko pod nosem: „Nie mogę talii ukrywać! Od swoich - nie mogę!” zamykał się na krótko, a potem znów zaczynał od początku. Długie ręce kołysały mu się wcale nie w takt kroków, kapelusze gdzieś zgubił i nawet nie chciało mu się po niego wracać, żeby podnieść; skóra Roma nabrała barwy popiołu i wyraźnie było widać, że dwudniowy zarost na jego policzkach jest na poły siwy.

Jak pieprz z solą.

Ten pieprz i sól sypnęły się najpewniej garściami w duszę Roma taboryty. I cisnęły nim w kniazia-żandarma:

- *Aj, da ty sam kamoro, san ty borzo dzukloro"...*

Nie zdzierżyło serce gorące. Szepnęło Drucowi Dufuńce: „Oto on, wróg zatwardziały i odwieczny! Na co czekasz, durniu?!”

I dureń stracił ostatki cierpliwości.

Idzie dureń, w tańcu trzaskając obcasami:

-*Aj, borzo dzukloro!.. Aj, kalo raj!"* Rżnij mnie i udław się!

Nóż zza cholewy sam Romowi w rękę wskoczył. Knuta tym razem przy sobie nie miał - co to zresztą za radość, bić batem z daleka! A nóż - wiadoma sprawa, w oczy wrogowi zaglądasz: aj, *baro*\ No jak, słodko ci?!

Fiodor nawet nie zdążył spostrzec, kiedy Druć uderzył.

Ale książę zdążył się spostrzec. Zatańczył w odpowiedzi: tu chwycił, tam popchnął, ówdzie poprawił. Runął Druć na kolana i jak wąż zasyczał z bólu. Rękę złamaną do piersi przytulił, niańczy ją i hołubi.

Boli Druca.

Wstyd mu.

A książę nie bez pogardy w oczach spojrzął na nóż. I odrzucił w bok.

- Głupio. Bardzo głupio, panie Druć. Durunia Druć alias Franciszek Śliwiańczyk, wędrowny cyrulik, onże Jefrem Perłowy, kowal z Wilna, onże Golony, o ile mnie pamięć nie myli. Urodzony w pięćdziesiątym szóstym, wyznania nie określono... Mimo wszystko, głupio. Ja...

Druć z ziemi rzucił mu się pod nogi. Zdrową ręką, całym ciałem, wściekłością i furią. I ponownie nie doleciał: zamiszowa rękawiczka trafiła Roma w kark.

Jak pudowy odważnik.

I znieruchomiał Rom w pyłe krymskiej drogi.

- Głupio. A wy co, młody człowieku?! Raiso Siergiejewna, niechże pani choć jego powstrzyma...

Podszedł Fiodor do księcia żandarma. Nie bardzo mu się chce bić, ale trzeba. Czemuż ten w palcie Druca skrzywdził? Czemu ten rudy wąż za nami goni? Dlaczego na tarantasio?!

Czemu oni wszyscy się na nas uwzięli?!

\* *Nie jesteś ty mi kumem, psie legawy jeden! (rom.j*

*" Czarny pan. Główne znaczenie: „ naczelnik", „przedstawiciel władzy ". (rom.)*

Wyjął Fiodor tę pięść, którą zamiast serca w piersi trzymał i zamachnął się na odlew. Z całego serca! A książę, popatrz! Wziął i chwycił pięść w swoją dłoń.

I ścisnął serce Fiodora niczym kleszczami.

- Gołąbeczku? Po co?! Nie będę ukrywał, że z początku wydał mi się pan znacznie mądrzejszym...

I nie dokończył. Zdziwił się. Ponieważ Fiodor wyrwał mu kułak z uścisku. I stanął naprzeciwko: tyś wielki i ja wielki jestem, tyś starszy, ale i ja nie dziecko...

A masz!

.. nie pamiętał, kiedy się ocknął pod płotem. Tyle, że w piersi serca już nie masz, a we łbie przeciąg hula zimny. Dobrze Fiodorowi. Jeżeli nie próbować wstawać, to całkiem dobrze. Alejak spróbować - wtedy źle.

Bo jakby wstać nie może.

W nogach czucia nie ma.

Jedno mu tylko zostało - poczołgać się powolutku. Tam gdzie Kniahini stoi niczym posąg w bezruchu. Tam, gdzie książę przeklął do Kniahini podchodzi. Rękawiczkę zdejmuje - pobrudziła się widać od głowy Drukowej i pięści Fiodora.

- Raiso Siergiejewna! Przecież jest pani rozumną kobietą...

Akulka! Gdzie się pchasz, głupia dziewczko?! Gdzie?! Wskoczyła jako trzecia pomiędzy dwoje przeciwników: „I-i-iiii!” - zapiszczała, jakby Szałwę Timurazowicza można było panieńskim krzykiem odstraszyć. Skrzywił się książę. Wziął Akulinę dwoma palcami za rączkę i odwrócił:

- Moja miła! Może byś tak umilkła...

I wtedy Fiodorowi się wydało: stanęli za ramieniem Akulki. Nie Druc i Kniahini: obcy i nieznajomi. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo zza ramienia, które ten książę dwoma palcami... i skinęli głowami.

- *Aj, da kon e wello, grand tradelo! Lafleur des vignes pousse, etj 'ai vingt ans ce soir'!*

Słyszycie! Rybka-akulka śpiewa.

Na dwa nie swoje głosy.

*Winorośl kwitnie, a ja dwadzieścia lat mam... (franc.)*

Miejscowi policjanci zjawili się dopiero potem.  
Wezwał ich woźnica.

## XII. AZA-AKULINA

### ALBO POD DACHEM JAMEGO KNIAZIA

*Czy chcesz się trzymać odwiecznej ścieżki,  
co nią kroczyli niegodziwcy,  
Którzy zostali porwani przed czasem,  
a strumień zalał ich grunt?*

*Księga Hioba*

Niewiele brakło, a byłyby nam z Fied'ką i Drucowi z Kniahnią szczęki na drogę poopadały! My go, wiecie, zabić na śmierć chcieliśmy, biliśmy się zajadle, a on - patrzcie tylko: „Precz od moich przyjaciół. Nie śmieście ich tknąć! Zostaliśmy napadnięci! Tak jest, uciekli! Tak, za tamtym rogiem zniknęli!”

Gdzież to słyszano, żeby magowie za przyjaciół żandarma i kniazia się liczyli?! Kto w to uwierzy?! No, kto?! Więc nie uwierzyliśmy. I dwie miejskie gliny też wierzyć nie chciały. Ale wierz czy nie, kniazowemu słowu niczego nie przeciwstawisz! Popatrzyli policjaje na siebie i grzecznie podreptali za róg, gdzie ich kniaz odesłał.

Jeden tylko na chwilą się zatrzymał:

- Może... eee... pana Roma... do szpitala odwieźć?

A kniaz mu jak dziecku:

- Gołębaczku, zostawcie to mnie. Zaraz pojedziemy do mnie, do hotelu, skąd już sam lekarza wezwę. A wy idźcie i uczciwie róbcie to, co do was należy!

Strzelił glina kopytami, czapkę z boku przytrzymał- i truchtem pognał za róg.

Robić to, co do niego należy.

A książę już woźnicę z powrotem wzywa. Za troskę mu dziękuje i rubla caluteńskiego na wódkę daje. Każe chochołowi pyzatemu duchem drugi tarantas sprowadzić. Żebyśmy się wszyscy zmieścili. Wychodzi na to, że jak się nie obrócisz, dupa błada. Uciekać nie za bardzo można - Druc pobity i połamany, gdzie mu tam do uciekania?! A skubany książę stoi i patrzy na nas wyczekująco. Milczy.

I my milczymy. Patrzymy na dorożki, co zatrzymały się obok.

Magowie z Konwencji niczego dobrego od żandarmerskiego księcia spodziewać się nie powinni. Numer nam jakiś chyba chce wyciąć! Choć jakież w końcu numer miałby wycinać? Oddałby nas miejscowym glinom, prawdę powiedział i byłoby po wszystkim! Może nie taki diabeł straszny...

- Wygląda na to, że wasza jasność nie zostawił nam innego wyboru i musimy skorzystać z uprzejmego zaproszenia. - Książę jak zawsze, pierwsza zaczyna.

Ależ ma nerwy... Jak stał!

- Nie da się ukryć, że tak - kiwa w odpowiedzi głową książętko. - Młody człowieku, zechciejcie pomóc panu Drucowi-Wiśniewskiemu w dostaniu się do dorożki. My z panią Altschuller pojedziemy przodem, a wy - za nami.

I na mnie nagle spojrział. Osobliwe to było spojrzenie... pełne szacunku, czy co? Książę! Na mnie! Z szacunkiem?! Śmiechu warte! Oj, a przecież ja przed chwilą kopnęłam go w słabiznę, a potem jeszcze nożykiem w łokieć zacięłam!

Naprawdeja?

Jakbym straciła swoją wolę. Tyle, że zamiast Druca z Raszelkaza plecami stanął mi nieznajomy fircyk; czarniawy jakiś, z wąsikami jak strzałowiczki, w bielusińskiej koszuli z koronkowymi mankietami, jak fartuchy służącej. A z rąk tego fircyka wyciągnęły się jakby ku mnie jedwabne niteczki - jak u tych kukiełek, co je najarmarku widziałam. I jak ten fircyk nie zacznie *mną* księcia tłuc! A tuż obok niego w niskim przysiadzie jeszcze jeden skacze. Widać, że Rom, tylko brodaty, maleńki i w niczym do Druca niepodobny! I w dłoń mi nożyk wsuwa - dobrze, powiada, rękami i nogami bić, ale nożykiem wygodniej! I wsunął, udało mu się! A potem niczego już nie pamiętam; ci dwaj chyba wszystko za mnie robili. Książę usiłował się przed naszą trójką obronić - i nie bez powodzenia, ale trochę mu się dostało!

Zaraz się zacznie wściekać...

Nie, nie zaczął.

Żeby nie mleć jęzorem po próżnicy - pomogliśmy z Fied'ką Drucowi wstać, a do dorożki sam już zdołał wsiąść.

I pojechaliśmy.

Do hotelu.

Dobrze, że nie do ciupy!

Ciekawe, ten hotel, to coś w rodzaju umeblowanych pokoiów tylko dla kniaziów? No dobra, niedługo sama zobaczę.

Jedziemy.

Widzę kątem oka, że Fied'ka na mnie popatruje. Nie tak jak kniaz -inaczej.

- Nieźle mu przyłożyłaś! - nie wiedzieć czemu, mówi szeptem.

A oczy ma wielkie i błyszczące, niczym wypolerowane półrubłówki. Pod lewym, mówiąc między nami, siniak mu nabrzmiewa i kolorów nabiera... Przejrzysty chłopak z tego Fiedieńki. Widać wyraźnie, że się we mnie bujać zaczyna. I nie jak w tym śnie wstydliwym, ale na jawie! I prawdziwie. Oj, rybko Akulko! Chciałam mu coś powiedzieć takiego, żeby się trochę rozgrzał - ale akurat się okazało, że przyjechaliśmy na miejsce.

Oto jak żyją prawdziwi panowie, którzy w lecie palta noszą! Po Kęs-Preclu każda karczma pałacem mi się wydawała, a tu... Dlatego to Kniahini podczas tamtej podróży cały czas nosem kręciła!

Ku drzwiom marmurowe stopnie wiodą, a same drzwi - wysokie, lśnią w słońcu, klamki niczym żar-ptaki świecą - a wujaszek w mundurze już biegnie, by je przed nami z ukłonem otworzyć... no, nie przed nami, ale przed kniazem Gandieri. Nas ledwo zobaczył, pozieleniał cały, jak zaba błotna. I do kniazia cichutko, na ucho:

- Your Highness! Excuse me, but are these people yours\*?

A zamiast kniazia odpowiedziała mu Kniahini:

- We are not people of His Highness. But we are prince's guests. Does something confuses you"?

Ja też się wtrąciłam:

- Goście jesteśmy, goście! Puszczaj do środka!

A Druc, złażąc z dorożki:

*Wasza Wysokość zechce wybaczyć, ale czy to ludzie Waszej Wysokości? (ang.)*

*"Nie jesteśmy ludźmi Jego Wysokości, tylko książęcymi gośćmi. Czy to wam przeszkadza? (ang.)*

- Przyjechał do was wasz ulubieniec... aj!... Sam Druc-Wiśniewski!

I wujaszek otworzył przed nami drzwi dwa razy szerzej niż przed kniazem. Ledwie się powstrzymałam przed pokazaniem języka jego umundurowanej gębie! Ogólnie rzecz biorąc, zadarliśmy nosy i weszliśmy do hotelu.

### *Notatki na marginesie*

Zajrzyjcie w oczy szwajcara, który dla jednych jest człowiekiem kłótliwym, a dla drugih sprzedajaco unizonym. Zajrzyjcie - a nie pożałujecie! Oto:

...gwizdek. Do przystani podchodzi ogromny, biały parowiec. Marynarze ciskają już liny ludziom stojącym na brzegu przy pachółkach, z wysokiej burty zsuwa się trap, po którym zaczynają schodzić pasażerowie. Walizki pyszną się pstrokacizną różnobarwnych hotelowych naklejek z dalekich krajów, roztaczając wokół ledwie uchwytny aromat morza, palm, wschodnich przypraw i najrozmaitszych zamorskich dziwów.

Być może, kiedyś...

\*\*\*

Oto gdzie mogłabym żyć do końca życia!

Sala niczym czyściutkie pole się rozpościera, zamiast trawy dywanami puszystymi wyłożone. Okna wysokie na dwu chłopa, czyste niczym woda źródłana - w pierwszej chwili nie odgadniesz, jest w nich szkło czy nie? Pod sufitem lampiszczyste stupudowe, ze złota dukatowego, z kryształowymi wisiorkami. Na ścianach - obrazy w złożonych ramach: żarcie na nich rozmaite namalowane, zakąska i coś do wypitki. Wiszą, żeby apetytu gościom dodawać. A w górę schody podwójne wiodą, też marmurowe, do których dywany poprzybijano miedzianymi prętami - chyba po to, żeby ich nikt nie podwędził. Hotel nie hotel, ale ludziska rozmaici się trafiają.

Z boku kontuar wysoki, drewniany, a za nim jeszcze jeden wujaszek, też w mundurze i czapce z daszkiem.

Kniaź rzuca mu w przelocie:

- Lekarza do mojego numeru. Biegiem!

A my po dywanach na górę dymamy, w ślad za żandarmerskim kniazem. Weszliśmy na piętro. No i tu mi się nielicho pogorszyło! W oczach mi pociemniało - a właściwie to nie w oczach, ale w uszach. Jak przed godziną na przystani. Ciśnie ze wszystkich stron, jakby mi kto waty w uszy ponapychał, w głowie pająki się jakieś kokoszą, pajęczyny ciągną, a te pajęczne nici do moich zębów są poprzyklejane. Zęby mnie rozboleły - aż strach, aż wyc się chce! I stękam pod nosem. Nie do rozkoszy mi już, nie do spojrzeń Fiodora, nic mnie nie obchodzi, o czym sobie Kniahini z kniazem rozmawiają, tym bardziej, że i tak niczego nie słyszę! Usiąść by gdzieś sobie, a jeszcze lepiej, położyć się gdzieś - ale nie ma gdzie. Zresztą nie można; oboje z Fied'ką musimy Druca taszczyć, a jemu mimo wszystko gorzej niż nam.

Nie pamiętam już, jak do numeru książęcego trafiliśmy. Druca na kanapie położyliśmy. Patrzę, a tu krzesło wspaniale z oparciem. Siedzenie ma bardziej miękkie niż pierzyna i oparcia, żeby ręce na nie kłaść. Trzeba by o pozwolenie poprosić - ale język nie słucha! Żeby mi słów w gębie zabrakło?! Więc ja- bęc! -na to krzesło! Nikogo nie pytałam! Ręce na oparcia położyłam - i siedzą! Rozsiadam się wygodnie. Wokół wata, głosy w niej toną, cienie jakieś mętne krążą - śpię, czy co? Zamroczenie jakieś mnie naszło?! A wszystko mi jedno! Żeby mnie tylko zostawili, żeby nigdzie iść nie kazali. Może gdzie?

Wtedy, na przystani, przeszło przecież.

A-aaa psik!

W nos mi jakimś świństwem kwaśnym dmuchnęło. Aż podskoczyłam na krześle! Od razu mi tą watą z uszu przegnało i w oczach jaśniej się zrobiło. Patrzę, a nade mną ten trupiarz stoi, Król Żołądny i jakąś szklanką mi pod nos podtyka.

No, wrzeszczeć to ja umiem, wrzask z gąby na zewnątrz bez trudu mi się wrywa! Ot, co mi do głowy przyszło: pewnie umarłam, a trupiarz się zjawił, żeby mnie podnieść i z martwej się ponabijać! I dlatego to zielsko czarodziejskie mi pod nos podtyka.

Ale gdy sięjuż wywrzeszczałam i przejrzałam na oczy - patrzę, a to wcale nie tamten trupiarz. I nawet niepodobny. Co to się człowiekowi zwidzieć może! Doktor, ale całkiem inny. Dwa razy młodszy, bez tego szkiełka w oku i odziany inaczej... no, krótko mówiąc, ani trochę do trupiarza niepodobny. A szklankę śmierdzącą pod nos mi podtykał, żeby do przytomności przywieść.



No i przywiódł, na swoje utrapienie.

Doktor odskoczył ode mnie jak oparzony, pot z łysiejącego czoła otarł chusteczką, a potem pyta:

- Wy... gołąbeczko, jak rozumiem... odzyskaliście już przytomność?

- Odzyskaliśmy - mówię. - Piękne dzięki.

I język już mnie słucha, lepiej niż przedtem! Może ten doktor też jest magiem? Młody, przystojny... czemuż Fied'ka w naszą stronę nie patrzy?

- To pięknie, gołąbeczko, bardzo się cieszę. I krzycheć już niech pani nie krzyczy - szkodzi to pani. A teraz, jeżeli zechce pani pozwolić, zajmę się drugim pacjentem.

Oczywiście, wcale na moje pozwolenie nie czekał, tylko od razu ruszył do Druca. Dobry doktor. Od razu mi się spodobał, nie jak tamten... Walerianycz! Aż mną rzuciło na samo wspomnienie. Ten szybko Druca wyleczy. A potem...

No tak, co potem?

- Czemu się darłaś? - Fied'ka, jak się okazuje, podglądał. Obok się rozsiadł, na ławeczce z powyginanymi nóżkami. Mocna ona - pod Sochaczem kamienie się kruszą!

- Trupiarz mi się przypomniał, Fiedieńka - odpowiadam. - Że to niby znów się w tamtym zamku znaleźliśmy...

Raszka wciąż go Fiedieńka nazywa, to i ja mogę.

-W jakim zamku?!

A cóż to, pamięć stracił, czy co?!

- No w tym, gdzie z trupiarzem i nieboszczką Asicą się biliśmy! A potem na mur wleźliśmy i na smokach ognistych odlecieliśmy! - wyjaśniam mu jak dziecku.

A ten oczy na mnie wytrzeszczył każde jak półrublówka i mruga.

- Coś ty?! - powiada. - Opamiętaj się, Akulino! Jaki zamek? Jakie smoki? W szczerym polu walczyliśmy z drużyną martwiaków. Z dział biliśmy i czarami ich raziliśmy - a potem, jak nas do tej smołonej jamy przyparli, na dwu armatnich kulach odlecieliśmy. Znaczy, nie na pociskach, ale konno - tylko że to potem było, sama rozumiesz. ..

- Głupiś, Fiedieńka! - mówię mu.

- Wszystko ci się pomieszało - mówię mu.

- Wiesz, gdzie masz te dwie kule? - pytam, ale natychmiast w język się ugryzłam. Zmądrzałam teraz! Wujek Druc nie darmo mnie

klął za mój jęzor niewyparzony. Zresztą, co kniaziowi i temu doktorowi o naszych *mażych* bitwach słuchać! - Dobra! - mówię cicho. - Potem pogadamy, ludzi tu za wiele. Ale tak czy owak, inaczej było, niż to ci się zdawało.

Fiodor tylko kiwa głową na zgodę. A z czym się godzi - nie wiadomo. Może z tym, że lepiej pogadać nie przy ludziach, a może z tym, że wszystko było inaczej. A niechże go geś kopnie!

Oj, co to?! Fiedia! Fiedieńka!

Zbladł, skrzywił się i za serce łapie...

- Doktorze! Doktorze!...

Doktor nareszcie wyszedł - kręcąc głową. Wszystkich napoił jakimiś kroplami, albo nakamił pigułkami: Drucowi złożył złamaną rękę i umocował ją temblaku, kniaziowi Gandieri igielką zaszył rozcięcie na łokciu, a potem je zamazał jodyną i zabandażował. Mnie też wysmarował tą jodyną. Zacięłam się. Okazało się, że mam w rękawie nożyk - ten sam, który kniaź wybił z ręki Drucowi. Jak trafił do mojego rękawa? Niby pchła sam wskoczył, czy co?

No, dobra.

Siedzimy w hotelowym apartamencie. Ja się tylko rozglądam na wszystkie strony - ciekawi mnie, jak sobie żyje najprawdziwszy kniaź. Nieźle sobie żyje. Też bym tak chciała! Co prawda od mojego chcenia nic nie zależy - dobrze byłoby choć wiedzieć, ile nam życia zostało! Czyhajana nas, gdzie się nie obejrzyz - z jednej strony talia magów, z drugiej żandarmi, a z trzeciej - nasz gospodarz, butelką w ślepią trącany.

A tymczasem Gandieri z Raszelkapomilczeli trochę, popatrzili na siebie - i zaczęli ciekawą rozmowę. A ja słucham, uszami strzygę. Wyrażają się niby porządnie i szlachetnie, a mnie się cały czas wydaje, że to nie rozmowa, tylko cicha walka - taka jak to starcie pod Bałakławą, tylko nie tak widowiskowa.

- Zechce pan łaskawie zaspokoić moją ciekawość, Szałwo Timurazowiczu... Po co panu było to zajmujące przedstawienie? Dlaczego nie uciekł się pan do swoich... no, powiedzmy wprost... profesjonalnych nawyków? Dlaczego nie przekazał pan żandarmom zbiegłych magów katorżników, którzy na dodatek targnęli się na pańskie

życie? Niechże mi pan wybaczy, ale nie bardzo wierzę w pański altruizm.

Ciekawe, co to za przekleństwo: „al-truizm”?

Chyba z pradawnych czasów Goga i Magoga pochodzi.

- A czemużby nie? - żandarmski kniaź wygiął brew w łuk.  
- Dlaczego nie założyć, droga pani Altschuller, że oto ja, kierowany wyłącznie dobrocią i miłością do ludzi, których to cech niestety nie mogłem przejawiać, kiedy byłem w służbie, postanowiłem nie wydawać w ręce sług prawa was i waszych, nazwijmy to... chrześniaków, wyłącznie z czysto humanitarnych pobudek? Może tli się we mnie jeszcze nadzieja, że uda mi się skierować was na uczciwą drogę?

W odpowiedzi Kniahini tylko parsknęła. Podeszła do długachnego stołu i wyjęła papierosa z leżącej na nim paczki.

- Ależ oczywiście, niech pani pali, pani Altschuller! Za pani pozwoleniem i ja zapalę. A i wam, młody człowieku, nie będziemy bronili, jeżeli wasza dama nie zechce wyrazić sprzeciwu.

Młody człowiek, to Fied'ka. A „dama” to chyba ja, czy co?!

Dama-madama.

- Oczywiście, nie wierzy mi pani. - Gandieri pstryknął zapalniczką dla Raszelki, a potem sam się otulił chmurą niebieskawego dymu papierosowego. - Ale, choć rzecz może się wam wydać dziwną, akurat jest to prawda. Oczywiście, kieruję się nie tylko miłością bliźniego swego-ale w istocie chciałbym dać wam jeszcze jedną szansę. Jeżeli odmówicie, możecie wszyscy iść, dokąd zechcecie. Nie będę wam w niczym przeszkadzał. Nie wierzy mi pani?

-Nie wierzę, wasza jasność.

- Przynosi to zaszczyt pani inteligencji. Ale niepotrzebnie. Jestem teraz przecież osobą prywatną, powinność wobec służby nijak mnie nie wiąże. Wiecie, mówcie mi po prostu Szałwo Timurazowicz. No jak, umowa stoi? Zgódźmy się choć w tak drobnej sprawie. No jak, stoi?

Mrużąc oczy, kniaź patrzy wyczekująco na Kniahinię.

- Czeką pan na moją odpowiedź? - Raszel przez chwilę nerwowo obraca papieros w palcach, a potem chciwie się zaciąga. - Dobrze. Jeżeli to panu odpowiada, zadam to pytanie. Tym bardziej, że właściwie już je zadałam. Czego pan od nas chce? Do czego jesteśmy potrzebni... no cóż, jak wprost, to wprost... do czego jesteśmy potrzebni panu Cyklopowi? Tak chyba się pan każe nazywać?

Kniaź się śmieje. Kniaź jest zadowolony.

A śmieje się dość osobliwie: porusza wargami i to wszystko.

- Zawsze zakładałem, że znajdę w was, droga Raiso Siergiejewna, nietuzinkowy umysł. A wie pani, dlaczego, lub za co, nazwali mnie Cyklopem? Jeszcze w tyfiliskiej szkole, jako małego brzdąca? Niech pani nie próbuje zgadywać, to tak, przy okazji. Skądże mielibyście wiedzieć. Dlatego pozwolę sobie na krótki liryczny przerywnik, zwłaszcza, że będzie w nim pewien odnośnik do naszej jakże miłej rozmowy.

Książ Gandieri spaceruje po pokoju, kreśląc pasma papierosowego dymu. Raszel oparła się o lakowy stolik i słucha. Obok dymi Fied'ka. Leżący na kanapie Druc udaje, że śpi, ale kiepsko mu to wychodzi.

Rzęsy mu drgają.

-Nie wiem, czy jest pani świadoma faktu, że żandarmi śledczy z J.I.W. specjalnego korpusu „Barbarzyńca”, do których miał honor należeć wasz pokorny sługa, choć są niepodatni na eteryczne działania, mimo wszystko mogą wyczuwać ich obecność? A niektórzy - nawet ślady tych działań, które miały miejsce podczas ostatniej doby. Tych ostatnich w korpusie nazywa się „niuchaczami”.

Raszel w milczeniu kiwa głową i puszcza ku kniaziowi piękne kółeczko z dymu.

Czemu mnie nikt nie częstuje? Ukraść mam papierosa, czy jak?

- U różnych członków korpusu reakcja na ślad też jest różna; jeden na przykład, zechce pani wybaczyć, czkawki dostaje, drugiemu oko łzawi, i to zawsze lewe, nigdy prawe! Trzeciemu podagra się odzywa. A waszego pokornego sługę śwędzi, o tu.

Gandieri dotyka palcem własnego czoła, pośrodku i nieco nad nosem. Ma tam dwie poprzeczne fałdki - jakby powieki trzeciego oka.

Kiedy marszczy brwi, powieki mrugają.

- Stąd i przewisko. Kochajcie i podziwiajcie: książ Gandieri, Szałwa Timurazowicz, zwany Cyklopem. Proszę przy tym zauważyć -jeden z najlepszych „niuchaczy” nie tylko w naszej ukochanej ojczyźnie, ale i w Europie. Mogę określić nie tylko samą obecność eterycznego działania, ale i jego moc, a także wektor. Na przykład w tej chwili, droga pani Altschuller, tworzy pani bardzo silną, sądząc po wszelkich danych, tarczę obronną, przez którą usiłują się przebić przynajmniej trzej wasi przeciwnicy.

Książ niespiesznie odwrócił się na obcasach i pociągnął orlim nosem, jakby coś wąchał.

- Niechże mi pani wybaczy z łaski swojej. Czterej. Mam rację?

- Ma pan rację, wasza jasność.

- Przecież panią prosiłem, Raiso Siergiejewna: Szałwa Timurazowicz! Dla pani będę wyłącznie SzałwąTimurazowiczem! No, dajmy zresztą temu pokój. W tej chwili wzięto was w dwa ognie: z jednej strony, poszukują was za ucieczkę śludzy prawa i jeżeli zostaniecie pojmani, powieszą was bez dwóch zdań. Współ z tymi młodymi, jakże mi sympatycznymi ludźmi. Z drugiej strony, pojawiły się u was problemy ze społecznością waszych kolegów, magów recydywistów. Przecież nie przede mną tak pospiesznie uciekaliście, kiedy się spotkaliśmy. I nie przed żandarmami. Taki, a nie inny wniosek każą mi wyciągać intensywność skupionych na was eterycznych działań, a także zbolwały wasz wygląd. Powiedzmy tak -jeżeli po wysłuchaniu mojej propozycji postanowicie odmówić - oedziedziecie stąd spokojnie i nikt was zatrzymywał nie będzie. Czy uda wam się uciec - to już pytanie innego rodzaju. Albo dopadną was wasi kompani, albo złąpią żandarmi. Albo...

- Albo wasi ludzie porzną tych tak wam sympatycznych ludzi na kawałki, uprzednio powykluwawszy im oczy - wyraźnie i dobitnie wtrąca Raszel, a od jej słów i głosu aż mnie dreszcz przeszył!

A jak przy tym spojrzała na kniazia! Gdyby nie był „Barbarzyńcą”, zaskwierczałby i splonął na miejscu!

- Akurat tego chciałbym w tym przypadku uniknąć. Dlatego właśnie ja, Cyklop, proponuję wam, całej waszej czwórce, swój „dach”. Niechże się pani nie dziwi, to pojęcie ma bardzo szerokie zastosowanie. Można powiedzieć, jest międzynarodowe.

- Wiedz więc, mój kochany, że Nikt zjedzon będzie na ostatku, kiedy się rozprawię z pozostałymi; oto i mój podarek! - wypalił nagle Fied'ka. Tyle, że słowa wymawia jakby wbrew sobie. Duszno mu albo coś mu pierś gniecie?...

I w odpowiedzi zwała się na mnie oślepiająca głuchota! Pająki! Ból zębów!

Znowu!

I za cóż to ktoś mnie tak dręczy?! Druc, Kniahini, doktorze... pomóżcie! Ach, prawda, doktor już sobie poszedł. Chcę krzyknąć - a krzyk w piersi mi zamiera, jakiś charkot tylko mi wychodzi, sama go zresztą nie słyszę, bo znów mi uszy zatkało! Pograżam się w bagnie, zapadam w mętną otchłań; lada moment błocko chlupnie mi prosto w twarz ... Nagle jak mnie nie targnie po uszach:

- ...zabójcom służyć?! Wybaczcie bezpośredniość: z talii magów do talii emerytowanych łapsów-oprawców?! Tak to sobie wyobrażacie, wasza jasność?

Zapada długa cisza.

Ciemna, mroczna, wpatrują się w nią, aż powieki mnie zaczynają piec.

Nic.

- Droga pani Altschuller, nie będę pani namawiał. Mógłbym bardzo dobitnie i długo demonstrować wam różnicę pomiędzy nami, popełniającymi nieuniknione przestępstwa w imię społecznego dobra - dla dobra swoich dzieci wreszcie! - i wami, których celem jest korzyść osobista. Wszystko to górnolotne słowa i macie prawo mi nie uwierzyć. Ale radziłbym, żeby pani - właśnie pani *osobiście*, zechciała spojrzeć w oczy faktom. A te są takie, że po prostu nie macie innego wyjścia. To znaczy, macie: możecie stąd po prostu wyjść i umrzeć w ciągu paru najbliższych godzin. Ile jeszcze przetrwacie? Trzy, cztery godziny? No, ile?!

- Między nami mówiąc, wasza jasność, właśnie się przyznaliście do popełnienia przestępstwa. W obecności czterech świadków. Może niekoniecznie musimy teraz umierać? Wiecie przecież, że mamy swoje sposoby dochodzenia prawdy. Wystarczy, że poddamy się przesłuchaniu przez dobrego wideka- i ponownie przyjmie nas Prawo. Nasze Prawo. A wy i wasi ludzie zaczniecie mieć od tej chwili poważne problemy. *Z waszym prawem.*

-I jakież to, pozwoli pani, że zapytam? Zwróci się pani do prasy? Do rządu? Napisze pani petycję i skieruje ją do jakiegoś urzędu? Zeznanie maga recydywisty: łapsy bez sądu i śledztwa mordują naszych uczniów! Nie nas, przestępców zatwardziałych, ale uczniów! Przecież to idiotyzm! Głupstwo jakieś! Któż wam uwierzy, Raiso Siergiejewna?! Nie jest pani przecież naiwną dziewczynką, powinna to zrozumieć. Ani jedna poważna gazeta nie wydrukuje takiego materiału, a nawet gdyby któryś z przedstawicieli prasy bulwarowej odważył się na coś takiego, to zwykły obywatel uzna to za dziennikarską kaczkę, a gazetką natychmiast się zainteresuje nasza czujna cenzura - i podetnie jej skrzydełka w imię ochrony czci naszego żandarmerskiego korpusu!

Kniaź milknie wyczekująco. Słyszę, jak poskrzypującego trzewiki-Gandieri mierzy pokój krokami.

- Może też pani oczywiście uprzedzić swoich, powiedzmy, kolegów, którzy teraz tak uporczywie usiłują wyprawić was na tamten świat.

Ale niechże mi pani uwierzy, że będziemy wam tylko wdzięczni za rozpowszechnienie tychjakże pożytecznych informacji! Przecież likwidacja chrześniaków nie jest wcale naszym celem samym w sobie, jak bez trudu możecie się tego domyślić. Ważne jest dla nas, żeby na miejsce brakujących uczniów nie pojawiali się wciąż nowi i nowi. Trzeba nam przerwać tę ciągłość. Jeżeli rozejdą się słuchy, że wstąpienie na naukę do konwentowego maga równa się szybkiej i nieuchronnej śmierci - możecie uznać, że połowę roboty będziemy mieli za sobą. A gdyby panowie magowie zechcieli odpowiedzieć podobnym, tylko przeciwnie skierowanym terrorem... O czymś takim to nawet nie śmielibyśmy marzyć! Przecież takie działania rozwiązałyby nam ręce na poziomie *oficjalnym*! Pojmuje pani, oczywiście, co to znaczy, droga pani Alt-schuller?

- Pojmuje, wasza jasność.

- Niewykluczone, że w takim wypadku wy osobiście - i wasi chrześniacy - moglibyście się gdzieś ukryć. Wyjechać daleko - najlepiej za granicę. Nie mam tu na myśli Europy - u nich wkrótce zacznie się to samo - ale gdzieś do Nowego Świata, albo, powiedzmy, do Sułtanatu Delhijskiego. Przecież o tym właśnie myśleliście, nieprawdaż? Tak, to teoretycznie możliwe. Tam was nasi ludzie nie dosięgną - nie będą przesadzał, opisując nasze możliwości. Ale problem w tym, czy zdążycie, droga Raiso Siergiejewna. Wasi koledzy unicestwią was znacznie szybciej, niż zdążycie się z nimi porozumieć i cokolwiek im wyjaśnić. Między nami mówiąc, jeżeli tak bardzo niepokoi was los waszych uczniów, proponuję wam zająć się nimi natychmiast. Oboje źle się czują, tak przynajmniej mi się wydaje. Jeżeli coś im się przydarzy, tu i teraz właśnie, to powinniście winić nie złowrogiego Cyklopa, ale wyłącznie samych siebie...

- Fiodor! Akulino! Ocknijcie się!

Pospieszne, przybliżające się i splątane kroki. Jakże to niepodobne do zwykłego sposobu poruszania się Kniahini. I kanapa zaskrzypiała - to Druc usiłuje usiąść.

Mimo wszystko się podniósł.

Dłoń na czole. Wielka, ciężka, drapiąca odciskami.

Drucowa dłoń.

Uf! Jakby mi ulżyło.

Druc pochyla się nade mną, w oczach ma niepokój... nie, strach! Obok Kniahini na Fied'kę wrzeszczy. Czemu się tak wydziera? Przecież niczego nie zrobił. A może ona go w ten sposób chce obudzić?

Odpelzły gdzieś pająki, pokryły się w norach, i mrok odstąpił.  
 Ale język, jak przedtem, mam niby z drewna.  
 -D-ddziękuję... D-druc...  
 To *ja* się tak jąkam?!  
 Mamo jedyna, co się ze mną porobiło?!  
 Fied'ka! Fiedieńka! Żyjesz?! Poruszył się. Jęczy.  
 Żyje!

Wstała Kniahini. Wyprostowała się jak sam książ. Patrzy mu w oczy i ani jej powieka drgnie.

- A jak będzie wyglądać ten wasz „dach”, najmiłszy z miłych Szałwo Timurazowiczu? Z gontów? Dachówek? Słomą będzie kryty? I najważniejsze -jak nam przyjdzie na niego zarobić? Ja, jak pan wie, kotów w worku nie lubię kupować. Sprzedawać, to zupełnie inna rzecz.

## **JTAWKA POD KARTĄ ALBO PODWÓJNY BRUDER/ZAFI**

*Gdy zabrałem głos,  
 nie odzywano się,  
 moje słowo spływało na nich niby  
 krople*

*Księga Hioba*

### **DEPEZA BŁYSKAWICZNA**

*Sankt Petersburg, ul. Imienin 16*

*Jego Nieprzekupność'  
 naczelnik specjalnego korpusu J.I.W. „Barbarzyńca”  
 generał Dorf-Kapcewicz  
 do rąk własnych.*

*Takie i inne oficjalne zwroty w dokumentach i tytułach (w odróżnieniu od zwykłej mowy albo literatury) pisano z dużej litery.*



Wasza Nieprzekupność!

Pozwalając sobie na przesłanie moich najszczerzych zapewnień o niezachwianym szacunku, jaki żywię dla Waszej Nieprzekupności, spieszę powiadomić, że po głębokim namyśle postanowiłem przystać na jakże dla mnie pochlebną propozycję Waszej Nieprzekupności i wrócić w szeregi ludzi służących Państwu i Ojczyźnie, przyjmując obowiązki komendanta charkowskiej szkoły śledczej J.I.W. Wielkiego Księcia Nikołaja Nikołajewicza\*, zastępując na tym stanowisku złożonego ciężką niemocą i jakże nam obu drogiego pułkownika Kurawlewa. Proszę o jak najszybsze przysłanie odpowiednich rozkazów (zgodnie z obietnicami, jakie Wasza Nieprzekupność raczył mi złożyć po moim poprzednim liście do W.N.) i o potwierdzenie moich pełnomocnictw zwrotnym telegramem na adres Sewastopolskiej Komendy Policji, ponieważ wiele od tego zależy.

Pozostaję pokornym sługą Waszej Nieprzekupności, Książę Gandieri, podpułkownik rezerwy."

#### DEPESZA BŁYSKAWICZNA

*Sewastopol, Zaulek Malachowski 2*

*Oberpolicmajster miasta Sewastopola  
Jego Naczelnikowska Mość  
Siergiej Siergiej ewiczu Kuszników.*

Po otrzymaniu niniejszego, rozkazuję natychmiast powiadomić Jego Czujność księcia Gandieri o konieczności objęcia przez niego stanowiska komendanta charkowskiej szkoły śledczej J.I.W. Wielkiego Księcia Nikołaja Nikołajewicza, ze wszystkimi wynikającymi z niego prawami i obowiązkami, włącznie z osobistą kontrolą współpracowników niejawnych. Powierzone Jego Czujności księciu stanowisko, pułkownik Gandieri, awansowany rozkazem władcy, powinien objąć nie później, niż..."

*W zwykłej mowie i pismach nieoficjalnych wymieniano po prostu charkowską szkołę śledczych.*

**DEPESZA**

*Oberpolicmajster miasta Sewastopola  
Jego Naczelnikowska Mość  
Siergiej Siergiejewiczu Kuzników*

*w miejscu.*

Wasza Naczelnikowska Mość!

Otrzymałszy od was powiadomienie o objęciu nowego stanowiska, proszę usilnie o niezwłoczne wysłanie kuriera do przełożonego klasztoru Jana Złoustego, tak żeby o. Pimen mógł jeszcze dziś skierować do hotelu „Ermitaż”, w którym miałem przyjemność się zatrzymać, tego miejscowego hierarchę, któremu powierzono funkcję ober-starca i który zatwierdza wyroki Sewastopolskiego Sądu Karnego. Powinno to być zrobione jak najszybciej, dla zatwierdzenia czasowej wizy o terminie nie dłuższym niż miesiąc, ponieważ wizę wystawi ojciec Georgij, hierarchalny ober-starzec przy charkowskiej szkole śledczej J.I.W. Wielkiego Księcia Nikołaja Nikołajewicza, w której się zjawię nie wcześniej niż za kilka dni.

Pozostaję pokornym sługą Waszej Naczelnikowskiej Mości, Książ Gandieri, pułkownik śledczego korpusu „Barbarzyńca” J.I.W.

\*\*\*

...i tak to szło.

Gdzieś daleko, na drugim końcu pokoju, na przeciwległym krańcu wszechświata błysnęła polerowana gładź stołu. I tam, na tej gładzi, w blasku i chwale, niczym otchłanie paszczy lewiatana rozwarły się dwa białe, siejące światłem okna; dwa wejścia w inne życie, dwie szanse, do których jeszcze należy dobrnąć, dowlec się, dopełznąć - i otworzyć zamki do nich kluczem-piórem.

Czy to po raz pierwszy, Dufuńko Druc, przyszło ci czymkolwiek bądź zamki otwierać?

A tobie, Książu? Droga ty moja Raiso Siergiejewna, jak lubi mówić pewien znany nam obojgu człowiek?!

Pióro, mówicie, stalowe? Rządowe? Rozszczepione na dwoje, niczym żmijowy język? Niechby i żmijowy - nada się. Wszystkie się nadadzą. Waż, on od wiek wieków kusicielem jest i będzie... pełza na brzuchu swoim. I wam trzeba dojść! Doppełznąć! I dotaszczyć na plecach dławiących się i tonących we mgle niemocy chrześniaków. Za szybko to wszystko się składa - u was i u nich...

- ...a wiesz, co sobie pomyślałem, Raszelo...
- ...więcej już tak nigdy nie myśl, Fiedienka...

Tam - ratunek.

Straszny? Owszem. Odrażający? Nie inaczej. Ratunek. Tak.

Co, jeszcze raz Bruderszaft, Kniahini?

Tak, Golony, jeszcze raz.

Idziemy? Tam, skąd nasi suchą nogą wychodzili?!

Tyś powiedział. Idziemy.

Oboje wiecie: daremna to brawura. Chwiejne to ogrodzenie, za prętami którego ukrył się śliski, mętny chłodek strachu. Z różnych miejsc wasi suchą nogą wychodzili - ale nie stamtąd!

Prawo poza Prawem.

Mgła się zbiera wokół Psiego Trzęsawiska. Żal bagnisku wypuszczać zdobycz, lepką topielą czepia się nóg, ppdciąga wyżej, wysysa resztki sił - ale wy idziecie!

*... Zesłańcy szli od Psiego Trzęsawiska.*

*Dwoje...*

Uporczywie idziecie, choć nie ruszacie się z miejsca.

Powoli, męcząco powoli przybliży się polerowany blat stołu z dwoma bielkami; z dwoma białymi oknami.

I dwiema kartkami ozdobionymi herbem państwowej pieczęci.

Dwoma wyrokami *in blanco*.

- Proszę bardzo, pani Altschuller.

- Proszę bardzo, panie Druc-Wiśniewski.

Głos przetacza się nad głowami niczym echo burzy nad Czatyrdagiem. Jego odgłosy długo jeszcze błędzą nad stokami i całej wazszej czwórce wydaje się, że to mój głos, a nie prośba (rozkaz?) kniazia Gandieri dźwięczy wam jeszcze w uszach.

Ale to nie tak.

Ja milczę.

Milczę i patrzę. Dokonałiście swojego wyboru i ponownie rozpałę przed wami ogień - znajomy i obcy jednocześnie.

*...znasz przecież prawo, Kniahini? Do końca.*

*Trzymaj.*

*Trzymaj się.*

*Ja wszystko widzę, moja dziewczyno...*

Stalowe pióro bezlitośnie wbija się w zawartość kałamarza; ciężkie krople głucho spływają z powrotem, ściekają z ostrza, z klingi, którą otwierają żyły, wypuszczając na zewnątrz szkarłatny sok, atrament dla tego jedynego podpisu.

Podpis!

Oślepiąco biały otwór okna przybliża się, a przez buchające zeń niezmiernie światło prześwitują wyraźne.. 'lityry? Runy? Karty? Ludzie?

Tak jest, ludzie!

Ludzie w mundurach.

Koźnierzyk munduru lazuruwej barwy podbity szkarłatnym suk-nem, talię zamiast skórzanej taśmy z klamrą opina srebrzyście tkany pas z kutasami; guziki - po sześć w rzędzie - także srebrne, połyskują dziarsko ogniem, rzucając blaski na jaskrawe obszycie mankietów i brzegów. Na guzikach wytłoczona ręka, muskularna łapa z mieczem i dwie splecione runy nad rękonością... i ten sam symbol na pagonach.

Specjalny śledczy korpus J.I.W. „Barbarzyńca”.

Ludzie w mundurach obstępują was ze wszystkich stron. Zamyka się krąg, grzebiąc całą czwórkę wewnątrz. Z jakiegoś jednak powodu lityry-karty-żandarmi nie spieszą się z wiązaniem rąk i transportem na szubienicę albo do obozu. Nie bójcie się, podpowiem wam rozwiązanie zagadki.

To nie konwój.

To ochrona.

Wokół was rozrasta się las czarnych liści winorośli za ścianą z czerwonych dzwonkowych rombów - i ta ściana, ten las nie pozwalają zawiedzionej mgłę na zwanie się nad waszymi głowami i ostatecznie, nieubłagane pochłonięcie was i waszych chrześniaków.

Chrześniak... krzyż... krzyżowy kolor... żołędź... Żołędny Król!... Postawić na wszystkim krzyż... przeżegnać się... odżegnać...

*...Podpisujcie!*

Dwie ręce ze stalowymi żądlami piór jednocześnie opadają w dół. W dół - w niespodziewanie wybuchający pod nimi płomień. Płomień, który rozpałił ja. W tej właśnie chwili. Ani wcześniej, ani później. Wtedy, kiedy potrzeba.

*...Podpisujcie!*

Wasze ręce płoną, kurczą się w uchwycie ognia, metal piór spaja się z topniejącym woskiem palców, a atrament zastyga na papierze niczym krew - na zawsze, na stałe. Na to żalosne mgnienie, które poeci nazywają Wiecznością.

- Doskonale. Teraz zatwierdzę wasze podpisy; pan strapczy postawi swoją pieczęć; a potem wasza kolej, świętobliwy ojcze. Jak widzicie, wszystko się odbywa zgodnie z procedurą.

Podpis został złożony. Umowa zawarta. Ale nienasycony płomień nadal chciwie pożera wasze dłonie, palący ból pełznie wyżej i wyżej - mimo woli splatacie palce, szukając ratunku jedno u drugiego.

W następnej chwili wasze dłonie nakrywają od góry dwie inne: ciężka łapa Fiodora Sochacza i wąska, ciepła rączka Akuliny.

Raszelo, ty... nie bój się.

Wujku Druc! Jestem tutaj!

Jesteśmy z wami.

I tak stoicie, wzięwszy się za ręce - stoicie i płoniecie.

Samoczwart.

Płomień rozhulał się niby leśny pożar, oto już skryły się za nimi szeregi dzwonkowych tarcz i czarnych liści winorośli, oto już i mgła bojaźliwie cofa się i odpełza w kąt - co, mało?

- *...Dziękuję wam. Wasza samotność, proszę ojca do stołu...*

Płoną skrzyżowane ręce i ponownie nakłada się na nie jeszcze jeden krzyż - z góry pada cień tego, który ma na piersi i na pieczęci ober-starzec Sewastopolskiego Sądu Okręgowego.

Cień opada, obleka się w ciało i odgradza od palących płomieni, podwójnym białym krzyżem, alabastrowym pancerzem, jednym na 344 \_\_\_\_\_ Henry Lion Oldi

waszą czwórkę. A drugi krzyż, złoty, siejący blask, zawisa nad waszymi głowami.

Nie krzyż to, ale strop. Strop nowego dachu, który rozciągają nad wami kniaź i kapłan, żandarmski łaps i sądowy ober-starzec.

Ponownie zbierają się wokół czarne winne liście i dzwonkowe romby i ponownie mgła ze wstydem się cofa, rozplywa się i znika.

Westchnienie ulgi -jedno z czterech piersi.

Jakby góra z grzbietu spadła.

Spada na was wiosenna wesoła ulewa, która cudem przenika przez dach, łowicie tę wodę w zeschnięte gardła, łykacie ją spazmatycznie, nie mogąc ukoić i zaspokoić palącego nieznośnie pragnienia.

Jeszcze!Jeszcze!

Płomienie gasną z sykiem.

I oto teraz w istocie -już wszystko.

- No, jak tam z nimi? Ocknęli się?

- A nam teraz co, mundury wydadzą? - mamrocze jakby zasp-

na Akulina.

A ja się smętnie uśmiecham

**Koniec tomu pierwszego**

**/PI/ TRE/CI****K/IĘGA PIERW/ZA**

NIECH DROGA ICH BĘDZIE MRO CZNA I ŚLISKA..... 7

Kra g Pierwszy

ŚNIEGI KĘS-PRECLA ..... 8

Kra g Drugi

POCIĄG DO PIEKŁA ..... 59

Kra g Trzeci

DWIE KARTY W CIEMNO..... 105

**K/IĘGA DRUGA**

I DODAJ NIEPRAWOŚĆ DO NIEPRAWOŚCI ICH ..... 177

Kra g Czwarty

SŁONE WIATRY KRYMU.....178

Kra g Piąty

LECIAŁ SOKÓŁ, LECIAŁ JASNY .....239

Kra g Szósty

OGARNEŁY MNIE WODY PO DUSZĘ MOJĄ.....284